WILLIAM SHAKESPEARE

DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE

DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STUDYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW KRZEMIŃSKI.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM VI.

KRÓL HENRYK IV
CZĘŚĆ I—II.
W PRZEKŁADZIE L. ULRICHA.

KRÓL HENRYK V
W PRZEKŁADZIE J. KASPROWICZA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



TŁÓMACZENIE L. ULRICHA.

O dramacie *King Henry the Fourth* Franciszek Meres w roku 1598 w swej książce *Palladis Tamia* wspomina jako o dziele jednolitem, niewiadomo czy całość czy tylko pierwszą część mając na myśli. W tym samym roku wyszło wydanie części pierwszej, drukowanej potem cztery razy jeszcze za życia poety; z ostatnim z tych druków zgadza się pośmiertny tekst *in folio;* do pierwszego jednak, jako datą najbliższego oryginałowi, trzeba czasem sięgać po wyjaśnienie wątpliwych ustępów. Druga część po raz pierwszy pojawia się drukiem w roku 1600: wydanie to ma wielkie luki w tekście, zapewne dlatego, że odtwarza wersyę sceniczną, i to niedokładnie, na podstawie stenogramu, pisanego podczas przedstawienia; innych druków *in quarto* drugiej części niema.

Jako datę powstania obu części przyjąć można lata 1597—9: w roku 1599 Ben Jonson w swej komedyi *Every Man out of his Humour* wspomina o sędzim Milczku *(Justice Silence)* — pojawiającym się w drugiej części dramatu (III, 2) — już jako postaci przysłowiowo popularnej.

Źródło utworu jest dwojakie, tak jak dwoistym w treści cały dramat: faktów historycznych dostarczyła, jak zwykle, kronika Holinsheda; zaś wszelkie sceny o mniej lub więcej osobistym interesie dramatycznym, w szczególności obrazy karczemnego życia królewicza z Falstaffem i jego kompanionami, mają blade przeważnie prototypy w starym anonimowym dramacie »Sławne zwycięstwa króla Henryka V« *(The Famous Victories of King Henry the Fift);* utwór ten, drukowany w roku 1598, ale zarejestrowany do publikacyi w cechu księgarskim już w roku 1594, pisany był prawdopodobnie jeszcze przed spopularyzowaniem białego wiersza w dramacie przez Marlowa,

więc przed rokiem 1588, bo jest cały prozą. Odpowiada on w treści wszystkim trzem dramatom Shakespeara, połączonym postacią zwycięzcy pod Azincourt; ale z panowania jego ojca, Henryka IV, starym dramatem objęte jest wyłącznie prywatne życie królewicza, a nie, jak u Shakespeara, także wypadki państwowe; w późniejszych stadyach, gdy i o nich jest mowa, autor anonimowego dramatu czerpie, jak sam Shakespeare, z kroniki. Z tego więc prymitywnego źródła poeta bierze w najogólniejszych zarysach faktycznych treść swych scen rodzajowych; w szczegółach wykonania zupełnie pokrywa ten materyał ozdobami własnej fantazyi: pierwowzór Falstaffa w starym dramacie jest jeszcze figurą całkiem uboczną.

Genealogia literacka grubego rycerza zresztą na osobny jeszcze zasługuje wywód. Bezbarwny jego oryginał w *Famous Victories* nazywa się Oldcastle. W historyi Sir John Oldcastle, lord Cobham, był postacią nawskróś poważną: umarł za rządów Henryka V, spalony na stosie, jako wyznawca doktryn religijnych Wycliffa. W jaki sposób figura tak godna poszanowania przerodziła się w rozpustnego kompana, co królewicza na złe drogi sprowadza, to właściwie do bezpośrednich zagadnień shakespearowskich nie należy; proces przeobrażenia, w szczegółach już zbadany [1]), dokonał się głównie w pismach fanatycznych kronikarzy klasztornych, w zawody otaczających oszczerstwami wspomnienie heretyka; ustalony przez nich w wyobraźni ogółu portret przeszedł do anonimowego dramatu *Famous Victories,* mimo, że w stuleciu reformacyi już gorliwie go rehabilitować usiłowali pisarze protestanccy, jak John Foxe w »Martyrologii Kościoła angielskiego« i biskup Bale [2]). Shakespeare przeciwko posądzeniu o utożsamienie starego opoja z męczennikiem idei protestanckiej ubezpiecza się przez zmianę nazwiska i wyraźnie ponadto jeszcze zastrzega w epilogu [3]); mimo to pewne drobne

[1]) Wilhelm Baeske, *Oldcastle-Falstaff in der englischen Literatur bis zu Shakespeare.* Berlin, Meyer & Müller, 1905 (w zbiorze monografii *Palaestra,* tom 50).

[2]) Jeszcze w XIX wieku historycznemu charakterowi lorda Cobham piękny hołd złożył Tennyson w monologicznym poemacie, przedstawiającym go w chwili zadumy przed samem pojmaniem na ucieczce wśród dzikich gór Wales.

[3]) Zapowiada, że w dramacie o Henryku V »Falstaff umrze na potnicę, jeżeli go jeszcze surowe wasze uprzedzenie nie zabiło; bo Oldcastle umarł męczennikiem, a to nie tego rodzaju jest człowiek«.

ślady pierwotnej identyczności pozostały w roli Falstaffa [1]), i rywalizująca z shakespearowską trupa mogła z całej sprawy skorzystać, by dla rzekomej rehabilitacyi heroicznej figury wystąpić z dramatem konkurencyjnym *Sir John Oldcastle* [2]).

Nazwa Falstaffa (z lekką zmianą) pochodzi również od spotwarzonego przez potomność zwolennika nauk Wycliffa. W pierwszej części »Henryka VI« (pisanej na kilka lat przed »Henrykiem IV«) kilkakrotnie występuje tchórzliwy rycerz Sir John Fastolfe; karząc go za tchórzostwo, bohaterski wódz Anglików, Talbot, wobec całego dworu zdziera mu order Podwiązki (»Henryk VI«, cz. I, akt IV, sc. 1). Szczegóły te pochodzą z kroniki Holinsheda; genezą ich, tak samo jak rozpusty lorda Cobham, zawiść kronikarzy; historyczny Fastolfe bił się dzielnie, i order Podwiązki, niesłusznie mu odebrany, odzyskał; przeciw Shakespearowi rehabilituje go w XVII wieku Fuller w anegdotycznym rejestrze »wielkich mężów Anglii« *(Worthies of England).* Między historyczną postacią a shakespearowskim Falstaffem w »Henryku IV« drobny a widoczny związek tworzy okoliczność, że Fastolfe notorycznie był przez jakiś czas właścicielem oberży »pod głową dzika« *(Boar's Head Tavern)* we wschodnim Londynie, którą poeta przedstawia jako lokal klubowy Falstaffowej kompanii.

Obok tych wątłych nici, łączących opasłą postać z oryginałami w historyi, jest niewątpliwe źródło literackie dla istotnej treści figury Falstaffa: stanowi je niezmiernie popularny w całej literaturze renesansowej typ żołnierza-samochwała, pochodzący z Plauta; w Anglii spopularyzowali go nauczyciel Udall w szkolnej komedyi *Ralph Roi-*

[1]) Do Falstaffa z żartobliwą aluzyą do nazwiska *Oldcastle* królewicz się odzywa: *my old lad of the castle* (cz. I, akt I, sc. 2). Falstaff za młodu był paziem u Tomasza Mowbray, księcia Norfolk (cz. II, akt III, sc. 2), co zgadza się z biografią lorda Cobham. Z tych śladów wnioskowano, że Shakespeare zmiany nazwiska dokonał może dopiero w gotowym dramacie, i może nie z własnej woli — np. na żądanie ówczesnego lorda Cobham, albo wskutek protestów ze strony purytańskich przeciwników teatru.

[2]) Autorami tego produktu byli: Munday, Drayton, Wilson i Hathaway; zachowała się nam pierwsza jego część, drukowana w r. 1600 przez jakiegoś przedsiębiorczego księgarza i dla reklamy na tytule opatrzona nazwiskiem Shakespeara jako autora; stąd miejsce utworu w galeryi dzieł pseudo-shakespearowskich. Znać na dramacie współzawodnictwo z »Henrykiem IV« w ciekawych i realistycznych scenach rodzajowych.

ster Doister i Jan Lyly w »Endymionie«; od nich Shakespeare niejeden rys — np. otyłość bohatera — wprost zapożyczył; oprócz tego przyozdobił Falstaffa kilku łatkami z tradycyjnej szaty scenicznego błazna; wreszcie po królewsku go przyoblókł z zasobów własnej fantazyi i filozofii życia. Żeby poeta — jak Sienkiewicz do Zagłoby — był miał ponadto wszystko jeszcze jakiś żywy wzór przed oczyma, na to niema dowodu; rozglądano się za takim wzorem po najbliższem otoczeniu poety w karczmie artystycznej »pod nimfą« *(Mermaid)*: miał nim być czy to słynny jako facecyonista pisarz dramatyczny Jerzy Peele, czy to sam rywal Shakespeara w sławie poetyckiej, dowcipny kolos Ben Jonson. Jeżeli żona hrabiego Southampton w roku 1599 donosi mu listownie jako szczegół ze stołecznej *chronique scandaleuse,* że »Sir John Falstaff ma syna«, to można to uważać poprostu za jedno z licznych świadectw popularności figury, której nazwę przenosi się na żyjące osoby; może nawet nadawano ją samemu poecie: przynajmniej w późniejszych nieco latach XVII wieku Sir Toby Matthew cytuje go jako *that excellent author Sir John Falstaffe.* Jednym z najwcześniejszych zresztą dowodów rychłej popularności Falstaffa jest fakt, że Ben Jonson już w roku 1599 komedyę *Every Man out of his Humour* kończy aluzyą: »gruby, jak pan Jan Falstaff«.

Pierwsza część »Henryka IV«, podobnie jak »Ryszard II«, obejmuje niedługi przeciąg czasu, bo od września roku 1402 do lipca 1403, i tak samo, jak »Ryszard II«, jeden kompleks wypadków: rebelię i upadek rodziny Percych. Od początku przytem uwaga autora koncentruje się na królewiczu, i rozwój jego osobistości, zagadnienie: jak wyrabia się typowo angielski bohater narodowy, człowiek czynu i obowiązku, — wyraźnie jest głównym stałym tematem wśród fali wypadków; plan więc w założeniu obejmuje także, jako bilans moralny tej historyi osobistej, »Henryka V«.

Tragedyę rodu Percych tedy chce poeta połączyć z dziejami głowy i serca późniejszego króla Henryka V: te dwa zamiary dramatyczne zaraz ekspozycya doskonale zapowiada i ze sobą kombinuje: Henry Percy otrzymuje zasłużone pochwały za zwycięstwo nad Szkotami (I, 1), a zaraz potem uwaga jednego z panów dworu:

»...nie jednemu księciu
Takie zwycięstwo zaszczyt by przyniosło« —

przywodzi królowi na myśl wypowiedziane już w »Ryszardzie II« (V, 3) troski o marnotrawnego syna, i król sam obu młodych ludzi sobie przeciwstawia. Kontrast między nimi ciągnie się przez cały dramat. Dla skuteczności tego przeciwstawienia Shakespeare Henryka Percy czyni młodzieńcem w tym samym wieku, co królewicz; już w scenie »Ryszarda II«, gdzie Percy po raz pierwszy spotyka się z nowym królem Henrykiem IV (II, 3), ten motyw jego młodości starannie jest uwydatniony. Według kroniki Henry Percy był znacznie starszy, może nawet starszy od samego króla Henryka IV.

Że charakterystykę obu młodych bohaterów w pierwszej scenie dramatu własnemi słowy rozpoczyna sam król, że on donosi swoim lordom o zwycięstwie nad Szkotami i wogóle objaśnia publiczność o sytuacyi dramatycznej, to wielce znamienne dla stanowiska dzieła w rozwoju techniki poety: ekspozycya tutaj jeszcze tak samo bezpośrednia i prawie po staroświecku naiwna, jak w sławnym monologu na początku »Ryszarda III«, wyjawiającym całą treść zbrodniczego umysłu.

W tych eksponujących mowach króla uwydatnia się także motyw nastrojowy, zaczerpnięty z krótkiej wzmianki w kronice Holinsheda pod ostatnim rokiem panowania Henryka IV: król od początku rządów nosi się z myślą wyprawy krzyżowej jako ekspiacyi za gwałtowne zdobycie tronu. Z motywem tym spotykamy się ponownie dopiero na końcu życia Henryka (cz. II, akt IV, sc. 4); w ten sposób stworzone jest prawdziwie poetyczne obramowanie dla historyi postaci króla w obu częściach dramatu, nadana mu jest ta godność, która go jako monarchę otacza i zasadniczo różni od przebiegłego uzurpatora, Henryka Bolingbroke w »Ryszardzie II«.

Z tem upodobaniem w symetryi architektonicznej, które w młodości było mu zasadą dramaturgiczną, a później przyzwyczajeniem, Shakespeare grupie królewskiej zaraz przeciwstawia grupę Percych (I, 3). Na tle intryg dwóch starych ludzi szeregiem wspaniałych fajerwerków poetyckich wybucha temperament Henryka Percy; ale i nad jego uniesieniem panuje świadomość celu dramatycznego u poety: on w swych zapalczywych słowach tworzy organiczny związek z tragedyą »Ryszard II«, wspominając udział Percych w detronizacyi Ryszarda i przytaczając dosłowne urywki z obietnic wtedy przez Henryka poczynio-

nych[1]). Z »Ryszardem II« łączy się spisek Percych także przez sprawę Mortimera, którego król dlatego nie chce z niewoli wykupić, że Mortimer ma uznane przez Ryszarda prawo do korony: jest to błąd historyczny, przejęty z kroniki Holinsheda; w rzeczywistości chodziło o innego Mortimera.

Jak Henry Percy całą trzecią, tak przed nim królewicz, jego rywal w dramacie, wypełnia całą drugą scenę, równomiernie podzieloną między ekspozycyę jego stosunku do Falstaffa, plan zbójnickiej awantury II aktu i rewelacyę moralnej natury królewicza w monologu. Wyraźnie w nim wypowiada się raczej zamiar poety, niż jakieś istotne postanowienie bohatera. Shakespeare odczuwał takie wyjaśnienie w tem miejscu jako techniczną potrzebę: monolog ma zapewnić królewiczowi z góry wśród wszystkich jego ekscesów sympatyę czytelnika; jest zaś do tego celu środkiem równie mechanicznym, jak monolog Ryszarda III na początku jego tragedyi: Henryk, tak samo jak Ryszard, musiałby efekt swych najświetniejszych scen przerywać i psuć uwagami na stronie, gdyby nam u samego wstępu nie dawał do rąk tego klucza do swej psychologii.

Przyjaźń królewicza z Falstaffem, zerwana po wstąpieniu na tron, to refleks tendencyjnej zmiany, dokonanej przez katolickich kronikarzy w biografii Jana Oldcastle: w rzeczywistości był on i z królem jeszcze zaprzyjaźniony, i król nawet usiłował go ocalić przed śmiercią. Na tonie, panującym między tymi przyjaciółmi, znać wpływ roli parazyta w klasycznej komedyi i jej renesansowych naśladownictwach: w starym dramacie *Famous Victories* Oldcastle nie jest tak poufały. Nie jest on tam także ani stary ani tak tryumfująco dowcipny, jak Falstaff; starym przez dosłowną interpretacyę nazwiska — *Old-castle*, »stary zamek« — nazywały go satyryczne ballady przeciwko lollardom, czyli zwolennikom Wycliffa; zaś dowcip należy wyłącznie do poety: w katolickiej tradycyi kronikarskiej Oldcastle miał postać gadatliwego wartogłowa. Według Shakespeara Falstaff, choć sam żartobliwie przedstawia królewicza jako swego uwodziciela, był mu przewodnikiem we wszelkich nadużyciach: tutaj Shakespeare przeniósł w sferę obyczajową tradycyjne wyobrażenie, że Oldcastle wpływał w duchu nauk Wycliffa na wierzenia religijne króla. Kro-

[1]) »Ryszard II«, akt II, sc. 3.

nikarze drwili z biblijnego sposobu mówienia wycliffisty; ten rys już anonimowy autor dramatu *Famous Victories* satyrycznie zużytkował; prawdziwie silny humorystyczny efekt z obłudnie kaznodziejskich apostrof wydobył Shakespeare. Tak samo od kronikarzy pochodził motyw — przez poetę w żart obrócony — że Oldcastle zapisał duszę dyabłu; również w żart obraca Shakespeare jego groźbę, że gdy książę zostanie królem, on go zdradzi, jeżeli teraz nie przyłączy się do złych sprawek. Podobnie wreszcie w żart obrócone są pewne rysy, które już anonimowy dramat *Famous Victories* przejął z dawniejszego obrazu: Falstaff, jak Oldcastle, spekuluje na czas, gdy Henryk zostanie królem; już i w starym dramacie obiecuje sobie zostać sędzią, a choćby i katem. Tak to małe i niepozorne kamyczki różnorodnego pochodzenia Shakespeare umiejętnie wpaja w swój wspaniały pomnik stosunku Falstaffa do królewicza. Samo ujęcie tych rozmaitych szczegółów w osobną scenę ekspozycyjną jest pomysłem poety: dramat *Famous Victories* zaczyna się odrazu od scen zbójnickich, które u Shakespeara — w całkiem odmiennej formie — spotykamy w akcie drugim. W starym dramacie królewicz bez trudu daje się namówić i bierze całem sercem udział w obrabowaniu urzędników podatkowych ojca; później swojego człowieka, co okradł posłańca pocztowego, broni przed sądem, dowodząc, że »kradł dla żartu«; tak samo potem w rozmowie z Oldcastlem obiecuje, gdy będzie królem, karać tylko tych, co pokryjomu kradną, a nie odważnych, zbrojnych zbójów, co uprawiają swe rzemiosło na królewskim gościńcu. U Shakespeara królewicz propozycyi udziału w rabunku stanowczo się sprzeciwia, a do projektu potem pozornie się przyłącza, by wykonać obmyślany przez Poinsa figiel. Zabawnego pomysłu obrabowania rabusiów niema ani śladu w starym dramacie, gdzie Oldcastle w scenach rabunku wcale wybitnej roli nie odgrywa. U Shakespeara ten epizod i dalsze jego następstwa wypełniają cały akt drugi. Tutaj sztuka poety po raz pierwszy może świeci absolutną świetnością, bo prawie niczego nie zawdzięcza nieskładnemu staremu dramatowi. Do wielkiej sceny relacyi o przygodach i zdemaskowania kłamstw Falstaffa (II, 4) drobne zaledwie momenta mógł Shakespeare znaleźć u poprzedników. Stopniowy wzrost liczby przeciwników w opowiadaniu Falstaffa o bohaterskiej walce pochodzi ze starego plautyńskiego arsenału

efektów komicznych; ale zwycięski wybieg Falstaffa w krytycznej chwili kompromitacyi — że »przez instynkt« poznał i nie śmiał tknąć syna królewskiego — jest pomysłem samego poety. Drugi główny motyw sceny, przedstawienie reprymandy ojcowskiej najpierw przez Falstaffa [1]), potem przez samego królewicza, ma pewną analogię w starym dramacie, gdzie podobny nieco moment daleko mniej zręcznie jednak jest wyzyskany: tam królewicz gwałtownie broni przeciw sprawiedliwości złodzieja, który był w jego służbie, — i tę scenę między nim a Lordem Sędzią zaraz potem dwóch jego kompanionów parodyuje między sobą. Że całe dwukrotne odegranie sceny między królem a królewiczem doskonale służy charakterystyce Falstaffa z różnych punktów widzenia, to dowód na rozwinięty już zmysł dramatyczny autora: nie lubi on teraz, jak w komedyach młodocianych, komiki epizodycznej, nie połączonej organicznie z treścią dramatu; zaledwie w drobnych figlach na początku i na końcu sceny — wołanie kelnera na dwie strony i odczytywanie olbrzymiego rachunku Falstaffa — pozwala sobie na takie luźne intermezza ze względu na wymagania przywykłej do nich publiczności: są to koncesye, ale i w koncesyach Shakespeare mistrzem być nie przestaje.

Wymaganiami technicznemi sceny shakespearowskiej tłómaczy się inny jeszcze epizod, mianowicie nastrojowe preludyum do awantury zbójeckiej (II, 1): w dyalogu między furmanami, przede dniem wyruszającymi w drogę, a szpiegiem zbójów, poeta przez najprostsze środki — np. prośbę o pożyczenie latarni — pomaga wyobraźni publiczności wytworzyć sobie tajemniczą atmosferę mroków nocy podczas popołudniowego przedstawienia w odkrytym teatrze.

Doskonałości komicznej rozhoworów karczemnych w głównej ich treści podnosić nie trzeba ani określić nie można; stanowisko ich w ogólnym, organicznym rozwoju artyzmu poety charakteryzuje fakt, że Shakespeare cechę całej swej twórczości w tym okresie, szczególnie wyraźną w bezpośrednio poprzedzającym dramacie »Ryszard II«, mianowicie skłonność do refleksyjnej gnomiki, tutaj umie wyzyskać na cele humorystyczne: sentencye Falstaffa o »przymusie«, o »instynkcie«, o »wydymających człowieka zmartwieniach«, później jeszcze jego rozumowania na polu bitwy o honorze (V, 1) i o życiu i śmierci (z okazyi udawania zabitego): wszystko to najdoskonalej wyraża zjawisko w psychologii artystycznej poety nowe, mianowicie czasowe opanowanie całej jego duszy i wszystkich jej funkcyi humorem, już nie tylko jako tendencyą literacką, ale jako światopoglądem. Tworząc Falstaffa, patrzy na wszystkie stosunki życia ludzkiego pod kątem humoru, tak samo jak później, tworząc Hamleta, patrzy na wszystkie jego sprawy ze strony tragicznej.

[1]) Parodya bury ojcowskiej zarazem jest udatną karykaturą rozpanoszonego na dworze królowej Elżbiety modnego stylu, którego źródłem i wzorem była powieść Jana Lyly *Euphues*.

Na wszystkich młodocianych manowcach Shakespeare starannie chroni swego bohatera, królewicza, przed ostatecznem poniżeniem: o jego stosunkach z daleko mniej wytworną jeszcze sferą niż Falstaffowska kompania — »zawarłem najściślejszą przyjaźń z kilku kiprami« — dowiadujemy się tylko pośrednio, z wesołej relacyi, którą zdaje Poinsowi, i która przez swą swobodę i szczerość rozbraja cenzurę moralną. Również tylko z aluzyi — część I, akt III, sc. 2; część II, akt I, sc. 2 — a dopiero na końcu drugiej części (V, 2) z obszernej rozprawy dowiadujemy się o zajściu, które stary dramat *Famous Victories* w osobnej scenie bezpośrednio przedstawia: jak mianowicie królewicz w obronie jednego ze swoich towarzyszów uderzył w twarz Lorda Naczelnego Sędziego Anglii, za co dostał się do więzienia i utracił miejsce w Radzie królewskiej. Cała ta sprawa — w anegdotycznej tradycyi zresztą pierwotnie związana z imieniem Edwarda II — obszernie opowiedziana była w pedagogicznej książce Tomasza Elyota *The Governour* (1531), i niektóre rysy w ostatecznem jej wyjaśnieniu Shakespeare może wprost stamtąd zaczerpnął. Wielce jest znamiennem, że tego najcięższego w oczach Anglików przewinienia — obrazy sprawiedliwości państwowej w osobie Sędziego — na scenie poeta nie ukazał. Nigdzie wreszcie w dramacie niema wzmianki o jakichkolwiek płciowych nadużyciach królewicza: w *Famous Victories* jego gorące usposobienie w tym względzie wyraźnie jest zaznaczone. Zastrzeżenia, że królewicz w swoich »zabawach« jednak unikał »krzywdy ludzkiej«, a nawet że trzymał swe popędy »w granicach cnoty«, czyni Holin-

shed; szczegół, że obrabowanym każe oddać pieniądze, podaje inny kronikarz, Stow [1]).

Jak w pierwszym akcie (sc. 3) Henry Percy wzgardliwie charakteryzował królewicza jako zawadyakę karczemnego, tak w drugim (sc. 4) książę Henryk — trafniej i szlachetniej, choć żartobliwie — mówi o wojowniczem usposobieniu swojego przeciwnika: tu metoda symetrycznego przeciwstawiania, właściwa młodemu Shakespearowi, od sztuczności wcześniejszych utworów wznosi się na wyżyny dojrzałej sztuki. Scena małżeńska między Percym a jego Kasią, naszkicowana przez królewicza, jest jakby tylko refleksem uroczego dyalogu (II, 3), dla urozmaicenia wpleconego między sceny Falstaffowskie; treść jego w odmiennej tonacyi dramatycznej powtórzył poeta w późniejszej tragedyi »Juliusz Cezar« (II, 1). Wdzięczną scenę przekomarzania się małżeńskiego przynosi jeszcze akt III (sc. 1); ta znowu wiedzie myśl wstecz ku wcześniejszej fazie twórczości poety: przypomina dyalogi między Petruchiem a jego Kasią w komedyi »Poskromienie złośnicy«; jak wszystkie piękności młodocianej Muzy Shakespeara, tak i tę w »Henryku IV« widzimy spotęgowaną i dojrzałą. Sposób, w jaki Percy, czytając listy magnatów, krytykuje ich opieszałość, tak samo jak jego opowiadanie o wymuskanym dworaku na polu bitwy (I, 3), doskonale służy charakterystyce prostoty tego człowieka czynu, któremu obcym jest wszelki oportunizm i paktowanie.

Poza tą sceną akt drugi trzymał nas głównie w karczmie; trzeci z kolei wypełniają znowu po znacznej części sprawy polityczne. Nieodzowny w założeniu tragizm spisku

---

[1]) Kwestya stosunku tych wszystkich tradycyi o wesołem życiu młodego królewicza do rzeczywistości historycznej nie należy właściwie do krytyki shakespearowskiej. Twierdzono, że kronikarz XV wieku, Robert Fabyan, wynalazł te bajki. Nowe jednak światło na sprawę rzuciła publikacya anonimowego angielskiego tłómaczenia starej biografii Henryka V, pisanej po łacinie przez Włocha imieniem Tito Livio da Forli (*The First English Life of King Henry V*, ed. C. L. Kingsford; Oxford, 1911). Tłómacz angielski mianowicie ze swym oryginałem kombinuje wiadomości z francuskiej kroniki Enguerranta de Monstrelet, oraz szczegóły spisane w starości, czy też dyktowane komuś, przez hrabiego Ormond († 1452), który był osobistym przyjacielem Henryka. Otóż w tych ormondowskich reminiscencyach — z których widocznie korzystał także kronikarz Stow — są już i takie swywolne sprawki królewicza, jak obrabowanie poborców podatkowych (których potem odszkodowuje i wynagradza), i pojednanie z ojcem w roku 1411, i rady ojca na łożu śmierci, i dymisya wesołych kompanionów po wstąpieniu na tron.

ludzi ambitnych, wiszącą nad nim klęskę niezgody, wyjawia pierwsza scena, stanowiąca punkt zwrotny w rozwoju planu Percych — początek ich upadku: podobnie więc, jak we wcześniejszych dramatach historycznych, drugiej części »Henryka VI« i »Ryszardzie III«, budowa utworu w rozmiarach i rozkładzie wypadków ściśle jest symetryczna. Umiejętna symetrya także panuje i tutaj w kontrastowaniu charakterów: fantastyczny i afektowany Walijczyk naprzeciwko trzeźwego i praktycznego Anglika, czarodziejska poezya żywiołu keltyckiego w postaci córki Glendowera naprzeciw równie uroczego realizmu żony-Angielki. Treść polityczna sceny pochodzi z Holinsheda; dekoracyjne jej akcesorya pozbierał poeta po różnych miejscach jego kroniki, a także i Halla; w ten sposób w szczególności wytworzył tę mgławicę nadprzyrodzonych dziwów i napuszystych przechwałek, jaką Glendower otacza swe urodzenie i całe swe osobiste losy, przeszłe i przyszłe.

Przez postanowienie królewicza wobec ojca, że w walce z Percym odkupi swe młodzieńcze przewinienia albo zginie (III, 2), sprawa jego w samym środku i punkcie zwrotnym dramatu widomie związana jest z akcyą rebeliantów. Doniosła scena, w której się tym sposobem łączą ze sobą oba główne tematy, jest zarazem retro- i prospektywną: początek całej tetralogii dramatycznej w pamięć przywodzi skreśloną przez króla-ojca sylwetkę Ryszarda II, który w tem świetle tyle traci na uroku, ile zyskał przez godność i troski monarsze Henryk IV; zaś wprzód, ku wypadkom nadchodzącym, wskazują również słowa ojca, który dla obudzenia ambicyi królewicza, raz jeszcze z wielkiemi pochwałami przed oczy mu stawia obraz Henryka Percy; sam królewicz szlachetny hołd oddaje przeciwnikowi, i w ten sposób ich rywalizacya, której sceną ma się stać pole bitwy, ostatecznie podniesiona jest w sferę wysokiej godności poetyckiej. Materyału faktycznego do tej sceny dostarczył opis najpierw nieporozumień, a potem uroczystego pojednania między królem a królewiczem u Holinsheda, gdzie to wszystko jednak dzieje się pod koniec panowania, w r. 1412. Również z końcem życia króla, już gdy dogorywa, rozgrywa się krótka i prymitywna scena tej samej treści w dramacie *Famous Victories:* królewicz broni się tam w formalnej mowie adwokackiej; u Shakespeara wypowiada zaledwie kilka wierszy. W starym dramacie stanowi to już ostateczny przełom w jego życiu;

u Shakespeara królewicz wdaje się i nadal jeszcze z Falstaffem, co znacznie osłabia efekt wielkiej sceny pojednania z ojcem. Zaraz po niej widzimy znowu świat karczemny (III, 3); scena prawie czysto rodzajowa, bez ważnego przeznaczenia dramatycznego, widoczną jest koncesyą na rzecz wymagań publiczności, któraby już nie zniosła całego aktu bez takiego intermezzo, a zarazem świadectwem, jak dalece Falstaff opanowuje już wyobraźnię swego twórcy i wyrastać poczyna ponad należną sobie rolę w dramacie. Tutaj wyraźniej, niż dotąd, otaczające go figury komiczne przybierają charakter świty, ukazującej przez refleks różne poszczególne strony jego bogatej natury.

W ostatnich dwóch aktach, których treścią kampania, znowu, jak na początku dramatu, z całą siłą uwydatnia się przyzwyczajenie poety dramatycznego do myślenia w symetrycznych kontrastach: naprzemian występują grupy rebelianckie i rojalistyczne, z tych znowu albo Falstaffowska albo królewska. Zapowiedziawszy tonami jakby surmy bojowej wojenną część dramatu, i umiejętnie osłoniwszy stronę Percych złowrogim całunem niedobrych wieści (IV, 1), poeta jakby nie wiedział, czem wypełnić cały szereg scen aż do ostatecznej katastrofy. Epizod udaremnionych układów wziął z kroniki Holinsheda i rozwija go bardzo obszernie (IV, 3; V, 1, 3): ani ponownego powtórzenia całej historyi upadku Ryszarda II, ani skarg Percych, ani wreszcie sprawozdania o obustronnych siłach i szansach we wplecionej *ad hoc* rozmowie między arcybiskupem a jego sługą (IV, 4), — istotnie nie odczuwamy potrzeby słyszeć. Urozmaicające rzecz monologi Falstaffa o tyle tylko z akcyą się łączą, że ilustrują środowisko żołnierskie; zarówno opis jego wynędzniałych rekrutów (IV, 2), jak rozmyślania o istocie honoru (V, 2) stanowią zupełnie zamknięte w sobie i niezależne od całości dramatycznej arcydzieła humoru.

Przez cały ciąg rozstrzygającej bitwy (V, 3—5) rozbrzmiewa w coraz szlachetniejszych słowach ta rywalizacya między dwoma Henrykami, która jest zasadniczą osnową dramatu; poza osobistą między nimi rozprawą poeta — korzystając głównie ze wskazówki u Holinsheda, że kilku przednich rycerzy przebrało się w zbroje podobne do zbroi króla, by od niego samego odwrócić niebezpieczeństwo, — przedstawia nam bogaty szereg homeryckich epizodów z walki. Komiczna dywersya przez Falstaffa, który udaje zabitego, w treści swej jest żartem błazeńskim, nie obcym literaturze dramatycznej już przed Shakespearem, a po nim i przez niego wielce popularnym; ale że ten efekt bezpośrednio jest skontrastowany z bohaterską śmiercią Henryka Percy, to jest największa może śmiałość, na jaką zdobywa się Shakespeare w swej praktyce mieszania humoru z powagą w dramacie.

W epilogu po bitwie król zapowiada dalsze rozległe operacye wojskowe przeciw reszcie powstańców. Mimo to jednak, stając u końca dramatu, mamy wrażenie, że przedmiot jest wyczerpany: o ile jest nim tragedya Percych, to przez walną klęskę i śmierć nadziei rodu jest ona dokonaną; o ile zaś tematem jest rozwój osobistości królewicza, to czujemy, że mógłby się tu zakończyć: czyż znajdzie się wspanialszy symbol przewrotu jak próba wartości moralnej na polu walki i doraźne wymazanie tej chwały Henryka Percy, co była hańbą Henryka królewicza? Usprawiedliwienie się wobec ojca czynem — przez ocalenie mu życia w bitwie (V, 4) — starczyłoby za ostateczny między nimi obrachunek po wyprawdzeniach w środkowej scenie dramatu (III, 2); nekrolog nad mniemanym trupem Falstaffa mógłby być ostatecznem pożegnaniem, i nie raziłoby nas zupełnie, gdyby kilka lat historyi było śmiało przeskoczonych, i jako bohater dalszego dramatu stanął przed nami mąż dojrzały i poważny — król Henryk V.

Dlaczego więc Shakespeare napisał drugą część »Henryka IV«, gdzie przez całe pięć aktów królewicz wisieć musi między złem a dobrem, i treść stanowić może tylko dokończenie pogromu Percych, — mniej zajmujące od pierwszej klęski — oraz nowe i na nowem tle żarty Falstaffa? Prawda, że ze wszystkich składników pierwszej części Falstaffa jednego nigdy dosyć mieć nie możemy; on też właśnie okazał się teraz silniejszym od swego twórcy. Nie mógł się Shakespeare pohamować od dalszego wyzyskiwania tej kopalni złotego humoru; zapewne zachęciło go do napisania drugiej części także powodzenie Falstaffa u publiczności, tak samo jak skłoniło go potem do niefortunniejszego jeszcze eksperymentu w farsie »Wesołe kobiety windsorskie«.

Innym powodem powstania drugiej części jest może

dylemat, leżący w samej naturze dramatu historycznego jako rodzaju, odczuty przez poetę i rozwiązany sposobem kompromisu. Zmysł dramatyczny podyktował poecie »Ryszarda II«, utwór ograniczony do wypadków jednego roku i jednego kompleksu; ale silne w umyśle zarówno poety jak publiczności poszanowanie dla ustalonej na scenie przez tradycyę formy *chronicle history* — epicznej chryi dyalogowanej — każe mu w tym samym okresie tworzyć dzieło tego starego typu w »Królu Janie«. Ten sam proces powtarza się, i ten sam w zasadzie jest stosunek pierwszej części »Henryka IV« do drugiej; tamtą natchnął instynkt dramaturga, tę — sumienność popularnego kronikarza.

Obowiązku sumienności historycznej w jednym szczególnie kierunku poeta może dopełnić pragnął przez część drugą: w pierwszej, wypełnionej sprawą Percych i królewicza, nie starczyło miejsca na pogłębienie samej postaci Henryka IV, na uwydatnienie kontrastu między realistą-awanturnikiem, jakim jest w »Ryszardzie II«, a uświęconym przez godność panowania, wydoskonalonym przez żal i gorycze życia monarchą, któremu za prawny tytuł do tronu starczy dobre sprawowanie rządów i męskie znoszenie przeciwności. Tę stronę przedmiotu dokładniej ukazuje druga część; choć bliższa »Henryka V«, jest ona więcej dramatem Henryka IV, niż część pierwsza, której bohaterem był królewicz; w niej dopiero ujawnia się całą pełnią Nemezys dziejowa, mszcząca detronizacyę Ryszarda przez troski monarsze i wojny domowe Henryka.

Bardziej kronikarski, epiczny charakter części drugiej zapowiada już prolog uosobionej Wieści, a zaraz potem długa scena relacyi, widocznie pisana z myślą, by tę drugą część uczynić teatralnie niezależną od pierwszej; naiwnie sprawozdawczy styl ekspozycyi — znowu przypominający wczesne tragedye poety — sam się krytykuje, gdy książę Northumberland, wysłuchawszy wiadomości, powiada:

»Wiedziałem o tem, lecz obecna boleść
»Myśl o tem w mojej zatarła pamięci«.

W interesie teatralnej odrębności części drugiej również poeta stara się uwydatnić, że powstanie arcybiskupa Yorku przeciwko królowi jest ruchem nowym i nowym przedmiotem dramatycznym, nie dalszym ciągiem dawniejszej rebelii północnej; w tym celu już w pierwszej scenie rzucone jest hasło, że osoba nowego przywódcy zmienia sprawę w świętą i prawdziwie publiczną. Z drugiej strony jednak apel arcybiskupa do wspomnień o tragicznym końcu Ryszarda II łączy sprawę z dawniejszemi częściami tetralogii; by rzecz zbliżyć czasowo do klęski Percych, poeta przeskakuje dwuletnią pauzę pokojową w kronice; zaś już pod koniec pierwszej części na tę dalszą rebelię i jej powiązanie z poprzednią przygotowała nas — w sposób bardzo prosty — rozmowa między arcybiskupem a jego sługą (IV, 4). W drugiej części jest potem jeszcze jedna scena (II, 3), służąca łączności między sprawą Percych a powstaniem arcybiskupa; i tu Shakespeare ścieśnia wypadki: według kroniki nowy konflikt między księciem Northumberland a królem zaczął się dopiero po klęsce arcybiskupa [1]). W tejże scenie wdowa po Henryku Percy w swych żalach wypowiada ostateczny nekrolog bohatera, i jako postać, z rodzajowej podniesiona do godności tragicznej, znika z dramatu, tak samo jak jej teść: jest więc ta scena części drugiej epilogiem do tragedyi Percych w pierwszej, tak jak scena między arcybiskupem a jego sługą w części pierwszej była prologiem do akcyi arcybiskupa w drugiej.

Rolę Falstaffa w drugiej części »Henryka IV« doskonale charakteryzują — jakby *motto* na początku — sławne jego słowa w pierwszym monologu (I, 2): »Nie tylko sam jestem dowcipny, ale i drugim daję dowcip«. »Wciąż istotnie tutaj żarty jego dobywają dowcip, jak echo, z osób kolejnie mu przeciwstawionych; w rozmowach z małym paziem i z Lordem Wielkim Sędzią zarazem, jak przystało na pierwszą scenę Falstaffowi poświęconą w nowym dramacie, dowiadujemy się różnych szczegółów o jego osobie i trybie życia. Pewna zmiana w usposobieniu królewicza od początku drugiej części pośrednio przez to się objawia, że Falstaff jest w ciągłej opresyi i widocznie zaniedbany; skarży się na suchoty kieszeni i ma nawet być aresztowany za długi u karczmarki. U królewicza samego jako oznaki odmiany rozrzucone są po całej rozmowie (II, 2) uwagi, wypowiadające wyraźnie, że niecierpliwi go

[1]) O tem ponownem powstaniu Northumberlanda już tylko w scenie konania króla (IV, 4) przychodzi sumaryczna wiadomość, że zostało stłumione.

już towarzystwo karczemne. »Tak to stroimy sobie żarty z czasem, a duchy mądrych siedzą w chmurach i śmieją się z nas«. Mimo to nie waha się wypłatać Falstaffowi podobnego figla, jak w pierwszej części, z tym samym wspólnikiem i również w przebraniu; tak samo też, jak tam, Falstaff wychodzi z upokorzenia zwycięsko, a wybieg, jakim się broni, takie widocznie miał powodzenie, że powtórzył go Shakespeare w komedyi »Koniec wieńczy dzieło« (IV, 3). Świta komiczna Falstaffa wzbogaca się o jedną świetną kreacyę: chorążego Pistoleta. Jako żołnierz-samochwał jest on poprostu refleksem karykaturalnym jednej strony w bogatej naturze Falstaffa; przedewszystkiem jednak służy poecie za środek satyry literackiej na bombastyczny styl tragedyi renesansowych w rodzaju Seneki: mówi stylem deklamatorsko-retorycznym, pełnym naciągniętych apostrof do mitologii klasycznej; wiele z nich to cytaty z dzieł dramatycznych, częścią zaginionych, częścią zachowanych; wśród tych jest nawet sławny »Tamerlan« Marlowa: pierwszy to może w twórczości Shakespeara objaw wyzwolenia z pod przemożnego wpływu wielkiego poprzednika. Nie brak także w słowach Pistoleta lirycznych cytat z ballad ludowych: niejedna z nich w całości wyszła z pod ziemi w XVIII wieku, w zbiorze biskupa Percy.

W tajniki psychologii samego Henryka IV głębiej niż cokolwiek dotychczas wprowadza nas wzniosły monolog bezsennego króla (III, 1): wzór tej wielce nastrojowej sceny wykrył Creizenach w ustępie kroniki Holinsheda, opisującym rozmyślania zatroskanego króla w daleko wcześniejszym okresie panowania, bo w r. 1401, w nocy po zamachu na jego życie. Ciekawy to przykład, jak zupełnie bez wahania poeta nie tylko fakta, ale i moralne refleksye przejmuje z kronikarskiego źródła.

W akcyi Falstaffa akt trzeci, tak samo jak drugi, przynosi ponowiony w odmiennej formie pomysł z części pierwszej: tu, jak tam (IV, 2), Falstaff ukazuje się jako oficer, werbujący rekrutów; tylko że tutaj temat przedstawiony jest w daleko szerszych rozmiarach, przyczem i orszak komicznych satelitów Falstaffa wzbogaca się o dwie świetne figury, sędziów pokoju Płytka *(Shallow)* i Milczka *(Silence)*, satyryczne typy prowincyonalnego intelektu angielskiego. O ile ich rozmowa (III, 2) przez ciekawe szczegóły biograficzne z odległych czasów młodości przyczynia się jeszcze do uwypuklenia postaci Falstaffa, o tyle całkiem nieorganiczne w dramacie intermezzo stanowi przegląd rekrutów, których nazwiska dają Falstaffowi przedmiot do żartów czysto słownych, w dawniejszym stylu Shakespeara. Tak samo luźnym epizodem, jedynie dla urozmaicenia poważnej akcyi wplecionym, jest scena między Falstaffem a jego jeńcem (IV, 3); motyw ten pochodzi zresztą z tradycyjnego repertuaru żołnierza-samochwała. Z najwspanialszymi momentami gnomiki humorystycznej Falstaffa w pierwszej części za to w parze iść mogą uwagi o korzyściach picia wina, wzorowane w treści na zupełnie poważnych średniowiecznych poleceniach lekarskich, i wpół-żartobliwych ich parafrazach wierszem, jakie jeszcze w nowożytnej Anglii krążyły z ust do ust i po księgach domowych.

Paralelizm z częścią pierwszą w akcyi politycznej uwydatnia się w grupie scen z początkiem IV aktu, znowu nieco przewlekle przedstawiających układy między królem a rebeliantami. Samo unicestwienie arcybiskupiego powstania przez podstęp księcia Jana dokonywa się wiernie według kroniki Holinsheda. Podobnie jak w pierwszej części dramatu różne wzmianki o Ryszardzie II dały sposobność do zmian na niekorzyść w tym jego portrecie, jaki pozostawia w pamięci czytelnika pierwszy dramat tetralogii, tak i tutaj wznowienie starych obrachunków między królem a rodem książąt Norfolk przynosi dodatkową wiadomość o niepopularności Tomasza Mowbray, którego spór z Henrykiem Bolingbroke w »Ryszardzie II« przedstawiony był zupełnie bezstronnie; znowu więc pierwociny panującego króla zyskują na godności w świetle wspomnień.

Główny chronologiczny skok w całym dramacie — nieodzowny w epicznem ujęciu drugiej części — czynimy w czwartej scenie czwartego aktu: do łoża śmierci króla, konającego w roku 1413, jedna za drugą przychodzą wieści o zwycięstwach nad rebeliantami, odniesionych wedle kroniki w latach 1405—8. Do szeregu paralelizmów między pierwszą a drugą częścią jednym więcej się przyczynia ta scena agonii: jest analogiczna w treści do stanowczej rozprawy między ojcem a synem w połowie części pierwszej (III, 2). Właśnie dlatego też odczuwamy ją jako pisaną nie dla rzeczywistej dramatycznej potrzeby, lecz dla wyzyskania efektownego teatralnie motywu zabranej ko-

rony; motyw ten znalazł Shakespeare i u Holinsheda i w starym dramacie *Famous Victories;* otoczył sytuacyę królewskim płaszczem swej poezyi, i tak samo, jak ową poprzednią, włączył scenę organicznie w całość historycznego cyklu, wiążąc ją i z »Ryszardem II« i z »Henrykiem V«: król zstępuje do grobu ze spokojną pewnością, że winę wobec poprzednika okupił i że jej plama już nie przejdzie na syna; zaś synowi radzi, by zewnętrznemi wojnami zatrudniał niespokojne duchy w kraju.

Tematem aktu końcowego jest ostateczna moralna przemiana królewicza Henryka w króla Henryka V. Ofiarą tej przemiany ma być Falstaff; dlatego też on w tym akcie od początku najwięcej zajmuje miejsca; umiejętnie wyzyskuje poeta arcy-przydatną w tym celu postać sędziego Płytka, by ironicznie uwydatnić pewność siebie u Falstaffa, tem większą, im bliższy jest upadku. Prócz doskonałego spełnienia tego celu dramatycznego jednak podobało się Shakespearowi ozdobić te sceny czarownym nastrojem wiejskim i wdzięcznymi urywkami biesiadnej liryki ludowej; podobnie jak w prologu do »Poskromienia złośnicy« i w pierwszej scenie »Wesołych kobiet windsorskich«, idylliczna jego fantazya buja tu nad polami prowincyi rodzinnej i dyktuje poecie autentyczne aluzye do miejscowości i rodzin w Gloucestershire, niedaleko Stratfordu.

Pełne majestatu sceny rehabilitacyi młodego króla uświetnia poeta i tymi środkami zewnętrznymi, na jakie scena jego trupy widocznie w tym czasie już sobie mogła pozwolić; a więc odprawa Falstaffa dokonywa się podczas procesyi koronacyjnej. Wyrok, nad nim wypowiedziany, w szczegółach pochodzi z Holinsheda: w kronice także nowy król wydala towarzyszów dawnych zabaw na dziesięć mil od dworu, dając im przyzwoite zaopatrzenie. Dramatyczne ujęcie rzeczy — narzucanie się nowemu królowi wobec dygnitarzy państwa — znalazł Shakespeare w dramacie *Famous Victories;* tam nawet jeden z bezczelnych kompanionów upomina się o przyrzeczoną godność Lorda Sędziego. Oratorskie jednak przyobleczenie pożegnalnej mowy do Falstaffa — tak samo jak poprzednio piękne słowa do braci i dostojników — to w całości i wyłącznie własność poety; on także niezależnie od źródeł nie odmówił sobie komicznej satysfakcyi ukarania w osobnej scenie karczmarki i nierządnicy za ich wesołe

grzechy (V, 4). Całe zresztą towarzystwo falstaffowskie zachował sobie poeta jako humorystyczną przyprawę do dalszego dramatu. Według epilogu i samego Falstaffa miał zamiar jeszcze raz tam ukazać; trafniejsza jednak myśl wzięła górę, i w »Henryku V« (II, 3) słyszymy głęboko wzruszające mimo komicznych rysów sprawozdanie o zgonie opasłego rycerza. »Król zabił mu serce« (II, 1).

* * *

Utarło się o całości »Henryka IV« mniemanie, po dyktatorsku wypowiedziane w XVIII wieku przez Samuela Johnsona, że »to tylko dlatego dwa dramaty, bo za długie na jeden«. W istocie jednak druga część doczepiona jest dla kronikarskiego uzupełnienia do zwartego dramatycznego organizmu pierwszej, zaś we wielu szczegółach swej treści okazuje się jako replika — często doskonalsza, ale już wskutek powtórzenia dramatycznie mniej silna — znamienitszych motywów części pierwszej: i tu i tam zasadnicza rozprawa między ojcem a synem; i tu i tam na początku narady sprzysiężonych, a pod koniec układy z nimi; tu i tam wreszcie w roli Falstaffa w drugim akcie figiel — o podobnej w obu częściach osnowie i przez tych samych sprawców — skierowany przeciwko niemu, a zakończony zwycięskim wykrętem jego dyalektyki; potem Falstaff rekrutujący, a na polu bitwy próby jego tchórzostwa i perły humorystycznej refleksyi. Jako nadwyżkę na korzyść drugiej części w takim bilansie dopisać można tylko pyszne wzbogacenie komicznego orszaku wokoło Falstaffa i orzeźwiający *plein-air* prowincyonalnych scen u sędziego Płytka, całkiem luźny zresztą epizod stanowiących. Wybitne piękności poetyckie drugiej — jak monolog bezsennego króla, i scena zabrania korony — przeważnie są wysubtelnieniem i wydoskonaleniem myśli i sytuacyi, już w pierwszej części zawartych, i byłoby się na nie w ramach jej pięciu aktów łatwo znalazło pomieszczenie: trudno się oprzeć rojeniom, jak jednolite arcydzieło dramatyczne posiadalibyśmy wtedy w »Henryku IV«. Pamięć o poszczególnych zaletach poetyckich, psychologicznych, komicznych części drugiej przywodzi myśl napowrót ku rzeczywistemu stanowi rzeczy i dyktuje bezwzględną i korną wdzięczność dla mistrza za to, że do jednego z najdoskonalej zbudowanych dramatów raczył dorzucić obfitą garść

wielkich piękności, rozsianą po pięciu aktach dyalogizowanej kroniki, i w ten sposób podwójnie szerokie miejsce w literaturze wszystkich wieków zapewnił dla Falstaffa, najwspanialszego obok Don Quijota tworu humorystycznego geniuszu w dobie Odrodzenia.

OSOBY:

Król Henryk IV.
Henryk, książę Walii } synowie króla.
Książę Jan Lancaster }
Hrabia Westmoreland } przyjaciele króla.
Sir Walter Blund }
Tomasz Percy (Persy), hrabia Worcester.
Henryk Percy (Persy), hrabia Northumberland.
Henryk Percy (Persy), przezwiskiem **Hotspur**, jego syn.
Edward Mortimer, hrabia Marchii.
Scroop (Skrup), arcybiskup Yorku.
Sir Michael, przyjaciel arcybiskupa.
Archibald hrabia Douglas.
Owen Glendower.
Sir Ryszard Vernon.
Sir John Falstaff.
Poins.
Gadshill.
Peto.
Bardolf.
Lady Percy (Persy), żona Hotspura, siostra Mortimera.
Lady Mortimer, córka Glendowera, żona Mortimera.
Pani Żwawińska, gospodyni oberży w Eastcheap.

Panowie, Oficerowie, Szeryf, Winiarz, Szambelan, Posługacz oberży, Dwóch furmanów, Podróżni i Służba.

Scena w Anglii.

KRÓL HENRYK IV.

CZĘŚĆ I.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Londyn. Sala w pałacu.

(Król Henryk, Westmoreland, Sir Walter Blunt i inni).

Król Henryk. Słabi, z trosk bledzi, pozwólmy na chwilę
Przestraszonemu wytchnąć pokojowi,
I zebrać siły do nowych zapasów,
Co na dalekich czekają nas brzegach.
Nie będzie dłużej ta spragniona ziemia
Swych ust farbować krwią swych własnych dzieci;
Już wojna łanów jej nie będzie orać,
Ani jej kwiatów rozganiać kopyto.
Czoła, niedawno, jak groźne komety,
Choć wszystkie z jednej ulepione gliny,
Spotykające się w domowej rzezi,
Puszczą się teraz wszystkie jedną drogą,
Zgodnie w tych samych ściśnięte szeregach,
I brat przestanie na brata nastawać,
Ostrze pałasza, jak nóż źle zamknięty,
Własnego pana nie będzie kaleczyć.
Więc, przyjaciele, myślą jest dziś naszą
Prowadzić hufce do Chrystusa grobu,
Pod krzyża jego zaciągnąć się sztandar.
W łonach już matek były wasze dłonie

Ukształtowane, by wygnać pohańców
Ze Świętej Ziemi, po której stąpały
Błogosławione nogi, które za nas,
Tysiąc czterysta lat temu ubiegło,
Przybite były do gorzkiego krzyża.
Ślub ten przed rokiem zrobiony że spełnię,
Na co powtarzać? Nie po tom was zwołał.
Westmorelandzie, co postanowiono
Na Rady naszej wczorajszem zebraniu,
Aby tak drogą przyśpieszyć wyprawę?
Westmoreland. Królu mój, kiedy śród gorących rozpraw
Obrachowano część kosztów wyprawy,
Niemiłe wieści, przyniesione z Walii,
Wstrzymały nagle dalszy sprawy postęp.
Tam, gdy Mortimer herfordzki wiódł zaciąg
Na okrutnego zdrajcę Glendowera,
Dostał się w dzikie przeciwnika ręce,
Po krwawej rzezi ludzi swych tysiąca.
Co rozbestwione walijskie niewiasty
Na biednych trupach naszych dokonały,
Bez wstydu o tem niepodobna mówić.
Król Henryk. I, jak się zdaje, wieść o tej porażce
Przerwała sprawę naszej krucyaty.
Westmoreland. Ta wieść i inne podobnej osnowy;
Bo i z północy złe przyszły nowiny.
Tam, w dzień świętego Krzyża, młody Percy
Starł się z walecznym Szkotem Archibaldem
Pod Holmedonem. Przez długie godziny
Wrzała potyczka krwawa i zażarta,
Jak z armat grzmotu wypadało wnosić,
Posłaniec bowiem skoczył na rumaka
Jeszcze w największej walki gorącości,
Niepewny, gdzie się zwycięstwo przechyli.
Król Henryk. Oto sir Walter Blunt, wierny przyjaciel,
Przybywa błotem wszystkich dróg zbryzgany,
Które Holmedon od nas przedzielają,
Przybywa z wieścią wesołą i dobrą;
Douglas pobity. Sir Walter sam widział
We krwi się własnej kąpiących na placu
Dziesięć tysięcy Szkotów, a rycerzy
Dwudziestu i dwóch; młody Percy pojmał
Hrabiego Mordake, najstarszego z synów
Zwyciężonego Douglasa, a nadto

Hrabiów Atholu, Angus, Murray, Menteith,
Powiedz, kuzynie, czy łup to nie piękny?
Czy to nie pełne honoru zwycięstwo?
Westmoreland. Niejeden książę mógłby się niem szczycić.
Król Henryk. Ach, mnie twe słowo zasmuca, i robi
Grzesznym zazdrości, że takim się synem
Lord Northumberland może dzisiaj szczycić,
Którego chwałę język każdy głosi;
To dąb nad całym panujący lasem,
Słodkiej fortuny duma i kochanek;
Gdy ja, na jego poglądając honor,
Widzę na czole mojego Henryka
Plamę niesławy, szaleństw i rozpusty.
Ach, gdyby można dowieść, że śród nocy
W kolebkach wróżka zmieniła nam dzieci,
Nazwała syna jego Plantagenet,
A mego Percy! byłbym wtedy ojcem
Jego Henryka, on ojcem mojego.
Lecz precz z tą myślą. — Co myślisz, kuzynie,
O dumie tego młokosa zuchwałej?
Toć on pojmanych w tej rozprawie jeńców
Dla siebie chowa; mnie kazał oświadczyć,
Że mi jednego daje, hrabię Mordake.
Westmoreland. To skutek nauk jego stryja, królu;
Worcester zawsze, wszędzie nieprzychylny,
Wciąż go podszczuwa, by młodości grzebień
Podniósł zuchwale na króla majestat.
Król Henryk. Już go wezwałem, aby zdał mi liczbę;
Dlatego musim zawiesić na chwilę
Świętą wyprawę do Jerozolimy.
Na przyszłą środę zamiarem jest naszym
Zwołać, kuzynie, Radę naszą w Windsor;
Daj o tem, komu należy, wiadomość,
Ale co prędzej sam do nas powracaj,
Bo co mi mówić i działać zostaje,
Gniew mi objawić teraz nie dozwala.
Westmoreland. Pośpieszę, królu.
(Wychodzą).

SCENA II.

Londyn. Inna sala w pałacu.

(Wchodzą: Henryk, książę Walii, i Falstaff).

Falstaff. No, Henryczku, powiedz mi teraz, która godzina, mój chłopaczku?

Ks. Henryk. Tak dowcip twój ociężał przez picie starego kseresu, rozpinanie się po wieczerzy, a spanie na ławach popołudniu, żeś zapomniał o to się pytać, cobyś naprawdę chciał wiedzieć. Bo co u dyabła masz do czynienia z godziną? Chyba, że się godziny przemieniły w kufle kseresu, minuty w kapłony, zegary w języki rajfurek, skazówki w szyldy zamtuzów, a samo błogosławione słońce w piękną, gorącą dziewkę w kitajce ognistego koloru, bo inaczej ani pojmuję, skąd ci przyszło to niewczesne pytanie: która teraz godzina?

Falstaff. Zaczynasz mnie teraz pojmować, Henryczku; bo to widzisz, my rzezimieszki, kierujemy się biegiem księżyca i siedmiu gwiazd, a nie Feba, tego pięknego błędnego rycerza. Proszę cię więc, słodki figlarzu, skoro zostaniesz królem — Boże zachowaj twoją łaskawość — twój majestat, należało mi powiedzieć, bo co do łaski, mieć jej nie będziesz.

Ks. Henryk. Co? nic wcale?

Falstaff. Nic, na uczciwość; ani tyle nawet, coby wystarczyło na pobłogosławienie jaja i kromki chleba z masłem.

Ks. Henryk. Dobrze, cóż tedy dalej? mów bez ogródki.

Falstaff. Otóż więc, słodki figlarzu, skoro zostaniesz królem, nie pozwól, aby nas, przyboczną straż nocy, złodziejami skarbów dnia nazywano; ogłoś nas gajowymi Dyany, kawalerami cienia, pieszczoszkami księżyca, pod którego opieką kradniemy.

Ks. Henryk. Masz zupełną racyę; nic prawdziwszego, jak co powiedziałeś, bo nasza fortuna, nas, ludzi księżyca, ma odpływ i przypływ, jak morze, gdy jak morze po księżycu się kieruje. A oto dowody: sakiewka pełna złota w poniedziałek w nocy najszlachetniej skradziona, a najbutniej przehulana we wtorek rano; zyskana krzykiem: stój! przehulana z krzykiem: lej! to ma odpływ nizki jak stopień drabiny, to znowu przypływ wysoki jak szczyt szubienicy.

Falstaff. Co mówisz, wszystko prawda, mój chłopaczku. A gospodyni naszej gospody czy nie słodziuchna dziewucha?

Ks. Henryk. Jak miód Hybli, stary mój chłopcze do butów. A kaftan z bawolej skóry," czy nie rozkoszne ubranie?[1]).

Falstaff. A to co znowu? a to co znowu? szalony figlarzu. Co znaczą twoje koncepty i żarty? Co mam u dyabła do czynienia z kaftanami z bawolej skóry?

Ks. Henryk. A ja co u dyabła z gospodynią naszej gospody?

Falstaff. Nie raz ją przecie i nie dwa razy wołałeś do uregulowania rachunków.

Ks. Henryk. A czy wołałem i ciebie kiedykolwiek, żebyś twoją część zapłacił?

Falstaff. Nie, muszę ci oddać tę sprawiedliwość, że sam zapłaciłeś tam wszystko.

Ks. Henryk. Tam i gdzieindziej, o ile mi starczyło gotowizny; a gdy mi jej nie starczyło, użyłem mojego kredytu.

Falstaff. To prawda, i tak go używałeś, że gdyby nie domniemanie, że jesteś domniemanym następcą — ale, powiedz mi proszę, słodki figlarzu, czy się ostoją w Anglii szubienice, skoro królem zostaniesz? Czy śmiałość będzie, jak dzisiaj, szarpana zardzewiałem wędzidłem starego facetusa prawa? Jak zostaniesz królem, zmiłuj się, nie wieszaj złodziei.

Ks. Henryk. Nie, zostawię to tobie.

Falstaff. Czy tylko naprawdę? Cudownie! Co to będzie ze mnie za sędzia!

Ks. Henryk. Już fałszywy sąd wydałeś. Chciałem powiedzieć, że ty będziesz wieszał złodziei, a tak zostaniesz rzadkim oprawcą.

Falstaff. Niechże i tak będzie, Henrysiu, niechże i tak będzie; bo pod pewnym względem przystaje to do mojego humoru tak dobrze, jak wisieć przy dworze, mogę ci to powiedzieć.

Ks. Henryk. I doczekać się tam ciepłego płaszcza.

Falstaff. Tak jest, doczekać się ciepłego płaszcza, a to rzecz, której nigdy jeszcze nie brakło oprawcy. Jestem melancholiczny, jak stary kot albo szczwany niedźwiedź.

[1]) Służba, pełniąca rozkazy szeryfa, niby żandarmerya, nosiła kaftany z bawolej skóry.

Ks. Henryk. Albo jak zgrzybiały lew, albo jak zakochanego lutnia.

Falstaff. Tak jest, albo jak bąkania na linkolnskich dudach.

Ks. Henryk. A cobyś powiedział: albo jak zając, albo jak melancholiczne błoto Moorditch?[1]).

Falstaff. Najniesmaczniejsze masz porównania, i jesteś, żeby powiedzieć prawdę, najdowcipniejsze, najhultajsze, najrozkoszniejsze młode książątko. Ale Henrysiu, przestań mnie, proszę, kłopotać fraszkami. Jakbym pragnął, żebyśmy obaj wiedzieli, gdzie jest do nabycia towar dobrego imienia! Stary lord królewskiej Rady dobrze mi wytarł niedawnymi czasy na ulicy kapitułę z twojego powodu, paniczu, ale ja nie zważałem na niego, choć mówił bardzo mądrze, ale ja go nie słuchałem, choć mówił mądrze, a do tego na ulicy.

Ks. Henryk. I dobrześ zrobił, bo mądrość krzyczy po ulicach, a nikt jej nie słucha.

Falstaff. Masz dyabelski sposób powtarzania, i na uczciwość, zdolny jesteś popsuć świętego. Niemało już narobiłeś złego, Henrysiu, i niech ci Bóg tego nie pamięta! Nim cię poznałem, Henrysiu, niczego nie znałem, a teraz, jeżeli mam powiedzieć prawdę, niewiele jestem lepszy od jawnogrzeszników. Muszę się wyrzec takiego życia, i wyrzeknę się, a jeśli tego nie zrobię, jestem łajdak; nie myślę iść do piekła z miłości dla syna jakiegobądź chrześcijańskiego monarchy.

Ks. Henryk. A gdzie pójdziem szukać jutro sakiewki, Janeczku?

Falstaff. Gdzie zechcesz, braciszku; ja wszędzie z tobą; a jeśli cię opuszczę, nazwij mnie łajdakiem i śmiej się ze mnie.

Ks. Henryk. Widzę, że już zaczynasz poprawę: od modlitwy do mieszka.

(Wchodzi Poins i zatrzymuje się w głębi).

Falstaff. Bo widzisz, Henrysiu, to moja wokacya, Henrysiu; a ten nie grzeszy, który pracuje wierny swojej wokacyi. — Poins! Teraz się dowiemy, czy Gadshil nastawił czaty. O, gdyby zbawienie ludzi zależało od ich

[1]) Część rowu, otaczającego Londyn, pełna wody błotnistej, czarnej i śmierdzącej, której unikali mieszkańcy, jak siedliska zarazy i śmierci.

zasług, jaka dziura w piekle byłaby dosyć gorąca dla niego? To najwszechpotężniejszy hultaj, co kiedykolwiek: stój! zawołał do uczciwego człowieka.

Ks. Henryk. Dzień dobry, Edziu.

Poins. Dzień dobry, słodki Henrysiu. A co mówi Monsieur Zgryzota? Co mówi Sir John Z cukrem wino? Jak stoją twoje kontrakty z dyabłem, Jasiu, o twoją duszę, którą mu przedałeś w ostatni wielki piątek za kufel madery i udko zimnego kapłona?

Ks. Henryk. Sir John dotrzyma słowa, dyabeł dostanie co kupił, bo nie jego zwyczajem gwałcić przysłowia, odda dyabłu co dyabelskie.

Poins. To pójdziesz do piekła za dotrzymanie słowa dyabłu.

Ks. Henryk. W przeciwnym razie, poszedłby tam za oszwabienie dyabła.

Poins. Ale moje chłopaki, moje chłopaki, jutro, o czwartej rano, trzeba nam stanąć w Gadshill. Ciągną tamtędy do Canterbury pielgrzymi z bogatemi ofiarami i przejeżdżają kupcy z opasłemi sakiewkami. Mam dla was wszystkich gotowe maski; wy macie swoje konie; Gadshill śpi tej nocy w Rochester; sam zamówiłem na jutro wieczerzę w Eastcheap; cała ta sprawa tak łatwa, jak pójść do łóżka. Jeśli chcecie ruszyć ze mną, wyładuję wam mieszki koronami, jeśli nie chcecie, zostańcie w domu i czekajcie na szubienicę.

Falstaff. Słuchajno, Jedwardku, jeśli zostanę w domu, a nie pójdę, powieszę cię za to, że sam tam poszedłeś.

Poins. Więc ze mną, zuchy?

Falstaff. Henrysiu, czy i ty z nami?

Ks. Henryk. Co? ja rabować? ja złodziejem? Nie, nigdy, daję słowo.

Falstaff. Niema w tobie ani kropli uczciwości, męstwa i koleżeństwa; nie pochodzisz ty z krwi królewskiej, skoro nie masz serca bić się za imperyała.

Ks. Henryk. Więc dobrze, choć raz w życiu będę wartogłowem.

Falstaff. To mi się nazywa pięknie mówić.

Ks. Henryk. Ale nie, niech się co chce dzieje, zostanę w domu.

Falstaff. To ja zostanę zdrajcą, gdy ty zostaniesz królem.

Ks. Henryk. Mniejsza o to.

Poins. Sir John, zostaw mnie sam na sam z księciem, a takie mu przedstawię powody do tej wyprawy, że pójdzie z nami bez wahania.

Falstaff. Daj ci Boże ducha perswazyi, a jemu uszy chętne korzystać z dobrej rady, aby, co powiesz, potrafiło go wzruszyć, a co usłyszy, potrafiło go przekonać, aby prawdziwy książę, dla rozrywki, został fałszywym złodziejem, biedne bowiem nadużycia naszego czasu potrzebują zachęty. Bądźcie zdrowi! Znajdziecie mnie w Eastcheap.

Ks. Henryk. Bądź zdrów, moja ty spóźniona wiosno! Bądź zdrów, moje ty lato świętego Marcina.

(Wychodzi Falstaff).

Poins. Mój dobry, jak miód słodziuchny książę, jedź z nami jutro. Mam w głowie figla, którego sam jeden wypłatać nie mogę. Falstaff, Bardolf, Peto i Gadshill obedrą ludzi, na których zastawiliśmy już łapki; nas dwóch tam nie będzie, a jeśli, gdy już łup posiędą, my ich znowu nie obedrzemy, to mi zdejmiesz z ramion tę głowę.

Ks. Henryk. Ale jak się od nich w drodze odłączyć?

Poins. Przed nimi lub po nich wyruszymy, wyznaczając miejsce zboru, gdzie łatwo nam będzie nie przybyć; tak więc sami ruszą na wyprawę; ledwo dokonają dzieła, wpadniem im na karki.

Ks. Henryk. Trudno żeby nas nie poznali po koniach, ubraniu i tylu innych poszlakach.

Poins. Ba, nie będą widzieli naszych koni, bo je uwiążę w lesie; zmienimy maski po rozłączeniu się z nimi, a, braciszku, mam już drelichowe opończe na pokrycie naszego zwyczajnego ubrania.

Ks. Henryk. Bodaj tylko nie byli dla nas przytwardzi.

Poins. Co do dwóch, wiem, że nigdy dwóch wierutniejszych tchórzów nie dało drapaka; co do trzeciego, jeśli się będzie dłużej opierał, niż radzi roztropność, wyrzekam się na zawsze żołnierki. Zaprawą naszego figla będą niepojęte łgarstwa, które nam tłusty ten hultaj będzie prawił, gdy się zejdziemy przy wieczerzy: jak bił się najmniej z trzydziestoma; jak się zastawiał; jakie odebrał cięcia; w jakiej znajdował się ostateczności; a w końcu przekonanie go o łgarstwie będzie naszą uciechą.

Ks. Henryk. Więc dobrze, pojadę z tobą. Przygotuj

wszystko, co potrzebne, i przyjdź po mnie do Eastcheap, gdzie będę wieczerzał. Bądź zdrów, tymczasem.

Poins. Bądź zdrów, mój książę. *(Wychodzi).*

Ks. Henryk. Znam ja was wszystkich; ulegam na chwilę
Wszystkim szaleństwom waszego próżniactwa;
Będę w tem słońca tylko naśladowcą,
Które pozwala zaraźliwym chmurom
Gasić przed światem swe piękne oblicze
Dlatego tylko, żeby, kiedy zechce,
Szarpiąc mgły brudną i szpetną oponę,
Co się zdawała blaski jego tłumić,
Wypłynąć znowu w swej całej jasności
I większe dziwy w śmiertelnikach budzić.
Gdyby dni wszystkie roku były świętem,
Zabawa nudną byłaby, jak praca;
Lecz że jest rzadkie, jest też upragnione,
Bo tylko miłe, co nie jest powszednie.
I ja, gdy rzucę rozpustny ten żywot,
Gdy dług zapłacę choć nie obiecany,
Im wyższy będę nad me obietnice,
Tem będę większym dla ludzi podziwem.
Jak jasny metal na tle pobrukanem,
Poprawa moja, błyszcząc na mych błędach,
Potężniej ludzkie ciągnąć będzie oczy,
Niźli jaśniejsza cnota bez kontrastu.
Błądzę, lecz błąd mój zasługą się stanie,
Gdy go odkupię, a niespodziewanie.
(Wychodzi).

SCENA III.

Londyn. Inna sala w pałacu.

(Wchodzą: Król Henryk, Northumberland, Worcester, Hotspur, Walter Blunt i inni).

Król Henryk. Krew ma zbyt zimna, zbyt była spokojna
Na obelg tyle niezdolna się wzburzyć;
Wy to odgadli, dlatego z ufnością
Nadużywacie cierpliwości mojej;
Ale, wierzajcie, królem odtąd będę,
Potężnym, groźnym, nie jak przód, łaskawym;
Jak puchy miękki, gładki jak oliwa,

Straciłem prawo do poszanowania,
Które oddaje dumny dumnym tylko.

Worcester. Dom nasz, mój królu, mało zasługuje
Na twej potęgi chłostę, tej potęgi,
Której naszemi pomogliśmy dłońmi
Tak w górę strzelić.

Northumberland. Królu...

Król Henryk. Worcesterze,
Odejdź, bo z twego spojrzenia wygląda
Niebezpieczeństwo i nieposłuszeństwo.
Śmiałość postawy twej nazbyt stanowcza,
Aby majestat znosić mógł cierpliwie
Swojego sługi zuchwałe wejrzenia.
Odejdź; gdy twojej rady albo ręki
Będzie nam trzeba, poślemy po ciebie.
(Worcester wychodzi).
(Do Northumberlanda). Chciałeś coś mówić.

Northumberland. Tak jest, dobry panie.
Jeńców w królewskiem żądanych imieniu,
Których mój Henryk pod Holmedon pojmał,
Nie tak stanowczo odmówił, jak mylnie
Waszej królewskiej mości doniesiono.
Nie syn mój, królu, złość tylko lub zazdrość
Winne się stały tego uchybienia.

Hotspur. Nie odmówiłem żadnych jeńców, panie;
Lecz pomnę, kiedy po skończeniu bitwy,
Gdym się spragniony wściekłością i trudem
Na mieczu oparł, bez sił, bez tchu prawie,
Przybywa panek, świeży, wymuskany,
Czysty pan młody; broda podstrzyżona
Jakby po żniwach rżysko wyglądała;
A jak modniarka wyperfumowany,
W dwóch palcach trzymał puszkę z wonnym proszkiem,
Którą czasami do nosa przysuwał,
Odsuwał czasem, a nos, jakby z gniewu,
Zaczynał kichać przy każdem zbliżeniu.
Wciąż się uśmiechał i wciąż coś szczebiotał.
Kiedy żołnierze trupów przenosili,
Nieokrzesanych gburów dał im nazwę,
Że się ważyli brudne, brzydkie cielska
Nieść między jego szlachectwem a wiatrem.
W świątecznych słowach, z damską wybrednością
O to i owo pytał, w końcu żądał

Mych jeńców w imię króla Jegomości.
Ja, od ran oschłych cały rozbolały,
Męką i tego fircyka paplaniem
Odarty z resztek mojej cierpliwości,
Niedbale nie wiem co odpowiedziałem,
Że dam lub nie dam; bom prawie oszalał
Na widok tego pachnącego gaszka,
Co prawił jakby dama z fraucymeru
O działach, bębnach, ranach — Boże odpuść!
Mówił, że pierwszem na świecie lekarstwem
Jest spermaceta na wnętrzne obrazy;
Że wielka, bardzo wielka była szkoda,
Iż ludzie z ziemi wnętrzności niewinnych
Umieli dobyć tę brzydką saletrę,
Co tyle pięknych zabiła wyrostków
Nikczemną zdradą; na dobitkę dodał,
Że gdyby nie te paskudne armaty,
I on sam nawet żołnierzemby został.
Na to paplanie bez sensu i szyku,
Jak już mówiłem, królu, wybąknąłem
Jakąś wątpliwą, niepewną odpowiedź;
A teraz błagam, niech ten raport jego
Nie staje, jako groźne oskarżenie,
Między mą wiarą, a twym majestatem.
Blunt. Okoliczności biorąc na uwagę,
Co Henryk Percy mógł wtedy powiedzieć
Takiej osobie, w tem miejscu i czasie,
Słusznie pogrzebać można w zapomnieniu.
Nie chciej więc, królu, pamięci tej budzić
Na jego krzywdę, gdy dziś odwołuje,
Co w uniesieniu mógł wtedy powiedzieć.
Król Henryk. On jednak zawsze jeńców mi odmawia,
Kładzie warunek, że z naszej szkatuły
Okup za jego szalonego szwagra,
Za Mortimera na stół wyliczymy,
Który, przysięgam, z umysłu prowadził
Na rzeź swe hufce w bitwie z Glendowerem,
Tym czarownikiem groźnym, a przeklętym,
Którego córkę, jak nam doniesiono,
Niedawno hrabia Marchii wziął za żonę.
Na wykup zdrajcy mamże skarb wypróżniać?
Za zdradę płacić? traktować z lennikiem,
Który przez zbrodnię z swoich praw się wyzuł?

Niech z głodu ginie na jałowych górach.
Mym przyjacielem nigdy ten nie będzie,
Czyj język grosza jednego zażąda
Na buntownika, Mortimera, wykup.
Hotspur. Na buntownika! Nie, mościwy królu,
Nigdy Mortimer buntownikiem nie był;
W dłoń nieprzyjaciół los wojny go wydał.
Że prawdę mówię, niech poświadczą rany,
Wymowne rany, które w boju odniósł
Nad trzciniastymi Sewerny brzegami,
Kiedy sam na sam, szabla przeciw szabli,
Całą godzinę walecznie się mierzył
Z swym zapaśnikiem, wielkim Glendowerem.
Za spólną zgodą trzykroć spoczywali,
Trzykroć się wodą chłodzili Sewerny,
Która ich krwawym widokiem przelękła,
Z trwogą uciekła między trzciny drżące,
I pływające ukryła swe sploty
W jaskiniach brzegu uczerwienionego
Krwią nieulękłych dwóch dzielnych szermierzy.
Nigdy przegniła, nikczemna obłuda
Sztuk swych śmiertelną nie osłania raną,
Nigdy Mortimer zdrajca dobrowolnie
Tylu śmiertelnych nie odniósłby ciosów:
Niechże dziś o bunt nikt go nie potwarza.
Król Henryk. Percy, kłamliwe powieści mi prawisz.
On z Glendowerem nigdy się nie mierzył;
Ja ci to mówię; szedłby równie chętnie
Z dyabłem na rękę jak z nieprzyjacielem
Tak niebezpiecznym jak Owen Glendower.
Wstydź się, wstydź, Percy. Niechże odtąd więcej
Nie słyszę twoich słów za Mortimerem.
Pojmanych jeńców przyślij mi co prędzej,
Jeżeli nie chcesz odebrać ode mnie
Wieści niemiłych. — Lordzie Northumberland,
Razem ci z synem odjechać pozwalam. —
Przyślij mi jeńców, lub usłyszysz o mnie.
(Wychodzą: Król Henryk, Blunt i orszak).
Hotspur. Nie wydam, choćby i sam dyabeł przyszedł
I ryczał o nich. W trop za nim pobiegnę,
I to mu powiem; ulżyć muszę sercu,
Chociażby nawet kosztem mojej głowy.

Northumberland. Pijanyś gniewem? Zatrzymaj się chwilę;
Twój stryj przychodzi.
(Wchodzi Worcester).
Hotspur. Co? nie mówić więcej
O Mortimerze? Będę o nim mówił.
Niech miłosierdzia dusza ma nie znajdzie,
Jeśli natychmiast nie pójdę go spotkać;
Z mych żył ostatnią krwi wyleję kroplę,
By Mortimera podnieść zdeptanego,
Wznieść tak wysoko, jak ten król niewdzięczny,
Usług niepomny, przegniły Bolingbroke.
Northumberland. Król synowcowi twemu zmysły odjął.
Worcester. Kto go tak ubódł w mej nieobecności?
Hotspur. Mych wszystkich jeńców wymaga ode mnie;
A gdym raz jeszcze o wykupie wspomniał
Mojego szwagra, twarz jego pobladła,
Zabójczem okiem spojrzał w me oblicze,
Drżący na samą wzmiankę Mortimera.
Worcester. Ganić go trudno: wszakże Mortimera
Najbliższym tronu dziedzicem ogłosił
Zmarły król Ryszard.
Northumberland. Jego proklamacyę
I ja słyszałem, gdy król nieszczęśliwy
(Odpuść nam, Boże, krzywdy jego wszystkie!)
Na tę wyprawę Irlandzką wyruszył,
Z której wracając, z swojego był tronu
Strącony naprzód, wnet zamordowany.
Worcester. Za śmierć tę imię nasze, jak świat wielki,
Jest celem gorzkich wyrzutów i hańby.
Hotspur. Poczekaj; mówisz, że wówczas król Ryszard
Ogłosił brata mego Mortimera
Tronu dziedzicem?
Northumberland. Tak jest, sam słyszałem.
Hotspur. To króla, jego kuzyna, nie ganię,
Że go na pustych zamorzyć chciał górach;
Lecz wy, co własną ubraliście ręką
W złotą koronę głowę niewdzięcznika,
Coście splamili czyste wasze imię
Znakiem morderstwa dla jego miłości,
Jak świata znosić możecie przekleństwo,
Za jego podłe uchodzić narzędzie,
Za szubienicę, stryczek, kata nawet?
Przebaczcie, jeśli tak nizko zstępuję,

By wam pokazać, jaką teraz godność
Pod tym przewrotnym piastujecie królem.
O hańbo! mająż szeptać dzisiaj ludzie,
Mająż kroniki czasom głosić przyszłym,
Że męże waszej zacności, potęgi,
Jak wy, obadwa, do tak grzesznej sprawy
Wciągnąć się dali? (Odpuść wam to Boże!)
Żeby Ryszarda, wonną różę, wyrwać,
A cierń zaszczepić — tego Bolingbroka?
Dodadząż ludzie, na większą ohydę,
Że oszukanych z pogardą odepchnął
Ten, dla którego srom ten podjęliście?
Nie! jest czas jeszcze, by grzechy okupić,
By wasz wygnany przywołać znów honor,
Stracony świata odzyskać szacunek,
Pomścić szyderstwa, obelgi i wzgardę
Na dumnym królu, który dniem i nocą
Rozmyśla, jakby dług wam przynależny
Mógł wam najczystszą krwią zapłacić waszą.
Mojem więc zdaniem...
Worcester. Dość tego, kuzynie.
Teraz tajemną otworzę wam księgę,
A waszej bystrej odczytam niechęci
Rzecz wielkiej wagi, niebezpieczeństw pełną,
A hazardowną, jak przejście potoku,
Wezbraną falą ryczącego w głębiach,
Po wiotkim moście przerzuconej dzidy.
Hotspur. Jeśli most pęknie — tońmy lub przepłyńmy!
Z wschodu na zachód ślij niebezpieczeństwa,
Byle im drogę z południa na północ
Krzyżował honor, niech w zapasy idą;
Krew wre goręcej, gdy lwa rozbudzimy,
Niż kiedy w krzakach ruszymy zająca.
Northumberland. Wielkich przedsięwzięć lotna wyobraźnia
Za cierpliwości granice go pędzi.
Hotspur. Przez Boga, myślę, że skok to nie trudny
Z księżyca rogów, jasny uszczknąć honor,
Lub w głębokościach zanurzyć się morza,
Do których żadna nie dosięgła sonda,
Za włosy honor wyciągnąć tonący,
Byleby zbawca, jeden, bez rywala,
Sam mógł się ubrać w czynu swego chwałę.
Precz! precz mi tylko z chwałą połowiczną!

Worcester. Roje przywidzeń snują mu się w głowie,
Nie widzi tylko, co widzieć należy. —
Dobry kuzynie, posłuchaj mnie chwilę.
Hotspur. Przebacz.
Worcester. Ci sami jeńcy twoi, Szkoci...
Hotspur. Zatrzymam wszystkich, jak Bóg jest na niebie!
Jednego nawet niedostanie Szkota,
Choć jeden mógłby duszę jego zbawić.
Zatrzymam wszystkich, na dłoń tę przysięgam.
Worcester. Gniew cię unosi, nie chcesz mnie wysłuchać.
Jeńców zatrzymasz...
Hotspur. To jak słońce jasne.
Tak więc wykupić nie chce Mortimera,
O Mortimerze mówić mi zabrania;
Ale go znajdę w śnie pogrążonego,
I wrzasnę w uszy śpiącego: Mortimer!
Nauczę szpaka jedynego słowa:
Mortimer! potem poślę mu go w darze,
Aby mu ciągle gniew jego odświeżał.
Worcester. Kuzynie, słuchaj, jedno tylko słowo.
Hotspur. Odtąd jedyną myślą moją będzie
Dręczyć i męczyć tego Bolingbroka,
I księcia Walii, pysznego junaka.
Gdybym nie myślał, że nie miły ojcu,
Któryby chętnie szkodę jego widział,
Sambym go otruł w jakim kuflu piwa.
Worcester. Bądź zdrów, kuzynie, będę z tobą mówił,
Gdy będziesz w lepszym humorze słuchania.
Northumberland. Z językiem osy, głupcze niecierpliwy,
Niewieścich gniewów buchasz uniesieniem,
Głuchy na słowa, jeśli nie są twoje.
Hotspur. Bo widzisz jestem, jak rózgą chłostany,
Bity pokrzywą, mrówek kłuty rojem,
Gdy słyszę o tym nędznym polityku,
O Bolingbroku. Za Ryszarda czasów —
Jak zwiecie miejsce? — niech dyabeł je bierze —
Gdzieś tam w Gloucestershire, gdzie siedział ten dudek,
Stryj jego York, gdzie moje kolano
Przed Bolingbrokiem zgiąłem po raz pierwszy,
Gdy razem z wami wrócił z Ravenspurgha.
Northumberland. W zamku Berklejskim.
Hotspur. Tak jest, prawda, w Berkley.
Jak cukrowane, jak mnogie pokłony

Ten pies łaszący bił wtedy przede mną!
»Gdy dziecko, jego fortuna, wyrośnie«;
»Miły Henryku i drogi kuzynie«;
Niech dyabeł porwie takie kuzynostwo!
Odpuść mi Boże! — Teraz, dobry stryju,
Praw mi twą powieść, ja moją skończyłem.
Northumberland. Jeśliś nie skończył, rozpocznij na nowo,
Mamy czas czekać.
Hotspur. Skończyłem, na honor.
Worcester. Więc znowu wracam do twych jeńców szkockich.
Puść ich natychmiast wolno, bez okupu;
Syna Douglasa użyj za narzędzie
Zaciągów w Szkocyi; mam powody myśleć,
Że rzecz ta żadnych nie dozna trudności,
I te niebawem na piśmie ci prześlę.
(Do Northumberlanda).
Gdy syn twój w Szkocyi sprawą się tą zajmie,
Staraj się wcisnąć tajemnie do serca
Ukochanego przez wszystkich prałata,
Arcybiskupa...
Hotspur. Yorku, nie prawda?
Worcester. Zgadłeś. Głęboką zbudziła w nim żałość
Śmierć jego brata, lorda Scroop, w Bristolu.
Wszystko, co mówię, nie czczym jest domysłem,
Nie przywidzeniem; wszystko, jestem pewny,
Ukartowane, dobrze obmyślone,
Czeka jedynie na dobrą sposobność,
Aby wybuchnąć.
Hotspur. Ha, na trop już wpadłem.
Na honor, wszystko cudownie się plecie.
Northumberland. Zawsze ty charty spuszczasz, nim zwierz [ruszy.
Hotspur. Trudno wymyślić coś doskonalszego.
A więc zastępy z Yorku i Szkocyi
Do Mortimera pociągną, nie prawda?
Worcester. Tak jest.
Hotspur. Przysięgam, plan rzadkiej mądrości.
Worcester. Ważne powody pośpiech nakazują.
By głowę podnieść, nim głowy nam spadną.
Pomimo wszelkiej potulności naszej
Zawsze król naszym dłużnikiem się czuje,
Przypuszcza, że się sądzim pokrzywdzeni,
Czeka też pory, by nas pokwitować.

Patrzcie, już zaczął swej łaski oblicze
Odwracać od nas.
Hotspur. Prawda, zaczął, zaczął,
Musim się pomścić.
Worcester. Żegnam cię, kuzynie.
Nim co rozpoczniesz, na listy me czekaj;
Doniosę, kiedy chwila czynu przyjdzie,
A przyjdzie wkrótce. Tajemnie się udam
Do Glendowera i lorda Mortimer,
Tam ty i Douglas i nasze zaciągi,
Wedle mych planów, szczęśnie się zejdziecie,
By silną dłonią naszą wznieść fortunę,
Która się dzisiaj chwieje niebezpiecznie.
Northumberland. Bądź zdrów! Mam ufność, że rzecz pój-
[dzie dobrze.
Hotspur. Żegnam cię, stryju. Wzdycham do godziny,
Gdy bojem zagrzmią góry i doliny.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Rochester. Podwórzec karczmy.

(Wchodzi furman z latarnią w ręku).

Pierwszy furman. Hola! he! Niech wiszę, jeśli to nie czwarta rano. Wóz Dawidowy już nad nowym kominem, a nasz koń jeszcze nie wyładowany. Hej tam, masztalerzu!

Masztalerz *(za sceną).* Zaraz, zaraz.

Pierwszy furman. Proszę cię, Tomaszu, osiodłaj kucyka, a pod łęk włóż trochę siana, bo biedne szkapsko okrutnie odsednione. *(Wchodzi drugi furman).*

Drugi furman. Groch i bób jak pies tu przemokłe, a to szkapom najkrótsza droga do rupi. Karczma ta przewróciła się do góry nogami od śmierci masztalerza Robina.

Pierwszy furman. Nieboraczek! Nie miał wesołej godziny od czasu, jak owies podskoczył. To go też zabiło.

Drugi furman. Zdaje mi się, że na całym londyńskim trakcie niema karczmy w pchły bogatszej: tak mnie pokąsały, że jak lin wyglądam.

Pierwszy furman. Jak lin? Niema w chrześcijaństwie króla lepiej ode mnie pokąsanego od pierwszych kurów.

Drugi furman. Co ty chcesz; nie dają nocników, musi człowiek w komin odlewać; a woda w kominie to czysta pchla ikra.

Pierwszy furman. Hola, masztalerzu! wyleź na koniec przybywaj!

Drugi furman. Mam zawieźć aż na Charing Cross szynkę i dwa imbierowe korzenie.

Pierwszy furman. Tam do dyabła! Indyki w moim koszu prawie z głodu pozdychały. Hola, masztalerzu! a bodaj zaraza na cię padła! Czy ty nie masz w głowie oczu? czy słyszeć nie możesz? Jestem huncfot, jeśli to nie równie dobry uczynek głowę ci rozpłatać, jak kufel wychylić. Przybywaj, wisielcze! Czy nie masz sumienia? *(Wchodzi Gadshill).*

Gadshill. Dzień dobry, furmani. Która godzina?

Pierwszy furman. Druga, jak myślę.

Gadshill. Pożycz mi, proszę, twojej latarni, żebym dojrzał w stajni mojego wałacha.

Pierwszy furman. Powoli, powoli; znam ja figiel, co dwóch twoich wart.

Gadshill. To proszę cię, ty mi pożycz twojej.

Drugi furman. Hę? co? Czy nie mógłbyś mi powiedzieć kiedy? Pożycz mi twojej latarni, mówisz? Na uczciwość, przód cię na gałęzi zobaczę.

Gadshill. Mości furmanie, o której myślisz stanąć w Londynie?

Drugi furman. Na czas jeszcze, aby się przy świecy spać położyć, zaręczam. — Bracie Mugs, idźmy panów obudzić; chcą razem podróżować, bo mają ładowne juki.
(Wychodzą furmani).

Gadshill. Hola, stróżu!

Stróż *(za sceną).* Zaraz, zaraz, mówi rzezimieszek.

Gadshill. Co na jedno wychodzi jak zaraz, zaraz, mówi stróż, bo się nie więcej różnisz od rzezimieszka, jak kierownik od robotnika. Wszak to ty układasz plany.
(Wchodzi stróż).

Stróż. Co powiedziałem wczora i dziś prawda. Jest tu osadnik z puszcz Kentskich, co z sobą przywiózł trzysta grzywien w złocie. Słyszałem, jak się z tem zwie-

rzał wczora przy wieczerzy jednemu ze swych towarzyszy, który wygląda mi coś na prowentowego pisarza, a ma także nielada juki, w których Bóg wie co się znajduje. Już wstali i wołają o jaja i masło. Za chwilę wyruszą.

Gadshill. A jeśli nie spotkają na drodze wyznawców świętego Mikołaja [1]), dam ci w prezencie tę szyję.

Stróż. A co mi po niej? Zachowaj ją raczej dla oprawcy, bo wiem, że czcisz świętego Mikołaja tak pobożnie, jak jakibądź pachołek bez czci i wiary.

Gadshill. Co mi tam pleciesz o oprawcy. Jak mnie powieszą, to będą dwie tłuste szubienice, bo gdzie ja podyndam, będzie tam i sir John dyndał, a wiesz, że to nie suchotnik. Ba, są tam jeszcze i inni Trojanie, o których ci się nawet nie marzyło, a którzy dla rozrywki raczyli nasze rzemiosło obecnością swoją zaszczycić! Gdyby się komu zachciało bliżej w tę sprawę zajrzeć, potrafią, dla własnego kredytu, wszystkiemu kark skręcić. Nie jestem ja kolegą obszarpańców, pałkonoszy, co dla dytka zastępują ludziom drogę, ani tych wąsatych wartogłowów, czerwonych suszykufli, ale urodzonej szlachty, burmistrzów i magnatów, u których szerokie plecy, a którzy wolą bić się niż gadać, a gadać niż pić, a pić niż się modlić. Ale nieprawda, bo oni wiecznie się modlą do swojej świętej rzeczypospolitej, ale i to nieprawda, bo to ona raczej do nich się modli [2]), wciąż ją bowiem i z tyłu i z przodu skubią, a buty sobie z niej szyją.

Stróż. Co, z rzeczypospolitej szyją sobie buty? Boję się, żeby nie przemokły na słocie.

Gadshill. Bądź spokojny; sprawiedliwość dobrze je wysmarowała. Kradniem bezpiecznie, jak w cytadeli; znaleźliśmy paprocie nasienie, jesteśmy niewidzialni.

Stróż. Na uczciwość, jabym raczej myślał, że więcej winniście nocy, niż paprociemu nasieniu, jeśli spacerujecie niewidzialni.

Gadshill. Daj rękę; będziesz miał twoją część w naszem kupnie, jakem uczciwy.

Stróż. Zaręcz mi to lepiej słowem nieuczciwego złodzieja.

[1]) Stary Mikołaj (Old Nich) znaczył w języku złodziei dyabła, a złodzieje zwali się wyznawcami świętego Mikołaja.

[2]) W języku myśliwców mówi się o zającu otoczonym przez charty, że się modli.

Gadshill. Dobrze, dobrze. Homo jest ogólne nazwisko wszystkich ludzi. Powiedz masztalerzowi, żeby wyprowadził ze stajni mojego wałacha. Bądź zdrów, mądry hultaju. *(Wychodzą).*

SCENA II.

Droga przy Gadshill.

(Wchodzą: Książę Henryk i Poins; w odległości Bardolf i Peto).

Poins. Skryj się, skryj się co prędzej. Uprowadziłem konia Falstaffa; kręci się teraz jak gumowany aksamit.

Ks. Henryk. Odejdź na stronę. *(Wchodzi Falstaff).*

Falstaff. Poins! Poins! a ty wisielcze! Poins!

Ks. Henryk. Cicho, opasły hultaju; czemu tak wrzeszczysz?

Falstaff. Gdzie Poins, Henrysiu?

Ks. Henryk. Poszedł na wierzchołek pagórka; pójdę go szukać. *(Udaje, że szuka Poinsa).*

Falstaff. Za karę za moje grzechy muszę kraść w towarzystwie tego złodzieja. Sprowadził łajdak mojego konia i ani wiem, gdzie go przywiązał. Jeśli przyjdzie mi jeszcze pójść piechotą cztery stopy kwadratowe, dostanę dychawicy. No, jestem pewny, że umrę uczciwą śmiercią we własnem łóżku, jeśli nie pójdę na stryczek za morderstwo tego urwisza. Od dwudziestu dwóch lat wyprzysięgam się co godzina jego towarzystwa, a zawsze jakieś czary trzymają mnie przy jego boku. Jeżeli ten łajdak nie zadał mi na miłość ku sobie, dam się powiesić; to być nie może inaczej, wypiłem eliksyr. — Poins! Henrysiu! A bodaj zaraza na was padła. Bardolf! Peto! Wolę z głodu umrzeć, niż jeden krok kraść dłużej. Jeżeli uczciwym zostać człowiekiem i opuścić tych huncfotów nie tak dobrym jest uczynkiem, jak kufel wychylić, to jestem największym ze ze wszystkich łajdaków, co kiedykolwiek żuli zębami. Ośm sążni nierównej drogi piechotą, to jest dla mnie mil siedmdziesiąt, a wiedzą o tem dobrze te kamiennego serca łotry. Złe to już czasy, kiedy złodzieje nie mogą sobie dotrzymać wiary. *(Słychać świst).* Fiu! Bodaj was wszystkich zjadła zaraza! Oddajcie mi konia, łajdaki; oddajcie mi konia, szubieniczniki.

Ks. Henryk. Cicho! opasłe flaki. Połóż się, przyłóż ucho do ziemi i słuchaj, czy cię nie doleci tentent podróżnych.

Falstaff. A czy macie lewary, żeby mnie podważyć, jak się raz powalę? Do krocset beczek nie poniosę piechotą drugi raz tak daleko mojego mięsa za wszystką brzęczącą monetę w skarbnicy twojego ojca. Co za dyabeł wlazł wam do głowy, że tak po mnie jeździcie?

Ks. Henryk. Kłamiesz, nie jeździm po tobie, tylko tobie nie pozwalamy jeździć.

Falstaff. Proszę cię, dobry Henrysiu, pomóż mi odszukać mojego konia, dobry królewiczu.

Ks. Henryk. A to znowu! czy chcesz, hultaju, żebym został twoim masztalerzem?

Falstaff. A bodajeś wisiał na twojej własnej podwiązce domniemanego następcy! Jeśli mnie złapią, zadenuncyuję was wszystkich, a jeśli nie najmą wierszokletów, żeby składali o was ballady na jaką wszeteczną nutę, bodajem się otruł kuflem kseresu! Brzydzę się śmierdzącymi żartami a do tego jeszcze na piechotę.

(Wchodzi Gadshill).

Gadshill. Stój!

Falstaff. Stoję na nieszczęście, a mimowoli.

Poins. A, to nasz wyżeł; poznaję go po głosie.

(Wchodzi Bardolf).

Bardolf. Co za nowiny?

Gadshill. Dalej! czemprędzej do masek! do masek! Królewskie pieniądze schodzą z góry, idą do królewskiej skarbnicy.

Falstaff. Łżesz, hultaju, bo idą do królewskiego szynku.

Gadshill. Jest tam dosyć dla nas wszystkich.

Falstaff. Na stryczki!

Ks. Henryk. Wy czterej stawicie im czoło w wąwozie. Ja i Edzio zbiegniemy niżej; jeśli wam się wyślizną, na nas wpadną.

Peto. A ilu ich tam?

Gadshill. Może ośmiu, może dziesięciu.

Falstaff. Tam do dyabła! Czy tylko czasem oni nas nie okradną?

Ks. Henryk. Hę? Czy zaczynasz już tchórzyć, Sir John Kałdunie?

Falstaff. Prawdę mówiąc, nie jestem ja Janem z Gandawy, twoim dziadkiem, ale nie jestem też i tchórzem, Henrysiu.

Ks. Henryk. Przekonamy się o tem przy sposobności.

Poins. Mości Jasiu, koń twój stoi za płotem; jeśli go będziesz potrzebował, tam go znajdziesz. Bądź zdrów, a dotrzymaj kroku!

Falstaff. Ach, gdybym mógł dać mu kułaka, choćby pójść potem na szubienicę!

Ks. Henryk. Edziu, gdzie nasze przebranie?

Poins. Niedaleko stąd; idźmy.

(Wychodzą: Książę Henryk i Poins).

Falstaff. A teraz, mości panowie, szczęść Boże! Każdy na swoje stanowisko. *(Wchodzą podróżni).*

Pierwszy podróżny. Chodź ze mną, sąsiedzie; parobek sprowadzi z góry nasze konie, a my pójdziemy chwilkę naprzód piechotą, żeby sobie nogi wyprostować.

Złodzieje. Stójcie!

Podróżni. Chryste Jezu, zmiłuj się nad nami!

Falstaff. Bij, kłój, siecz tych huncfotów! ho, skurwysyny gąsienice! słoninojady łajdaki! Oni nienawidzą nas, młodzieży: bij ich, drzyj ich ze skóry!

Pierwszy podróżny. O, zginęliśmy, i my i wszystko co nasze, na wieki!

Falstaff. Na szubienicę z wami, brzuchate huncfoty! Zginęliście, mówisz? Nie, nie, opaśli brzuchacze; at, jakbym pragnął, żeby tu były wszystkie wasze śpiżarnie! Dalej, sperki, dalej! Ha, co, wy łajdaki? Toć przecie żyć musi młodzież. Wszak to wy należycie do wielkich jurów, nieprawda? My wam tu teraz jury pokażemy.

(Wybiegają Falstaff i inni, pędząc przed sobą podróżnych; po chwili wchodzą: Książę Henryk i Poins).

Ks. Henryk. Złodzieje powiązali uczciwych ludzi. Gdyby nam się teraz udało okraść złodziei i wrócić wesoło do Londynu, byłoby na tydzień rozmowy, śmiechu na miesiąc, a dobry żart na zawsze.

Poins. Usuńmy się, wracają. *(Wchodzą złodzieje).*

Falstaff. Dalej, mości panowie, podzielmy się, a potem na koń przed świtem. Jeżeli książę i Poins nie dwaj wierutni tchórze, to niema sprawiedliwości na ziemi. Ten Poins nie odważniejszy od dzikiej kaczki.

(Gdy się dzielą, Książę i Poins wpadają na nich).

Ks. Henryk. Oddajcie pieniądze!

Poins. Hultaje!

(Falstaff po jednem lub dwóch cięciach ucieka razem z innymi, zostawiając łupy).

Ks. Henryk. Łatwe zwycięstwo; więc na koń wesoło!
Strach tak rozgonił przelękłych złodziei,
Że jeden z drugim spotkać się nie waży,
Bo mu kolega żandarmem się zdaje.
Jedźmy! Na śmierć się teraz Falstaff poci,
I uciekając chudą ziemię tłuści.
Gdybym od śmiechu nie pękał, prawdziwie
Żalby mi było biedaka.

Poins. A jak hultaj ryczał.

(Wychodzą).

SCENA III.

Sala w zamku Warkworth.

(Wchodzi Hotspur, czytając list).

Hotspur. »Ale co do mnie, milordzie, radbym się tam znajdować dla miłości, którą chowam w sercu ku waszemu domowi«. — Radby! czemuż się nie znajduje? Dla miłości, którą chowa w sercu ku naszemu domowi — pokazuje przez to, że kocha swoją stodołę goręcej, niż dom nasz. Zobaczmy dalej. »Dzieło, które zamierzacie, jest niebezpieczne«. — Co do tego, to rzecz niewątpliwa. Toć zakatarzyć się i spać i pić jest niebezpiecznie; ale ci powiadam, lordzie dudku, że na tej pokrzywie — niebezpieczeństwo, uszczkniemy kwiat — bezpieczeństwo. »Dzieło, które zamierzacie, jest niebezpieczne; przyjaciele, których wymieniasz, niepewni; sam czas nawet źle wybrany, a plan cały za lekki, żeby zrównoważył tak ogromne przeszkody«. — Tak mówisz? A ja ci znów powiadam, że płytki i tchórzliwy z ciebie pachołek, że kłamiesz. Cóż to za pusta pałka! A ja utrzymuję, że nigdy nikt lepszego planu nie wymyślił; że nasi przyjaciele są wierni i stali; dobry plan, dobrzy przyjaciele i pełni dobrej nadziei; wyborny plan, przyjaciele najlepsi. A cóż to za mroźnoduszny hultaj! Jakto? Wszak milord York pochwala plan i cały tok sprawy. Na tę prawicę, gdybym miał teraz pod ręką tego lorda, gotówbym mu mózgownicę rozpłatać wachlarzem własnej jego żony. Alboż tam niema mojego ojca, mojego stryja i mnie samego? A lord Edmund Mortimer, milord York i Owen Glendower? Czy niema tam oprócz tego Douglasa? Czy nie mam ich piśmiennego zaręczenia, że połączą się ze mną na czele swoich hufców około dziewiątego przyszłego miesiąca? Czy niektórzy z nich już nie w marszu? A cóż to za hultaj poganin, co za niewierny! Zobaczycie teraz, że z całą szczerością trwogi i zimnego serca pobieży do króla i wyjawi mu wszystkie nasze zamachy. Gotówbym własną ręką na kawałki się posiekać, że takiemu talerzowi zbieranego mleka zaproponowałem czyn tak honorowy. Szubienicznik! Niech sobie wszystko wypapla królowi; jesteśmy gotowi; wyruszę tej nocy.

(Wchodzi lady Percy).

Za dwie cię godzin rzucić muszę, Kasiu.

Lady Percy. Dlaczego, mężu, zawsześ tak samotny?
Com przewiniła, że od dwóch tygodni
Jestem wygnanką łożnicy Henryka?
Powiedz, mój drogi, co ci odebrało
Złoty sen, radość dawną i apetyt?
Czemu wlepione twoje oczy w ziemię,
A gdyś samotny, co drgania twe znaczą?
Czemu rumieniec z twojej uciekł twarzy?
Czemuś me skarby, me do ciebie prawa,
Przeklętym smutkom i marzeniom oddał?
W śnie twoim lekkim czuwałam nad tobą;
O wojnie krwawej w marzeniu mruczałeś,
Rozhulanego zataczałeś konia,
Wołałeś: śmiało! naprzód! rozprawiałeś
O oblężeniach, wycieczkach, odwrocie,
O palisadach, twierdzach, parapetach,
O bazyliszkach [1]), działach, śmigownicach,
Wykupie jeńców, ginących rycerzach,
O wszystkich bitwy zażartej przygodach.
Tak dusza twoja zaciekła się w boju,
Tak we śnie twoją miotała istnością,
Że pot wystąpił kroplami na czoło,
Jak bańki wody na wezbrane fale.
Twoje oblicze dziwnie się kurczyło,

[1]) Bazyliszek — ciężkie działo, niegdyś używane, a ciskające czterdziestofuntowe kule.

Jak twarz człowieka, co oddech wstrzymuje
W zbytnim pośpiechu. Co wszystko to znaczy?
Mąż mój wplątany w ważną jakąś sprawę;
Muszę ją wiedzieć, lub już mnie nie kocha.
Hotspur. Hola! *(Wchodzi sługa).*
Czy Gilliams wyjechał z pakietem?
Sługa. Wyjechał, panie, godzina już temu.
Hotspur. Czy Butler z końmi wrócił od szeryfa?
Sługa. Właśnie jednego przyprowadził konia.
Hotspur. Z podstrzyżonemi uszami deresza?
Sługa. Tak jest.
Hotspur. Ten deresz tronem moim będzie.
Wraz go dosiędę. Naprzód! Esperance![1]).
Niech go do parku Butler przyprowadzi.
(Sługa wychodzi).
Lady Percy. Słuchaj mnie, mężu.
Hotspur. Co mówić chcesz, żono?
Lady Percy. Co cię z własnego domu tak unosi?
Hotspur. Mój koń, kochanie.
Lady Percy. Drogi postrzeleńcze,
Łasica mniej ma od ciebie kaprysów.
Lecz muszę, muszę sprawę twoją wiedzieć,
Muszę, Henryku. Bardzo się obawiam,
Że brat mój swoich praw chce poszukiwać,
I pewno teraz wzywa cię na pomoc.
Jeśli tam pójdziesz...
Hotspur. Piechotą, kochanie,
Daleka podróż zbytby mnie zmęczyła.
Lady Percy. No, no, papużko, dość tego, a teraz
Odpowiedz jasno na moje pytania.
Jeśli mi całej nie wyjawisz prawdy,
Małym ci palec gotowa jest złamać.
Hotspur. Skończmy, figlarko. Ja, kochać cię, Kasiu?
Ja cię nie kocham, ja nie dbam o ciebie,
Bo to nie pora w lalki się dziś bawić,
Albo harcować na pocałowania;
Krwi dzisiaj trzeba, czaszek potrzaskanych.
O Boże, koń mój! — Co chciałaś powiedzieć?
Lady Percy. Więc mnie nie kochasz? nie kochasz, na-
[prawdę?
To i nie kochaj. Odkąd mnie nie kochasz,

[1]) Esperance, godło rodziny Percy.

I ja też nie chcę samej siebie kochać.
Więc mnie nie kochasz? Powiedz mi, Henryku,
Czy mi to mówisz naprawdę, czy żartem?
Hotspur. Chodź, jeśli chcesz mnie na koniu zobaczyć,
A raz na koniu, przysięgnę ci, Kasiu,
Że nieskończenie kocham cię. Lecz słuchaj:
Nie chcę na przyszłość, abyś mnie pytała,
Dokąd wyruszam i dlaczego jadę.
Gdzie muszę, muszę. Aby raz rzecz skończyć,
Dziś, dobra Kasiu, opuścić cię muszę.
Wiem, żeś roztropna, lecz nie roztropniejsza
Od żony Percy Henryka; wytrwała,
Kobieta jednak; co do tajemnicy,
Wiem, że od ciebie skrytszej znaleźć trudno.
I o tem silnie jestem przekonany,
Że, czego nie wiesz, tego nie wygadasz,
I, dobra Kasiu, o tyle ci ufam.
Lady Percy. O tyle tylko?
Hotspur. Ani na cal więcej.
Lecz słuchaj, Kasiu, gdzie ja, ty pojedziesz;
Ja dzisiaj wieczór, a ty jutro rano;
Czy dość ci na tem?
Lady Percy. Gdzie mus, trudny opór.
(Wychodzą).

SCENA IV.

Eastcheap. Izba w oberży pod Głową Odyńca.

(Wchodzą: Książę Henryk i Poins).

Ks. Henryk. Proszę cię, Edziu, wyjdź z tej zatłuszczonej izby i pomóż mi trochę śmiać się.
Poins. Gdzie byłeś, Henrysiu?
Ks. Henryk. Z trzema lub czterema antałkowiczami śród sześćdziesięciu antałków. Trąciłem w najniższą stronę uniżoności. Przyjacielu, jestem ślubnym bratem sfory szynkarczyków i mogę nazywać każdego po chrzestnem imieniu, jak: Tom, Dik lub Franciszek. Już mi przysięgają na swoje zbawienie, że choć jestem jeszcze tylko księciem Walii, jestem już królem uprzejmości; wręcz mi powiadają, że nie jestem dumnym Jaśkiem, jak Falstaff, ale Koryntczykiem, chłopakiem serdecznym,

uczciwcem; skoro też zostanę królem Anglii, będę miał na rozkazy wszystkich wiarusów w Eastcheap. U nich wypić do dna nazywa się: szkarłacić, a gdy, pijąc, zatrzymam się, aby odetchnąć, he! wołają i proszą, żebym się nie żenował. Słowem, przez kwadrans takie zrobiłem postępy, że z lada kotlarzem mógłbym w jego własnym języku pić całe życie. Wierzaj mi, Edziu, wiele straciłeś na honorze, że nie byłeś ze mną w tej potrzebie. Ach, słodki Edziu, żeby osłodzić to imię Edziu, daję ci tę groszową trąbkę cukru, którą właśnie wścibił mi do ręki podszynkarczyk, co w życiu całem innych słów nie wymówił, jak: złotych ośm, groszy piętnaście, lub: witamy! z wrzaskliwym dodatkiem: zaraz! zaraz! Utocz kwartę maślaku do półksiężyca — lub coś podobnego. Ale Edziu, żeby zabić czas do powrotu Falstaffa, schowaj się do jakiej bocznej izby, a gdy zacznę się wypytywać mojego podszynkarczyka, na co dał mi cukier, wołaj bez ustanku: Franciszku! żeby cała jego odpowiedź zredukowała się do: zaraz! zaraz! Odejdź na stronę, a naucz się jak masz robić.

Poins. Franciszku!

Ks. Henryk. Doskonale.

Poins. Franciszku! *(Wychodzi Poins, wchodzi Franciszek).*

Franciszek. Zaraz, zaraz panie. Zajrzyj do granatowej izby, Ralfie.

Ks. Henryk. Słuchaj, Franciszku.

Franciszek. Jaśnie panie.

Ks. Henryk. Jak długo jeszcze masz służyć, Franciszku?

Franciszek. Pięć lat jeszcze, a co do...

Poins *(za sceną).* Franciszku!

Franciszek. Zaraz, zaraz, panie.

Ks. Henryk. Pięć lat jeszcze? Najświętsza Panno! długi to kontrakt na dzwonienie cyną. Ale Franciszku, czy miałbyś dosyć serca stchórzyć przed twoim kontraktem, pokazać mu pięt parę i drapnąć od niego?

Franciszek. O panie, gotów jestem przysiądz na wszystkie biblie w Anglii, że potrafiłbym znaleźć w mojem sercu...

Poins *(za sceną).* Franciszku!

Franciszek. Zaraz, zaraz panie.

Ks. Henryk. Ile masz lat, Franciszku?

Franciszek. Obaczmy. Na świętego Michała będę miał...

Poins *(za sceną).* Franciszku!

Franciszek. Zaraz, panie. Proszę jaśnie pana poczekać chwilę.

Ks. Henryk. Ale nie. Słuchaj tylko, Franciszku; a co do cukru, który mi dałeś — było go tam za grosz, czy nieprawda?

Franciszek. O panie, jakbym pragnął, żeby go tam było za dwa grosze!

Ks. Henryk. Za ten cukier dam ci tysiąc funtów; dopomnij się kiedy zechcesz, będą ci wypłacone.

Poins *(za sceną).* Franciszku!

Franciszek. Zaraz, zaraz.

Ks. Henryk. Zaraz, Franciszku? Nie, Franciszku, ale jutro, Franciszku, albo, Franciszku, we czwartek, albo zresztą, Franciszku, kiedy zechcesz. Ale, Franciszku...

Franciszek. Jaśnie panie?

Ks. Henryk. Czy chciałbyś okraść tego jegomościa w skórzanym kaftanie, z kryształowymi guzikami, ostrzyżoną czupryną, pierścieniem z agatu, w szarych pończochach z nicianemi podwiązkami, ze słodziuchnym językiem a hiszpańskim kapciuchem?

Franciszek. O panie, kogo masz na myśli?

Ks. Henryk. Postrzegam, że wasza mętna lura jest twoim jedynym napojem; bo widzisz, Franciszku, twój kaftan z białego płótna zbruka się, a w Barbaryi, przyjacielu, rzeczy nie zachodzą tak daleko.

Franciszek. Hę, jaśnie panie?

Poins *(za sceną).* Franciszku!

Ks. Henryk. Ruszaj, hultaju, czy nie słyszysz, że cię wołają?

(Tu obaj wołają go razem. Franciszek stoi odurzony, nie wiedząc, w którą iść stronę. Wchodzi winiarz).

Winiarz. Czemu stoisz, jak drąg, głuchy na takie wołanie? Ruszaj mi zaraz służyć gościom. *(Wychodzi Franciszek).* Stary sir John z pół tuzinem towarzyszy stuka do drzwi; czy mam ich wpuścić?

Ks. Henryk. Zostaw ich tam jeszcze chwilę, a otwórz im potem. *(Wychodzi winiarz).* Poins! *(Wchodzi Poins).*

Poins. Zaraz, zaraz, panie.

Ks. Henryk. Falstaff i reszta złodziei są już przy bramie. Toż będziem weseli!

Poins. Jak świerszcze polne, braciszku. Ale słuchaj, co znaczy ten żart z szynkarczykiem? co z tego ci przyszło?

Ks. Henryk. Czuję w sobie teraz chętkę do płatania wszystkich figli, które uchodziły za krotofile od starych czasów Adama aż do nowo narodzonej godziny dwunastej z północy. *(Wchodzi Franciszek z winem).* Która godzina, Franciszku?

Franciszek. Zaraz, zaraz, panie.

Ks. Henryk. Że też ten nicpoń mniej umie słów od papugi, a jest przecie synem niewiasty! Cały jego przemysł iść na piętro i schodzić na dół; cała jego wymowa wyrecytować rachunek. Nie mam jeszcze humoru lorda Percy, tej gorącej ostrogi północy, co mi to zabija sześć lub siedm tuzinów Szkotów na śniadanie, umywa ręce i mówi do żony: »Fe, cóż to za nudne, spokojne życie! Nie mam nic do roboty«. A ona mu na to: »O słodki mój Henryku, iluż tam ich dziś zabiłeś?« — »Napójcie mojego deresza« naprzód woła, potem odpowiada: »Jakich czternastu«; a godzina później: »bagatela, bagatela«. — A teraz, proszę cię, zawołaj Falstaffa, będę grał rolę lorda Percy, a ten kawał wieprzowiny rolę lady Mortimer, jego żony. Rivo![1]) jak mówią pijacy. Zawołaj mi tego brzuchacza, tę kupę łoju. *(Wchodzą: Falstaff, Bardolf, Gadshill i Peto).*

Poins. Witaj nam, Jasiu, gdzież to bywałeś?

Falstaff. Bodaj zaraza padła na wszystkich tchórzów! bodaj ich dyabli porwali! co daj Boże, amen. Daj mi szklankę kseresu, pachołku. Niż takie życie dłużej prowadzić, wolę robić pończochy, wolę je cerować, zarabiać nawet im pięty. Zaraza na wszystkich tchórzów! Daj mi szklankę kseresu, hultaju. Toć niema już cnoty na ziemi? *(Pije).*

Ks. Henryk. Czyś widział kiedy Tytana, miłosnego Tytana, całującego osełkę masła, która roztopiła się w tkliwym uścisku słońca? Jeśli jeszcze nie widziałeś, to patrz teraz na tę bryłę tłustości.

Falstaff. A łotrze! czuję wapno w tym kseresie. Trudno znaleźć w łotrze co innego jak łotrostwo. Ale tchórz gorszy od szklanki wapnistego wina; tchórz, rzecz to paskudna. Idź sobie swoją drogą, stary Jasiu, umieraj, kiedy zechcesz, bo jeśli męstwo, uczciwe męstwo, nie zapomniane na powierzchni tej ziemi, to ja jestem śledź wyikrzony. Nie znajdziesz w Anglii trzech uczciwych

[1]) Rivo! wykrzyknik pijaków, jak u Greków Evohe!

ludzi nie powieszonych, a jeden z nich utył i starzeje. Dopomóż nam, panie! zły to świat, powtarzam. Bodajem się był tkaczem urodził! śpiewałbym psalmy lub co innego. Zaraza na wszystkich tchórzów! raz jeszcze.

Ks. Henryk. Co tam, worku wypchany wełną, co tam mruczysz sobie pod nosem?

Falstaff. Królewski syn! Jeśli cię nie wypędzę z twojego królestwa drewnianą szabelką, a nie pogonię przed tobą wszystkich twoich poddanych, jak stada dzikich gęsi, to nie pozwolę jednemu włoskowi puścić się na mojej twarzy. Ty, książę Walii!

Ks. Henryk. A ty skurwysynie, okrągły człowieku, o co tu idzie?

Falstaff. Czy ty nie tchórz? Odpowiedz mi na to pytanie, i niech mi na nie i ten tu Poins odpowie.

Poins. Do krocset beczek, tłusty kałdunie, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie tchórzem, zakolę cię.

Falstaff. Ja tchórzem cię nazywać? Przód cię na dnie piekła zobaczę, nim cię tchórzem nazwę; ale dałbym tysiąc funtów, gdybym mógł tak szybko jak ty zmiatać. Dość prosto trzymacie ramiona i nie dbacie, kto widzi wasze plecy; i wy to nazywacie stać po plecach waszego przyjaciela? Niech dyabeł bierze takich popleczników! Daj mi takich, co się nie zlękną w twarz mi spojrzeć. Daj mi szklankę kseresu; jestem łajdak, jeślim dziś kroplę wpuścił do gęby.

Ks. Henryk. A hultaju, ledwoś sobie usta otarł po ostatniej szklenicy.

Falstaff. Mniejsza o to. Zaraza na wszystkich tchórzów! mówię zawsze. *(Pije).*

Ks. Henryk. Dlaczego to mówisz?

Falstaff. Dlaczego to mówię? My czterej zarobiliśmy tysiąc funtów dziś rano.

Ks. Henryk. Gdzie są, Jasiu, gdzie są?

Falstaff. Gdzie są? są nam wydarte. Stu łotrów wpadło na czterech nas biedaków.

Ks. Henryk. Co, stu? człowieku!

Falstaff. Jestem łajdak, jeśli nie byłem przez dwie godziny na pół szabli od tuzina tych opryszków. Cudem tylko wyszedłem cały. Ośm razy byłem pchnięty przez kaftan; cztery razy przez szarawary; tarcza moja podziurawiona, a szabla posiekana, wygląda jak piła: *ecce signum.* Nie sprawiłem się dzielniej od czasu jak

wyrosłem na męża; ale wszystko na nic się nie przydało. Zaraza na wszystkich tchórzów! — Niech mówią; ale jeśli powiedzą więcej lub mniej, niż prawdę, nazwij ich łajdakami i synami ciemności.

Ks. Henryk. Mówcie, jak się to stało?

Gadshill. My czterej wpadliśmy na jaki tuzin...

Falstaff. Na szesnastu najmniej, milordzie.

Gadshill. I związaliśmy ich.

Peto. Nie, nie, nie byli związani.

Falstaff. Byli, hultaju, byli związani, wszyscy od pierwszego do ostatniego, albo jestem Żydem, Hebrajczykiem Żydem.

Gadshill. Gdyśmy się dzielili, jakich sześciu lub siedmiu świeżych łotrów wpada na nas...

Falstaff. Rozwiązuje resztę; a wtem nadbiegają inni.

Ks. Henryk. A wy biliście się ze wszystkimi?

Falstaff. Ze wszystkimi? Nie wiem co nazywasz: wszystkimi? lecz jeśli się nie biłem z jaką pięćdziesiątką, to jestem wiązką rzodkiewek; jeśli nie było ich dwóch lub trzech i pięćdziesięciu na jednego biednego, starego Jasia, to nie jestem dwunożnem stworzeniem.

Poins. Daj tylko Boże, żebyś kilku z nich nie zamordował.

Falstaff. Ha, temu nie poradzi już modlitwa. Dwóch z nich opieprzyłem; dwom, jestem pewny, zapłaciłem, co im się należało, dwom hultajom w drelichowych sukmanach. Słuchaj, Henryczku, jeśli łgę, pluń mi w twarz i nazwij mnie koniem. Znasz moje stare zastawienie; otóż ja tu stoję, a tam daję takie pchnięcia. Aż tu podchodzi mnie czterech urwiszów w drelichu...

Ks. Henryk. Co? czterech? Toż dopiero co dwóch powiedziałeś.

Falstaff. Czterech, Henrysiu, powiedziałem ci czterech.

Poins. Tak jest, prawda, powiedział czterech.

Falstaff. Otóż ci czterej posuwają się ku mnie frontem i strasznem wymierzyli na mnie pchnięciem, ale ja, bez żadnych tam korowodów, wszystkie ich siedm szpic w tarczę przygarnąłem — tak.

Ks. Henryk. Siedm? Przed chwilą było ich czterech.

Falstaff. W drelichowych sukmanach.

Poins. Tak jest, czterech w drelichowych sukmanach.

Falstaff. Siedmiu, na tę rękojeść, albo jestem łajdak.

Ks. Henryk. Daj mu pokój, proszę, niedługo będzie ich więcej.

Falstaff. Czy słuchasz mnie, Henrysiu?

Ks. Henryk. Słucham i uważam.

Falstaff. Dobrze robisz, bo rzecz godna słuchania. Otóż tych dziewięciu w drelichu, o których ci mówiłem...

Ks. Henryk. Tak jest, już dwóch więcej.

Falstaff. Widząc złamane swoje szpice...

Poins. Zaczęli sami łamane sztuki.

Falstaff. Zaczęli mi ustępować, ale ja krok w krok za nimi, dopędziłem, zwarłem się na ostre, i w mgnieniu oka siedmiu z owych jedenastu zapłaciłem, co im się należało.

Ks. Henryk. O dziwy! siedmiu drabów w drelichu z dwóch wyrosło!

Falstaff. Ale jakiemś dyabelskiem zrządzeniem, trzech przeklętych urwiszów w zielonych kendalskich [1]) kapotach zachodzi mi z tyłu i rzuca się na mnie, — bo tak było ciemno, Henrysiu, żebyś własnej ręki nie zobaczył.

Ks. Henryk. Łgarstwa te są, jak ojciec, który je począł, ogromne jak góra, bezczelne, dotykalne. A ty, kiszko z glinianym mózgiem, zakuty głupcze, skurwysynie, sprosna, tłusta beczko łoju...

Falstaff. A to co znowu? Czy oszalałeś? czy oszalałeś? Czy prawda nie jest prawdą?

Ks. Henryk. Jakżeś mógł poznać tych drabów w zielonych kendalskich kapotach, jeśli tak było ciemno, że nie mogłeś własnej widzieć ręki? Wytłómacz to nam.

Poins. Tak jest, wytłómacz to nam, wytłómacz to nam.

Falstaff. Co? przymuszony? nie, choćbyście mnie w koło wplatali, choćbyście mnie na najstraszniejsze brali tortury, nie odpowiem wam ani słowa przymuszony. Wytłómaczyć wam to przymuszony? Choćby mi tłómaczenia rosły tak obficie, jak jarzyny, żadnemu człowiekowi na świecie nie dam tłómaczenia z przymusu, nie, nigdy!

Ks. Henryk. Nie chcę być dłużej winnym tego grzechu. Tłusty ten tchórz, ten gnieciłóżko, ten łamigrzbiet koński, ta ogromna góra mięsa...

---

[1]) Kendal, miasto w Westmoreland, sławne z wyrobów sukiennych. Zielony kolor kendalski był farbą Robin-Hooda i wesołych jego łuczników.

Falstaff. Precz mi stąd, ty wychudku, ty chochlicza skóro, ty wędzony ozorze, bykowcze, ty stokfiszu — o bodaj mi tchu stało do wyliczenia wszystkiego, co do ciebie podobne! Ty łokciu krawiecki, ty pochwo, ty kołczanie, ty nędzne szydełko...

Ks. Henryk. Wytchnij trochę, a potem prowadź rzecz dalej, a kiedy się już zmęczysz wyliczaniem podłych porównań, pozwolisz mi parę słów ci powiedzieć.

Poins. Słuchaj go, Jasiu.

Ks. Henryk. My dwaj widzieliśmy, jak we czterech wpadliście na czterech, związaliście ich i zabraliście im pieniądze. Zważaj teraz, jak cię prosta powieść skonfunduje. Natychmiast my dwaj wpadamy na was czterech, i, żeby się długo nie rozwodzić, odegnaliśmy was od waszego łupu, który mamy i który możemy wam pokazać tu, w tym domu, a ty, Falstaffie, uniosłeś twoje bebechy tak rzeźko, tak zwinnie i szybko! a tak ryczałeś o miłosierdzie, tak zmiatałeś ciągle rycząc, że nigdy lepiej żadne nie ryczało cielę. Co za pohaniec z ciebie, że tak posiekałeś twoją szablę, a utrzymywałeś potem, że to w rozprawie! Jaki figiel, jaki wybieg, jaką mysią dziurę znajdziesz teraz, aby się schować przed tą oczywistą, wyraźną hańbą?

Poins. Słuchamy, Jasiu, jaki masz teraz figiel na rozkazy?

Falstaff. Klnę się na wszystko, że tak dobrze was poznałem, jak ten, który was zrobił. Posłuchajcie tylko, mości panowie. Czy to moją było rzeczą zabić domniemanego następcę tronu? Miałżem wymierzyć szablę na prawdziwego księcia? Toć wiesz przecie, że jestem waleczny jak Herkules, ale zważaj na to, co to jest instynkt. Lew nigdy się nie tknie prawdziwego księcia. Instynkt, rzecz to wielka; stchórzyłem przez instynkt. Odtąd aż do śmierci będę lepiej myślał tak o sobie, jak i o tobie; o sobie, że jestem lwem walecznym, a o tobie, że jesteś prawdziwym księciem. Ale, moje chłopaki, rad jestem, że macie pieniądze. Gospodyni! drzwi zarygluj! Czuwaj tej nocy, módl się jutro. Zuchy, dzieci, chłopaki, złote serduszka, wszystkie tytuły dobrego koleżeństwa z prawa wam się należą. Co, czy mamy się bawić? czy mamy zaimprowizować jaką komedyę?

Ks. Henryk. Zgoda, a jej treścią będzie twoje drapnięcie.

Falstaff. Ach, ani słowa więcej o tem, Henrysiu, jeśli mnie kochasz. *(Wchodzi gospodyni).*

Gospodyni. Mości książę...

Ks. Henryk. Co tam nowego, mościa gospodyni? Co masz mi powiedzieć?

Gospodyni. Mam powiedzieć, mości książę, że stuka do bramy pan od dworu i chce z tobą mówić; powiada, że przychodzi od twego ojca.

Ks. Henryk. Daj temu panu koronę, żeby go zrobić królem, i odeślij go znowu do mojej matki.

Falstaff. Co to za człowiek?

Gospodyni. Stary człowiek.

Falstaff. Co robi powaga nie w łóżku o północy? Czy mam mu ponieść odpowiedź?

Ks. Henryk. Proszę cię, Jasiu.

Falstaff. Bądź spokojny; dam odprawę, jak należy. *(Wychodzi).*

Ks. Henryk. Niema co mówić, mości panowie, biliście się walecznie; walecznie i ty, Peto, i ty, Bardolfie; i z was lwy także; umykaliście przez instynkt, nie chcieliście dotknąć prawdziwego księcia; nie, broń Boże!

Bardolf. Na uczciwość, zmykałem, gdym widział innych zmykających.

Ks. Henryk. Powiedz mi teraz szczerze, skąd te szczerby na szabli Falstaffa?

Peto. Nasiekał ją własnym sztyletem i mówił, że albo z Anglii wyklnie prawdę, albo cię zmusi uwierzyć, że szabla była w bitwie wyszczerbiona. I nam poradził zrobić to samo.

Bardolf. Tak jest, i nosy sobie łechtać perzem aż krew popłynie, krwią tą pomazać nasze ubranie i przysięgać, że to krew naszych przeciwników. Zdarzyło mi się też, czego od lat siedmiu nie doświadczyłem: zarumieniłem się, słuchając jego potwornych wymysłów.

Ks. Henryk. A hultaju, ukradłeś kielich pełny kseresu ośmnaście lat temu i schwytany byłeś na uczynku, odtąd rumieniłeś się *ex tempore.* Miałeś ogień i żelazo na rozkazy a drapnąłeś jednak. Jaki instynkt ci to poradził?

Bardolf *(pokazując swój czerwony nos).* Milordzie, czy widzisz te meteory? czy spostrzegasz te wyziewy?

Ks. Henryk. Widzę.

Bardolf. Co one twojem zdaniem przepowiadają?

Ks. Henryk. Gorące wątroby a zimne sakiewki.
Bardolf. Żółć, milordzie, na dobre zrozumienie.
Ks. Henryk. Nie, na dobre zrozumienie—stryczek. *(Wchodzi Falstaff).* Ale otóż wraca chudy Jasiek, wraca szkielet. Co tam nowego, słodkie moje nadęte stworzenie? Ile temu jak widziałeś, Jasiu, własne kolano?
Falstaff. Własne kolano? Kiedy miałem twoje lata, Henrysiu, miałem stanik jak orla szpona; mogłem się prześliznąć przez pierścień z wielkiego palca każdego aldermana. Ale czego nie mogą westchnienia i smutek! Wydymają człowieka, jak pęcherz. — Paskudne biegają po ulicach wieści. Był tu sir John Bracy od twojego ojca, musisz na dwór pośpieszyć jutro rano. Ten sam wartogłów z północy, Percy, i ten Walijczyk, co to dał kije Amaimonowi, a Lucyperowi rogi przyprawił, zmusił dyabła do przysiężenia mu lennego hołdu na krzyż walijskiej halabardy — jak go tam u licha nazywasz?
Poins. Glendower.
Falstaff. Owen, Owen, on właśnie; i zięć jego Mortimer i stary Northumberland, i ten zuch, Szkot nad Szkoty, Douglas, co ci to mknie konno na wierzchołek prostopadłej góry.
Ks. Henryk. Co galopując z pistoletu zabija wróbla w locie
Falstaff. Trafiłeś.
Ks. Henryk. Lepiej, niż on wróbla.
Falstaff. Hultaj ten jednak ma ducha, nie zemknie.
Ks. Henryk. A dlaczegoż, hultaju, dopiero co go przechwalałeś, że mknie doskonale?
Falstaff. Konno, kukułko, bo na piechotę piędzi ci nie ustąpi.
Ks. Henryk. Tak jest, Jasiu, z instynktu.
Falstaff. Przystaję, z instynktu. Otóż i on jest tam także, i niejaki Mordake, a w dodatku jaki tysiąc niebieskich czapeczek. Worcester wymknął się tej nocy; broda twojego ojca zbielała tej nocy; możesz teraz kupić grunt tanio, jak śmierdzącą makrelę.
Ks. Henryk. To prawdopodobnie, jeśli czerwiec będzie gorący, a przeciągną się te domowe targańce, będziemy kupowali prawiczeństwo, jak hufnale — na kopy.
Falstaff. Na mszę świętą, prawdę mówisz, mój chłopaku. jest wielkie podobieństwo, że niezgorszy będzie handelek tym towarem. — Ale powiedz mi, Henrysiu, czy strach cię nie bierze? Boć jesteś domniemanym następcą; czy mógłby ci świat wynaleźć trzech jeszcze takich nieprzyjaciół, jak ten szatan Douglas, ten upiór Percy i ten dyabeł Glendower? Czy ci nie strach okrutny? Czy na myśl o tem krew ci się nie ścina?

Ks. Henryk. Bynajmniej, na uczciwość; brak mi twojego instynktu.
Falstaff. Tem lepiej. Ale będziesz okrutnie wyłajany jutro, gdy wrócisz do ojca. Jeśli mnie kochasz, przygotuj odpowiedź.
Ks. Henryk. Podejmij się więc roli mojego ojca i wypytuj mnie o szczegóły mojego życia.
Falstaff. Ja? chętnie. To krzesło będzie moim tronem, ten sztylet mojem berłem, a ta poduszka moją koroną.
Ks. Henryk. Twój tron wezmą ludzie za stolec, twoje złote berło za ołowiany sztylet, a twoją drogą, kosztowną koronę za nędzną łysą pałkę.
Falstaff. Mniejsza o to. Jeśli ogień łaski nie wygasł w tobie do iskierki, teraz będziesz wzruszony. Dajcie mi szklankę kseresu, bo trzeba, żeby moje oczy były czerwone, aby myślano, żem płakał; powinnością moją mówić namiętnie, a wywiążę się z niej, jak drugi król Kambizes.
Ks. Henryk. Więc dobrze, oto mój pokłon.
Falstaff. A to moja przemowa: szlachetni panowie, odstąpcie.
Gospodyni. Na uczciwość, prześliczna krotofila.
Falstaff. Nie płacz, słodka królowo, bo cedzenie łez daremne.
Gospodyni. O, co za ojciec, jak umie godność zachować!
Falstaff. Przez Boga, szlachto, wywiedźcie królowę.
Bo łzy jej oczu zapierają śluzy.
Gospodyni. O prześlicznie! Na uczciwość, udaje jakby jeden z tych wszetecznych komedyantów, których widzieć mi się zdarzyło.
Falstaff. Cicho, dobra kwaterko, cicho, dobra okowito. — Henryku, nie tylko miejsce mnie dziwi, w którem czas trawisz, ale i twoje towarzystwo. Bo jeśli rumianek, im więcej deptany, tem bujniej rośnie, to młodość, im więcej marnowana, tem prędzej się zużywa. Że jesteś moim synem, mam na to w części słowo twojej matki, w części moje własne przekonanie, ale głównie to twoje paskudne mruganie oka i ta śmiesznie wisząca dolna warga utwierdzają mnie w tem mniemaniu. Jeśli

więc jesteś moim synem, słuchaj o co tu rzecz idzie. Dlaczego, będąc moim synem, pozwalasz, aby cię tak palcami wytykano? Czy błogosławione słońce ma niebo opuścić, aby się lampartować i na jeżyny chodzić? Nie podobne pytanie. Czy syn króla angielskiego ma zostać złodziejem i rzezimieszkiem? Pytanie bardzo możebne. Jest rzecz, Henryku, o której często słyszałeś, a która jest znaną niejednemu w naszym kraju pod nazwiskiem smoły; smoła ta, jak starożytni nauczają nas pisarze, brudzi; tak robi i towarzystwo, w którem żyjesz, bo, Henryku, nie mówię teraz do ciebie po pijanemu, ale ze łzami; nie w radości, ale w gniewie; nie w słowach tylko, ale i w głębokiem utrapieniu. Jest jednak cnotliwy mąż, którego często widuję w twojem towarzystwie, tylko nie wiem jego nazwiska.

Ks. Henryk. Co za człowiek? jeśli mogę zapytać waszej królewskiej mości.

Falstaff. Urodziwy, pokaźny mężczyzna, bez zaprzeczenia, dobrej tuszy; wesoła mina, miłe oko, a najszlachetniejsza postawa. O ile się zdaje, może liczyć jakie lat pięćdziesiąt, albo, na Najświętszą Pannę, chyli się ku sześćdziesiątce. Przypominam sobie teraz, nazywa się Falstaff. Jeśli człowiek ten ma wszeteczne skłonności, to mnie oszukał, bo, Henryku, czytam cnotę w jego spojrzeniu. Jeśli można poznać drzewo po jego owocu, a owoc po drzewie, to i ja utrzymuję stanowczo, że jest cnota w tym Falstaffie. Zatrzymaj go przy sobie, ale odpędź resztę. Powiedz mi teraz, ty nicponiu, gdzie byłeś przez cały ten miesiąc?

Ks. Henryk. I to nazywasz mówić po królewsku? Zajmij teraz moje miejsce, a ja odegram rolę mojego ojca.

Falstaff. Detronizujesz mnie? Jeśli pokażesz pół mojej powagi, mojego majestatu, tak w słowach jak ich treści, to pozwolę się za nogi powiesić u handlarza zwierzyny, jak królika lub zająca.

Ks. Henryk. Zobaczymy. Zasiadam.

Falstaff. A ja tu staję. Będziecie sędziami, mości panowie.

Ks. Henryk. Henryku, skąd przychodzisz?

Falstaff. Z Eastcheap, miłościwy panie.

Ks. Henryk. Skargi na ciebie mnogie są i ciężkie.

Falstaff. Do kroćset beczek, wszystkie fałszywe, najjaśniejszy panie. — Poczekaj, połechtam ja cię jak na młodego księcia przystoi.

Ks. Henryk. Klniesz, Henryku, bezbożne dziecko? Nie pokazuj mi się więcej na oczy. Odwodzą cię gwałtem z drogi łaski. Jak ten dyabeł, który cię nawiedza w postaci tłustego starca; człowiek-beczka jest twoim towarzyszem. Dlaczego przestajesz z tym antałem humorów, z tą dzieżą bestyalstwa, z tą nadętą paką wodnej puchliny, z tem ogromnem beczyskiem kseresu, tym mantelzakiem napchanym bebechami, tym pieczonym tłustym wołem z pudyngiem w brzuchu, z tą przewielebną ułomnością, tą siwowłosą niegodziwością, tym ojcem hultajem, tą podstarzałą próżnością? Do czego on dobry, jeśli nie do smakowania kseresu i piwa? W czem on biegły i zręczny, jeśli nie w rozdzieraniu kapłona i żarciu? w czem on szczwany, jeśli nie w chytrości? w czem ćwiczony, jeśli nie w hultajstwie? w czem hultaj, jeśli nie we wszystkiem? w czem zacny, jeśli nie w niczem?

Falstaff. Chciałbym, żeby wasza królewska mość raczyła mnie wyprowadzić z manowców; kogo wasza miłościwość ma na myśli?

Ks. Henryk. Tego paskudnego, obrzydłego uwodziciela młodzieży Falstaffa; starego, z białą brodą szatana.

Falstaff. Najjaśniejszy panie, człeka tego znam.

Ks. Henryk. Wiem, że go znasz.

Falstaff. Ale gdybym powiedział, że w nim odkryłem więcej wad, niż w sobie samym, powiedziałbym więcej, niż wiem. Że jest stary — tem większa szkoda — o tem biały włos jego świadczy; ale żeby miał być — z przeproszeniem waszej wielebności — kurewnikiem, temu stanowczo przeczę. Jeśli kseres i cukier są grzechem, zmiłuj się Panie nad grzesznikami! Jeśli być starym a wesołym jest grzechem, to niejeden stary a dobrze mi znany gospodarz będzie w piekle się smażył; jeśli być tłustym jest na nienawiść zasługiwać, to chude krowy Faraona godne są miłości. Nie, dobry mój panie, wygnaj Peta, wygnaj Bardolfa, wygnaj Poinsa; ale co do słodkiego Jasia Falstaffa, dobrego Jasia Falstaffa, wiernego Jasia Falstaffa, walecznego Jasia Falstaffa, a tem waleczniejszego, że to mój stary Jasiek Falstaff, nie wyganiaj go z towarzystwa twojego Henryka; wygnaj tłuścioszka Jasia, to jakbyś świat cały wygnał.

Ks. Henryk. Wyganiam go, taka moja wola.
(Słychać stukanie za sceną. Wychodzą: gospodyni, Franciszek i Bardolf; za chwilę wbiega Bardolf).
Bardolf. O milordzie, milordzie, szeryf z chmarą straży do bramy stuka.
Falstaff. Precz mi stąd, hultaju! Prowadźmy dalej naszą sztukę: wiele mam jeszcze do powiedzenia na obronę Falstaffa. *(Wbiega gospodyni).*
Gospodarz. Jezus, Marya! milordzie, milordzie...
Falstaff. Hę, hę? dyabeł jedzie na łopacie? co tam takiego?
Gospodyni. Szeryf z całą żandarmeryą stoi u bramy; przychodzą dom rewidować; czy mam ich wpuścić?
Falstaff. Czy słyszysz, Henrysiu? Nie nazywaj nigdy fałszywej prawdziwą sztuką złota. Jesteś prawdziwym waryatem, choć się nie zdajesz.
Ks. Henryk. A ty naturalnym tchórzem bez instynktu.
Falstaff. Przeczę twojemu *terminus major;* jeśli i ty zaprzeczysz żądaniom szeryfa, bardzo dobrze; jeśli nie, niech sobie przyjdzie. Jeśli nie tak dobrze będę figurował na wozie, jak ktokolwiek inny, to niech dyabeł bierze moją edukacyę. Spodziewam się, że stryczek tak mnie prędko zadusi, jak i innego.
Ks. Henryk. Idź, schowaj się za obicie; reszta niech idzie na górę. Teraz, mości panowie, wszystko zależy od uczciwej miny i spokojnego sumienia.
Falstaff. Miałem jedną i drugie, ale minęły ich czasy; dlatego się chowam.
(Wychodzą wszyscy, prócz Księcia i Poinsa).
Ks. Henryk. Zawołaj szeryfa.
(Wchodzą: szeryf i furmani).
Mości szeryfie, czego chcesz ode mnie?
Szeryf. O przebaczenie błagam naprzód, książę.
Pogonny oddział tropem pewnych ludzi
Do drzwi tych dotarł.
Ks. Henryk. Tropem jakich ludzi?
Szeryf. Jeden z nich, książę, dobrze jest znajomy,
Gruby, otyły.
Pierwszy furman. A tłusty, jak masło.
Ks. Henryk. Zaręczam, że tu człeka tego niema;
Sam, w interesie własnym go użyłem;
Ale, szeryfie, daję ci me słowo,
Że w obiadową jutro ci godzinę

Przyślę go, aby tobie lub innemu
Na zaniesione skargi odpowiedział.
Teraz cię proszę, opuść tę gospodę.
Szeryf. Odchodzę, książę. W tym samym rozboju
Dwóch panów trzysta grzywien utraciło.
Ks. Henryk. Wszystko być może; człowiek ten zda liczbę,
Jeśli się winnym rozboju pokaże.
A teraz, żegnam.
Szeryf. Dobra noc, mój książę.
Ks. Henryk. Myślę, że raczej dzień dobry, nieprawda?
Szeryf. Tak jest, mój książę, druga już wybiła.
(Wychodzą: szeryf i furmani).
Ks. Henryk. Olejny ten hultaj znany jest jak kościół świętego Pawła. Zawołaj go.
Poins. Falstaff! Śpi twardo za obiciem, a chrapie, jak koń.
Ks. Henryk. Słuchaj, jak ciężko oddycha. Przetrząś mu kieszenie. *(Poins przetrząsa).* Co znalazłeś?
Poins. Same papiery, książę.
Ks. Henryk. Co za papiery? Czytaj.
Poins *(czyta).*

Item, kapłon	4 zł.	10 gr.	
Item, sos	— »	16 »	
Item, kseres, dwa garnce . .	21 »	2 »	
Item, sardelki i kseres po wieczerzy	4 »	24 »	
Item, chleb	grosz jeden		

Ks. Henryk. O potwornie! za grosz chleba do tak nieznośnej masy wina! Co tam jest więcej, zachowaj, przeczytamy w wolniejszej chwili. Zostaw go tam, niech śpi aż do dnia. Jutro rano na dwór się udam; wszyscy musim na wojnę wyruszyć; znajdzie się tam dla ciebie miejsce honorowe. Otrzymam dla tego tłustego hultaja jaką komendę w piechocie, a wiem, że śmierć go czeka na końcu trzechsetnego sążnia marszu. Pieniądze będą zwrócone z procentem. Bądź jutro wcześnie gotowy i czekaj na mnie, a tymczasem dzień dobry.
Poins. Dzień dobry, dobry mój książę.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Bangor. Pokój w domu Archidyakona.

(Hotspur, Worcester, Mortimer, Glendower).

Mortimer. To przyrzeczenia piękne, ludzie pewni;
Taki początek piękną wróży przyszłość.
Hotspur. Lordzie Mortimer, kuzynie Glendower,
Zasiądźcie, proszę.
A ty, mój stryju... a tam, do szatana,
Mapym zapomniał.
Glendower. Nie, mam ją pod ręką.
Siądź, Percy, dobry kuzynie Hotspurze;
Ilekroć imię to Lancaster wspomni,
Twarz jego blednie, i z ciężkiem westchnieniem
Życzy ci, żebyś w niebie teraz siedział.
Hotspur. A ty znów w piekle, ilekroć usłyszy
Groźne nazwisko Owena Glendower.
Glendower. Ganić go trudno; kiedy się rodziłem,
Cały firmament był jakby w płomieniach,
A ziemi nawet silne podwaliny,
Jakby tchórz jaki, ze strachu się trzęsły.
Hotspur. Jakby się trzęsły, gdyby o tej porze
Kocica matki twojej się kociła,
Nie ty się rodził.
Glendower. Mówię, ziemia drżała,
Gdym na świat przyszedł.
Hotspur. A więc ja ci powiem:
Nie była ziemia jednej ze mną myśli,
Skoro przypuszczasz, że drżała ze strachu.
Glendower. Gorzało niebo, a ziemia się trzęsła.
Hotspur. To ziemia drżała przed nieba ogniami,
A nie dlatego, że ty się rodziłeś.
Chora natura nieraz dziwnie bucha;
Ciężarna ziemia, jak kolkami sparta,
W swoich wnętrznościach wiatr trzyma zamknięty,
Co się szamocząc i szukając wyjścia,
Ziemią, tą biedną staruszką, potrząsa,
Wali dzwonnice i mchem kryte wieże.

W dzień twych urodzin ziemia, nasza babka,
Trzęsła się w takiej choroby napadzie.
Glendower. Mało jest ludzi, których sprzeciwianie
Znosić przywykłem; pozwól więc, kuzynie,
Że ci powtórzę, iż w dniu mych urodzin
Cały firmament był jakby w płomieniach,
Z gór uciekały kozy, przeraźliwie
Ryczały trzody na przelękłych polach:
To były znaki mej nadzwyczajności,
A mego życia świadczy bieg, żem nie jest
Wpisany w rejestr ludzi pospolitych.
Gdzie żyje człowiek otoczony falą
Bijącą brzegi Anglii, Szkocyi, Walii,
Który mnie uczniem nazwać swoim może?
A jednak syna niewiasty mi pokaż
Zdolnego sprostać mi na trudnej drodze
Głębokich nauk i sztuk tajemniczych?
Hotspur. O wiem, wiem, lepiej od ciebie nie mówi
Nikt po walijsku. Lecz czas już na obiad.
Mortimer. Daj pokój, Percy, on gotów oszaleć.
Glendower. Z głębin otchłani duchy mogę wołać.
Hotspur. I ja to mogę, i lada kto może;
Ale czy przyjdą na twoje wołanie?
Glendower. Mogę cię nawet nauczyć, kuzynie,
Jak rozkazywać dyabłu.
Hotspur. A ja ciebie,
Jak upokorzyć dyabła, mówiąc prawdę:
Więc mów, mów prawdę i dyabła upokórz.
Jeśli posiadasz moc dyabła wywołać,
Niechże tu przyjdzie, a ja ci przysięgam,
Że mam moc stąd go wypędzić ze wstydem.
O, póki żyjesz, mów prawdę, wstydź dyabła.
Mortimer. Skończcie, już dosyć tej czczej gadaniny.
Glendower. Trzykroć Bolingbroke chciał czoło mi stawić,
Trzykroć u brzegów piaszczystej Sewerny
Musiał swe buty spalić i uciekać
Przez grad i słotę.
Hotspur. Przez słotę bez butów?
Jakże u dyabła febry tam nie dostał?
Glendower. Spojrzcie na mapę; czy mamy te ziemie
Wedle układów na troje rozdzielić?
Mortimer. Archidyakon skreślił już na karcie
Trzy równe działy: dla mnie tę część Anglii

Od Trent i Sewern na wschód i południe;
Walia, na zachód od Sewerny brzegów,
I cały żyzny rozłóg w tych granicach
Będzie własnością Owena Glendower;
Wszystko nakoniec, co od Trent na północ,
Do ciebie, drogi kuzynie, należy.
Wygotowany już w trzech kopiach kontrakt
Mamy nawzajem opatrzyć w pieczęcie,
Co nam nie trudno dzisiaj wieczór skończyć.
Jutro ze świtem ja i ty, kuzynie,
I lord Worcester wyruszamy razem,
Aby, stosownie do dawnej umowy,
Spotkać w Shrewsbury i Szkotów zaciągi,
I twego ojca. Jeszcze dziś nie gotów
Mój teść Glendower, jego też nam pomoc
Przed tygodniami dwoma nie potrzebna.
(Do Glendowera).
Tymczasem, ojcze, będziesz mógł zgromadzić
Twoich lenników, przyjaciół, sąsiadów.
Glendower. Prędzej ja do was przyciągnę, panowie,
I żony wasze pod moją eskortą,
Które ukradkiem musicie dziś rzucić,
Jeśli nie chcecie, żeby przy rozstaniu
Łez słonych morze z ich ócz popłynęło.
Hotspur. Mnie się wydaje, że mniejszą od waszych
Jest ta część moja na północ od Burton.
Patrzcie, jak rzeka w mą się glebę wgryza,
Mych ziem najlepszych ogromny półksiężyc
Na szkodę moją swem odkrawa zgięciem.
Tu rzucę tamę, by nowym kanałem
Lały się prosto srebrne wody Trentu,
Wić się przestały jak wąż pośród granic,
Gruntów mi moich nie kradły bogatych.
Glendower. Wić się przestały? Widzisz, że się wiją,
I wić się muszą.
Mortimer. Tak jest, zważaj tylko,
Jak się tu ku mnie zwraca na mą szkodę,
I z tej tu strony tyle mi zabiera,
Co z tamtej twoim odjęła dzielnicom.
Worcester. Tama nie wielkim rzucona tu kosztem,
Cały północny odzyskuje cypel,
A rzece daje bieg prosty i równy.
Hotspur. Tak chcę, tak będzie, a koszta są małe.

Glendower. Nie, tak nie będzie.
Hotspur. A kto mi przeszkodzi?
Glendower. Ja.
Hotspur. Więc mów, proszę, bym cię nie zrozumiał,
Mów po walijsku.
Glendower. Równie, jak ty, dobrze
I po angielsku mogę się wysłowić,
Bo na angielskim dworze się chowałem,
I tam niejedną piosneczkę angielską
Z towarzyszeniem harfy ułożyłem,
Dodając nowych wdzięków językowi:
Przymiot, którego w tobie nie dojrzano.
Hotspur. A za to dzięki Panu Bogu składam.
Wolałbym kotem zostać i miauczeć
Raczej niż jednym z owych bandurzystów.
Milsze mi brzęki lichtarzy miedzianych
I milsze koło skrzypiące na osi.
Nic mię nieznośniej po uszach nie drapie,
Jak te mizdrzenia pieśni rymowanych:
To chód nierówny kulawego szkapy.
Glendower. Odwróćże sobie, skoro chcesz, bieg Trentu.
Hotspur. Czy ja dbam o to? Trzykroć tyle ziemi
Zasłużonemu dam przyjacielowi;
Ale pamiętaj, że gdzie o targ chodzi,
Dziewiątej części włoska nie ustąpię.
Czy akt gotowy? Kiedy odjeżdżamy?
Glendower. W pełni jest księżyc; możecie tej nocy.
Pośpiech nakazać idę pisarzowi,
Napomknąć żonom waszym o odjeździe.
Trochę się lękam o córki mej rozum,
Tak zakochana w swoim Mortimerze.
(Wychodzi).
Mortimer. Wstydź się, kuzynie Percy, jak też możesz
Tak się mojemu sprzeciwiać teściowi!
Hotspur. Ha, trudna rada. Często mnie oburza
Prawiąc historye o krecie i mrówce,
O drzymiącego Merlina proroctwach,
O smoku, rybie bez pletw i o gryfie
Z obciętem skrzydłem, pierzącym się kruku,
Skaczącym kocie, lwie spoczywającym,
I tym podobnych bez sensu andronach,
Co mi cierpliwość z wiarą odejmują.
Czy mi uwierzysz? toć ostatniej nocy

Przez jakie dziewięć godzin mi wyliczał
Nazwiska dyabłów, co mu pachołkują.
»Hm, hm! — wołałem — dobrze, ciągnij dalej!«
Choć nie słuchałem jednego wyrazu.
Nudny to człowiek, jak rumak zmęczony,
Jak zrzędna żona, a gorszy daleko,
Niż dymna izba. Wolę żyć samotny
W jakim wiatraku o serze i czosnku,
Niż jeść łakocie w rozkosznej altanie,
A przysłuchiwać się jego powieściom.
Mortimer. Szlachcic to jednak poważania godny,
Nauki pełny, a wtajemniczony
W dziwne sekrety, jako lew waleczny,
Wdzięczny, uprzejmy, a pełen szczodroty,
Jak w Indyach miny. Mamże ci powiedzieć?
On twój charakter tak ceni wysoko,
Że gwałt swej własnej naturze zadaje,
Gdy się sprzeciwiasz jego humorowi.
Wierzaj mi, niema na ziemi człowieka,
Coby go drażnić jak ty się odważył,
A nie skosztował gniewu jego skutków.
Często z nim, błagam, nie chciej tak poczynać.
Worcester. To prawda, Percy, zbyt jesteś swawolny.
Odkąd tu jesteś, zrobiłeś już dosyć,
Aby mu wszelką odebrać cierpliwość.
Lecz musisz z tego błędu się poprawić,
Który, choć często znaczy wielkość, męstwo,
I krwi szlachetność, jak w twojej osobie,
To częściej zdradza szorstką popędliwość,
Brak wychowania i władzy nad sobą,
Dumę, wzgardliwość i zarozumienie.
Z wad tych najmniejsza, w szlachcicu odkryta,
Miłość mu ludzką wykrada, a plamę
Na wszystkich jego wyciska przymiotach,
Która im cały urok ich odbiera.
Hotspur. Toż wziąłem lekcyę! daj wam Boże zdrowie!
To żony nasze; czas się z nimi żegnać.
(Wchodzi Glendower z paniami).
Mortimer. Jakaż to męka, że ja po walijsku,
A po angielsku ma nie mówi żona!
Glendower. Ma córka płacze, nie chce cię opuścić,
Chce być żołnierzem, na wojnę iść z tobą.

Mortimer. Powiedz jej, ojcze, że z ciotką mą, Percy,
Pośpieszy za mną pod twoją eskortą.
(Glendower mówi do córki po walijsku, która mu odpowiada w tym samym języku).
Glendower. Uparta dziewka, ani chce ustąpić;
Żadna perswazya nic u niej nie wskóra.
(Lady Mortimer mówi do męża po walijsku).
Mortimer. Rozumiem piękny spojrzeń twoich język,
Z tych wzdętych niebios płynące wyrazy
Rozumiem dobrze, gdybym się nie wstydził,
W tymże języku dałbym ci odpowiedź.
(Lady Mortimer mówi).
Rozumiem także twe pocałowania,
Tak jak ty moje; tkliwa to rozmowa;
Lecz nie dam sobie chwili wypoczynku,
Póki się twojej nie nauczę mowy;
Twój język bowiem tym walijskim dźwiękom
Daje piosneczek harmonijnych urok,
W letniej altanie, przez piękną królowę,
Nuconych wdzięcznie przy odgłosie lutni.
Glendower. Jeśli ty miękniesz, ona oszaleje.
(Lady Mortimer znowu mówi).
Mortimer. Ach, na to jestem wcielonym nieukiem.
Glendower. Chce, żebyś usiadł na miękkiem sitowiu,
Twe drogie czoło na łonie jej złożył,
Ona zanuci pieśń ci ulubioną,
Na twe powieki boga snu przywoła,
Rozkoszną ciężkość po krwi twej rozleje,
I tak czuwanie ze snem ci poplata,
Jak poplątana ciemność jest ze światłem
Godziną przódy, nim u wschodu bramy
W złotych przyborach, ogniste rumaki
Podróż rozpoczną po niebieskich szlakach.
Mortimer. Z całego serca, siądę, będę słuchał;
Tymczasem, myślę, akt będzie spisany.
Glendower. Siądź, a muzyka, co ma ci przygrywać,
Wisi w powietrzu stąd o mil tysiące,
Lecz wraz przybędzie; siadaj więc i słuchaj.
Hotspur. Chodź tu, Kasiu; niema ci równej, gdzie idzie o leżenie; śpiesz się tylko, śpiesz się, żebym mógł położyć głowę na twojem łonie.
Lady Percy. Cicho, ty roztrzepana gąsko.
(Glendower wymawia kilka słów walijskich; odzywa się muzyka).

Hotspur. Rozumie, widzę, dyabeł po walijsku,
Nic też dziwnego, że tak jest kapryśny;
Lecz doskonały jest z niego muzykant.

Lady Percy. To ty powinienbyś z kośćmi być muzykantem, bo kaprys jest twoim wszechwładnym panem. Leż spokojnie, ty złodzieju, a słuchaj damy śpiewającej po walijsku.

Hotspur. Wolałbym raczej słuchać Damy, mej wyżlicy, wyjącej po irlandzku.

Lady Percy. Czy chcesz, żebym ci kark skręciła?

Hotspur. Bynajmniej.

Lady Percy. To leż cicho.

Hotspur. Ani myślę; to niewieścia przywara.

Lady Percy. Więc idź z Bogiem!

Hotspur. Do łożnicy walijskiej damy?

Lady Percy. A to co znowu?

Hotspur. Cicho! zaczyna. *(Lady Mortimer śpiewa pieśń walijską).* Dalej, Kasiu, na ciebie kolej; musisz mi zaśpiewać.

Lady Percy. Nie, daję słowo.

Hotspur. Nie, dajesz słowo? Moje serduszko, przysięgasz jak żona cukiernika. Nie, daję słowo; tak, to prawda jak żyję; tak mi dopomóż Boże, i: bo to tak pewne jak dzień;
Przysięga twoja tak z jedwabiu szyta,
Jakbyś nie wyszła nigdy za Finsbury;[1])
Przysięgaj, Kasiu, jak damie przystoi,
Dobrą przysięgą co gębę napełnia;
A »daję słowo« i owe przysięgi,
Co się z piernika zdają ulepione,
Zostaw kupcowym w aksamitnych bramach,
I kupcom w szatach niedzielnych. No, śpiewaj.

Lady Percy. Nie chcę.

Hotspur. To najpewniejszy sposób, żeby uchodzić za krawca lub wychowywacza gilów. — Byle akta były gotowe, za dwie godziny wyruszam; kto chce, proszę za mną. *(Wychodzi).*

Glendower. Idźmy. Mój zięciu, tak jesteś leniwy,
Jak jest gorący Percy do wymarszu.

---

[1]) Finsbury było w XVI wieku ulubionem miejscem przechadzki mieszczan londyńskich.

W tej chwili pewno gotowe są akta;
Przyłożym pieczęć, i na koń co prędzej.

Mortimer. Z całego serca.
(Wychodzą).

SCENA II.

Londyn. Sala w pałacu.

(Wchodzą: Król Henryk, Książę Walii, panowie).

Król Henryk. Ustąpcie teraz, bo z książęciem Walii
Chwilę prywatnej rozmowy mieć pragnę;
Nie opuszczajcie jednak murów zamku,
Bo was niedługo będę potrzebował.
(Panowie wychodzą).
Nie wiem, za jakie ciężkie moje grzechy
Bóg w tajemniczych rozrządził wyrokach,
Że z krwi się mojej zrodziła ma chłosta.
Bieg twego życia wierzyć mnie przymusza,
Że cię jedynie niebo naznaczyło
Na zemsty rózgę za me przewinienia;
Inaczej bowiem nizkie namiętności,
Nikczemne, podłe, rozpustne zachcianki,
Marne rozkosze i nieokrzesanych
Koło przyjaciół, w które sam się wplotłeś,
Z twej krwi wielkością mogłyżby iść w parze,
Stawać do równi z książęcem twem sercem?

Ks. Henryk. Jakżebym pragnął, miłościwy panie,
Tak wszystkie wady me usprawiedliwić,
Jak mi nie trudno będzie się oczyścić
Z mnogich oskarżeń na mnie zaniesionych.
Pozwól mi tylko na względność twą liczyć,
Gdy fałsz niejednej wykażę powieści,
Którą w królewskie szepce nieraz ucho
Podły nowiniarz, z lizusa uśmiechem,
Pozwól rachować na twe przebaczenie,
Gdy szczerym żalem pewne błędy wyznam,
W które się młodość moja zabłąkała.

Król Henryk. Odpuść ci Boże! lecz dziwić się muszę,
Jak twe zapędy mogły cię odstrychnąć
Od przodków twoich szczytnego polotu.
Twe miejsce w Radzie straciłeś prostactwem,

I brat twój młodszy zastąpić cię musiał.
Wszystkie już prawie postradałeś serca
Mojego dworu i krwi mojej książąt;
Wszystkie nadzieje o twojej przyszłości
Zmarniały dawno; każdy mój poddany
Proroczym duchem upadek twój widzi.
Gdybym tak szczodry był w mej zażyłości,
Tak ludzkim oczom się pospolitował,
Tak się sromocił gminnem towarzystwem,
Opinia, co mi do tronu pomogła,
Posiadaczowi zostałaby wierną,
W cieniach wygnania do dziś zostawiła
Mężem bez wpływu, blasku i znaczenia.
Rzadko widziany, każdym moim ruchem
Budziłem ludzki podziw, jak kometa;
»To on«, wołały matki do swych dzieci;
Wszyscy pytali: »kto? gdzie jest Bolingbroke?«
Potem uprzejmość wszelką niebum wykradł,
Takiej pokory płaszczem się odziałem,
Że hołdy wszystkie składały mi serca,
Z wszystkich ust głośne witały okrzyki
W monarchy nawet mego obecności,
To też mój urok świeżość swą zachował,
Moja obecność, jak kapłańska szata,
Budziła podziw, gdzie się pojawiła;
Widok mój rzadki, lecz świetny, był świętem,
Rzadkością zyskał swoją uroczystość.
Z miejsca na miejsce król się wałęsając
W kole trefnisiów, których pusty dowcip,
Jak chróstu wiązka, gasł zaledwo błysnął,
Zużywał swego majestatu dzielność,
Godność królewską w błaznów błocie nurzał,
Swe wielkie imię szyderstwem ich kalał,
Swoją dostojność wydał dobrowolnie
Na pastwę żartom i śmiechom swych paziów,
Lada wyrostka urągań był celem,
A po ulicach wciąż się wałęsając,
Ulicznych tłumów stał się też lennikiem,
Codzień ich oczy swym widokiem karmił,
Wszystkie też miały tego miodu przesyt,
Wszystkie uczuły wstręt do tej słodyczy,
Której najmniejszy nad mało dodatek
Dla podniebienia więcej jest niż wiele.

Gdy też miał kiedy potrzebę wystąpić,
Był jak kukułka w czerwcu, choć ją słyszy,
Nikt o nią nie dba: naród nań poglądał
Z przyzwyczajenia okiem przytępionem,
Bez ciekawości natrętnej, bez dziwu,
Z jakiem na słońce majestatu patrzy,
Co wielbicieli rzadko świeci oczom;
Lud nań poglądał źrenicą uśpioną,
Napół zamkniętą, pół senną powieką,
Z wyrazem twarzy, z jakim rozgniewany
Na przeciwnika swojego pogląda,
Widokiem jego syty, przepełniony.
I ty, Henryku, na tę wbiegłeś drogę,
Twe przywileje straciłeś książęce
W motłochu śmieciach; nie znajdziesz też oka
Nie znudzonego twym ciągłym widokiem,
Tylko me częściej pragnie cię oglądać,
Bo i dziś nawet, mimo mojej woli,
Przez głupią czułość, ślepe na twe wady.
Ks. Henryk. Na przyszłość, trzykroć miłościwy panie,
Wierzaj mi, będę więcej samym sobą.
Król Henryk. Jakim dziś jesteś, był podówczas Ryszard,
Gdym w Ravenspurghu z Francyi wylądował;
Jakim ja wtedy, takim Percy dzisiaj;
A na me berło, na moje zbawienie,
Do tronu Anglii lepszy on ma tytuł
Niźli ty, cieniu dziedzica korony;
Bo on, bez prawa, bez pozoru prawa,
Tłumami zbrojnych zalał nasze pola,
Lwiej paszczy stawia nieulękłe czoło,
A choć nie więcej jak ty latom dłużny,
Podeszłych lordów, wielebnych biskupów
Na plac morderczych prowadzi zapasów.
Jakiejże chwały nieśmiertelne żniwo
Zebrał już w boju przeciw Douglasowi,
Którego czyny, gorące napady,
Którego imię w stu bitwach wsławione
Pierwszym go z wszystkich zrobiły żołnierzy,
Dały mu tytuł pierwszego rycerza
Po wszystkich ziemiach wiary chrześcijańskiej.
Trzykroć ten Hotspur, nowy Mars w pieluchach,
To dziecię-żołnierz, wielkiego Douglasa
Na głowę pobił, raz w niewolę pojmał,

Wolność mu wrócił, skojarzył z nim przyjaźń,
Tak, że zuchwałym dziś wyzwania głosem
Tronu mojego wstrząsa podwaliny.
A ty co na to? Percy, Northumberland,
I arcybiskup przewielebny Yorku,
Douglas, Mortimer przymierzem związani,
Powstali na mnie; ale co dla ciebie
Podobne wieści? Na co mi się przyda
O wrogach mówić do ciebie, Henryku,
Który najbliższym moim jesteś wrogiem?
Co może pierwszy, w trwodze niewolniczej,
W nizkości uczuć, w wybuchach kaprysu,
Uderzysz na mnie, jurgieltnik Percego,
U stóp się jego czołgając jak kundel,
Każdemu jego posłuszny skinieniu,
Aby twą całą wyrodność objawić.

Ks. Henryk. Nie myśl tak, ojcze; nie, nie, tak nie będzie.
Niech Bóg przebaczy tym, co potrafili
Do tego stopnia odwrócić ode mnie
Twoją przychylność, miłościwy panie!
Odkupię wszystko na głowie Percego.
Pierwszy bój krwawy da mi moje prawo
Śmiało powiedzieć, żem twoim jest synem,
Gdy odzież moja krwią się pomaluje,
Kiedy twarz moja krwawą maskę włoży,
Która omyta hańbę moją zmyje.
Dzień mi ten zejdzie, w którym po raz pierwszy,
To chwały dziecię, ten Hotspur waleczny,
Ten pierwszy rycerz ze wszystkich rycerzy,
Z twym zapoznanym Henrykiem się spotka.
Na hełmie jego bodaj każdy honor
Stokroć się zmnożył! bodaj na mej głowie
Każda ohyda w dwójnasób się wzmogła!
Bo przyjdą czasy, w których ten północy
Zuchwały młodzik całą swoją chwałę
Dać musi w zamian za moją niegodność.
Panie mój, Percy tylko jest oraczem,
Co dla mnie zbiera czynów świetnych plony;
Tak ścisłej liczby od niego zażądam,
Że każdą chwałę będzie musiał zwrócić,
Ludzkich uwielbień choć najmniejszą szczyptę.
To, w imię Boga, przyrzekam ci, ojcze;
Gdy on w swej łasce da mi się uiścić,

Niech twej dobroci balsam zgoi rany
Mej zastarzałej niewstrzemięźliwości;
Gdy nie, żywota koniec zrywa wszystko;
Jam gotów raczej tysiąc razy umrzeć,
Niż śluby moje zgwałcić choć na jotę.

Król Henryk. To wyrok śmierci buntowników kroci.
Hufce ci moje z ufnością powierzam.
(Wchodzi Blunt).
Co tam nowego? z twych oczu znać pośpiech.

Blunt. Pośpiechu żąda sprawa, którą niosę.
Mortimer z Szkocyi przysyła nowiny,
Że Douglas już się połączył w Shrewsbury,
Jedenastego dnia tego miesiąca,
Z buntownikami; nigdy większy zastęp,
Byle z nich każdy w przedsięwzięciu dotrwał,
Ziemi tej burzą nie groził straszniejszą.

Król Henryk. Dzisiaj wyruszył hrabia Westmoreland,
A z nim pociągnął syn mój, Jan z Lancaster,
Bo te nowiny są już pięć dni stare.
Ty, mój Henryku, w przyszłą środę ruszysz,
Ja sam we czwartek; Bridgenorth miejsce zejścia.
Henryku, weźmiesz drogę na Gloucestershire.
Biorąc na wagę wszystkie nasze sprawy,
Upłynie jeszcze jakich dni dwanaście,
Nim w Bridgenort wszystkie skoncentrujem siły.
Idźmy! spraw ważność pośpiechu nas uczy,
A każda zwłoka wrogów naszych tuczy.
(Wychodzą).

SCENA III.

Eastcheap. Izba w oberży pod Głową Odyńca.

(Wchodzą: Falstaff i Bardolf).

Falstaff. Bardolfie, czy nie podupadłem nikczemnie od tej ostatniej rozprawy? Czy się widocznie nie topię, czy nie niknę? Patrz tylko, moja skóra wisi na mnie, jak starej pani przestronna suknia; pomarszczyłem się, jak zwiędła reneta. Co robić! Wezmę się do pokuty czemprędzej, póki jeszcze zostało mi trochę mięsa; niedługo stracę serce, a wtedy sił już mi nie stanie do pokuty. Jeślim do szczętu nie zapomniał jak wygląda wnętrze

kościoła, to jestem ziarnkiem pieprzu, koniem piwowara. Wnętrze kościoła! Towarzystwo, złe towarzystwo przyprawiło mnie o zgubę.

Bardolf. Sir John, tak się frasujesz, że trudno, abyś żył długo.

Falstaff. To moje zdanie. Więc zanuć mi jaką piosenkę rozpustną, rozwesel mnie trochę. Miałem ja niegdyś cnotliwe skłonności, jak to na szlachcica przystoi; dość byłem cnotliwy, kląłem niewiele, w kostki nie grałem więcej, jak siedm razy na tydzień, nie chodziłem do zamtuza częściej, jak raz na ćwierć — godziny, oddałem, com pożyczył, jakie trzy lub cztery razy, żyłem uczciwie i w miarę, gdy teraz żyję nierządnie i nad wszelką miarę.

Bardolf. Bo widzisz, sir John, tak jesteś tłusty, że trudno, abyś nie żył nad miarę, nad wszelką rozumną miarę, sir John.

Falstaff. Napraw ty twoją twarz, a ja naprawię mój żywot. Jesteś naszym admirałem, zawiesiłeś latarnię na rufie, to jest na własnym nosie; jesteś rycerzem gorejącej lampy.

Bardolf. Twarz moja, sir John, nie robi ci żadnej krzywdy.

Falstaff. Żadnej, przysięgam. Obracam ją na tak dobry uczynek, jak kto inny trupią głowę; to moje *memento mori.* Ile razy na twarz twoją spojrzę, myślę o piekielnym ogniu, o złym bogaczu, który żył w purpurze, i widzę go tam w jego szatach, jak gore, gore, gore. Gdybyś choć trochę hołdował cnocie, na twoją twarzbym przysięgał, a moja przysięga byłaby tej treści: na ten ogień, który jest bożym aniołem. Ale jesteś bez ratunku zgubiony, i gdyby nie to światło na twojej twarzy, byłbyś synem najgłębszej ciemności. Kiedy pędziłeś na wierzchołek Gadshill w nocy po mojego konia, jeśli nie myślałem, że byłeś *ignis fatuus,* albo ognistą kulą, to za pieniądze nic nie dostanie. O, ty jesteś wiecznym tryumfem, nieustającym fajerwerkiem radości. Oszczędziłeś mi tysiąc grzywien na kagańce i pochodnie, towarzysząc mi po nocach od szynkowni do szynkowni, tylko, że za wino, które mi wypiłeś, mógłbym kupić sobie światło u najdroższego mydlarza w Europie. Tę twoją salamandrę karmiłem ogniem bez przestanku przez te ostatnie trzydzieści dwa lata; niech ci za to Bóg zapłaci!

Bardolf. Do krocset beczek, bodaj twarz moja była w twoim brzuchu!

Falstaff. Chryste Jezu! Dostałbym niewątpliwie zapalenia kiszek. *(Wchodzi gospodyni).* Co tam nowego, pani kuro kwoczko? Czy się dowiedziałaś, kto mi wypróżnił kieszenie?

Gospodyni. A to co znowu, sir John? Co ty sobie myślisz, sir John? Czy myślisz, że ja trzymam złodziei w moim domu? Szukałam, pytałam; mąż mój ze swojej strony szukał i pytał człowieka po człowieku, chłopca po chłopcu, sługę po słudze; dziesiąta część włoska jeszcze nie zginęła w moim domu.

Falstaff. Łżesz, mościa gospodyni; Bardolf kazał się tu golić i stracił więcej niż włos jeden. Co do mnie, jestem gotów przysiądz, że moje kieszenie były wypróżnione. Daj sobie pokój, jesteś kobietą, daj sobie pokój.

Gospodyni. Kto? ja? Nigdy! Nigdy jeszcze tak mnie nie nazywano we własnym moim domu.

Falstaff. Daj sobie pokój, znam ja cię dobrze.

Gospodyni. Nie, sir John, nie znasz mnie dobrze, sir John, ale ja cię znam dobrze, sir John; jesteś mi dłużny, sir John, a teraz szukasz zaczepki, żeby mnie skwitować. Kupiłam ci na grzbiet tuzin koszul.

Falstaff. Ze zgrzebnego płótna, paskudnego zgrzebnego płótna; rozdałem je między piekarki, które z nich porobiły pytle.

Gospodyni. Jak jestem uczciwa niewiasta, z prawdziwego holenderskiego płótna, na ośm szylingów łokieć. Winieneś tu prócz tego, sir John, za stół i napitek *extra,* a prócz tego pożyczyłam ci gotowizną dwadzieścia i cztery funty.

Falstaff. I on z nich korzystał, niech ci zapłaci.

Gospodyni. On? Niestety! to biedaczyna, nie ma szeląga.

Falstaff. Co? Biedaczyna? Na twarz mu tylko spojrzyj. Co ty nazywasz bogatym? Niech przebiją na monetę nos jego, niech przebiją na monetę jego policzki; nie zapłacę jednego grosza. Co, czy mnie bierzesz za dudka? Toć mi nie wolno wygodzić sobie w mojej własnej gospodzie, żeby mi zaraz nie wypróżniono kieszeni? Straciłem sygnet mojego dziada, czterdzieści grzywien wartający.

Gospodyni. Słyszałam księcia powtarzającego nie wiem już ile razy, że sygnet był tombakowy.

Falstaff. Co, książę? To hołysz, to nicpoń, i gdybym go miał tu pod ręką, obłożyłbym go jak psa kijami, gdyby mi to powiedział. *(Wchodzą: Książę Henryk i Poins, krokiem marszowym, Falstaff idzie na ich spotkanie, udając laską, że gra na piszczałce).* Hę? jakto, mój chłopcze, czy naprawdę w tę stronę wiatr wieje? Czy musim wszyscy wymaszerować?

Bardolf. Tak jest, a dwójkami, zupełnie jak w Newgate.

Gospodyni. Racz mi dać posłuchanie, książę.

Ks. Henryk. Co masz mi do powiedzenia, moja pani Żwawińska? Jakże zdrowie twojego męża? Serdecznie go kocham, bo to uczciwy człowiek.

Gospodyni. Dobry mój książę, racz mnie wysłuchać.

Falstaff. Nie zważaj na nią, proszę, słuchaj mnie raczej.

Ks. Henryk. Co chcesz powiedzieć, Jasiu?

Falstaff. Gdy ostatniej nocy zasnąłem, tu za obiciem wypróżniono mi kieszenie. Dom ten zmienił się na zamtuz, na kwaterę rzezimieszków.

Ks. Henryk. Co straciłeś, Jasiu?

Falstaff. Czy uwierzysz, Henrysiu? Trzy lub cztery bilety na pięćdziesiąt funtów każdy, prócz tego sygnet mojego dziada.

Ks. Henryk. Bagatela, rzecz nie warta ośmiu groszy.

Gospodyni. Właśnie mu to powiedziałam, mości książę, dodając, żem to słyszała z własnych ust waszej dostojności, ale on, mości książę, mówił o tobie w najnieuczciwszych wyrazach, jak się spodziewać należało po człowieku z tak niewyparzoną gębą, dodał nawet, że cię kijami obłoży.

Ks. Henryk. Nie, to być nie może.

Gospodyni. Jeśli to nie prawda, powiedz, że niema we mnie ani wiary, ani uczciwości, ani białogłowstwa.

Falstaff. Nie więcej w tobie wiary, jak w gotowanej śliwce, i nie więcej prawdy, jak w wykurzonym lisie, a co do twojego białogłowstwa, panna Maryanna[1]) mogłaby prędzej od ciebie zostać żoną konstablowego porucznika. Daj sobie pokój, ty stworzenie, daj sobie pokój.

[1]) Panna Maryanna, kochanka Robin-Hooda; w popularnych farsach była zwykle przedstawiana przez mężczyznę.

Gospodyni. Co za stworzenie? powiedz, co za stworzenie?

Falstaff. Co za stworzenie? a jużci boże stworzenie.

Gospodyni. Nie jestem wcale bożem stworzeniem, wiedz o tem; jestem żoną uczciwego człowieka, a ty, mimo twego rycerstwa, jesteś gburem, tak mnie nazywając.

Falstaff. Mimo twojego białogłowstwa, jesteś bydlęciem, mówiąc inaczej.

Gospodyni. Powiedz, jakiem bydlęciem, ty hultaju.

Falstaff. Jakiem bydlęciem? wydrą.

Ks. Henryk. Wydrą, sir John? Dlaczego wydrą?

Falstaff. Dlaczego? bo to ani ryba, ani mięso; ani wie człowiek gdzie ją złapać.

Gospodyni. Nie masz sumienia, gdy tak mówisz; jak ty, tak każdy inny wie dobrze, gdzie mnie złapać, ty hultaju!

Ks. Henryk. To prawda, gospodyni, najnieuczciwiej cię potwarza.

Gospodyni. Jak i ciebie, mój książę. Toć on niedawno mi powiedział, że mu winieneś tysiąc funtów.

Ks. Henryk. Co, mopanku, czy ci winienem tysiąc funtów?

Falstaff. Tysiąc funtów, Henrysiu? Winieneś mi milion. Miłość twoja warta milion, a winieneś mi twoją miłość.

Gospodyni. A do tego, mości książę, nazwał cię hołyszem i powiedział, że cię obłoży kijami.

Falstaff. Czy powiedziałem, Bardolfie?

Bardolf. Tak jest, sir John, powiedziałeś.

Falstaff. Prawda, na przypadek, gdyby utrzymywał, że mój sygnet był tombakowy.

Ks. Henryk. Utrzymuję, że twój sygnet był tombakowy. Czy będziesz śmiał dotrzymać teraz słowa?

Falstaff. Słuchaj, Henrysiu, wiesz, że o ile jesteś człowiekiem, śmiałbym, ale o ile jesteś księciem, boję ci się, jak się boję ryku lwięcia.

Ks. Henryk. A czemu nie lwa?

Falstaff. Króla tylko jak lwa bać się należy. Czy myślisz, że ci się bać będę, jak się boję twojego ojca? Bynajmniej, jeśli ci się tak boję, bodaj mi się pas mój przepękł!

Ks. Henryk. A gdyby się przepękł, tożby dopiero twoje bebechy na kolana ci zleciały! Ale, mopanku, w twoich piersiach niema miejsca na wiarę, prawdę i uczciwość; wszystko zajęły bebechy i osierdzie. Oskarżać uczciwą

niewiastę, że ci wypróżniła kieszenie! A ty skurwysynie, bezczelniku, wydęty hultaju, jeśli w twojej kieszeni było co więcej nad szynkowne rachunki, zamtuzowe notatki i za grosz lodowatego cukru na twoją dychawicę, jeśli twoje kieszenie były bogate w jakie inne jeszcze śmiecie, to jestem ostatnim człowiekiem. Upierasz się jednak przy swojem, nie chcesz schować do kieszeni afrontu. Czy nie masz wstydu?

Falstaff. Słuchaj, Henrysiu, wszak wiesz, że w stanie niewinności upadł Adam, a cóż miał robić biedny Jasiek Falstaff w czasach niegodziwości? Wszak widzisz, że więcej mam ciała od innych ludzi, a zatem i więcej ułomności. Wyznajesz więc, że mi wypróżniłeś kieszenie?

Ks. Henryk. Tak się pokazuje z powieści.

Falstaff. Gospodyni, przebaczam ci. Idź teraz, przyrządź nam śniadanie, kochaj twojego męża, doglądaj sług, a pielęgnuj gości; znajdziesz mnie zawsze, o ile być może, wyrozumiałym; widzisz, że się uspokoiłem. Czy nie dość ci na tem? Tylko cię proszę idź sobie z Bogiem. *(Wychodzi gospodyni).* A teraz, Henrysiu, przystąpmy do nowin od dworu. Naprzód co do rabunku, mój chłopaku, załatwiłeś tę sprawę?

Ks. Henryk. Moja ty słodka wołowino, zawsze być muszę twoim dobrym aniołem: zwrócone już są pieniądze.

Falstaff. Wcale mi nie do smaku to zwrócenie: to praca podwójna.

Ks. Henryk. Pogodziłem się z moim ojcem; mogę dziś wszystko, co zechcę.

Falstaff. A więc na pierwszą próbę zrabuj mi skarb publiczny, a zrabuj, rąk nie myjąc.

Bardolf. Usłuchaj go, mości książę.

Ks. Henryk. Otrzymałem dla ciebie, Jasiu, miejsce w piechocie.

Falstaff. Wolałbym w konnicy. Gdzie ja znajdę dobrego złodzieja? Cobym nie dał za ćwiczonego złodzieja, mniej więcej dwadzieścia dwa lata liczącego! Strasznie koło mnie krucho! Co robić! Dzięki Bogu, że ci buntownicy tylko na uczciwych ludzi się zawzięli; pochwalam ich, wielbię ich za to.

Ks. Henryk. Bardolf!

Bardolf. Mości książę?

Ks. Henryk. List ten poniesiesz do Jana z Lancaster

Mojego brata; ten wręczysz lordowi
Westmorelandu. — A my na koń, Poins!
Bo nim wybije godzina obiadu,
Mamy trzydzieści mil przegalopować.
Jasiu, o drugiej jutro popołudniu
Nie zaśpij tylko w Temple-hall na mnie czekać,
Tam moje dalsze odbierzesz rozkazy
I na kompanii twej zaciąg fundusze.
Kraj w ogniu; Percy ciągnie na swych czele,
Jeden z nas padnie, dwóch nas tu za wiele.
(Wychodzą: Książę, Poins, Bardolf).

Falstaff. Prześliczne słowa! Teraz, gospodyni,
Daj mi śniadanie; ach, co to za szkoda,
Że bębnem moim ta nie jest gospoda!
(Wychodzi).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Obóz buntowników, niedaleko Shrewsbury.

(Wchodzą: Worcester, Hotspur, Douglas).

Hotspur. Dobrześ rzekł, Szkocie, i gdyby słów prawdy
Wiek nasz wykwintny nie brał za pochlebstwo,
Takie świadectwo Douglas-by odebrał,
Że żaden żołnierz w naszych bity czasach
Równego jemu obieguby nie miał.
Bóg mi jest świadkiem, pochlebiać nie umiem,
Z duszy się brzydzę lizusa językiem,
Ale nikt w serca mojego głębinach
Lepszego miejsca niż ty nie zajmuje;
Jeśli chcesz, słowa moje weź na próbę.

Douglas. O wiem, tyś królem honoru. Co do mnie,
Tak potężnego świat ten nie zna męża,
Któremu kroku dotrzymaćbym nie śmiał.

Hotspur. Dotrzymaj, lordzie, a wnet sprawa nasza
Skończy się dobrze. *(Wchodzi posłaniec z listami).*
Cóż to są za listy?
(Do Douglasa).
Na teraz tylko dziękować ci mogę.

Posłaniec. Przynoszę listy od twojego ojca.
Hotspur. Listy od ojca? Czemuż sam nie przyszedł?
Posłaniec. Bo sam przyjść nie mógł; w ciężką popadł [niemoc.
Hotspur. Do kata! jak on czas na niemoc znalazł
W tej zawierusze? A kto go zastąpił?
Pod czyją wodzą hufce jego ciągną?
Posłaniec. Nie ja, lecz list ten myśli jego niesie.
Worcester. Czy go o łoże powaliła niemoc?
Posłaniec. Nim wyruszyłem, dni już cztery leżał,
A w samej chwili mojego odjazdu
Źle o nim jego tuszyli lekarze.
Worcester. Wolałbym, żeby wyzdrowiały sprawy
Przód, nim on zapadł. Nigdy jego zdrowie
Nie było dla nas tak drogie, jak dzisiaj.
Hotspur. Chory! omdlały! Ta jego choroba
Naszych przedsięwzięć krew najlepszą warzy,
I do obozu naszego przesiąka.
Pisze mi, że to wewnętrzne cierpienia;
Że wszystkich na czas pościągać przyjaciół
Przez posłanników było niepodobna,
Że mu stosowną nie zdało się rzeczą
Sprawę tak wielką, ważną, niebezpieczną,
Z rąk swych wypuszczać, innemu powierzyć;
Jednakże śmiałą przesyła nam radę,
Aby próbować szczęścia z naszą garstką,
Bo niepodobna, mówi, cofnąć kroku,
Gdy niewątpliwie już król wie o wszystkiem.
Co mówisz na to?
Worcester. Ojca twego słabość
Jest paraliżem dla nas.
Hotspur. Ciężką raną,
Jakby nam rękę uciął nieprzyjaciel.
Lecz nie, na honor, jego nieobecność
Nie jest tak zgubna, jakby się zdawało.
Bo rozważ tylko, byłożby roztropnie
Na jedną kartę skarb nasz cały stawić,
I ryzykować całe nasze mienie
Na hazard jednej, wątpliwej godziny?
Tożbyśmy wrogom naszym pokazali
Naszych nadziei treść całą i duszę,
I kresy naszej fortuny ostatnie.
Douglas. I ja zupełnie twe podzielam zdanie.

Skoro nam odwód zostaje potężny,
Śmiało możemy tem co tu szafować
W nadziei tego, co nam przyszłość chowa.
Hotspur. Tam pewny dla nas odwrót i posiłek,
Plac zboru, twierdza, bezpieczne schronienie,
Jeśli na naszych przedsięwzięć dziewictwo
Nieszczęście jakie z dyabłem się sprzysięże.
Worcester. Wolałbym jednak, by tu był twój ojciec.
Nasz plan subtelny nie cierpi rozdziału;
Pomyślą bowiem ludzie nieświadomi
Powodów jego tu nieobecności,
Że hrabia nasze potępia działania
Przez swoją mądrość i wierność królowi.
Rozważ, jak zdolne takie przypuszczenie
Ostudzić zapał naszego stronnictwa,
W powątpiewanie sprawę naszą poddać.
Wiecie, że pierwsi biorąc się do szabli,
Strzedz się musimy od zbytku rozwagi
I szczelnie wszystkie pozatykać szpary,
Któremi oko mogłoby rozumu
Rzucić ciekawe swe na nas spojrzenie.
Teraz, twojego ojca nieobecność
Zdziera zasłonę, i w całej nagości
Niebezpieczeństwo stawia nieświadomym,
O którem przódy ani się im śniło.
Hotspur. Nazbyt głęboko twoich szukasz wniosków;
Ja znów inaczej tłómaczę tę sprawę:
Widzę, że ojca mego nieobecność
Blask rzuca większy na śmiały nasz zamach,
Lepsze mniemanie u świata nam jedna,
Bo ludzie będą zmuszeni przypuścić,
Że jeśli możem bez jego pomocy
Całej monarchii śmiałe stawić czoło,
To połączeni z jego hufców siłą,
Przewrócim wszystko do góry nogami.
Wszystko więc jeszcze bezpieczne i całe.
Douglas. Jak pragnie serce. Zresztą, w naszej Szkocyi
Nikt jeszcze słowa: trwoga, nie wymówił.
(Wchodzi sir Ryszard Vernon).
Hotspur. Mój kuzyn, Vernon! Witamy cię z duszy.
Vernon. Daj Boże, aby godne powitania
Wieści me były! Hrabia Westmoreland

Z siedmiotysięczną armią na nas ciągnie,
Z nim Jan Lancaster.
Hotspur. Nic złego; co więcej?
Vernon. Słyszałem także, że i król wyruszył,
Że forsownymi śpieszy tu marszami
Na czele hufców licznych i potężnych.
Hotspur. I jego także z radością zobaczym.
A szybkonogi wartogłów, syn jego,
Gdzie Walii książę z swych przyjaciół kołem,
Co to drwią z świata?
Vernon. Wszyscy wdziali zbroje,
A wymuskani jak sokół, gdy z wiatrem
Za łupem goni, jak orzeł, co skrzydła
Świeżo w potoku jasnej wody skąpał;
Złote ich zbroje jak obrazy świecą,
Jak dzień majowy ich duch pełny ognia,
A ich spojrzenia jak lipcowe słońce;
Jak stado koźląt swawolnych weseli,
Jak młode byki zuchwali i dzicy.
Na własne oczy widziałem Henryka,
Z hełmem na skroniach, z blachami na nogach,
Z błyszczącą szablą w ręku, jak od ziemi
Niby skrzydlaty podskoczył Merkury,
I dosiadł z taką snadnością rumaka,
Jakgdyby anioł z chmur na ziemię zleciał,
By na ognistym harcować Pegazie,
I świat uczonem zachwycać toczeniem.
Hotspur. Skończ, skończ, bo gorsza niż marcowe słońce
Pochwała twoja febrę z sobą niesie.
Niech przyjdą! Przyjdą jak strojne ofiary,
Które poświęcim, gorące i krwawe,
Ognistookiej dziewicy Palladzie;
Na swym ołtarzu zbrojny Mars zasiędzie
We krwi po uszy. Idę konia dosiąść,
Polecę na nim i jak piorun spadnę
Na księcia Walii, Henryk na Henryka,
I koń na konia, z rąk nie puszczę stali,
Póki się jeden trupem nie powali.
Ach, gdzie Glendower!
Vernon. Jeszcze nie skończyłem.
W moim przejeździe słyszałem w Worcester,
Że mu potrzebne dwa jeszcze tygodnie,
By siły ściągnął.

Douglas. To wieść jest najgorsza
Z wszystkich poprzednich.
Worcester. Prawda, dźwięk ma zimny.
Hotspur. Ile królewskie może liczyć wojsko?
Worcester. Jakie trzydzieści tysięcy.
Hotspur. Przypuśćmy,
Że ma czterdzieści; choć na mego ojca,
Na Glendowera choć już nie czekamy,
Dość sił na wielką potrzebę tu mamy.
Dzień sądny blizko; czas stawić im czoło;
Gdy ginąć trzeba, to gińmy wesoło.
Douglas. Nie mów o śmierci, bo przez sześć miesięcy
Z jej się pogróżek śmieję i nic więcej.
(Wychodzą).

SCENA II.

Publiczny gościniec niedaleko Coventry.

(Wchodzą: Falstaff i Bardolf).

Falstaff. Pobiegnij przodem do Coventry i kup mi tam butelkę kseresu. Żołnierze nasi przeciągną przez miasto; musimy tej nocy stanąć w Sutton-Colfield.

Bardolf. Proszę o pieniądze, kapitanie.

Falstaff. Załóż za mnie, załóż za mnie.

Bardolf. Butelka kosztuje anioła.

Falstaff. Jeśli kosztuje anioła, to weź go za fatygę; a jeśli kosztuje dwadzieścia, zabierz wszystkie dwadzieścia; odpowiadam za pieniądze. Powiedz mojemu porucznikowi Peto, żeby się ze mną zeszedł na przedmieściu.

Bardolf. Nie omieszkam, kapitanie. Bądźcie zdrowi.
(Wychodzi).

Falstaff. Jeśli mnie nie wstyd moich żołnierzy, to jestem marynowaną płotką. Piekielniem nadużył królewskiej branki. Za stu pięćdziesięciu żołnierzy dostałem trzysta i coś funtów. Brałem tylko uczciwych gospodarzy i gospodarskich synów; wywiadywałem się o zaręczonych kawalerach, którym już wyszło dwie zapowiedzi, o ciepłych tchórzach, którym tak się chce słuchać bębna jak ryków dyabła, których odgłos karabina bardziej trwoży niż ranną kurę lub przestrzeloną dziką kaczkę; brałem tylko takich chleb z masłem, u których

w brzuchu nie większe serce od szpilczanej główki; wykupili się też od służby, a moja kompania składa się z chorążych, kaprali, poruczników, oficerów gołych jak Łazarz na obrazie, któremu psy obżartucha liżą rany; z hultajów, którzy nigdy nie byli żołnierzami; z wypędzonych za złodziejstwo lokajów; z młodszych synów młodszych braci; ze zbuntowanych szynkarczyków, zrujnowanych masztalerzy; z robactwa spokojnego świata i długiego pokoju, z urwiszów dziesięć razy obszarpańszych od starej, połatanej chorągwi. Takich mam zastępców na miejsce tych, którzy się wykupili, iżbyś powiedział, że w mojej kompanii znajduje się stu pięćdziesięciu obdartych marnotrawnych synów, dopiero co od stada wieprzów wracających, od swojej uczty z pomyj i łupin. Jakiś krotofilnik spotkał mnie na gościńcu i powiedział mi, żem zrabował wszystkie szubienice i zarekrutował wszystkich wisielców. Ludzkie oczy nie widziały jeszcze takich straszydeł. Ani myślę maszerować z nimi przez Coventry, to rzecz zdecydowana. Urwisze te maszerują rozkraczając nogi, jakby każdy miał na nich dyby; boć to i prawda, że większa część wychodzi prosto z więzienia. Cała kompania posiada półtorej koszuli, a ów półkoszulek to dwie serwety związane i zarzucone na ramiona jak heroldzki ornat bez rękawów; koszula zaś, jeśli mam powiedzieć prawdę, skradziona karczmarzowi w Saint-Alban, albo czerwononosemu szynkarzowi w Daventry. Ale mniejsza o to; znajdą dostatkiem bielizny na każdym płocie.

(Wchodzą: Książę Henryk i Westmoreland).

Ks. Henryk. Jak się masz, wydęty Jasiu? jak się masz, piernacie?

Falstaff. To ty, Henrysiu? to ty, wartogłowie? Co u dyabła robisz w Warwickshire? — Dobry mój lordzie Westmoreland, racz mi przebaczyć; myślałem, że wasza dostojność od dawna już w Shrewsbury.

Westmoreland. Masz racyę, sir John, wielki czas, żebyśmy się tam już obaj znajdowali. Ale moje hufce już tam dociągnęły; król, mogę cię zapewnić, wygląda nas niecierpliwie; musimy całą noc maszerować.

Falstaff. Ba, bądź o mnie spokojny; jestem czujny, jak kot skradający się do śmietany.

Ks. Henryk. Sądzę, że się już kot do śmietany dobrał, bo się jego kradzież w masło przemieniła. Ale powiedz mi, Jasiu, czyi to ludzie ciągną za nami?

Falstaff. To moi, Henrysiu, to moi ludzie.

Ks. Henryk. Nigdy jeszcze nie widziałem tak nędznych obszarpańców.

Falstaff. Ba, ba, dość są dobrzy, aby na ostrzach pik tańcować; karm dla prochu, karm dla prochu; tak dobrze rów zapełnią, jak od nich lepsi; ba, człowieku, śmiertelni ludzie! śmiertelni ludzie!

Westmoreland. Bardzo to dobrze, sir John, ale zdaje mi się, że zbyt są biedni i wyschli, zbyt wyglądają na żebraków.

Falstaff. Co do ich biedy, nie wiem, gdzie ją znaleźli; a co do ich wyschłości, jestem pewny, że się jej nie nauczyli ode mnie.

Ks. Henryk. Nie, przysięgam, chyba, że nazwiesz wyschłością trzy cale słoniny na żebrach. Ale śpiesz się, przyjacielu, już Percy wyruszył w pole.

Falstaff. Co? czy król stanął już obozem?

Westmoreland. Od dawna; boję się, żebyśmy nie przybyli za późno.

Falstaff. Idźmy!
Bo przyjść na koniec bitwy, początek wieczerzy,
Gorących znaczy gości, a zimnych żołnierzy.
(Wychodzą).

SCENA III.

Obóz buntowników, niedaleko Shrewsbury.

(Wchodzą: Hotspur, Worcester, Douglas i Vernon).

Hotspur. Atakujemy tej nocy.
Worcester. Nie można.
Douglas. To mu zapewni wyższość.
Worcester. Żadnej wcale.
Hotspur. Żadnej? Czy nie wiesz, na posiłki czeka.
Worcester. Jak my.
Hotspur. Lecz nasze bardzo są wątpliwe,
A jego pewne.
Worcester. Dobry mój kuzynie,
Usłuchaj rady, jeszcze noc tę czekaj.
Vernon. To moje zdanie.

Douglas. Złą dajecie radę:
Zimne ją serce i trwoga dyktuje.
Vernon. Kosztem żywota dowieść jestem gotów,
Że to są słowa potwarcze, Douglasie.
Tam, gdzie prawdziwy woła na mnie honor,
Tak jestem głuchy na trwogi podszepty,
Jak ty, lub inny Szkot dzisiaj żyjący.
Kto z nas jest tchórzem, pokaże się, lordzie,
Jutro, śród boju.
Douglas. Lub tej jeszcze nocy.
Vernon. Zgoda.
Hotspur. Tej nocy, tej nocy, powtarzam.
Vernon. To być nie może. Nie pojmuję wcale,
Jak doświadczeni tak jak wy rycerze
Nie widzą przeszkód wiążących nam dłonie.
Część jazdy mego kuzyna Vernona
Jest w drodze, ledwo co dzisiaj przybyła
Jazda twojego stryja Worcestera;
Jej ogień, zapał, napół teraz śpiące,
Jej męstwo długim osłabione marszem:
Żaden koń nie ma pół swojej dzielności.
Hotspur. Konnica wrogów nie w lepszym jest stanie
Ciężką zwątlona drogą prawie cała;
Naszej część większa dobrze wypoczęta.
Worcester. Królewskie hufce przechodzą nas liczbą.
Przez Boga, czekaj, aż nadciągnie reszta.
(Słychać trąbkę parlamentarską; wchodzi sir Walter Blunt).
Blunt. Od króla wnioski przynoszę łaskawe:
Raczcie poselstwa wysłuchać cierpliwie.
Hotspur. Witaj nam, panie! Boga o to proszę,
Aby sir Walter stał po naszej stronie!
Niejeden z naszych w swem chowa cię sercu,
Lecz i ten nawet z zazdrością pogląda
Na twe zasługi, twoje dobre imię,
Widząc, że jego uczuć nie podzielasz,
Że z wrogów jego stanąłeś drużyną.
Blunt. Uchowaj Boże, bym ją miał opuścić,
Póki, wychodząc za prawości szranki,
Na pomazańca głowę broń wznosicie. —
Teraz z mojego iszczę się poselstwa:
Król się was pyta o skarg waszych powód;
Co was skłoniło, że z łona pokoju
Wywołujecie niezgody straszydło,

A wiernej ziemi dajecie przykłady
Krwawej swawoli? Jeśli kiedykolwiek
Król pan o waszych zapomniał zasługach,
Które, przyznaje, wielkie są i mnogie,
Chce, byście wasze objawili żale,
A wszystko z lichwą spłaci wam natychmiast;
Przytem zupełne ręczy przebaczenie
Wam, i zbłąkanym przez wasze podszepty.
Hotspur. Król zbyt jest dobry i wie, dobrze wiemy,
Kiedy przyrzekać, kiedy trzeba płacić.
Ojciec mój, stryj mój i ja, na skroń jego
Koronę, którą nosi, włożyliśmy.
Kiedy dwadzieścia sześć lat ledwo liczył,
Nieznany światu, wzgardzony wygnaniec,
Gdy do ojczyzny chyłkiem się przekradał,
Ojciec mój dał mu uczciwe przyjęcie,
Gdy mu się zaklął, że wraca jedynie
O swe się księstwo Lancaster upomnieć,
O swe dziedzictwo i błagać o pokój,
W uczciwych słowach, ze łzą niewinności.
Do głębin serca ojciec mój wzruszony
Pomoc mu przyrzekł i słowa dotrzymał.
Ledwo ujrzeli państwa baronowie,
Że stronę jego trzyma Northumberland,
Mały czy wielki, czapkując pokornie,
Po wsiach i miastach drogę mu zabiegał,
Czekał na mostach, witał na gościńcach,
Składał ofiary, a przysiąg nie szczędził,
Swoich dziedziców dawał mu na paziów,
Świetnym mu tłumem wszędzie towarzyszył.
Wkrótce, gdy poznał swoich sił potęgę,
Krok poszedł wyżej nad to, co obiecał
Mojemu ojcu w krwi swojej ubóstwie,
Na pustych, nagich brzegach Ravenspurghu.
Niedługo, tak jest! poczyna reformę
Pewnych edyktów, surowych dekretów,
Zbyt uciążliwych dla biednego ludu;
Krzyczy na gwałty i płakać się zdaje
Nad nieszczęściami swej biednej ojczyzny.
Tak owinięty w płaszcz sprawiedliwości,
Pochwytał serca, które chciał ułowić,
I poszedł dalej; wszystkim faworytom
Pościnał głowy, których król zostawił

Jak namiestników w swej nieobecności,
Gdy na irlandzką sam pociągnął wojnę.
Blunt. Nie po tom przyszedł, bym się przysłuchiwał
Takim powieściom.
Hotspur. Idę więc do rzeczy:
Niedługo potem króla z tronu złożył,
Niedługo potem życie mu odebrał;
Wnet podatkami przeciążył kraj cały;
Co gorsza, okiem patrzył obojętnem
Gdy hrabia Marchii, (co byłby mu królem,
Gdyby właściciel każdy swoje posiadł)
Pojmany jeniec, od dawnego czasu,
W Walii daremno na swój czeka wykup;
Mnie, śród szczęśliwych zwycięstw upokorzył,
Chciał mnie w podstępów swoich chwycić matnię;
Mojego stryja z ław Rady swej wygnał;
Nowe przysięgi po przysięgach łamał,
Złe złem naprawiał, na wszystkiego domiar
Zmusił nas szukać naszego zbawienia
W zbrojnem powstaniu, i przyjrzeć się bliżej
Wartości jego praw, które się zdają
Zbyt nam wątpliwe, by mogły być trwałe.
Blunt. Czy mam królowi ponieść tę odpowiedź?
Hotspur. Nie, nie w tych słowach. Naradzim się przódy;
Ty wróć do króla; jeśli nam zaręczy
Bezpieczny powrót dla naszego posła,
Nasz stryj ze świtem pójdzie mu objawić
Żądania nasze. Teraz, bądź nam zdrowy.
Blunt. Radzę wam przyjąć, co wam ofiaruje
Łaska i dobroć.
Hotspur. Może też przyjmiemy,
Blunt. Spraw, wielki Boże, by się to ziściło!
(Wychodzą).

SCENA IV.

York. Sala w pałacu Arcybiskupa.

(Wchodzą: Arcybiskup Yorku i Dworzanin).

Arcybiskup. W drogę, Michale; z skrzydlatym pośpiechem
List ten poniesiesz do lorda Marszałka,
Ten do mojego kuzyna, a resztę

Wręczysz każdemu wedle ich adresu.
Gdybyś mógł wiedzieć, jak treść ich jest ważna,
Jednejbyś chwili czasu nie zmarnował.
Dworzanin. Treści ich, panie, domyślam się w części.
Acybiskup. Bardzo być może. Jutro, mój Michale,
Los wojowników dziesięciu tysięcy
Pójdzie na próbę; jutro, pod Shrewsbury,
Jak niewątpliwe dochodzą mnie wieści,
Król, z silną armią w pośpiechu ściągniętą,
Lorda Henryka hufce atakuje.
Lękam się bardzo, kochany Michale,
Bacząc na niemoc hrabi Northumberland,
Którego siły jądrem były związku,
Na Glendowera bacząc nieobecność,
Którego jakieś wstrzymały proroctwa
Z zastępem, wielkiej dla powstańców wagi,
Lękam się, żeby do rozprawy z królem
Siły Percego nie były za słabe.
Dworzanin. Nie masz powodów lękać się, mój panie,
Wszak jest tam Douglas, jest i lord Mortimer.
Arcybiskup. Mylisz się bardzo, niema Mortimera.
Dworzanin. Ale jest Mordake, Vernon, Henryk Percy,
Jest lord Worcester i tłum dzielnej szlachty.
Arcybiskup. Wszystko to prawda, lecz i król z swej strony
Wybór całego zgromadził królestwa;
Z nim książę Walii, z nim jest Jan z Lancaster,
Lord Westmoreland, Blunt nieustraszony,
Współzawodników dzielnych wielka liczba,
Pełnych odwagi, pełnych doświadczenia.
Dworzanin. Bądź pewny, panie, znajdą z kim się mierzyć.
Arcybiskup. Tak się spodziewam; lecz wolno się trwożyć,
I na najgorszy przypadek, pośpieszaj.
Jeśli Percemu pośliźnie się noga,
Król nie rozpuści wszystkich swych zaciągów,
Przódy nas tutaj odwiedzić zamierza,
O związku bowiem naszym ma wiadomość.
Prosta roztropność wzmocnić się nam radzi.
Więc śpiesz się. Ja też, bez najmniejszej zwłoki,
Rozpiszę listy do innych przyjaciół.
Bądź mi zdrów! Śpiesz się, kochany Michale.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Obóz królewski w blizkości Shrewsbury.

(Wchodzą: król Henryk, książę Henryk, książę Jan z Lancaster, Sir Walter Blunt i Sir John Falstaff).

Król Henryk. Jak krwawe czoło z za lesistej góry
Podnosi słońce! Na te gniewu znaki
Dzień zda się blednąć.
Ks. Henryk. Wicher południowy
Zawył, jak straszna gniewu tego trąba,
A świszcząc głucho po drżących drzew liściach,
Dzień zapowiada groźny i burzliwy.
Król Henryk. To niechaj płacze nad zwyciężonymi,
Bo dla zwycięzców niema dnia żałoby.
(Słychać odgłos trąbki; wchodzą: Worcester i Vernon).
To lord Worcester. Smutno mi, milordzie,
Że się w tak cierpkich schodzimy warunkach.
Zawiodłeś moje najdroższe nadzieje,
Zmusiłeś rzucić miękki płaszcz pokoju,
A twardą stalą stare członki ścisnąć:
To źle, milordzie, to źle z twojej strony.
Co mi przynosisz? Czy myślą jest twoją
Rozwiązać znowu węzeł szpetnej wojny,
I krążyć znowu po ładu orbicie,
Z której tak czyste rzucałeś przód światło,
Nie być, jak teraz, mglistym meteorem,
Zwiastunem trwogi i klęsk przyszłych czasów?
Worcester. Słuchaj mnie, panie. Co do mnie, wyznaję,
Chętniebym wieczór mojego żywota
W domowej ciszy spokojnie chciał spędzić;
Nie ja szukałem dnia tego rozterek.
Król Henryk. Nie ty szukałeś? Skądże nam zaświtał?
Falstaff. Bunt był na drodze, znalazł go w przejeździe.
Ks. Henryk. Cicho, papugo.
Worcester. Spodobało ci się
Odwrócić twojej łaskawości oczy
Ode mnie, panie, i od mego domu,
Choć, niech mi będzie przypomnieć ci wolno,

Pierwszych, najdroższych miałeś w nas przyjaciół.
Dla ciebie, królu, za czasów Ryszarda,
Laskę urzędu mego potrzaskałem,
Dzień i noc biegłem, by się z tobą spotkać,
Ażeby twoją ucałować rękę,
Choć jeszcze wtedy nie byłeś mi równy
Ani fortuną, ni siłą, ni wpływem.
Ja cię powiodłem, mój brat i syn jego
Do twego domu, na burzliwych czasów
Niebezpieczeństwa wystawiając piersi.
Ty nam przysiągłeś — było to w Doncaster —
Że nie chcesz walić władzy istniejącej,
Lecz się domagać o swoje dziedzictwo,
Księstwo Lancaster, po Janie z Gandawy,
I na to pomoc przyrzekliśmy naszą.
Lecz wkrótce szczęścia deszcz spadł na twą głowę,
Spadła ulewa siły i wielkości.
Nasze zabiegi, króla nieobecność,
Rozpustnych czasów mnogie nadużycia,
Pamięć na krzywdy, które wycierpiałeś,
Przeciwne wiatry, co tak długo króla
W nieszczęsnej wojnie irlandzkiej trzymały,
Że cała Anglia w śmierć jego wierzyła,
Rój ten pomyślnych dla ciebie wypadków
Myśl ci podsunął, abyś dał się prosić
O sterów rządu schwycenie w twą rękę;
Z myśli ci wyszła przysięga w Doncaster.
Karmiony przez nas tak nam zapłaciłeś,
Jak płód niewdzięczny kukułki wróblowi,
Zburzyłeś gniazdo nasze; karm cię nasza
Tak utuczyła, iż wkrótce do ciebie
Miłość się nasza zbliżyć nie ważyła
Z obawy, abyś nas także nie połknął.
Żeby nie zginąć, zmusiłeś nas, królu,
Śpiesznem ulecieć skrzydłem z przed twych oczu,
I opór stawić, tą wzmocnionym bronią,
Którą ukułeś sam na siebie, panie,
Przez twoje groźby, twą niesprawiedliwość,
Przez pogwałcenie wszystkich twoich przysiąg,
Danych w poranku twego przedsięwzięcia.
Król Henryk. Wiem dobrze, wszystkie te spisane żale
Po rogach ulic kazaliście głosić,
I z ambon czytać, by pięknym lampasem

Ozdobić waszą buntowniczą szatę,
Schlebiać chwiejności biednych malkontentów,
Którzy z radością zacierają ręce,
Gdy ich doleci wieść jakich zaburzeń.
Nigdy żadnemu nie brakło buntowi
Na farbach pstrzących spraw jego brudotę,
Ni na żebrakach przymuszonych głodem
Wzdychać do chwili nieładu i wojny.

Ks. Henryk. Jeżeli oręż sprawę tę ma sądzić,
Niejedna dusza z dwóch walecznych armii
Drogo zapłaci za nasze rozterki.
W mojem imieniu powiedz synowcowi,
Że książę Walii, jak świat cały, wielbi
Henryka Percy. Na moje nadzieje!
(Obecną tylko wyłączając sprawę)
Dziś nie oddycha na szerokiej ziemi
Szlachcic dzielniejszy, śmielszy, lub ognistszy,
Zdolniejszy chwałę swych pomnożyć czasów.
Co do mnie znowu, ze wstydem wyznaję,
Byłem niewierny rycerstwa nakazom,
I wiem, że taki sąd jego jest o mnie.
W obliczu jednak króla, mego ojca,
Szczęśliwy, sławą że on mię przewyższa,
Aby oszczędzić krwi drogiej dwóch armii,
Oświadczam moją wolę i gotowość
Do pojedyńczej w szrankach z nim rozprawy.

Król Henryk. I jam gotowy na ten los cię stawić,
Choć tego wzbrania względów nieskończoność. —
Lecz nie, Worcester, nie; ja lud mój kocham,
Tych nawet kocham, którzy ułudzeni
W sprawie synowca twego broń chwycili.
Jeśli chcą przyjąć łaski mej ofiarę,
Tak on, jak oni, jak ty i jak każdy,
Będziecie znowu mymi przyjaciółmi,
Ja waszym będę. Więc bez zwłoki czasu,
Idź, słowa moje powtórz synowcowi,
Jego ostatnią przynieś mi odpowiedź.
Jeśli uparty nie myśli ustąpić,
Zemsta i kara są na me rozkazy,
I powinności, gdy trzeba, dopełnią.
Idź, odpowiedzią nie kłopocz mnie teraz:
Piękną ofiarę przyjmcie z roztropnością.
(Wychodzą: Worcester i Vernon).

Ks. Henryk. Lecz jej nie przyjmą, głowę za to stawiam.
Douglas i Henryk z dobytym orężem
Z ziemią się całą gotowi są mierzyć.

Król Henryk. Niech każdy zajmie swoje stanowisko,
Bo gdy odmówią, uderzym natychmiast,
A dobrej sprawie niech Bóg błogosławi!
(Wychodzą: Król, Blunt i książę Jan).

Falstaff. Henrysiu, jeśli mnie zobaczysz powalonego śród boju, okracz mnie w ten sposób; to obowiązek przyjaciela.

Ks. Henryk. Kolos tylko mógłby ci oddać tę przyjacielską usługę. Zmów pacierz i bądź zdrów.

Falstaff. Chciałbym, żeby to był czas do łóżka i żeby już wszystko było na dobre skończone.

Ks. Henryk. Ba, toć jesteś niebu śmierć dłużny. *(Wychodzi).*

Falstaff. Jeszcze jej nie winienem, a markotnoby mi było zapłacić przed terminem. Dlaczegożbym miał być tak pochopny z zapłatą, kiedy się nikt nie upomina? Ale mniejsza o to: honor gna mnie naprzód. Ale jeśli honor wygna mnie z tego świata, gdy ja gonię naprzód? co wtedy będzie? Czy honor potrafi przyprawić nogę? Bynajmniej. Czy ramię? Także nie. Czy odjąć ból rany? Ani tego. Więc honor nie zna się na chirurgii? Ani trochę. Cóż to jest honor? Wyraz. Co to jest ten wyraz honor? Dech. A to mi piękny rachunek! Któż to go posiada ten honor? Ten, co zginął we środę. Czy on to czuje? Bynajmniej. Czy słyszy? Także nie. Więc to rzecz nieczuła? Bez wątpienia, dla umarłego. Ale czy czasem nie żyje z żyjącymi? Wcale nie. Dlaczego? Bo zazdrość znieść tego nie może. Jeśli tak, to nie chcę go wcale. Honor jest tylko herbową tarczą: i tak się kończy mój katechizm. *(Wychodzi).*

SCENA II.

Obóz buntowników.

(Wchodzą: Worcester i Vernon).

Worcester. Nie, synowcowi nie możem powtórzyć
Wspaniałomyślnych królewskich przyrzeczeń.

Vernon. Trzebaby jednak.

Worcester. To będzie nam zgubą.

Podobnaż, aby król słowa dotrzymał,
W sercu nam chował miłości uczucie?
W ciągłem nas będzie trzymał podejrzeniu,
I stare grzechy skarci w nowym błędzie.
Nieufność jego ócz mu doda tysiąc,
Bo zdradzie człowiek ufa jak lisowi,
Co, choć pieszczony, choć ułaskawiony,
Swoich pradziadów chytrości nie zabył.
Oblicza wyraz smutny czy wesoły
Zawsze nam na złe wytłómaczą widze;
Będziem jak woły na tuczy w oborze,
Tem śmierci bliższe, im lepiej karmione.
Błędów synowca może być wymówką
Młodości ogień, krwi jego gorącość,
Przezwiska nawet jego sam przywilej,
Szalony Hotspur, sługa swych kaprysów.
Wszystkie więc jego spadną przewinienia
Na ojca jego i na moją głowę;
My go chowali, z nas przewrotność czerpał;
Wszystkiego twórcy, zapłacim za wszystko.
Tak więc, kuzynie, na wszelki przypadek,
Niech Henryk nie wie o króla ofiarach.

Vernon. Powiedz co zechcesz, ja wszystko potwierdzę.
Właśnie nadchodzi.

(Wchodzą: Hotspur, Douglas, za nimi oficerowie i żołnierze).

Hotspur. Mój stryj, widzę, wrócił.
Puśćcie swobodnie lorda Westmoreland.
Co za nowiny?

Worcester. Król nam bitwą grozi.

Douglas. Poślijmy wyzew przez Westmorelanda.

Hotspur. Lordzie Douglasie, daj mu to zlecenie.

Douglas. Chętnie podobne przyjmuję poselstwo.

(Wychodzi).

Worcester. W królewskiem sercu niema miłosierdzia.

Hotspur. Czyś prosił o nie? Uchowaj cię Boże!

Worcester. Nasze mu krzywdy, jego wiarołomstwo
Skromniem wyłożył, on przed nami bronił
Krzywoprzysięstwem swe krzywoprzysięstwo.
Buntownikami, zdrajcami nas mieni,
I ostrzem miecza hydne to nazwisko
Skarcić przyrzeka.

(Wraca Douglas).

Douglas. Do broni! do broni!

Groźnem wyzwanie w twarz Henryka rzucił,
Które mu poniósł hrabia Westmoreland:
Trudno, by teraz zwlekał jeszcze atak.

Worcester. W obliczu króla, młody książę Walii
Do pojedynku wyzwał cię, synowcze.

Hotspur. Bodaj na głowach naszych spór ten leżał!
O gdyby dzisiaj nikt się nie zadyszał
Prócz mnie jednego i Henryka z Monmouth!
Powiedz mi, powiedz treść jego wyzwania;
Czy tchnęło wzgardą?

Worcester. Nie, na moją duszę.
Nigdy do boju na śmierć albo życie
W skromniejszej mowie nie słyszałem wyzwań.
Mógłbyś pomyśleć, że brat brata wołał
Na próbę szabli, rycerską zabawę.
Dzielności twojej sprawiedliwość oddał,
Chwałę twą głosił książęcym językiem,
Twe rozpowiadał czyny jak kronika,
Wyżej cię stawił nad swoje pochwały,
Które nie mogły zrównać twej dzielności.
Potem, z prawdziwie książęcą godnością,
Z rumieńcem wstydu sam mówił o sobie,
Swą pustą młodość z taką gromił sztuką,
Że zdał się razem uczniem być i mistrzem.
Tu się zatrzymał. Ja zaś dodać muszę:
Jeśli on zazdrość tego dnia przeżyje,
Nigdy świetniejszej nie miała nadziei
Anglia w rozpusty jego skrytej fałdach.

Hotspur. Widzę, kuzynie, że się rozkochałeś
W jego szaleństwach. Co do mnie, w mem życiu
O rozpustniejszym nie słyszałem księciu.
Niech jak chce będzie; zanim noc zapadnie,
Tak go żołnierskiem mem ścisnę ramieniem,
Że od uścisku w oczach mu się zaćmi.
Do broni teraz! A was, przyjaciele,
A was, żołnierze, silniej do potrzeby
Niech powinności zapali uczucie,
Niż słowa moje, w których niećwiczony
Darmobym pragnął krew waszą rozognić.

(Wchodzi posłaniec).

Posłaniec. Z tym listem, panie, wysłany przybyłem.

Hotspur. Nie mogę teraz czytać tego listu. —
Panowie, krótkie żywota są chwile,

Ale je spędzić w gnuśnej bezczynności,
Krótkość ta tylko zbyt byłaby długą,
Chociażby żywot na skazówce siedział,
I dobiegł kresów swych z godziny końcem.
Jeśli przeżyjem, królów będziem deptać;
Jeśli zginiemy, możnaż piękniej ginąć
Jak w książąt gronie? nasze też sumienie
Zgryzoty nie zna, bo świętą jest wojna,
Gdy sprawiedliwość broń daje do ręki.
(Wchodzi inny posłaniec).
Posłaniec. Gotowość! król się z pośpiechem posuwa.
Hotspur. Dzięki mu, że mi przeciął w środku mowy,
Bo nie jest mojem wymowa rzemiosłem.
Lecz jeszcze słowo: niech każdy z was walczy
Co mu sił stanie. Ja szabli dobywam.
A hart jej ostrza dzisiaj pomaluję
Krwią bohatera najszlachetniejszego,
Którego spotkam śród groźnych hazardów
Wściekłej rozprawy. — Percy! Esperance!
Naprzód! — Niech trąby ozwą się krzykliwe,
Przy ich odgłosie dajmy sobie uścisk,
Bo niebo mogę przeciw ziemi stawić,
Że z nas niejeden po raz już ostatni
Swej uprzejmości dowód nam ten daje.
(Odzywają się trąby; uścisnąwszy się, wychodzą).

SCENA III.

Płaszczyzna w blizkości Shrewsbury.

(Bitwa; utarczki, alarm. Spotykają się Douglas i Blunt).

Blunt. Jakie twe imię? Dlaczego mi w boju
Drogę zabiegasz? Jakiej chwały szukasz
Na mojej głowie?
Douglas. Wiedz, zowię się Douglas,
A tak za tobą gonię śród potyczki,
Słyszałem bowiem, że ty królem jesteś.
Blunt. Słyszałeś prawdę.
Douglas. Twoje podobieństwo
Drogo już dzisiaj lord Stafford zapłacił,
Ta szabla moja za ciebie, Henryku,
Jego skarciła; ten los ciebie czeka,
Jeżeli jeńcem nie uznasz się moim.

Blunt. Nie na to dumny rodziłem się Szkocie,
Bym się poddawał; znajdziesz we mnie króla,
Zdolnego pomścić śmierć lorda Stafforda.
(Walczą; Blunt pada zabity. Wchodzi Hotspur).
Hotspur. Douglasie, gdybyś pod Holmedon walczył
Z taką dzielnością, nie mój byłby tryumf.
Douglas. Skończone wszystko i wszystko wygrane;
Widzisz, król Henryk bez życia tam leży.
Hotspur. Gdzie?
Douglas. Tu.
Hotspur. To Henryk? Mylisz się, Douglasie,
Twarz tę znam dobrze, dzielny to był rycerz,
Blunt jego imię, a jak król był zbrojny.
Douglas. Gdziekolwiek poszła, duszy twojej wszędzie
Niech głupiec wiecznym będzie towarzyszem:
Drogo kupiłeś tytuł pożyczony.
Czemuś powiedział mi, że byłeś królem?
Hotspur. Niejeden nosi królewską dziś zbroję.
Douglas. To miecz ten wszystkie zbroje te pozmiata;
Sztuka po sztuce, jego garderobę
Będę mordował, aż samego spotkam.
Hotspur. Rzućmy się w odmęt; hufców naszych męstwo
Na stronę naszą przechyli zwycięstwo.
(Wychodzą. Alarm. Wchodzi Falstaff).
Falstaff. Choć w Londynie mogłem nie wielkim kosztem niejeden pokwitować rachunek, boję się, żeby mi tu nie przyszło wszystkie zaległości zapłacić, bo tu karbują tylko na skórze. — Cicho! Kto ty? Sir Walter Blunt; a to mi honor dla ciebie! To widzę nie żarty? Jestem gorący, jak roztopiony ołów, a równie i ciężki. Panie, ratuj mnie od ołowiu! Nie trzeba mi cięższego ładunku nad moje własne kiszki. Poprowadziłem moich urwiszów, gdzie ich dobrze opieprzono; nie zostało trzech żyjących z moich stu pięćdziesięciu, a i ci zdadzą się do końca życia tylko na żebraków przy rogatkach. Ale któż to nadbiega?
(Wchodzi Książę Henryk).
Ks. Henryk. Stoisz bezczynny? pożycz mi twej szabli;
Niejeden rycerz leży otrętwiały
Pod kopytami dumnych nieprzyjaciół,
A krew ich jeszcze na mściciela czeka.
Czas nagli, błagam, pożycz mi twej szabli.
Falstaff. Proszę cię, Henrysiu, pozwól mi wytchnąć na

chwilę. Turek Grzegorz[1]) nigdy tego nie dokazał szablą, co ja w dzisiejszej potrzebie. Zapłaciłem należność Percemu. Bezpiecznie mu z mojej łaski.

Ks. Henryk. Wielka prawda; żyje też, żeby cię zabić. Proszę cię, pożycz mi twojej szabli.

Falstaff. Nie, Henrysiu, jeśli Percy żyje, nie dam ci szabli, ale jeśli chcesz, weź mój pistolet.

Ks. Henryk. Daj go. Co? jeszcze w olstrze?

Falstaff. Tak jest, Henrysiu, a gorący, gorący; jest tam dosyć na wysadzenie całego miasta.

(Książę wyciąga butelkę kseresu).

Ks. Henryk. Jestże to pora do żartów i swawoli?

(Rzuca na niego butelkę i wychodzi).

Falstaff. Jeśli Percy żyje, zakłuję go jak persaka[2]), byle mi drogę zabiegł, tak, bo jeśli ja pierwszy dobrowolnie mu drogę zabiegnę, to pozwolę się na kotlet usmażyć. Nie w moim guście ten wyszczerzony honor, który widzę na twarzy Sir Waltera. Daruj mi życie; potrafię je uratować, tem lepiej; jeśli nie, to przyjdzie honor nie szukany i na tem koniec. *(Wychodzi).*

SCENA IV.

Inna część placu boju.

(Alarm, utarczki; wchodzą: Król, Książę Henryk, Książę Jan i Westmoreland).

Król Henryk. Odejdź, Henryku, twa krew płynie strugą.
Janie z Lancaster, bądź mu towarzyszem.

Ks. Jan. I ja przód muszę krwi mej trochę wylać.

Ks. Henryk. Pokaż się, królu, twoja nieobecność
Przyjaciół twoich może niepokoić.

Król Henryk. Wracam do boju. Lordzie Westmoreland,
Prowadź Henryka do jego namiotu.

Westmoreland. Więc pozwól, książę, niech cię odpro-
[wadzę.

Ks. Henryk. Mnie? Twej pomocy nie trzeba mi wcale.
Uchowaj Boże, by małe draśnięcie
Wygnało księcia Walii z placu boju,

---

[1]) Tak nazywali gorliwi protestanci papieża Grzegorza VII.
[2]) Persak albo prusak — popularne nazwisko karaczana.

Gdzie szlachtę naszą w krwi depczą kopyta,
A buntownicy w mordach tryumfują!

Ks. Jan. Westmorelandzie, czas darmo tracimy;
Idźmy, gdzie nasza wzywa nas powinność.

(Wychodzą: Książę Jan i Westmoreland).

Ks. Henryk. Bóg świadkiem, żeś mnie oszukał, Lancastrze,
Nie przypuszczałem w tobie tej dzielności.
Przódy jak brata kochałem cię, Janie,
Teraz cię kocham jak mą własną duszę.

Król Henryk. Widziałem, jak się starł na szablę z Percym;
Ani myślałem, że taki wyrostek
W takiej rozprawie tak dzielnie się sprawi.

Ks. Henryk. Wszystkim nam dzieciuch ten dodaje męstwa.

(Wychodzi. Alarm. Wbiega Douglas).

Douglas. Nowy król! Rosną niby hydry głowy.
Ja jestem Douglas dla wszystkich fatalny,
Którzy na zbroi noszą te kolory.
Kto jesteś, króla co przyjąłeś rolę?

Król Henryk. Jestem król Henryk; boleję, Douglasie,
Że tyle cieniów króla napotkałeś
A nie samego króla. Dwóch mam synów,
Którzy szukają ciebie i Percego;
Lecz gdy szczęśliwy los cię tu sprowadził,
Zmierzę się z tobą; miej się ku obronie.

Douglas. Boję się, żebyś nowym nie był cieniem,
Chociaż, wyznaję, królewską masz postać.
Ktokolwiek jesteś, wiem, że jesteś moim;
A to jest sposób, w jaki cię zwyciężę.

(Walczą; Król jest w niebezpieczeństwie; wbiega Książę Henryk).

Ks. Henryk. Nikczemny Szkocie, podnieś teraz głowę,
Albo jej nigdy więcej nie podniesiesz!
Męstwo Stafforda, Blunta i Shirleya
Dłoń mą natęża. Jestem książę Walii,
Co nigdy jeszcze daremno nie groził,
Nie obiecywał bez chęci wypłaty.

(Walczą. Douglas ucieka).

Śmiało, mój królu! W jakim jesteś stanie?
Posiłków żąda sir Mikołaj Gawsey
Żąda ich Clifton; lecę do Cliftona.

Król Henryk. Czekaj, Henryku, choć na chwilę wytchnij.
Stracone dobre imię odzyskałeś,

A w taką porę przynosząc mi pomoc,
Dowiodłeś, że ci drogie jest me życie.
Ks. Henryk. Kto ci powiedział, żem twej śmierci pragnął,
Bóg widzi, czarną kalał mnie potwarzą.
Gdyby tak było, nie mógłżem zostawić
Ręki Douglasa wzniesionej nad tobą?
Wszak to był sposób równie niewątpliwy,
Jak wszystkie świata całego trucizny,
A syna twego od zdrady uwalniał.
Król Henryk. Śpiesz do Cliftona, ja poniosę pomoc
Mikołajowi Gawsey.
(Wychodzi Król Henryk. Wchodzi Hotspur).
Hotspur. Jeśli nie błądzę, jesteś Harry Monmouth.
Ks. Henryk. Mówisz, jakgdybym chciał me imię taić.
Hotspur. Ja jestem Harry Percy.
Ks. Henryk. To przed sobą
Widzę dzielnego herszta buntowników.
Ja jestem książę Walii; nie myśl, Percy,
Byś dłużej chwałą mógł się ze mną dzielić:
Dwie gwiazd nie mogą jedną krążyć sferą,
I Anglii trudno dwa znieść królowania:
Henryka Percy i książęcia Walii.
Hotspur. Znosić je wkrótce ustanie potrzeba:
Śmierci jednego wybiła godzina.
Dałby Bóg, aby twoje teraz imię
Tak głośne było śród bojów, jak moje!
Ks. Henryk. Nim się rozstaniem, głośniejszem je zrobię.
Wszystkie honoru pączki z twego hełmu
Zbiorę na wieniec dla mojego czoła.
Hotspur. Nie mogę dłużej przechwałek tych słuchać.
(Walczą. Wchodzi Falstaff).
Falstaff. Dobra odpowiedź, Henrysiu. Dalejże go! Henrysiu. To nie przelewki, możesz mi wierzyć.
(Wchodzi Douglas; walczy z Falstaffem, który upada jakby zabity. Douglas wychodzi. Hotspur ranny upada).
Hotspur. Henryku, młodość wydarłeś mi moją!
Łatwiej kruchego zniósłbym życia stratę,
Niż chwałę twoją na mnie zarobioną;
Myśl ta boleśniej duszę moją rani,
Niż oręż ciało: ale ludzkie myśli
Niewolnicami są ludzkiego życia,
A ludzkie życie igraszką jest czasu,
I czas, pan świata, koniec swój mieć musi.

Mógłbym prorocze słowa teraz wyrzec,
Lecz zimna śmierci dłoń język mi wiąże.
Nie, Percy, jesteś tylko prochu garstką,
Strawą... *(Umiera).*
Ks. Henryk. Robaków, mój waleczny Percy.
Żegnam cię, wielkie bohatera serce!
Jak się ściągnęłaś, dumo źle utkana!
Dopóki dusza w tem mieszkała ciele,
Królestwo ciasną była mu siedzibą,
Dwa teraz kroki najpodlejszej ziemi
Dosyć dla niego. Ziemia ta, co dźwiga
Twe ciało, nie ma żyjącego męża
Twojej dzielności. Percy, gdybyś jeszcze
Na mych uwielbień czuły był oznaki,
W swoich uczuciach mniej byłbym wylany.
Twarz porąbaną pozwól mi osłonić;
Przez wzgląd na ciebie sam sobie dziękuję
Za tę oddaną usługę przyjaźni.
Bądź zdrów! Do nieba chwałę twoją zabierz!
Hańba niech twoja w grobie twym śpi z tobą,
Ale nagrobek twój niech o niej milczy!
(Spostrzegając Falstaffa).
Stara znajomość! Toż wszystko to ciało
Trochę żywota nie mogło utrzymać?
Bądź zdrów, mój Jasiu! Łatwiejby mi było
Stracić lepszego od ciebie człowieka.
Twoja utrata ciężkąby mi była,
Gdybym się szczerze w pustocie zakochał.
Śmierć dziś tłustszego nie zwaliła zwierza,
Choć niejednego lepszego rycerza.
Nim cię w grób złożę balsamowanego,
Śpij na krwi łożu, przy boku Percego. *(Wychodzi).*
Falstaff *(podnosząc się powoli).* Balsamowanego! Jeśli mnie nabalsamujesz dzisiaj, to pozwalam ci posolić i zjeść mnie jutro. Do krocset beczek! wielki był czas zabitego udawać; inaczej ten gorący smok szkocki byłby mi rachunek mój uregulował. Udawać? kłamię; nie jestem udaniem; umrzeć jest być udaniem, bo tylko udaniem jest człowiek nie mający życia człowieka, ale udawać umarłego, żeby przez to ocalić życie, to nie jest być udaniem, to jest prawdziwy, doskonały obraz życia. Najlepszą połową męstwa jest dyskrecya; właśnie tą połową uratowałem całe moje życie. Na uczciwość, ten

saletra Percy, choć umarły, strachem mnie przejmuje. A nużby i on udawał i powstał. Boję się, żeby z dwóch udawań jego nie było lepsze. Dam mu więc zupełną pewność i przysięgnę, że ja go zabiłem. Bo i dlaczegóż nie miałby powstać tak dobrze jak ja? Naoczny tylko świadek mógłby o kłamstwo mnie posądzić, a nikt mnie nie widzi. A więc, mopanku *(daje mu pchnięcie w udo)*. Chodź ze mną! *(Bierze go na plecy).*

(Wchodzą: Książę Henryk i Książę Jan).

Ks. Henryk. Chodź, bracie Janie; krwią nieprzyjaciela
Dobrze dziewiczą pokropiłeś szablę.

Ks. Jan. Cicho! co widzę? Czy mi nie mówiłeś,
Że ten otyły człowiek był zabity?

Ks. Henryk. Sam go widziałem bez ducha w krwi kale.
Człeku, czy żyjesz? Czy to widmo jakie
Naszym się oczom w chwili tej urąga?
Przemów! Nie chcemy oczom naszym wierzyć,
Na świadków jeszcze przyzywamy uszy.
Nie, ty nie jesteś, czem się być wydajesz.

Falstaff. Nie, niewątpliwie, nie jestem podwójnym człowiekiem. Ale jeśli nie jestem Jasiem Falstaffem, to jestem Maćkiem. Oto jest Percy. *(Rzuca trupa na ziemię).* Jeśli twój ojciec chce mi za to tytuł jaki udzielić, to dobrze; jeśli nie, to niech sobie sam zabije następnego Percego. Spodziewam się zostać hrabią lub księciem daję słowo.

Ks. Henryk. Co? Wszak to ja sam zabiłem Percego, a ciebie widziałem bez ducha na ziemi.

Falstaff. Ty? Panie! Panie! Jakże świat ten kłamstwu oddany! Przyznaję, że leżałem na ziemi i bez tchu, jak on właśnie; ale porwaliśmy się obadwaj i biliśmy się dobrą godzinę wedle shrewsburskiego zegaru. Jeśli mi uwierzą, to dobrze; jeśli nie, niech grzech ten spadnie na ludzi, których powinnością nagradzać męstwo. Będę do upadłego utrzymywał, że tę ranę w udo ja mu zadałem, i gdyby żył, a chciał temu przeczyć, do kroćset beczek! dałbym mu do zjedzenia kawałek mojej szabli.

Ks. Jan. Nigdym dziwniejszej powieści nie słyszał.

Ks. Henryk. Boć to i człowiek najdziwniejszy, bracie.
Więc weź na barki szlachetne to brzemię;
Jeśli to kłamstwo może ci posłużyć,
Dam mu pozłotę jak zdołam najlepszą.

(Słychać sygnał odwrotu).

To znak odwrotu: zwycięstwo jest nasze.
Chodź ze mną, bracie, policzyć na placu
Przyjaciół naszych żywych i poległych.

(Wychodzą: Książę Henryk i Książę Jan).

Falstaff. I ja pociągnę za nimi, po nagrodę, jak powiadają. Kto mnie nagrodzi, niech mu to Pan Bóg wynagrodzi! Jak zostanę wielkim, zrobię się cieńszym, bo wezmę na purgans, wyrzeknę się kseresu i zacznę uczciwe życie, jak na magnata przystoi. *(Wychodzi, unosząc trupa).*

SCENA V.

Inna część placu boju.

(Przy odgłosie trąb wchodzą: Król Henryk, Książę Henryk, Książę Jan, Westmoreland i inni; Worcester i Vernon jako jeńcy).

Król Henryk. Taka to zawsze za bunt spada kara.
Lordzie Worcester, pośle przeniewierczy,
Przez twoje usta wszystkim wam posłałem
Me przebaczenie, łaskę, miłość moją,
A tyś słów moich przekręcił znaczenie,
Twego synowca ufność oszukałeś.
Trzech z mojej strony zabitych rycerzy,
I hrabia jeden, i tysiące innych
Tejby godziny cieszyło się życiem,
Gdybyś jak dobry poniósł chrześcijanin
Poselstwo moje armii buntowników.

Worcester. Szedłem za radą mego bezpieczeństwa,
A jestem gotów znieść wszystko cierpliwie,
Co na mnie spadnie konieczności prawem.

Król Henryk. Niech zaraz giną Vernon i Worcester;
O losie innych później postanowim.

(Wychodzą: Worcester i Vernon pod strażą).

Jaki stan boju?

Ks. Henryk. Szlachetny Szkot Douglas,
Widząc zwycięstwo na naszych sztandarach,
Gdy Percy poległ, gdy jego żołnierze
Na skrzydłach trwogi z placu uchodzili,
Odwrócił konia i, w śpiesznej ucieczce
Spadając z góry, tak ciężko się potłukł,

Że się w pogoni naszych dostał ręce.
Teraz w namiocie moim jeńcem leży,
A ja cię błagam o łaskę tę, królu,
Bym mógł osobą jego rozporządzić.
Król Henryk. Z całego serca.
Ks. Henryk. Idź, bracie mój Janie,
Bądź szlachetnego poselstwa Heroldem,
Śpiesz, Douglasowi w mem powiedz imieniu,
Że bez okupu wolność mu powracam.
Dzielności jego ślad na hełmach naszych
Dał mi naukę, jak szanować męstwo
Żyjące w piersiach wrogów nawet naszych.
Król Henryk. Teraz rozdzielić hufce nam wypadnie:
Z Westmorelandem ty, synu mój Janie,
Ku Yorkowi co śpieszniej pociągniesz,
Gdzie Northumberland i Scroop arcybiskup
Zbierają siły i bronić się myślą.
Z tobą, Henryku, do Walii pociągnę,
Na Glendowera i hrabiego Marchii.
Daj Bóg podobne zwycięstwo nad niemi,
A bunt ucichnie na całej tej ziemi;
Niech przód do pochew nie wrócą pałasze,
Póki z rąk wrogów nie wydrzem, co nasze.
(Wychodzą).



TŁÓMACZENIE L. ULRICHA.

OSOBY:

Król Henryk IV.

Synowie króla:
- **Henryk**, książę Walii, później Henryk V,
- **Tomasz**, książę Klarencyi,
- **Książę Jan** z Lancastru, później książę Bedford,
- **Humphrey** (Humfry) **książę Gloucester** (Gloster),

Z partyi królewskiej:
- **Hrabia Warwick** (Warwik),
- **Hrabia Westmoreland,**
- **Gower,**
- **Harcourt** (Harkur),

Lord Wielki Sędzia.
Dworzanin z jego służby.

Nieprzyjaciele króla:
- **Hrabia Northumberland,**
- **Scroop** (Skrup), arcybiskup Yorku,
- **Lord Mowbray,**
- **Lord Hastings,**
- **Lord Bardolph** (Bardolf),
- **Sir John Colevile** (Dżon Kolwil),

Domownicy Northumberlanda:
- **Travers,**
- **Morton,**

Falstaff.
Bardolf.
Pistol.
Paź.

Ze służby księcia Henryka:
- **Poins,**
- **Peto,**

Sędziowie pokoju:
- **Płytek,**
- **Milczek,**

Davy, sługa Płytka.

Butwiak,
Cień,
Brodawka, rekruci.
Słabiak,
Cielak,
Kruczek, słudzy sądowi.
Sidełko,
Wieść.
Odźwierny.
Tancerz.
Lady Northumberland.
Lady Percy (Persy).
Pani Żwawińska, karczmarka.
Dorota Drzejprześcieradło.

KRÓL HENRYK IV.

CZĘŚĆ II.

PROLOG.

Warkworth. Przed zamkiem hrabiego Northumberlanda.

(Wchodzi Wieść, w ubiorze pomalowanym w języki).

Wieść. Otwórzcie uszy; kto chciałby je zatkać,
Kiedy Wieść głośna zaczyna swą powieść?
Ja to od wschodu do zachodu kresów
Na koniu moim, na wiatrach niesiona,
Głoszę zaczęte na kuli tej czyny.
Na mych językach wieczna jedzie potwarz,
Którą we wszystkich ogłaszam narzeczach,
Fałszem słuchaczów przepełniając uszy.
Pokój oznajmiam, gdy skryta nienawiść
Świat z bezpieczeństwa uśmiechami rani.
Czyż nie ja sama, nie Wieść, zbiera wojska,
Gotuje opór, kiedy rok ciężarny
Innych, nieznanych płodem przeciwności
Zdaje się w łonie swem kryć wojny brzemię?
Wieść jest to fletnia, w którą dmucha zazdrość,
Lub podejrzenie, albo przypuszczenia;
Instrument prosty, z tak łatwem zadęciem,
Że hydny potwór o głowach tysiącu,
Chwiejne pospólstwo, zagrać na nim może.
Lecz potrzebujęż anatomizować
Znane me ciało pośród mej drużyny?

Spytacie teraz, co mnie tu sprowadza?
Lecę przed króla Henryka zwycięstwem,
Który na krwawem polu pod Shrewsbury
Z wodzem posiekał Hotspura zaciągi,
W krwi buntowników pożar buntu zgasił.
Lecz co ja robię, prawdę rozgłaszając?
Sprawą jest moją roztrąbić po ziemi,
Że Henryk Monmouth zwyciężony poległ
Od krwawej szabli dzielnego Hotspura;
Że król, pod wściekłą prawicą Douglasa,
Do grobu schylił głowę pomazaną.
To rozgłosiłam po wsiach i miasteczkach
Od pola zwycięstw króla pod Shrewsbury
Do tych toczonych przez robactwo murów,
W których Hotspura ojciec, Northumberland,
Czeka, udaną złożony chorobą.
Poseł za posłem biegnie zadyszany,
A każdy niesie tę samą wiadomość,
Bo się ode mnie każdy jej dowiedział;
Każdy mu kłamstwa przynosi słodycze,
Stokroć zgubniejsze, niż prawdy gorycze.
(Wychodzi).

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Warkworth. Przed zamkiem hrabiego Northumberlanda.

(Odźwierny przed bramą; wchodzi Lord Bardolph).

Lord Bardolph. Kto bramy strzeże? hola! gdzie jest hrabia?
Odźwierny. Kogoż mam panu memu zameldować?
Lord Bardolph. Powiedz: lord Bardolph czeka tu na niego.
Odźwierny. Hrabia do sadu na przechadzkę wyszedł;
Racz tylko, panie, w bramę zakołatać,
Sam ci odpowie.
(Wchodzi Northumberland).
Lord Bardolph. Hrabia się przybliża.
Northumberland. Co za nowiny? Każda chwila teraz
Matką być może stanowczych wypadków.
Groźne to czasy; wojna, jak koń dziki,

Porwała pęta, i wiatrem niesiona
Wszystko po drodze kopytem rozbija.
Lord Bardolph. Pewne ci wieści przynoszę z Shrewsbury.
Northumberland. Dobre? Daj Boże!
Lord Bardolph. Nie mogą być lepsze.
Sam król śmiertelną w boju odniósł ranę;
Twojego syna miecz powalił trupem
Książęcia Walii; Douglas własną ręką
Dwóch Bluntów zabił; książę Jan nakoniec
I Westmoreland i Stafford w popłochu
Pierzchnęli z placu; tłusty wieprz Monmoutha,
Sir John, twojego syna został jeńcem.
O, świat nie widział walki uporczywszej,
I o świetniejszem nie słyszał zwycięstwie
Od dni Cezara.
Northumberland. Skąd ta wieść pochodzi?
Czy byłeś w boju? Czy wracasz z Shrewsbury?
Lord Bardolph. Mówiłem z mężem, który stamtąd wracał;
Szlachcic stateczny, z uczciwego domu,
Który mi ręczył za wieści tych prawdę.
Northumberland. Właśnie powraca dworzanin mój, Tra-
[vers,
Któregom z zamku wyprawił we wtorek
Powziąć języka.
Lord Bardolph. Minąłem go w drodze,
A więc prócz tego, co ode mnie słyszał,
Nic on pewnego z sobą nie przynosi.
(Wchodzi Travers).
Northumberland. Jakież mi dobre nowiny przynosisz?
Travers. Sir John Umfrevile nawrócił mnie z drogi
I kazał śpieszyć z wesołą nowiną,
A że na lepszym niż ja jechał koniu,
Wnet mnie wyprzedził; aż tu w tropy za nim,
Bez tchu od pędu, nadlatuje szlachcic,
I staje przy mnie, aby dać na chwilę
Zakrwawionemu wytchnąć rumakowi.
Pytał o drogę do Chester, ja znowu
Pytałem, jakie wieści są z Shrewsbury,
Rzekł, iż powstańców odbiegła fortuna,
I że ostroga młodego Henryka
Percy jest zimna; ledwo to powiedział,
Puścił galopem szybkiego rumaka;
Schylił się naprzód, uzbrojone pięty

Wcisnął w robiące boki biednej bestyi
Po samo kółko, nie słuchając dłużej,
Zdał mi się drogę w swym pożerać pędzie.
Northumberland. Powtórz: ostroga młodego Henryka
Percy jest zimna? Hotspura jest zimna?
Rzekł, iż powstańców odbiegła fortuna?
Lord Bardolph. Słuchaj mnie, hrabio; jeśli syn twój młody
Nie wygrał bitwy na polach Shrewsbury,
To ja dam w zamian za jedwabny sznurek
Moją baronię; nie mówmy już o tem.
Northumberland. Skądże mógł jednak ów szlachcic na [drodze
O naszej klęsce dać mu te szczegóły?
Lord Bardolph. Skąd? pytasz, hrabio; to był jakiś chłystek
Uciekający na skradzionym koniu;
Plótł, co mu ślina przyniosła do gęby.
Lecz nowy poseł nowe niesie wieści.
(Wchodzi Morton).
Northumberland. Tak, czoło jego, jak książki okładka,
Tragiczną dzieła treść nam zapowiada [1]).
Tak brzeg wygląda, na którym mórz fale
Okrucieństw swoich zostawiły ślady.
Powiedz, Mortonie, czy wracasz z Shrewsbury?
Morton. Tak jest; uszedłem z Shrewsbury, milordzie,
Gdzie śmierć przywdziała najhydniejszą maskę,
Ażeby naszych przerazić stronników.
Northumberland. A syn mój? brat mój? — Ha, ty drżysz, [Mortonie;
Lic twoich bladość twoje mi poselstwo
Lepiej od twego tłómaczy języka.
Mąż jak ty, drżący, żalem przygnieciony,
Ze śmiercią w oczach, z boleścią na twarzy,
Odchylił w nocy Pryama firanki,
By mu powiedzieć, że w płomieniach Troja;
Lecz nim rzekł słowo, Pryam płomień widział,
Tak i ja teraz widzę śmierć Percego,
Nim powieść o niej zacząłeś; chcesz mówić:
Tak a tak, syn twój, a brat twój tak walczył,
Na wrogów naszych tak dzielny wpadł Douglas;
Łakome ucho chcesz męstwem ich sycić,
By mi nakoniec śmiertelny cios zadać,

[1]) Poemata żałobne, elegie, odznaczały się czarną okładką.

Jednem westchnieniem blask ten zgasić cały,
Ostatniem słowem: syn, brat, wszystko legło.
Morton. Brat twój i Douglas, panie, jeszcze żyją,
Ale lord, syn twój...
Northumberland. Ale syn mój poległ.
Ach, jak ma szybki język podejrzenie!
Kto się obawia, czego wiedzieć nie chce,
Jakby instynktem w cudzem oku czyta,
Że się już stało, czego się obawiał.
Przemów jednakże, powiedz mi, Mortonie,
Że hrabi twego domysły są kłamstwem;
Twoja obelga będzie mi słodyczą,
Za tę obelgę złotem cię obsypię.
Morton. Zbyt wielkim jesteś, bym ci zadał kłamstwo:
W twych się przeczuciach nie zmyliłeś, panie.
Northumberland. Nie mów mi jednak, że Percy zabity.
Dziwne wyznanie w oczach twoich czytam;
Potrząsasz głową, jakby prawdę wyznać
Niebezpieczeństwem albo grzechem było.
Jeśli zabity, powiedz, że zabity;
Głosząc śmierć jego, język nie obraża;
Ten grzeszy tylko, co potwarza zmarłych,
Nie ten, co mówi, że zmarły nie żyje.
A jednak pierwszy złych wieści posłaniec
Niewdzięcznej służby dla siebie dopełnia;
Głos jego odtąd, jakby dzwon pogrzebny,
Zgon drogich osób wciąż nam przypomina.
Lord Bardolph. Nie mogę wierzyć, aby syn twój poległ.
Morton. Smutno mi, panie, zmuszać cię do wiary
W to, co widziałem, a czego, Bóg świadkiem,
Nie chciałem widzieć; lecz te oczy moje
Były świadkami, jak cały krwią zlany
Odpierał ciosy, omdlałą prawicą,
Henryka Monmouth, który, w gniewie wściekłym,
Nieulękłego na ziemię powalił,
Skąd Percy żywy nie podniósł się więcej.
Gdy mąż, co ogniem duszy swej zapalał
Ostatnich ciurów naszego obozu,
Poległ, a wieść ta rozbiegła się wszędzie,
Z nim razem naszych najlepszych rycerzy
Skonała dzielność; bo stal jego serca
Powstańczej armii twardą była zbroją;
Bez niego, wszystko zostawione sobie

Jak ciężki ołów' bezwładne upadło.
Jak pocisk leci tem chyżej, im cięższy,
Gdy raz potężną wypchnięty jest siłą,
Tak lud, Hotspura śmiercią ociężały,
Trwogą ciężkości takie skrzydła przypiął,
Że strzała szybciej do celu nie leci,
Niż nasi, niegdyś waleczni żołnierze,
Teraz w ucieczce szukający życia.
Wtedy Worcester dostał się w niewolę,
A krwawy Douglas, którego miecz wściekły
Trzykroć królewskie obalił widziadło,
Pierzchł i przykładem swym osłonił hańbę
Uciekających w popłochu powstańców.
Trwoga w ucieczce zwichnęła mu nogi,
Padł i zbolały wrogom poszedł w jassyr.
Słowem, zwycięstwo król stanowcze odniósł,
A Westmoreland i młody Lancaster
Ciągną z pośpiechem przeciw tobie, panie.
Na tem się kończy wierna moja powieść.
Northumberland. Starczy mi czasu, aby płakać po nich.
Jest lek w truciźnie; te gorzkie nowiny,
Które zdrowemu niemocby przyniosły,
Choremu w części przywróciły zdrowie.
Łazarz, którego członki febrą słabe
Gną się pod życiem jak wiotkie zawiasy,
Nagle, jak ogień, rwie się w paroksyzmie
Z rąk swoich stróżów; tak i moje członki,
Słabe cierpieniem, w paroksyzmie żalu
W trójnasób dawne odzyskują siły.
Precz więc ode mnie, kulo niedołężna!
Stalowe dzisiaj trzeba rękawice
Na dłoń tę wsunąć; precz, chorych zawoje!
Zbyt słabą głowy jesteście obroną,
W którą zwycięstwem syty godzi książę.
Żelazem teraz uwieńczcie mi skronie!
Niech przyjdą teraz najstraszniejsze chwile,
Jakie wymyślić mogą czas i zemsta,
Z Northumberlanda mierzyć się wściekłością!
Niech teraz niebo pocałuje ziemię!
Ręka natury niechaj nie wstrzymuje
Śluz potopowych! niech skona porządek!
Niechaj przestanie świat ten być teatrem,
Na którym wojna wlecze się powoli;

Ale niech wszystkie serca jedno czucie
Pierworodnego owładnie Kaina!
By tam, gdzie wszyscy krwi zarówno łakną,
Mordercza scena prędzej się skończyła,
A ciemność wszystkich spólnym była grobem!
Travers. Zbytnia namiętność zabija cię, panie.
Lord Bardolph. Nie rób rozbratu, hrabio, z roztropnością.
Morton. Zdrowie twe, panie, jedyną jest tarczą
Stronników, sprawie twojej poświęconych,
A zdrowie twoje nie zdoła wytrzymać
Tak gwałtownego uniesień wybuchu.
Obrachowałeś wprzód wojny hazardy,
Zliczyłeś wprzódy wszystkie jej następstwa,
Nim rzekłeś, panie: dobądźmy oręża!
Przewidywałeś, że w ciosów podziale
Syn twój szlachetny mógł poledz śród boju,
Że nad przepaścią szedł po ostrzu miecza,
Gdzie upaść łatwiej, niż brzegu dosięgnąć;
Wiedziałeś, panie, że i jego ciało
Podległe ranom; że go wielka dusza
W odmęt największych pogna niebezpieczeństw;
Wyrzekłeś jednak: idź naprzód, mój synu!
Żadna z tych wielkich nie zdołała obaw
Na chwilę ugiąć twoich postanowień.
Co się więc stało, co wojna spłodziła,
Jestże czem więcej, niż co stać się mogło?
Lord Bardolph. I nam zarówno, twych planów stronnikom,
Nie było tajno, żeśmy się puścili
Na niebezpieczeństw rozhukane morze,
Gdzie było dziesięć razy łatwiej zginąć,
Niż wyjść bez skazy; to nas nie wstrzymało,
Bo wszystkie względy na niebezpieczeństwo
Tłumiły w sercach tryumfu korzyści.
I dziś raz jeszcze, fortuny rozbitki,
Próbujmy szczęścia; stawmy, bez wahania,
Na jedną kartę majątki i życie.
Morton. A czas już wielki. Prócz tego, słyszałem,
(A za nowiny śmiem ręczyć prawdziwość)
Że arcybiskup Yorku już wyruszył
Z potężną armią; a on, dobry panie,
Podwójnym węzłem stronników swych trzyma.
Twój syn jedynie wiódł do boju ciała,
Jakby cień tylko i pozory mężów;

Słowo »bunt« bowiem swym wpływem złowrogim
Od czynów ciała dzieliło ich dusze;
Bili się wprawdzie, lecz z musu, niechętni,
Jak chory pije niemiłe lekarstwo;
Po naszej stronie tylko szable były;
Ale ich dusze słowo »bunt« zmroziło,
Jak ryby w stawie; teraz arcybiskup,
Co było buntem, na religię zmienia,
Bo, zdaniem ludzi, w myślach swoich święty,
Ciągnie za sobą dusze ich i ciała,
Bunt swój uświęca krwią króla Ryszarda
Z kamieni zamku Pomfret zeskrobaną;
Swą sprawę z nieba na ziemię sprowadza;
Mówi, że stanął w wyspy tej obronie,
Krwią obryzganej, prawie konającej
Pod Bolingbroka żelazną prawicą;
Biegną też za nim potężni i słabi.

Northumberland. Wiedziałem o tem, lecz obecna boleść
Myśl o tem w mojej zatarła pamięci.
Lecz idźmy teraz wspólnie się naradzić
O naszych środkach zbawienia i zemsty.
Wyprawmy gońców, gdzie są przyjaciele:
Takich jest mało, a trzeba tak wiele!

(Wychodzą).

SCENA II.

Ulica w Londynie.

(Wchodzą: Sir John Falstaff i Paź, który niesie jego oręż i tarczę).

Falstaff. Pójdź tu sam, olbrzymie; co mówi doktór na moją wodę?

Paź. Doktór powiedział, panie, że woda, sama w sobie, była dobrą i zdrową wodą; ale że instrument, z którego wyszła, może mieć więcej chorób, niż byłby w stanie wyliczyć.

Falstaff. Ludzie wszystkich stanów uważają za honor stroić ze mnie żarty. Mózg tej głupio ulepionej gliny-człowieka nie zdolny nic wymyślić; co więcej do śmiechu pobudza, niż to, co ja wymyśliłem, lub co o mnie wymyślono. Nie tylko sam jestem dowcipny, ale i drugim daję dowcip. Idąc tu przed tobą, mam minę maciory, która zagniotła wszystkie swoje prosięta prócz jednego. Jeśli książę dał mi cię na służbę w innym celu, jak żeby mnie uwydatnić, to nie mam za grosz sensu. Ty bękarcie pokrzyku, lepiejbyś wyglądał na moim kapeluszu, niż za mojemi piętami. Nie miałem jeszcze agatu za pachołka do dziś dnia; nie oprawię cię jednak ani w złoto ani w srebro, ale w liche odzienie i odeślę cię do twojego pana jak klejnot, do młodzieniaszka, do księcia twojego pana, którego broda jeszcze w puch nie porosła. Prędzej puści mi broda na dłoni, niż jemu na policzkach, a przecie nie zakrztusi się, mówiąc, że twarz jego jest królewską twarzą; Bóg ją skończy, kiedy zechce; ale dotąd niema na niej jednego włoska za wiele. Niech sobie myśli, że to twarz królewska; ale balwierz nie zarobi na niej sześciu groszy; mimo tego jednak, on piać gotów, jakby nosił napis: to mąż! od czasu, w którym ojciec jego był kawalerem. Wolno mu pysznić się ze swojej Łaskawości, ale może być tego pewny, że stracił tak dobrze jak całą moją łaskę. Co powiedział jegomość Dombleton względem atłasu na mój spencer i rajtuzy?

Paź. Powiedział, panie, że musisz mu lepszą dać rękojmię od zaręczenia Bardolfa. Nie chce przyjąć ani twojego ani jego biletu; nie po myśli mu taka rękojmia.

Falstaff. Bodaj się w piekle smażył, jak obżartuch! bodaj język jego jeszcze był gorętszy! sk.....yn Architofel! bezczelny łajdak! mieć szlachcica słowo, a domagać się rękojmi! Te gładkowłose bękarty noszą teraz tylko o wysokich obcasach trzewiki i pęki kluczy za pasem, a kiedy uczciwy człowiek chce u nich kupić co na kredyt, trzeba im pytać o rękojmię. Wszystko mi jedno, czyby chciał włożyć mi do gęby kawał trutki na szczury, czy mi ją zamknąć swoją rękojmią. Ja czekam, żeby mi przysłał dwadzieścia dwa łokcie atłasu, a on mi tu przysyła rękojmię. Niechże sobie śpi spokojnie, bo ma róg obfitości, przez który świeci lekkomyślność jego żony; on przecie nic nie widzi, choć sobie własną przyświeca latarnią. Gdzie Bardolf?

Paź. Poszedł na Smithfield kupić konia dla waszej dostojności.

Falstaff. Ja go kupiłem przy kościele świętego Pawła, a on chce mi kupić konia na Smithfield; gdybym je-

szcze znalazł żonę w zamtuzie, miałbym sługę, konia i żonę jednego kalibru [1]).

(Wchodzi Lord Wielki Sędzia i jego Dworzanin).

Paź. Widzę, panie, zbliżającego się lorda, który posłał do więzienia księcia za to, że go uderzył z przyczyny Bardolfa.

Falstaff. Idź za mną w trop, nie chcę go widzieć.

W. Sędzia. Co to za człowiek tam idzie?

Dworzanin. Falstaff, milordzie.

W. Sędzia. Czy ten, co był wplątany w sprawę kradzieży?

Dworzanin. Ten sam, milordzie, ale później dobrze się sprawił pod Shrewsbury i, jak słyszałem, idzie teraz ze zleceniami do lorda Jana z Lancastru.

W. Sędzia. Co? Do Yorku? Przywołaj go do mnie.

Dworzanin. Sir John Falstaff!

Falstaff. Powiedz mu, paziu, że jestem głuchy.

Paź. Mów głośniej; mój pan jest głuchy.

W. Sędzia. Ani wątpię; na wszystko, co uczciwe. Idź, uszczypnij go w łokieć, muszę z nim mówić.

Dworzanin. Sir John!...

Falstaff. Co? tak młody hultaj, a już żebrze? Alboż to niema wojny? alboż to braknie roboty? Czy król nie potrzebuje poddanych? czy buntownikom nie trzeba żołnierzy? Choć honor po jednej tylko jest stronie, większą jest hańbą żebrać, niż trzymać z gorszą nawet stroną, gorszą nawet, niż nazwisko: bunt zrobić ją może.

Dworzanin. Mylisz się, panie, w twoim o mnie sądzie.

Falstaff. Jakto, mopanku? Alboż powiedziałem, że jesteś uczciwym człowiekiem? Odkładając na bok moje rycerstwo i moją żołnierkę, powiedziałem wierutne kłamstwo, jeśli to powiedziałem.

Dworzanin. Więc proszę cię, panie, odłóż na bok twoje rycerstwo i twoją żołnierkę, a pozwól sobie powiedzieć, że wierutne powiedziałeś kłamstwo, jeśli mówisz, że nie jestem uczciwym człowiekiem.

Falstaff. Ja pozwolę powiedzieć to sobie? Ja odłożyć na bok to, co wzrosło ze mną? Jeśli dostaniesz ode

[1]) Kto bierze żonę w podejrzanej karczmie lub szynkowni, kupuje konia na Smithfield, a przyjmuje sługę przy kościele św. Pawła, będzie miał prawdopodobnie szkapę za konia, hultaja za sługę, a żonę sławnie uczciwą kobietę. (Przysłowie).

mnie to pozwolenie, powieś mnie, a jeśli dasz je sam sobie, lepiej byłoby dla ciebie wisieć. W piętkę gonisz, mój ogarze; precz mi stąd! ruszaj!

Dworzanin. Lord wielki sędzia chciałby się z tobą rozmówić, panie.

W. Sędzia. Sir John Falstaff, jedno słowo.

Falstaff. Dobry mój panie, niech ci Pan Bóg da dzień dobry! Z radością widzę waszą dostojność na ulicy; słyszałem o chorobie waszej dostojności; spodziewam się, że wasza dostojność wyszła z domu za poradą doktora. Wasza dostojność choć jeszcze niezupełnie za granicami młodości, czuje pewne podmuchy wieku, mały smaczek soli czasu; pozwalam też sobie prosić pokornie waszą dostojność, aby raczyła mieć należny wzgląd na swoje kosztowne zdrowie.

W. Sędzia. Sir John, posłałem po ciebie przed twoją wyprawą do Shrewsbury.

Falstaff. Z przeproszeniem waszej dostojności, ale słyszałem, że J. K. Mość wróciła z Walii niezupełnie, jakbyśmy pragnęli.

W. Sędzia. Nie mówię o J. K. Mości. Nie stawiłeś się mimo mojego rozkazu.

Falstaff. Słyszałem prócz tego, że J. K. Mość miała znów atak tego sk...... a apopleksyi.

W. Sędzia. Niech mu Bóg wróci zdrowie! Pozwól teraz, abym ci parę słów powiedział.

Falstaff. Ta apopleksya, mojem zdaniem, jest rodzajem letargu, snem krwi, sk...... em odurzeniem.

W. Sędzia. Co mi tam o tem prawisz? Niech sobie czem chce będzie.

Falstaff. Jej źródłem jest zwykle zbytek alteracyi, pracy; natężenia umysłu; czytałem o przyczynach jej skutków w Galenie, ma to być rodzaj głuchoty.

W. Sędzia. Zdaje mi się, że i ty dostałeś tej choroby, bo nie słyszysz, co ci mówię.

Falstaff. Bardzo dobrze, milordzie, bardzo dobrze; albo raczej z przeproszeniem, jest to choroba niesłuchania, niemoc niebaczenia, która mi dokucza.

W. Sędzia. Lekarstwo dane w pięty uleczyłoby chorobę niebaczenia twoich uszu; nie jestem od tego, żebym się nie podjął być twoim doktorem.

Falstaff. Choć jestem jak Job biedny, milordzie, nie jestem jak on cierpliwy. Wasza dostojność może mi prze

pisać miksturę więzienia przez wzgląd na moje ubóstwo; ale jakbym mógł zostać waszej dostojności pacyentem i stosować się do jej recepty, to jest pytanie, które mogłoby zadać niejednemu mędrkowi gran skrupułu, a może skrupuł cały.

W. Sędzia. Posłałem po ciebie, gdy się toczyła sprawa, w której szło o twoje gardło, abyś przyszedł rozmówić się ze mną.

Falstaff. Ale ja za radą uczonego konsyliarza, ćwiczonego w prawach lądowej służby, nie stawiłem się.

W. Sędzia. To dobrze; ale żeby ci tak powiedzieć prawdę, sir John, w wielkiej żyjesz infamii.

Falstaff. Kto się pasem moim ściska, nie może żyć w mniejszej.

W. Sędzia. Dochody twoje są szczupłe, a wydatki nad stan ogromne.

Falstaff. Pragnąłbym, żeby było odwrotnie; żeby moje dochody były ogromne, a stan mój szczuplejszy.

W. Sędzia. Sprowadziłeś z dobrej drogi młodego księcia.

Falstaff. Mnie raczej młody książę z drogi sprowadził; ja jestem ślepym a wielkim brzuchem, a on psem moim.

W. Sędzia. Zresztą, nie chciałbym odnawiać świeżo zagojonej rany; twoja dzienna służba pod Shrewsbury ozłociła trochę twoje nocne sprawki w Gadshill. Możesz podziękować burzliwym dzisiejszym czasom, że ci płazem uszła ta sprawka.

Falstaff. Milordzie?

W. Sędzia. Ale skoro wszystko skończyło się szczęśliwie, zostaw rzeczy, jak są, nie budź śpiącego wilka.

Falstaff. Budzić wilka równie jest źle, jak trącić lisem.

W. Sędzia. Zresztą, jesteś jak świeca, której najlepsza połowa już spłonęła.

Falstaff. Łojowa to świeca, milordzie, sam tylko łój; choć gdybym powiedział jarząca, miałbym do tego prawo, boć jestem jary.

W. Sędzia. Każdy biały włosek na twojej twarzy powinienby ci dodawać powagi.

Falstaff. Wagi, wagi, wagi.

W. Sędzia. Na krok nie odstępujesz księcia, jak jego zły anioł.

Falstaff. Bynajmniej, milordzie. Zły anioł[1]) jest lekki,

[1]) Anioł — złota moneta z figurą św. Michała.

a dość na mnie spojrzeć, aby mnie wziąć bez ważenia. Jednakże pod pewnym względem muszę wyznać, że nie mam dziś obiegu. Cnota w tak małej cenie w dzisiejszych kramarskich czasach, że prawdziwa zasługa musiała się zrobić niedźwiednikiem; wszystkie inne przymioty właściwe mężowi, dzięki przewrotności wieku, nie warte są ziarnka agrestu. Ty, milordzie, co jesteś stary, nie masz na względzie popędów, nas, co jesteśmy młodzi, mierzysz gorącość naszej śledziony goryczą własnej żółci, gdy my, co jesteśmy w samem zarzewiu młodości, muszę wyznać, lubimy krotofile.

W. Sędzia. Jakto? Ty wciągasz twoje imię na rejestr młodzieniaszków, gdy wszystkie charaktery wieku zapisują cię do starców? Czy oko twoje nie wilgotne? czy ręka nie sucha? nie żółte policzki? nie biała broda? Czy nie ubywa ci łydek, a nie przybywa brzucha? Czy głos twój nie głuchy? czy nie krótki oddech? nie podwójny podbródek, a nie prostaczy rozum? czy każdy zmysł twój nie przytępiony starością? A chcesz się jeszcze nazywać młodzieniaszkiem? Fe, fe, fe, sir John, wstydź się!

Falstaff. Milordzie, przybyłem na świat około trzeciej po południu z siwą głową i niezgorzej zaokrąglonym brzuchem. Co do mojego głosu, straciłem go, śpiewając w niebogłosy kantyczki. Dowodzić dłużej mojej młodości nie widzę potrzeby. To tylko prawda, że jestem stary sądem i rozumem. Kto chce przewracać ze mną koziołki o tysiąc grzywien, niech mi tylko zaforszusuje tę sumę, a radzę mu mieć się na baczności. Co do kułaka, którego ci dał książę, dał ci go jak nieokrzesany książę, a ty go wziąłeś jak lord pełny roztropności. Dobrą mu dałem za to burę, a młode książątko pokutuje teraz, tylko nie w popiele i włosiennicy, ale w nowym jedwabiu, przy starego wina szklenicy.

W. Sędzia. Daj Boże księciu lepszego towarzysza!

Falstaff. Daj Boże towarzyszowi lepszego księcia! Nie mogę się od niego odczepić.

W. Sędzia. Na szczęście król cię odczepił od księcia Henryka. Słyszałem, że ciągniesz z lordem Janem Lancastrem na Arcybiskupa i hrabiego Northumberlanda.

Falstaff. To prawda, dzięki waszemu słodziuchnemu dowcipowi. Ale proście Boga wy wszyscy, którzy całujecie w domu panią Spokojność, żeby nasze armie nie spotkały się w dniu gorącym, bo biorę z sobą dwie tylko

koszule, a nie myślę pocić się nadzwyczajnie. Na przypadek upału, jeśli będę machał czem więcej niż butelką, niech nigdy więcej białą śliną nie splunę. Ledwo, że jaka niebezpieczna wyprawa głowę wychyli, muszą mnie zaraz w nią wścibić; nie mogę przecie trwać na wieczne czasy. Ale stary to zwyczaj naszego angielskiego narodu, że ma co dobrego, to niem wszędzie szafuje. Jeśli gwałtem chcecie utrzymywać, że jestem stary, to powinniście dać mi spoczynek. Dałby Bóg, żeby imię moje nie było tak straszne nieprzyjacielowi, jak jest teraz! Wolałbym, żeby mnie rdza na śmierć przedziurawiła, niż żebym zniknął wiecznem szorowaniem.

W. Sędzia. Dobrze, dobrze; bądź tylko uczciwy, bądź uczciwy, a niech niebo błogosławi waszej wyprawie!

Falstaff. Czyby mi wasza dostojność nie raczyła pożyczyć tysiąc funtów na mój wojenny rynsztunek?

W. Sędzia. Ani szeląga, ani szeląga, i tak już dosyć jesteś ciężki. Bądź zdrów! Poleć mnie względom mojego kuzyna Westmorelanda. *(Wychodzi z dworzaninem).*

Falstaff. Jeśli to zrobię, pozwolę dać sobie szczutka młotem. Nie łatwiej rozdzielić starość ze skąpstwem, jak młodość z rozpustą; ale podagra męczy jedną, a franca szczypie drugą; obie obejdą się bez mojego przekleństwa. — Paziu!

Paź. Panie?

Falstaff. Ile jest gotowizny w mojej sakiewce?

Paź. Dwa grosze i siedm szelągów.

Falstaff. Nie mogę znaleźć lekarstwa na te suchoty sakiewki. Pożyczka przeciąga tylko konanie, ale choroba zostaje nieuleczona. Oddaj ten list lordowi Lancastrowi, ten księciu, ten hrabiemu Westmorelandowi, a ten starej Urszuli, której raz na tydzień przysięgam, że ją wezmę za żonę od czasu, jak znalazłem pierwszy biały włos na mojej brodzie. Ruszaj! Wiesz, gdzie mnie znajdziesz. *(Wychodzi paź).* Franca na tę podagrę lub podagra na tę francę! bo jedna lub druga pastwi się nad moim wielkim palcem. Ale nic w tem złego, że kuleję; wojna moją wymówką, a moja pensya wyda się tem sprawiedliwszą. Sprytna głowa umie ciągnąć korzyści ze wszystkiego; z choroby zrobię kapitał.

(Wychodzi).

SCENA III.

York. Pokój w pałacu arcybiskupa.

(Wchodzi Arcybiskup Yorku, lord Hastings, lord Mowbray, lord Bardolph).

Arcybiskup. Stan nasz wam znany, znane nasze środki,
Proszę was teraz, powiedzcie otwarcie,
Co wam się zdaje o naszych nadziejach.
Lordzie marszałku, objaw nam myśl twoją.

Mowbray. Uznaję słuszność naszego powstania;
Lecz dokładniejszych pragnąłbym objaśnień,
Jak potrafimy z tem, co jest pod ręką
Wyruszyć w pole, mężnie stawić czoło
Potężnej armii pod króla sztandarem.

Hastings. Koło dwudziestu i pięciu tysięcy
Wyborowego liczym dziś żołnierza,
Przytem z pewnością możemy rachować
Na silną pomoc hrabi Northumberland,
Którego pali krwawej zemsty ogień!

Bardolph. Lordzie Hastingsie, pytanie jest teraz,
Czy te dwadzieścia pięć tysięcy wojska
Mogą się oprzeć bez Northumberlanda.

Hastings. Mogą z nim razem.

Bardolph. Na tem stoi wszystko.
Jeśli bez niego jesteśmy za słabi,
Zbyt się daleko nie możem posuwać,
Póki się z nami hrabia nie połączy.
W sprawie tak ważnej, wszelkie przypuszczenia,
Wszelkie nadzieje niepewnych posiłków
Do naszych rachub nie powinny wchodzić.

Arcybiskup. Słuszna uwaga; to właśnie zgubiło
W shrewsburskiej bitwie młodego Hotspura.

Bardolph. To, bez wątpienia. Karmił się nadzieją,
Obietnicami posiłków oddychał,
Łudził się przyjściem urojonej siły,
Mniejszej od jego i najmniejszej myśli;
Więc uniesiony skrzydłem wyobraźni,
Szalonym tylko dozwolonej głowom,
Powiódł swe hufce na rzeź niewątpliwą,
I skoczył w przepaść z zamkniętą źrenicą.

Hastings. Nie szkodzi jednak do wojennych rachub
Prawdopodobne wprowadzać nadzieje.

Bardolph. I bardzo, jeśli cały wojny zasób,
Jeżeli cała zwycięstwa podstawa
Nadzieją tylko żyje, jak te pączki,
Które w zaraniu wiosny drzewa stroją,
Bo czy z nich kiedy owoc się wywiąże,
Mniej jest nadziei, niż słusznej obawy,
Że je przed czasem mroźne zwarzą wiatry.
Kto chce budować, najprzód grunt obejrzy,
Potem plan zrobi, a gdy już zobaczy
Kształt domu, koszta budowli obliczy,
A gdy nad jego zdadzą mu się możność,
Nowy plan z mniejszym zakreśla przepychem,
Albo się całkiem wyrzeka budynku.
Tem bardziej w sprawie tak wielkich rozmiarów,
Gdy prawie chcemy obalić królestwo,
A na ruinach wybudować nowe,
Grunt musim poznać, plan bacznie rozważyć,
Dopiero silne kopać fundamenta,
Radzić się znawców, obliczyć zasoby,
Czy zdolne pokryć wszystkie dzieła koszta;
Inaczej, siły nasze na papierze
Imiona ludzi za ludzi nam dadzą;
Będziem jak człowiek, co dom zaczął wznosić
Nad swoją możność, a w połowie pracy
Wstrzymać się musiał i kosztowne mury
Na łup zostawić łzom chmur wędrujących,
Na pośmiewisko wiatrom twardej zimy.
Hastings. A więc przypuśćmy, że nasze nadzieje
W porodzie umrą, choć pięknie poczęte,
Że jeden żołnierz w pomoc nam nie przyjdzie,
To i tak jeszcze z tem, co teraz mamy,
Na równi z królem możemy się mierzyć.
Bardolph. Co? król dwadzieścia pięć tylko tysięcy
Rachuje zbrojnych?
Hastings. Przeciw nam, przynajmniej,
A raczej nawet i tylu ich niema.
W burzliwych czasach musiał swoje hufce
Na trzy rozdzielić; jeden korpus poszedł
Na Glendowera; przeciw Francyi drugi,
A trzeci na nas z konieczności ciągnie.
Widzisz, król osłabł na trzy rozkrojony;
Kufer też jego dźwięk wydaje głuchy
Czczości i nędzy.

Arcybiskup. Nie możem się lękać,
Aby pościągał rozpierzchnięte siły,
Na nas jedynie całą napadł siłą.
Hastings. E, bądź spokojny! a gdyby to zrobił,
Swojeby tyły bez obrony wydał
Glendowerowi i francuskim pułkom,
Trop w trop za jego ciągnącym śladami.
Bardolph. Kto, jak się zdaje, przeciw nam dowodzi?
Hastings. Książę Lancaster z hrabią Westmoreland;
Do Walii ciągnie król z Henrykiem Monmouth;
Lecz się nie mogłem z pewnością dowiedzieć,
Komu powierzył wojnę przeciw Francyi.
Arcybiskup. Ogłośmy powód naszego powstania.
Lud sobie zmierził własnego wybrańca;
Chciwa wprzód miłość przesyt teraz czuje;
Bo kto na sercach pospólstwa dom stawia,
W niepewnej mieszka i wywrotnej izbie.
O, głupi ludzie! Grzmotnych błogosławieństw
Dla Bolingbroka słałeś chór do nieba,
Gdy nie był jeszcze, czem zrobić go chciałeś;
Teraz, gdy w swoje ubrałeś go żądze,
Szpetny żarłoku, tak syty nim jesteś,
Że chciałbyś gwałtem wyrzucić go z siebie.
Tak już wyplułeś i króla Ryszarda,!
Ty psie nieczysty, z żarłocznych czeluści;
Znów jeść chcesz teraz twój umarły wymiot
I wyjesz za nim? Komu dziś zaufać?
Ci, którzy śmierci pragnęli Ryszarda,
Póki żył Ryszard, zmienili się nagle,
I w jego teraz kochają się grobie.
Ty, coś na głowę jego popiół ciskał,
Kiedy wzdychając przebiegał ulice
Za tryumfalnym Bolingbroka wozem,
Dziś wołasz: Ziemio, wróć tamtego króla,
A tego połknij! — Przeklęta ludzkości!
Przeszłość i przyszłość zawsze ci jest drogą,
Obecność zawsze szpetną i ubogą.
Mowbray. Zbierzemyż wojska, dosiądziemyż koni?
Hastings. Czas panem naszym, czas zwłoki nam broni.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Londyn. — Ulica.

(Wchodzi: Gospodyni, z nią Kruczek i jego Sługa, za nimi Sidełko).

Gospodyni. Panie Kruczku, czy zaoblatowałeś skargę?

Kruczek. Zaoblatowałem.

Gospodyni. Gdzie twój pomocnik? Czy to jaki barczysty pachołek? Czy dotrzyma kroku?

Kruczek. Mopanku, gdzie Sidełko!

Gospodyni. A, a, dobrze! Panie Sidełko!

Sidełko. Jestem, jestem.

Kruczek. Sidełko, musimy aresztować Sir John Falstaffa.

Gospodyni. Tak jest, panie Sidełko, oblatowałam i jego i wszystko.

Sidełko. Sprawę tę może z nas który przypłacić życiem; gotów którego z nas zasztyletować.

Gospodyni. O, ja nieszczęśliwa! Strzeż się go. Toć on i mnie pchnął sztyletem w moim własnym domu, a to w najobrzydliwszy sposób. Na uczciwość, nie zważa on na krzywdę, którą wyrządza, jak raz dobędzie sztyletu; gotów kłuć, jak wcielony dyabeł, bez względu czy to mąż, niewiasta, czy dziecię.

Kruczek. Bylem go raz złapał, drwię ja z jego sztyletu.

Gospodyni. I ja też; będę twoją poplecznicZką.

Kruczek. Byleby mi się tylko zacapić go udało, byle się tylko raz w moją śrubę dostał.

Gospodyni. Zginęłam, jeśli odjedzie. Możecie mi wierzyć, że co mi winien, końca nie ma. Dobry panie Kruczku, trzymaj go; dobry panie Sidełko, nie daj mu się wymknąć. Przychodzi on kontynentalnie na Róg Pasztetnika, z przeproszeniem, bo chce tam sobie siodło kupić, a jest zanitowany na obiad do pana Gładkosza, bławatnika, pod znakiem Lamparta, na ulicy Lombard; proszę więc was, skoro moja fakcya jest zaoblatowana, a moja sprawa tak dobrze wiadoma całemu światu, dołóżcie starania, żeby zapłacił mój rachunek. Sto grzywien, wielka to strata dla biednej, osierociałej wdowy. Czekałam i czekałam, a on mnie durzył i durzył, z dnia na dzień odsyłał, że aż wstyd o tem myśleć. Niema uczciwości w takiem postępowaniu, chyba że niewiasta zostanie osłem i bestyą, aby znosić krzywdę od lada łajdaka. *(Wchodzą: Sir John Falstaff, paź i Bardolf).* Właśnie nadchodzi, a z nim ten hultaj, z małmazyowym nosem, Bardolf. Dopełnijcie waszej powinności, panie Kruczku i panie Sidełko; dopełnijcie mi, dopełnijcie mi waszej powinności.

Falstaff. Co tu nowego? czyja kobyła zdechła? Co tu za nowiny?

Kruczek. Sir John, aresztuję cię wskutek skargi zaniesionej przez panią Żwawińską.

Falstaff. Precz mi stąd, szerepetki! Dobądź szabli, Bardolfie, utnij mi głowę tego nicponia, a rzuć mi tę babę do rynsztoku.

Gospodyni. Rzucić mię do rynsztoku? ja cię tam rzucę wprzódy. Ty? ty mnie? ty, łotrze, bękarcie? Rozbój! rozbój! O, ty mężobójczy hajdamako! Ty chcesz mordować bożych sług i królewskich? ty szelmo, rozbójniku? ty rozbójniku! ty kacie męża i niewiasty!

Falstaff. Wygoń ich, Bardolfie.

Kruczek. Rety! rety!

Gospodyni. Dobrzy ludzie, śpieszcie nam na pomoc! Co, nie chcesz? nie chcesz? ty łotrze, ty szubieniczniku!

Falstaff. Precz mi stąd, ty pomywaczko! ty żebraczko! ty tłuku! Albo połechcę cię katastrofą.

(Wchodzi lord Wielki Sędzia ze służbą).

W. Sędzia. A to co znowu? hola! spokojność!

Gospodyni. Dobry milordzie, bądź dla mnie dobry! błagam cię, bądź mi pomocą!

W. Sędzia. Cóż to, Sir Johnie? cóż to za targańce?
Zważ na swój stopień, na czas, obowiązki;
Dawnoś być winien w drodze do Yorku.
Puść go, mopanku, czemu tak go trzymasz?

Gospodyni. O, najdostojniejszy milordzie! Niech mnie wasza łaskawość raczy posłuchać! Jestem wdową z Eastcheap, a on jest aresztowany na moje żądanie.

W. Sędzia. Za jaką kwotę?

Gospodyni. To więcej niż kwota, milordzie, to moje wszystko, co miałam. Wyjadł mię z mojego własnego domu, włożył całą moją substancyę w ten tłusty brzuch swój; ale wyciągnę jeszcze stamtąd choć odro-

binę, albo męczyć cię będę po całych nocach, jak zmora.

Falstaff. Myślę, że ja cię będę prędzej po całych nocach męczył, byle się nadarzyła sposobność.

W. Sędzia. Co się to znaczy, sir John? Wstydź się! Czy człowiek uczciwej reputacyi chciałby się narażać na taką burzę wykrzykników! Czy się nie rumienisz, zmuszając biedną wdowę do tak gwałtownych środków, aby odebrać, co się jej należy?

Falstaff. Co ci winienem ryczałtem?

Gospodyni. Ha, gdybyś był uczciwym człowiekiem, winieneś mi samego siebie, a pieniądze w dodatku. Przysiągłeś mi na pozłacany kubek, siedząc w mojej sali delfina, przy okrągłym stole, naprzeciw komina, w którym buchał ogień ziemnego węgla, we środę po Zielonych Świątkach, kiedy ci książę rozpłatał czaszkę za to, że porównywałeś jego ojca do windsorskiego śpiewaka, przysiągłeś mi, właśnie gdy ci obmywałam ranę, że mnie poślubisz, że zrobisz ze mnie milady twoją żonę. Czy możesz temu zaprzeczyć? Czy sąsiadka Łoińska, żona rzeźnika, nie wbiegła wtedy do izby i nie nazwała mię kumą Żwawińską? a przyszła pożyczyć u mnie garnuszek octu, bo powiedziała mi, że ma doskonały półmisek morskich raczków, a ciebie zaraz wzięła chętka skosztować jej potrawy; ale ja ci odpowiedziałam, że to niedobre jedzenie na świeżą ranę. A ledwo że wyszła, czy nie wymagałeś, abym się więcej nie pospolitowała z takiem tałałajstwem, mówiąc, że niedługo nazywać mnie będą madamą? A czy nie pocałowałeś mnie i nie prosiłeś, żeby ci dać trzydzieści szylingów? Przysięgnij mi teraz na biblię i zaprzecz wszystkiemu, jeśli możesz.

Falstaff. To biedna waryatka, milordzie; toć ona paple po całem mieście, że najstarszy syn jej to wykapana wasza dostojność. Była kiedyś dostatnią gospodynią, ale, żeby prawdę powiedzieć, bieda przewróciła jej głowę. Co się zaś tyczy tych głupich urzędników, mam zamiar, milordzie, poszukiwać na nich mojego afrontu.

W. Sędzia. Sir John, sir John, znam ja dobrze twój sposób przekręcania prawdy na fałsz w każdej sprawie. Ani miedziane czoło, ani potok słów płynących z więcej niż bezczelną śmiałością, nie potrafią mnie sprowadzić z drogi bezstronnego sądu. Wiem, żeś nadużył potulnej ufności tej kobiety.

Gospodyni. To prawda, to prawda, milordzie.

W. Sędzia. Proszę cię, bądź cicho! — Zapłać jej, co winieneś, i napraw nieuczciwie wyrządzoną jej krzywdę; dopełnisz pierwszego brzęczącą monetą, a drugiego rzetelną skruchą.

Falstaff. Milordzie, nie zniosę tej bury bez odpowiedzi. Nazywasz honorową odwagę bezczelną śmiałością. Tylko kto się pokornie kłania i milczy, jest w twoich oczach cnotliwym człowiekiem. Ale nie, milordzie, nie wypuszczając z pamięci należnego ci uszanowania, nie myślę być twoim suplikantem. Więc raz jeszcze milordzie, domagam się, żebyś mnie uwolnił od prześladowań tych ichmościów, bo królewska służba wymaga ode mnie pośpiechu.

W. Sędzia. Mówisz, jakgdybyś miał prawo krzywdzenia drugich. Ale odpowiedz w sposób godny twojej reputacyi i zaspokój tę niewiastę.

Falstaff. Chodź-no tu, gospodyni.

(Odchodzi z nią na stronę. Wchodzi Gower).

W. Sędzia. Ha, to Gower, co za nowiny?

Gower. Król z księciem Walii przybędzie za chwilę;
List ten, milordzie, opowie ci resztę.

Falstaff. Jakem szlachcic...

Gospodyni. Ba, ba, tak samo mówiłeś i wprzódy.

Falstaff. Jakem szlachcic — no, nie mówmy o tem więcej.

Gospodyni. Na tę niebieską ziemię, na której stoję, będę musiała zastawić moje srebra i obicia moich jadalnych pokoi.

Falstaff. Szklanki, szklanki, to rzecz najdogodniejsza do picia; a co do twoich murów, jaka zabawna krotofila, albo historya rozrzutnego syna, albo niemieckie polowanie *al fresco,* warte jest tysiąc tych firanek albo tych obić przez muchy jedzonych. No, niech więc będzie dziesięć funtów, jeśli możesz. Gdyby nie te twoje kaprysy, nie byłoby lepszej od ciebie dziewki w całej Anglii. Idź teraz, umyj twarz, a cofnij twoją skargę. Nie powinnaś stroić ze mną podobnych fochów. Ba, wiem ja dobrze, że cię ktoś podszczuł do tego.

Gospodyni. Proszę cię, Sir John, kontentuj się dwudziestoma dukatami; nie chciałabym zastawiać moich sreber; na uczciwość, wierz mi.

Falstaff. Więc nie mówmy już o tem; muszę się inaczej zakręcić; widzę, że nigdy nie przyjdziesz do rozumu.
Gospodyni. No, będziesz je miał, choćby mi przyszło zastawić własną spódnicę. Spodziewam się, że przyjdziesz na wieczerzę. Zapłacisz mi wszystko razem, nieprawda?
Falstaff. Bylem dożył. *(Do Bardolfa).* Idź z nią; zahaczaj, zahaczaj!
Gospodyni. Czy chcesz wieczerzać z Dorotą Drzej-Prześcieradło?
Falstaff. Zgoda, niech przyjdzie.
(Wychodzą: gospodyni, Bardolf, policyanci i paź).
W. Sędzia. Słyszałem lepsze nowiny.
Falstaff. Co za nowiny, dobry mój lordzie?
W. Sędzia. Gdzie król ostatnią noc przepędził?
Gower. W Basingstoke, milordzie.
Falstaff. Spodziewam się, milordzie, że wszystko jest dobrze; co za nowiny, milordzie?
W. Sędzia. Czy z całą wraca siłą?
Gower. Nie, tysiąc pięćset pieszych, pięćset jazdy
Z księciem Lancaster ciągnie atakować
Northumberlanda i Arcybiskupa.
Falstaff. Czy król wraca z Walii, milordzie?
W. Sędzia. Chodź ze mną, Gower, bo musisz bez zwłoki
Wracać z odpisem na wręczone listy.
Falstaff. Milordzie...
W. Sędzia. Co takiego?
Falstaff. Panie Gower, czy przyjmiesz moje zaproszenie na obiad?
Gower. Moją jest powinnością towarzyszyć lordowi; dziękuję ci, dobry Sir John.
W. Sędzia. Sir John, zbyt odjazd twój odwlekasz, skoro masz jeszcze robić zaciągi w hrabstwach naddrożnych.
Falstaff. Czy przyjmiesz przynajmniej ze mną wieczerzę, panie Gower?
W. Sędzia. U jakiegoż to głupiego mistrza nauczyłeś się takich manier, Sir John?
Falstaff. Panie Gower, jeśli te maniery nie są mi do twarzy, to głupi, kto mnie ich nauczył. W tem leży cała gracya szermierki, milordzie, cięcie za cięcie i kwita.
W. Sędzia. Niech cię Pan Bóg oświeci! Wielki z ciebie głupiec. *(Wychodzą).*

SCENA II.

Londyn. Inna ulica.

(Wchodzą: Książę Henryk i Poins).

Ks. Henryk. Wierzaj mi, okrutnie jestem zmęczony.
Poins. Czy być może! Ja myślałem, że zmęczenie nie będzie śmiało przyczepić się do krwi tak szlachetnej.
Ks. Henryk. A jednak, możesz mi wierzyć, przyczepiło się do niej, choć to wyznanie może trochę przyćmić blask mojej wielkości. Czy to nie upodlenie dla mnie wzdychać do szklanki podpiwka?
Poins. To prawda; nie godzi się księciu do tego stopnia rozwodniony mieć temperament, aby myśleć o tak wątłym napitku.
Ks. Henryk. Zdaje mi się, że mój apetyt nie jest książęcego pochodzenia, bo, na uczciwość, myślę teraz o tem biednem stworzeniu, podpiwku. Nizkie te myśli odbierają mi też miłość mojej wielkości. Co za upodlenie dla mnie przypominać sobie twoje nazwisko! albo twoje oblicze poznać jutro! albo wiedzieć ile masz par jedwabnych pończoch! to jest tę, którą masz teraz i tamtą, która była kiedyś brzoskwiniowego koloru; albo trzymać inwentarz twoich koszul! jak naprzykład, jedna dla zbytku, druga dla użycia. Ale to szczegół lepiej znany dozorcy gry w piłkę, bo wielki musi być u ciebie odpływ bielizny, skoro nie trzymasz tam rakiety, a nie trzymałeś jej od dosyć już dawna, bo reszta twoich niderlandów potrafiła zjeść wszystkie twoje holenderskie posiadłości.
Poins. Jak mało przystoi księciu po tak ciężkich pracach tak lekka rozmowa! Powiedz mi, jak wielu dobrych młodych książąt pozwoliłoby sobie na te żarty, gdyby ich ojcowie tak ciężko jak twój byli chorzy?
Ks. Henryk. Czy chcesz, żebym ci coś powiedział, Poins?
Poins. I owszem, tylko niech to będzie coś dobrego.
Ks. Henryk. Dość to będzie dobre dla dowcipów nie lepszej familii od twojego.
Poins. Więc słucham gotowy na cios tego coś, co masz mi powiedzieć.
Ks. Henryk. A więc ci powiem, że nie wypada mi smucić się teraz, gdy ojciec mój chory; jednakże mógłbym ci

wyznać, jak człowiekowi, którego podobało mi się nazwać przyjacielem w braku lepszego, że mógłbym być smutny, a smutny naprawdę.

Poins. Rzecz to nie łatwa w takich okolicznościach.

Ks. Henryk. Na tę rękę, przypuszczasz, że mój rachunek w księgach dyabelskich tak długi, jak twój lub Falstaffa w rozdziale zatwardziałości i uporu. Ale koniec jest próbą człowieka. Ja ci powiadam, że serce moje krwawi się wewnętrznie z powodu, że ojciec mój jest tak chory, ale w tak złem towarzystwie jak twoje, muszę (a mam dobre do tego powody), muszę unikać wszelkiej ostentacyi smutku.

Poins. A cóż to za powody?

Ks. Henryk. Cobyś o mnie myślał, gdybym płakał?

Poins. Myślałbym, że jesteś księciem obłudników.

Ks. Henryk. I takby myślał każdy inny; a wielkie to dla ciebie błogosławieństwo, że myślisz jak każdy inny. Nigdy ludzka myśl nie trzymała się wierniej bitego gościńca, niż twoja; każdy inny, na twojem miejscu, wziąłby mnie za obłudnika. A cóż to skłoniło twoją najdostojniejszą myśl do takiej myśli?

Poins. Co? Twoja rozpusta i zbytnie przylgnienie do Falstaffa.

Ks. Henryk. I do ciebie.

Poins. Nie; ludzie dobrze o mnie mówią; nieraz to słyszę na własne uszy; co mogą najgorszego o mnie powiedzieć jest, że jestem młodszym bratem, i że pracuję niezgorzej na własną rękę, a dwom tym rzeczom, wyznaję, nie jestem zdolny zaradzić. Ale patrz, panie, nadchodzi Bardolf.

Ks. Henryk. A z nim paź, którego dałem Falstaffowi. Dostał go ode mnie chrześcijaninem, a patrz, czy ten tłusty hultaj nie zrobił z niego małpy?

(Wchodzą: Bardolf i paź).

Bardolf. Szczęść Boże, waszej łaskawości!

Ks. Henryk. I waszej, najszlachetniejszy Bardolfie!

Bardolf *(do pazia).* Śmiało naprzód, ty cnotliwy ośle! Wstydliwy dudku, czy koniecznie rumienić ci się trzeba? Czemu się teraz rumienisz? Na jakąż to pannę-giermka się zmieniłeś! Także to trudna sprawa odebrać dziewictwo kwartowemu kuflowi?

Paź. Właśnie co zawołał mnie, milordzie, przez czerwoną okiennicę, a niepodobna mi było rozróżnić jakiejbądź cząstki jego twarzy od okna; dostrzegłem nakoniec jego oczy, i zdawało mi się, że zrobił dwie dziury w nowej spodnicy szynkarki, aby wyglądać przez nie na ulicę.

Ks. Henryk. Czy dzieciuch nie zrobił postępów?

Bardolf. Precz mi stąd, sk......nie! dwunożny króliku, precz mi!

Paź. Precz mi stąd, ty hultajski śnie Altei, precz mi!

Ks. Henryk. Naucz nas, paziu; co to za sen, paziu?

Paź. Co za sen, milordzie? Śniło się Altei, że powiła głownię, i dlatego jej snem go nazywam [1]).

Ks. Henryk. Dobre to tłómaczenie warte talara; weź go, paziu. *(Daje mu pieniądze).*

Poins. Bodaj tak pięknego kwiatu oszczędziły robaki! Przyjmij te sześć groszy na ochronę.

Bardolf. Jeśli w waszej kompanii nie dostanie się na stryczek, będzie krzywda szubienicy.

Ks. Henryk. A jakże zdrowie twojego pana, Bardolfie?

Bardolf. W dobrym stanie, dobry milordzie. Dowiedział się o przybyciu waszej łaskawości do miasta, i oto list od niego.

Poins. Wręczony z należnem poszanowaniem. A jakże zdrowie świętego Marcina, twojego patrona? [2])

Bardolf. Czy co do ciała, panie?

Poins. O, ani wątpię, że cząstka nieśmiertelna potrzebuje doktora, nie troszczę się jednak o nią, bo choć chora, nie umrze.

Ks. Henryk. Pozwalam temu wrzodowi, jak mojemu psu, poufalić się ze mną; korzysta, widzę, z mojego pozwolenia, bo patrz, co mi pisze.

Poins *(czyta).* »John Falstaff, rycerz«. — Wszyscy muszą o tem wiedzieć, ilekroć nadarzy mu się sposobność wymówienia swojego nazwiska. Zupełnie jak królewscy krewni, co to nie ukłują się w palec, żeby nie powiedzieli: »wyciekło trochę krwi królewskiej«. »A to jak?« spyta czasem udający, że ich nie zrozumiał; na to gotowa odpowiedź, jak czapka dłużnika: »Jestem biednym królewskim kuzynem, panie«.

---

[1]) Paź pomieszał sen Hekuby, ciężarnej Parysem, o powitej głowni, z głownią, do której przywiązane było życie Meleagra, syna Altei.

[2]) Poins dlatego zapewne nazywa Falstaffa świętym Marcinem, że wiek jego blizki już zimy.

Ks. Henryk. Chce im się gwałtem naszego kuzynostwa, choćby im przyszło sięgnąć do Jafeta. Ale do listu.

Poins *(czyta).* »Sir John Falstaff, rycerz, synowi królewskiemu, najbliższemu po ojcu, Henrykowi księciu Walii, pozdrowienie«. Ależ to ma minę jakiegoś zaświadczenia.

Ks. Henryk. Cicho!

Poins *(czyta).* »Będę naśladował dostojnych Rzymian krótkością« — chce zapewne powiedzieć oddechu, dychawicznik. — »Polecam ci się, polecam cię Bogu i żegnam cię. Nie pospolituj się zbytecznie z Poinsem, bo on do tego stopnia twoich względów nadużywa, iż przysięga, że masz wziąć siostrę jego Halkę za żonę. Żałuj za twoje grzechy, jeśli znajdziesz wolną po temu chwilę, i bądź zdrów. Twój, tak lub nie (co się znaczy stosownie do tego, jak będziesz go traktował) Jaś Falstaff z moimi przyjaciołmi. John z moimi braćmi i siostrami, a sir John z całą Europą«. Milordzie, umaczam list ten w winie i zjeść mu go każę.

Ks. Henryk. To jest każesz mu zjeść dwadzieścia jego wyrazów. Ale czy naprawdę tak mnie traktujesz, Edziu? Czy muszę wziąć twoją siostrę za żonę?

Poins. Bodaj biedna dziewka na nic gorszego nie trafiła! ale nigdy tego nie mówiłem.

Ks. Henryk. Dobrze, dobrze. Tak to stroimy sobie żarty z czasem, a duchy mądrych siedzą w chmurach i śmieją się z nas. Czy pan twój jest tu w Londynie?

Bardolf. Tak jest, milordzie.

Ks. Henryk. Gdzie wieczerza? Czy zawsze stary odyniec tuczy się w starym chlewie?

Bardolf. W starej swojej gospodzie, w Eastcheap.

Ks. Henryk. W jakiem towarzystwie?

Paź. Efezejczyków, milordzie, starego kościoła.

Ks. Henryk. Czy wieczerzają z nim jakie kobiety?

Paź. Tylko pani Żwawińska i Dorota Drzej-Prześcieradło.

Ks. Henryk. Cóż to za poganka?

Paź. Bardzo zacna szlachcianka, krewna mojego pana.

Ks. Henryk. Tak właśnie krewna, jak parafialne jałowice są krewne miejskiego byka. A gdybyśmy ich zeszli, Edziu, przy ich wieczerzy?

Poins. Jestem twoim cieniem, milordzie, pójdę wszędzie za tobą.

Ks. Henryk. Słuchaj, paziu, i ty, Bardolfie, ani słowa wa-

szemu panu, że jestem jeszcze w mieście. A to wam daję za milczenie.

Bardolf. Nie mam języka, panie.

Paź. Co do mojego, potrafię nim rządzić.

Ks. Henryk. Więc bądźcie zdrowi, idźcie. *(Wychodzą: Bardolf i paź).* Ta Dorota Drzej-Prześcieradło, to pewno jakiś tłuk być musi.

Poins. Ręczę za to; tak publiczna, jak gościniec między St.-Albans a Londynem.

Ks. Henryk. Jak zrobić, żebyśmy zobaczyli tej nocy Falstaffa w prawdziwych jego kolorach, niepostrzeżeni od niego?

Poins. Wdziejmy skórzane kaftany i fartuchy i służmy mu do stołu.

Ks. Henryk. Z boga w byka? ciężki upadek! który spotkał Jowisza. Z księcia w czeladnika? nizka przemiana! która mnie spotka. Ale w każdej sprawie cel równoważy szaleństwu. Więc idźmy, Edziu.

(Wychodzą).

SCENA III.

Warkworth. Przed zamkiem.

(Wchodzą: Northumberland, lady Northumberland, lady Percy).

Northumberland. Nie, droga żono, i ty, piękna córko,
Dajcie bieg wolny twardym moim losom;
Nie bądźcie chmurne, jak są moje sprawy,
Jak położenie moje kłopotliwe.

Lady Northumberland. Nic już nie dodam; milcząc, zniosę [wszystko;
Rób, co chcesz, mądrość twoja niech cię wiedzie.

Northumberland. Ach, droga żono, o honor mój idzie;
Odjazd mój tylko może go ocalić.

Lady Percy. Przez Boga jednak, nie idź na tę wojnę!
Był czas, mój ojcze, w którym słowoś złamał,
Choć cię wiązało potężniej, niż teraz,
Gdy syn twój, Percy, gdy mój drogi Henryk
Łakome oczy na północ kierował,
Czy nie zobaczy ojca z posiłkami;
Ale wyglądał i wzdychał daremno!

A cóż cię wtedy w domu zatrzymało?
Tam dwa honory legły: twój i syna.
Twemu niech znowu niebo blask przywróci!
Henryka honor tak przylgnął do niego,
Jak do sinego nieba sklepu słońce;
Przy jego blasku, do walecznych czynów
Całe się Anglii cisnęło rycerstwo;
On był zwierciadłem, przy którem do boju
Szlachetna młodzież przywykła się stroić;
Chód jego wzorem dla każdej był stopy;
Krzykliwe słowa — ta jego przywara —
Stały się cechą języka walecznych,
I ten, co cicho mówić mógł i skromnie,
Przymiotom nawet swoim gwałt zadawał,
Żeby na jego mówić podobieństwo.
Mową i chodem, życiem i gustami,
Wojenną sztuką, krwi nawet dziwactwem
On był przykładem, wzorem, on był księgą,
Do której każdy stosował się rycerz;
A przecie, jego — ten cud człowieczeństwa —
Ty opuściłeś, i jak był jedyny,
Tak jeden musiał, z twardej konieczności,
W hydne oblicze boga wojny spojrzeć,
Stanąć do boju, gdy za sprzymierzeńca
Miał jedno tylko groźne imię Hotspur;
Tak go, mój ojcze, tak go opuściłeś!
O, cieniom jego nie wyrządź tej krzywdy,
Przyrzeczeń twoich nie dotrzymaj wierniej
Innym, niż jemu! o, nie łącz się z nimi!
Siły marszałka i arcybiskupa
Dość są potężne. Gdyby drogi Henryk
Ich wojsk połowę tylko miał pod ręką,
Dziś, zawieszona na Hotspura szyi
Mogłabym mówić o grobie Monmoutha.

Northumberland. Odpuść ci, Boże, piękna moja córko!
Lecz z piersi moich wyrywasz mi dzielność,
Na nowo stare opłakując błędy.
Ale iść muszę, spotkać się tam muszę
Z niebezpieczeństwem, lub niebezpieczeństwo
Gdzieindziej samo przyleci mnie szukać,
Mniej na spotkanie przygotowanego.

Lady Northumberland. Schroń się do Szkocyi i czekaj [tam, mężu,
Dopóki zbrojna szlachta i lud gminny
Swojej potęgi na próbę nie stawią.

Lady Percy. Jeśli nad królem w boju górę wezmą,
Połącz się z nimi, jak stalowe żebro,
Aby co mocne, mocniejszem uczynić;
Ale na naszą miłość cię zaklinam,
Pozwól, niech sami pierwszą zrobią próbę.
Tak syn twój zrobił — przyzwoliłeś na to —
A ja zostałam wdową po Henryku.
Nigdy dość długi mój nie będzie żywot,
By żałość moją po nim łzami skrapiać,
Aż strzeli w górę, jak niebo wysoko,
Na pamięć mego szlachetnego męża.

Northumberland. No, dobrze, dobrze; chodźcie teraz ze [mną.
Jestem jak morze u kresów przypływu,
Bez ruchu, w żadną stronę nie ciekące.
Pragnąłbym śpieszyć do arcybiskupa,
Lecz zatrzymuje tysiąc mnie powodów.
Do Szkocyi pójdę, aż wypadków prądy
Znów na angielskie wyrzucą mnie lądy.
(Wychodzą).

SCENA IV.

Izba w oberży pod Głową Odyńca w Eastcheap.

(Wchodzi dwóch posługaczy).

Pierwszy posługacz. Cóż to przynosisz? jabłka janówki? Czy nie wiesz, że sir John znieść nie może janówek?

Drugi posługacz. To prawda. Książę pewnego razu postawił przed nim talerz janówek i powiedział: »mamy teraz pięciu sir Johnów«, a zdejmując kapelusz, dodał: »pożegnam teraz tych sześciu suchych, okrągłych, starych, powiędłych rycerzy«. Dotknęło go to do głębi serca, ale zapomniał już o tem.

Pierwszy posługacz. Przykryj je więc i postaw. Wyjrzyj teraz na ulicę, czy przypadkiem nie zobaczysz kapeli Nurka, bo jejmość Drzej-Prześcieradło radaby mieć muzykę. Śpiesz się tylko; izba, w której wieczerzali, za gorąca, przyjdą tu niebawem.

Drugi posługacz. Czy wiesz, że książę i Poins po-

każą się za chwilę, wdzieją dwa nasze kaftany i fartuchy? Tylko sir John nie powinien nic o tem wiedzieć; Bardolf przyniósł rozkazy.

Pierwszy posługacz. Na mszę świętą, będzie śmiechu jak za dobrych czasów; przewyborne podejście.

Drugi posługacz. Tymczasem idę szukać Nurka.

(Wychodzi. Wchodzą: Gospodyni i Dorota Drzej-Prześcieradło).

Gospodyni. Na uczciwość, słodkie serduszko, zdaje mi się, że jesteś teraz w najśliczniejszej temperaturze, twój puls tak dziwnie bije, jakby pragnęło serce, a twoja płeć, możesz mi wierzyć, tak czerwona jak róża. Tylko że zanadto piłaś kanaryjskiego wina; bo to jest wino dziwnie przenikające, perfumuje krew, nim zdołasz zawołać: Cóż to jest? Jakże ci teraz?

Dorota. Lepiej, niż było. Hm!

Gospodyni. No, to mi dobra odpowiedź. Dobre serce warte jest złota. Patrz, i sir John nadchodzi.

(Wchodzi Falstaff, śpiewając).

Falstaff. »Kiedy Artiur na dwór przybył«...
Wylej z nocnika. *(Wychodzi posługacz).*
»A nie lada był to król«.
No, jakże ci, pani Doroto?

Gospodyni. Mdłości ją biorą.

Falstaff. To całej płci jest zwyczaj; zawsze jej figle na mdłościach się kończą.

Dorota. A ty brudny hultaju, toć to jest cała pociecha, którą mi przynosisz?

Falstaff. Tuczysz ty tych hultajów, pani Doroto.

Dorota. Ja ich tuczę? Obżarstwo i choroby ich tuczą, a nie ja.

Falstaff. Jeśli kucharz przychodzi w pomoc obżarstwu, wy przychodzicie w pomoc chorobom; wasz to prezent, Doroto, wasz to prezent, zgódź się na to, biedna moja cnotko, zgódź się na to.

Dorota. To prawda, dajemy wam nasze łańcuszki i nasze klejnoty.

Falstaff *(śpiewa).* »Perły, łańcuszki, sygnety«.
Bo kto się walecznie sprawił, wraca kulawy, jak ci wiadomo; wraca z wyłomu z piką walecznie pogiętą, idzie do doktora walecznie, rzuca się na podsadzone miny walecznie.

Dorota. Bodajeś wisiał, błotnisty węgorzu, bodajeś wisiał!

Gospodyni. Na uczciwość, zawsze po staremu, nie możecie się spotkać, żeby się nie kłócić. Jesteście oboje opryskliwi, jak dwie suche grzanki. Nie może jedno znosić drugiego bez wywarów. Ależ do licha, jedno musi znosić *(do Doroty)*, a tem jednem ty być musisz. Jesteś słabszem naczyniem, jak to mówią, próżniejszem naczyniem.

Dorota. A czy może słabe, próżne naczynie znieść tak ogromny antał? Toć w nim jest cała piwnica zamożnego kupca w Bordeaux; nie widziałaś nigdy ładowniejszego okrętu. — No, zbliż się; rozstańmy się jak dobrzy przyjaciele, Jasiu. Idziesz na wojnę, a czy cię znowu kiedykolwiek zobaczę, nikt sobie o to nie suszy głowy. *(Wchodzi posługacz).*

Posługacz. Chorąży Pistol jest na dole i chciałby mówić z tobą, panie.

Dorota. Co? ten szubienicznik? ten obrzydły warchoł? Nie wpuszczaj go; to łotr z najniewyparzeńszą gębą w całej Anglii.

Gospodyni. Jeśli to warchoł, nie wpuszczaj go, nie, na uczciwość. Muszę żyć z sąsiadami; nie chcę u siebie warchołów. Mam dobre imię i dobrą sławę u najuczciwszych. Zarygluj drzwi; niema tu miejsca dla warchołów. Nie żyłam do dziś, żeby przyjmować teraz warchołów; zarygluj drzwi, proszę cię.

Falstaff. Czy słyszysz, gospodyni?

Gospodyni. Proszę cię, uspokój się, sir Johnie; niema tu miejsca dla warchołów.

Falstaff. Czy słyszysz? to mój chorąży.

Gospodyni. Tere bzdere, sir Johnie, daj sobie pokój. Dla twoich warchołów chorążych za wysokie moje progi. Stawiłam się, parę dni temu, przed panem deputowanym Chudoszem, a jak mi powiedział — było to nie dawniej, jak w ostatnią środę — »sąsiadko Żwawińska«, powiedział — a i ksiądz Niemek, nasz kaznodzieja, był przytomny — »przyjmuj tych, co są grzeczni«, powiedział, »twoja gospoda nie najlepszej używa reputacyi« — a wiem ja, dlaczego to powiedział — »bo«, powiedział, »uczciwa z ciebie niewiasta i dobrze mówią o tobie ludzie, daj przeto baczność, jakich przyjmujesz gości, nie przyjmuj«, powiedział, »żadnych warchołów«. — Żaden też nogi tu nie postawi. Skakałoby

ci serce z radości, gdybyś słyszał, co on mówił; nie, nie chcę żadnych tu warchołów.

Falstaff. Ależ on nie warchoł, gospodyni; to najpotulniejszy kostera; możesz go głaskać bezpiecznie, jak charcie szczenię; nie będzie się warcholił z indorem, byle mu najeżył pióra na znak oporu. Zawołaj go, chłopcze.

Gospodyni. Kostera, mówisz? Nie zamknę drzwi żadnemu uczciwemu człowiekowi, choćby przyszedł i z kosturem, ale nie lubię warchołów; na uczciwość, słabo mi się robi, gdy słyszę wyraz: warchoł. Patrzcie tylko panowie, jak drzę cała; patrzcie tylko, możecie mi wierzyć.

Dorota. To prawda, gospodyni.

Gospodyni. Czy drżę cała? ha, na uczciwość, jak liść osiczyny; znieść nie mogę widoku warchołów.

(Wchodzą: Pistol, Bardolf i paź).

Pistol. Bóg z tobą, sir Johnie!

Falstaff. Witaj mi, chorąży Pistolecie. No, Pistolecie, nabijam cię kuflem wina, strzelaj mi do gospodyni.

Pistol. Strzelam do niej dwiema kulami, sir Johnie.

Falstaff. Nic jej nie zrobisz, Pistolecie, nie zadraśniesz jej nawet.

Gospodyni. Gadaj sobie, co chcesz, nie myślę ja pić ani kul ani pistoletów; nie mam zwyczaju pić więcej, niż co mi na zdrowie, dla niczyjej przyjemności, nie, nie mam zwyczaju.

Pistol. Więc do ciebie, panno Doroto, strzelam do ciebie.

Dorota. Do mnie strzelasz? Gardzę tobą, obrzydły nicponiu. Co? ty biedny, nikczemny kapcanie, bez koszuli oszuście? Precz mi stąd, spleśniały łotrze, precz mi! Nie dla ciebie to kąsek, wart on twojego pana.

Pistol. Znamy się, panno Doroto.

Dorota. Precz mi stąd, nędzny rzezimieszku! brudny czopie, precz mi! Na to wino, utopię nóż mój w twoich zgniłych szczękach, jeśli sobie pozwolisz bezczelnie za panbrat mnie traktować. Precz mi stąd, nędzna butelko na piwo! ty stęchły kuglarzu! — A to znowu odkąd, proszę, mopanku? — Co? czy dlatego, że masz dwie gwiazdki na ramieniu? A to mi rarytas!

Pistol. Zamorduję ci za to twoje kryzy.

Falstaff. Dość tego, Pistolecie; nie chciałbym, żebyś tu wypalił. Strzelaj, ale nie w naszej kompanii.

Gospodyni. Nie, dobry kapitanie Pistolecie, nie tu, słodki kapitanie.

Dorota. Kapitanie? A ty obrzydły, potępiony oszuście, czy cię nie wstyd, że cię nazywają kapitanem? — Gdyby kapitanowie jak ja myśleli, kijami by cię wypędzili, że śmiałeś przybrać ich tytuł, nim na niego zasłużyłeś. Ty kapitanem? ty, niewolniku! A to za co? Czy za to, że podarłeś kryzy biednej dziewce w zamtuzie? On kapitanem! Ten szubienicznik? Ten łajdak? Żyje spleśniałemi śliwkami i sucharami. Kapitan! te łotry zrobią wyraz »kapitan« tak znienawidzonym, jak słowo: posiadać, które bardzo uczciwem było kiedyś słowem, nim się dostało w złe towarzystwo. Niechże się panowie kapitanowie mają na baczności.

Bardolf. Proszę cię, zejdź na dół, dobry chorąży.

Falstaff. Słuchaj mnie, panno Doroto.

Pistol. Ja? Ani myślę. Powiem ci, kapralu Bardolfie, że gotów jestem poszarpać ją na kawałki; muszę się na niej pomścić.

Paź. Proszę cię, zejdź na dół.

Pistol. Wprzód ją w piekle zobaczę, w Plutona potępionem jeziorze, w piekielnej bezdeni, z Erebem i torturami bez miłosierdzia. Trzymajcie haczyki i wędki! Wołam: wara, psy, wara! Wara, przeznaczenie! Czy nie mamy tu Hireny?

Gospodyni. Dobry kapitanie Piszczelu, uspokój się; bardzo już późno. Błagam cię, miarkuj twoją kolerę.

Pistol. A to mi żarty! Więc te Azyi szkapy
Do juk zrodzone, chude, dychawiczne,
Na dzień trzydziestu mil nie zdolne zrobić,
Chcą się z Cezarem, z Hannibalem mierzyć,
Lub z trojańskimi Grekami? Przez Boga!
Niech raczej z królem Cerberem się smażą;
Niech niebo ryczy; mamyż bitwy staczać
Dla nędznych cacek?

Gospodyni. Na uczciwość, kapitanie, okrutnie to gorzkie słowa.

Bardolf. Oddal się, dobry chorąży, bo znowu zrobi się burda.

Pistol. Niech ludzie jak psy zdychają; szafujmy koronami, jak szpilkami! Czy niema tu Hireny?

Gospodyni. Daję ci słowo, kapitanie, że jej tu niema. Cóż znowu u licha, czy myślisz, żebym ją schowała? Proszę cię, uspokój się.

Pistol. Więc jedz i tucz się, piękna Kalipolis!

Dobrze, a teraz daj mi kufel wina.
Si fortuna me tormenta, sperato me contenta.
My, bać się armat? Nie, niech dyabeł strzela!
Lecz daj mi wina, a ty, kochaneczko,
Spocznij tu chwilę.
(Kładzie swoją szablę na ziemię).
Czy punkt tu położyć?
Czy *et caetera* nic u was nie znaczy?

Falstaff. Pistolecie, chciałbym mieć chwilę spokojności.

Pistol. Słodki rycerzu, pięść twoją całuję. Ba, siedm gwiazd widzieliśmy.

Dorota. Zrzuć go ze schodów! Znieść już nie mogę galimacyi tego hultaja.

Pistol. Zrzuć go ze schodów! Albożto my nie znamy gallowejskich kucyków?

Falstaff. Stocz go z góry na dół, Bardolfie, jak fałszywy szeląg, boć skoro nic nie robi i tylko nic paple, to i my z niego nic zrobimy.

Bardolf. No, chodź ze mną na dół.

Pistol. Co, chcesz nacięcia? Mamy krwi utoczyć?
(Chwyta szablę).
A więc ty, śmierci, do snu mnie ukołysz!
Skończ dni mych smutek! A niechaj trzy siostry
Przędą nam rany szerokie, głębokie!
Przybądź, Atropos!

Gospodyni. A to mi na piękne zabiera się rzeczy.

Falstaff. Daj mi mój rapir, paziu.

Dorota. Proszę cię, Jasiu, proszę cię, nie dobywaj go.

Falstaff *(dobywając rapira, do Pistola).* Ruszaj mi ze schodów!

Gospodyni. To mi się zgiełk nazywa! Wyrzekam się oberży, jeśli mam żyć w takich opałach i strachach. To czysty rozbój; tego mi jeszcze brakowało! Rozbój! na uczciwość. Schowajcie te nagie miecze! schowajcie te nagie miecze! *(Wychodzą Pistol i Bardolf).*

Dorota. Proszę cię, Jasiu, uspokój się; drapnął hultaj. Oj, ty maluśki sk...... nie! waleczny nicponiku!

Gospodyni. Czy cię nie ukłuł w pachwinę? Bo zdawało mi się, że ci dał w brzuch zamaszyste pchnięcie.
(Wchodzi Bardolf).

Falstaff. Czy go wypchnąłeś za drzwi?

Bardolf. Wypchnąłem, panie. Upił się hultaj. Raniłeś go, panie, w ramię.

Falstaff. A łajdak! mnie brawować!

Dorota. O, ty słodki, mały łotrzyku! Ach, biedna małpeczko, jak się zapociłeś! Chodź tu, niech ci twarz obetrę, chodź tu, waleczny hultaju! Ha, łotrzyku, kocham cię! Jesteś waleczny, jak Hektor Trojański, wart pięciu Agamemnonów, dziesięć razy lepszy od dziewięciu bohaterów. A hultaju!

Falstaff. Drab nieuczciwy! każę nim ciskać w prześcieradle.

Dorota. Zrób to, jeśli masz serce; a jeśli to zrobisz, zapłacę ci tą samą monetą między dwoma prześcieradłami. *(Wchodzi muzyka).*

Paź. Przyszła kapela, panie.

Falstaff. Niech gra. — Grajcie, panowie. — Siądź mi na kolanach, Dorotko. — Ha, łajdak! obrzydliwy junak! Z rąk mi się wyśliznął hultaj, jak żywe srebro.

Dorota. A ty pędziłeś za nim, jak kościół. Oj ty sk...... nie! moje ty słodkie wielkanocne prosiątko! Kiedy też skończysz bić się we dnie, a fechtować się w nocy? kiedy zaczniesz pakować stare twoje cielsko do nieba?

(Wchodzą z tyłu książę Henryk i Poins, przebrani za posługaczy).

Falstaff. Cicho, dobra Dorotko! Nie gadaj, jak trupia główka, nie przymuszaj mnie do myślenia o moim końcu.

Dorota. Powiedz mi, co ty myślisz o charakterze księcia?

Falstaff. Uczciwe, tylko płytkie młode stworzenie. Byłby z niego doskonały krajczy, przewybornieby chleb rozdzielał.

Dorota. Ale powiadają, że Poins bystry ma dowcip.

Falstaff. On bystry dowcip? Na stryczek mi z takim pawianem. Dowcip jego gęsty, jak tewkesburska musztarda. Nie więcej u niego bystrości jak u kaczki.

Dorota. Dlaczegoż go książę tak kocha?

Falstaff. Bo ich nogi jednej są miary; i dobrze gra w krążki, i je węgorza z koprem, i połyka resztki świec, jak śliwki na wódce, i bawi się z dziećmi w huśtawkę, i skacze przez stołki, i klnie z wielką gracyą, i nosi buty obcisłe jak na wystawie u szewca, i nie wywołuje kłótni, opowiadając delikatne historye, i posiada wiele innych krotofilnych przymiotów, które są znamieniem ciężkiej myśli, ale zwinnego ciała; oto powody, dla których książę przywiązał go do swojej osoby, bo

i sam książę drugi taki, jeden włosek przechyliłby wagę na drugiego stronę.

Ks. Henryk. Czy ten czop chce, żebym mu uszy obciął?

Poins. Obłóżmy go kijami w przytomności jego frajerki.

Ks. Henryk. Patrz tylko, czy ten wywiędły staruch nie daje sobie skrobać głowy, jak papuga?

Poins. Czy to nie dziwy, że żądza o tyle lat przeżyła możność?

Falstaff. Pocałuj mnie, Dosiu.

Ks. Henryk. Saturn i Wenus są tego roku w połączeniu; co mówi na to kalendarz?

Poins. A, patrz, jak ten ognisty Trigon, jego pachołek, pieści stare archiwa swojego pana, jego powiernika — pugilares.

Falstaff. Dajesz mi pochlebne cmoki.

Dorota. Ale szczere, całuję cię najwierniejszem sercem.

Falstaff. Ja już stary, ja już stary.

Dorota. Kocham cię goręcej, niż najmłodszego z tych wszystkich nicponiów.

Falstaff. Z jakiej chcesz materyi spódniczkę? Odbieram pieniądze we czwartek; jutro przyślę ci czepek. A teraz zanuć mi jaką wesołą piosneczkę; już późno, czas iść do łóżka. Zapomnisz mnie, gdy się oddalę.

Dorota. Na uczciwość, płakać mnie przymusisz, jeśli tak będziesz dłużej gadał. Niech ci powiedzą, czy się choć raz wyfiokuję przed twoim powrotem. Słuchaj tylko końca.

Falstaff. Wina, Franciszku!

Ks. Henryk i Poins *(występując).* Zaraz, zaraz, panie.

Falstaff. Ha, królewski bękart? A czy ty nie Poins, brat jego?

Ks. Henryk. A ty kulo grzesznych kontynentów, co ty za życie prowadzisz?

Falstaff. Lepsze od twojego; jestem szlachcicem, a ty szynkarczykiem.

Ks. Henryk. To prawda, przychodzę też trochę ci krwi utoczyć.

Gospodyni. Niech Pan Bóg ma w swojej świętej pieczy twoją dostojność! na uczciwość, witaj nam w Londynie! Błogosław, Panie, słodkiej twojej twarzy! Jakto, panie, z Walii powracasz?

Falstaff. A ty bękarcie, szalony zlewku majestatu! *(kładąc rękę na Dorocie)* na to wiotkie ciało i na tę krew popsutą witam cię radośnie!

Dorota. A to co znowu, ty stary głupcze? Gardzę tobą.

Poins. Łaskawy panie, wygna ci z myśli chęć zemsty i wszystko w żart obróci, jeśli odrazu w gniew nie wpadniesz.

Ks. Henryk. Ty sk...... nie, mino łoju, ty, z jakąż to ujmą mówiłeś o mnie teraz właśnie do tej uczciwej, cnotliwej i grzecznej szlachcianki?

Gospodyni. Bóg zapłać twojemu uczciwemu sercu! bo wszystko, co o niej mówisz, panie, jest szczera prawda, na uczciwość.

Falstaff. Czy mnie słyszałeś?

Ks. Henryk. Słyszałem, a tyś mnie poznał tak samo, jak kiedy zmiatałeś przy Gadshill; wiedziałeś, że stałem za tobą i mówiłeś tak z umysłu, żeby stawić na próbę moją cierpliwość.

Falstaff. Nie, nie, nie, bynajmniej, ani przypuszczałem, że mogłeś mnie słyszeć.

Ks. Henryk. Zmuszę cię więc naprzód do wyznania twojej rozmyślnej obelgi, a wiem, jak mam cię potem traktować.

Falstaff. Nie było tu żadnej obelgi, Henrysiu, na honor, żadnej obelgi.

Ks. Henryk. Żadnej obelgi? A czy to nie obelga nazywać mnie krajczym, rozdzielaczem chleba, i nie wiem co tam jeszcze.

Falstaff. Żadnej obelgi, Henrysiu.

Poins. Żadnej obelgi!

Falstaff. Żadnej obelgi, Edziu, najmniejszej, uczciwy Edziu. Źle o nim mówiłem w przytomności jawnogrzesznicy, żeby jawnogrzesznica nie zakochała się w nim przypadkiem, a robiąc to, dopełniłem powinności szczerego przyjaciela i wiernego poddanego, za co twój ojciec winien mi podziękowanie. Żadnej obelgi, Henrysiu, żadnej, Edziu, żadnej, nie, moje chłopaki, żadnej.

Ks. Henryk. Rozważ tylko, czy przez czystą trwogę i zupełne tchórzostwo nie krzywdzisz tej cnotliwej szlachcianki, żeby nas ułagodzić? Albożto jawnogrzesznica? Alboż twoja gospodyni jawnogrzesznica? alboż ten paź jawnogrzesznik? Alboż uczciwy Bardolf, na którego nosie pali się gorliwość, jawnogrzesznik?

Poins. Odpowiedz na to, spróchniały wiązie, odpowiedz.

Falstaff. Dyabeł wpisał już stanowczo Bardolfa w swój regestr; twarz jego jest prywatną kuchnią Lucypera, w której bez ustanku smaży piwożłopów. Co do pazia, krąży wprawdzie jeszcze koło niego dobry anioł, ale i tu dyabeł bierze górę.

Ks. Henryk. Co do kobiet?

Falstaff. Co do jednej, już jest w piekle i piecze się tam biedna dusza; co do drugiej, winienem jej pieniądze, a czy ją za to piekło czeka, nie wiem.

Gospodyni. Nie, możesz mi wierzyć.

Falstaff. Nie, i ja myślę, że nie czeka; ja myślę, że pod tym względem masz pokwitowanie. Ale jest tam inna na ciebie skarga: pozwalasz jeść mięso w twoim domu, wbrew zakazom; myślę, że za to będziesz kiedyś wyła.

Gospodyni. Wszyscy oberżyści robią to samo; a zresztą co znaczy jeden lub dwa baranie udźce na cały post święty?

Ks. Henryk. Ty, szlachcianko...

Dorota. Co mówi Wasza Łaskawość?

Falstaff. Jego Łaskawość mówi to, przeciw czemu buntuje się jego ciało.

Gospodyni. Kto tak głośno stuka do bramy? Idź zobacz, Franciszku. *(Wchodzi Peto).*

Ks. Henryk. Peto, jakie przynosisz nowiny?

Peto. Król a twój ojciec, książę, jest w Westminster.
Dwudziestu posłów przybiegło z północy
Znużonych drogą; a gdy tu śpieszyłem,
Spotkałem jaki tuzin kapitanów
Śpieszących z głową odkrytą, a wściekle
Bijących w bramy po wszystkich szynkowniach
I pytających, gdzie jest sir John Falstaff.

Ks. Henryk. Prawdziwie, Poins, godnem jest nagany,
Że czas tak drogi tracę lekkomyślnie,
Gdy burza wojny, jak wiatr południowy,
Czarnych wyziewów ciężarny obłokiem,
Zaczyna topnieć i deszczu lać strugi
Na głowy nasze z szyszaków odarte.
Daj miecz i płaszcz mój. — Dobranoc, Falstaffie.
(Wychodzą: książę Henryk, Poins, Peto i Bardolf).

Falstaff. Zbliżał się nakoniec najsmaczniejszy kawałek nocy, a tu mi trzeba odjeżdżać, nie pokosztowawszy go nawet. *(Stukanie).* Nowe stukanie do bramy! *(Wchodzi Bardolf).* Co się to znaczy? Co tam nowego?

Bardolf. Śpiesz się, panie, do królewskiego dworu, a to natychmiast; jaki tuzin kapitanów czeka na ciebie przy wrotach.

Falstaff *(do pazia).* Zapłać muzykę, pachołku. — Bądź zdrowa, gospodyni; bądź zdrowa, Dosiu. — Widzicie, dobre moje dziewki, jak szukają ludzi zasłużonych. Niedołęga spać może, ale budzą ludzi czynu. Żegnam was, dobre dziewki. Jeśli mnie natychmiast pocztą nie wyprawią, zobaczę się z wami przed odjazdem.

Dorota. Nie mogę mówić — jeśli serce moje nie gotowe pęknąć — cóż robić! Słodki Jasiu, miej o sobie staranie.

Falstaff. Bądźcie zdrowe, bądźcie zdrowe!
(Wychodzą: Falstaff i Bardolf).

Gospodyni. Dobrze, dobrze, bądź zdrów! Dwadzieścia dziewięć lat będzie na zielony groszek, jak znam cię, ale uczciwszego, z lepszem sercem człeka — dobrze! Bądź zdrów!

Bardolf *(za sceną).* Pani Drzej-Prześcieradło!

Gospodyni. Co tam?

Bardolf. Powiedz pani Drzej-Prześcieradło, żeby szła do mojego pana.

Gospodyni. O leć, Dosiu, leć! leć, dobra Dosiu!
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Sala w pałacu.

(Wchodzą: Król Henryk i paź).

Król Henryk. Zawołaj hrabiów Surrey i Warwicku;
Ale nim przyjdą, oddaj im te listy,
Niech je czytają i niech obaj treść ich
Pilnie rozważą. Tylko nie trać czasu.
(Wychodzi paź).
Mych najbiedniejszych poddanych tysiące
Śpią w tej godzinie. Śnie słodki, ty dobra
Natury mamko, czem cię odstraszyłem,
Że nie chcesz więcej powiek moich przymknąć

I w zapomnieniu mych pogrążyć zmysłów?
Dlaczego wolisz w dymnych leżeć chatach,
A rozciągnięty na twardym tapczanie
Much nocnych brzękiem do snu się kołysać,
Niż w wonnej królów sypialnej komnacie,
Pod kotarami z kosztownych jedwabiów,
Przy słodkich wdziękach czarownej muzyki?
O, głupi bożku! przenosisz nędzarzy
Obrzydłe łoża, unikasz królewskich,
Jak budy jakiej biednego strażnika,
Przy alarmowym stojącego dzwonie!
Pniesz się na szczyty zawrotnego masztu,
By zamknąć oczy znużonego majtka,
W fal go ryczących kołysać kolebce,
Wśród świstu wichrów, co wściekłe bałwany
Za szczyt chwytają, potworne ich głowy
Strzępią i w chmurach zawieszają lotnych
Z grzmotem i hukiem śmierć obudzić zdolnym!
Możesz, śnie stronny, w tak strasznej godzinie
Biednego majtka, zmoczonego uśpić,
A tu, śród nocy tak cichej, spokojnej,
Śród wszystkich sztuki i zbytku wymysłów
Chwili spoczynku królowi odmawiasz?
Śpij więc, szczęśliwy żebraku, śpij błogo!
Koroną strojne głowy spać nie mogą.

(Wchodzą: Warwick i Surrey).

Warwick. Dzień dobry, królu!
Król Henryk. Jakto, już dzień dobry?
Warwick. Wybiła pierwsza.
Król Henryk. Pierwsza? Więc dzień dobry —
Czyście czytali przesłane wam listy?
Warwick. Tak jest, mój królu.
Król Henryk. Więc dokładnie wiecie,
Jak chore ciało naszego królestwa,
Jaki wrzód sercu zagraża samemu.
Warwick. Drobny to tylko nieład funkcyi ciała,
A dobra rada i trochę lekarstwa
Dawne mu siły bez trudności wrócą:
Lord Northumberland niedługo ostygnie.
Król Henryk. Gdyby kto w księdze przeznaczeń mógł czytać,
Widzieć, jak czasu bieg zrównywa góry!
Jak ląd znudzony swych posad trwałością,
Topnieje, z morza miesza się falami!

Jak oceanu znowu pas skalisty
Jest za przestronny dla Neptuna lędźwi!
Gdyby szyderstwa losu mógł wyczytać!
Widzieć, jak w puhar zmian ludzkiego życia
Codzień fortuna inny leje trunek!
Gdyby to widział młodzik najszczęśliwszy,
Minionych życia niebezpieczeństw pomny,
Przyszłych trudności strwożony ogromem,
Księgęby zamknął, siadł smutny i skonał.
Jeszcze lat temu nie ubiegło dziesięć,
Jak Northumberland, przyjaciel od serca,
Przy jednym stole z Ryszardem ucztował;
Dwa lata później wojnę z sobą wiedli.
Ktoby powiedział, że przed ośmiu laty
Ten Percy mojej duszy był najbliższym,
Jak brat mej sprawie cały się poświęcił,
Miłość i życie u nóg moich złożył,
W twarz Ryszardowi dla mnie wypowiedział
Swe posłuszeństwo. Który z was był świadkiem,

(Do Warwicka).

(Ty, jeśli pomnę, kuzynie Nevilu)
Gdy Ryszard, z gorzką boleści łzą w oku,
Śród obelżywych słów Northumberlanda,
Te, dziś prorocze, powiedział mu słowa:
»Northumberlandzie, jesteś dziś drabiną,
Po której pnie się do tronu Bolingbroke«, —
Choć Bóg mi świadkiem, nie miałem tej myśli,
Konieczność tylko tak rzeczy popchnęła,
Żem się z wielkością musiał pocałować —
»Lecz przyjdą czasy«, mówił dalej Ryszard,
»Lecz przyjdą czasy, w których grzech ten sprośny
Jak zły wrzód wzbierze i pęknie zgnilizną«.
I ciągnął czasów dzisiejszych proroctwo,
Naszej przyjaźni gwałtowne zerwanie.
Warwick. W życiu każdego człeka są wypadki,
Które przeszłości żywem są odbiciem;
Ktoby je śledził, prawie bez zawodu,
W głównych zarysach może prorokować
Zdarzenia śpiące jeszcze w łonie czasu,
W wątłym tam jeszcze zarodku owite,
Co z czasu biegiem na jaw się wyklują.
Na obraz taki gdy swe oczy wlepił,
Król Ryszard przyszłość czytał niewątpliwą,

Że Northumberland, jego wtedy zdrajca,
Do większej wzrośnie z ziarna tego zdrady,
Która, by głębiej korzenie zapuścić,
Nie znajdzie gruntu innego prócz ciebie.

Król Henryk. A więc wypadki te są koniecznością?
Toż jak konieczność przyjąć je nam trzeba,
Jak nas konieczność do czynu dziś woła.
Mówią, że biskup z hrabią Northumberland
Wiodą do boju pięćdziesiąt tysięcy.

Warwick. To być nie może. Wieść, podobna echu,
Ma zwyczaj dwoić wszystko, co ją trwoży.
Idź, królu, spocząć bez żadnej obawy,
Bo hufce, które wyprawiłeś dotąd,
Łatwe nad nimi odniosą zwycięstwo.
Dla twojej większej, panie mój, pociechy
Dodam, żem właśnie odebrał wiadomość
O niewątpliwej śmierci Glendowera.
Zdrowie twe, królu, już od dni piętnastu
Nadwerężone; bezsenne te noce
Powiększyć tylko mogą twe cierpienia.

Król Henryk. A więc usłucham twojej dobrej rady.
Gdybym domowych wrogów zdołał zgładzić,
Do Świętej Ziemi chciałbym was prowadzić.
(Wychodzą).

SCENA II.

Dziedziniec przed domem sędziego Płytka w Gloucestershire.

(Płytek i Milczek wchodząc spotykają się; za nimi Butwiak, Cień, Brodawka, Słabiak, Cielak i służba).

Płytek. Tylko proszę, tylko proszę, daj mi rękę, panie, daj mi twoją rękę, panie. Na święty krzyż, ranny z ciebie ptaszek. Jakże zdrowie dobrego mego kuzyna Milczka?

Milczek. Dzień dobry, dobry kuzynie Płytku.

Płytek. A jakże zdrowie mojej kuzynki, a twojej towarzyszki łoża? a twojej najnadobniejszej córki a i mojej też chrzestnej córki Elleny?

Milczek. Ach, czarny to kos, kuzynie Płytku.

Płytek. Na tak i na nie, śmiem utrzymywać, że kuzyn mój William wyszedł na uczonego. Zawsze w Oxford, nieprawda?

Milczek. Zawsze, panie, na moim koszcie.

Płytek. Trzeba go będzie wkrótce wysłać na prawo. Byłem i ja kiedyś w szkole świętego Klemensa, gdzie, jak myślę, mówią jeszcze dzisiaj o zawadyaku Płytku.

Milczek. Nazywano cię tam podówczas chwatem Płytkiem, kuzynie.

Płytek. Nazywano mnie czem chcesz, a ja też byłem gotów, na co chcesz, a to na pierwsze zawołanie. Mnie nie licząc, był tam jeszcze pędrak Jan Paluszek z Stafordshire, i czarny Jerzy Golec, i Franciszek Kościogryzek i Will Squele z Cotswold; nie znalazłbyś czterech nam równych zawadyaków w całym fakultecie, a mogę ci pod sekretem powiedzieć, że wiedzieliśmy, gdzie szukać spodniczek, mieliśmy też najlepsze na rozkazy. Był tam podówczas i Janek Falstaff, dziś sir Dżon, małe jeszcze chłopię, a paź Tomasza Mowbraya, księcia Norfolka.

Milczek. Ten sam sir John, kuzynie, co ma tu przybyć w rzeczy poboru?

Płytek. Ten sam sir John, ten samiuteńki. Widziałem, jak rozpłatał czaszkę Skogana przy samej bramie uniwersyteckiej, kiedy jeszcze był smerdą ledwo tak wysokim; ja też miałem tego samego dnia pojedynek z niejakim Samsonem Sztokfiszem, owocnikiem, z poza Grays Inn. O, szalone czasy, które tam spędziłem! A teraz iluż to już z moich starych znajomych umarło!

Milczek. Pójdziemy za nimi wszyscy, kuzynie.

Płytek. Rzecz niewątpliwa, rzecz niewątpliwa; wielka prawda, wielka prawda! Śmierć, jak mówi Psalmista, wszystkich czeka, wszyscy umrą. Ile za dobry sprzężaj wołów na jarmarku w Stamford?

Milczek. Na uczciwość, kuzynie, nie byłem tam.

Płytek. Śmierć jest niewątpliwa. Czy stary Dubelt z waszego miasta żyje jeszcze?

Milczek. Umarł, panie.

Płytek. Jezu! Jezu! umarł! Patrzcie! patrzcie! Nielada to był łucznik; umarł! Pięknie strzelał. Jan z Gandawy lubił go bardzo i niemało stawił pieniędzy na jego głowę. Umarł! Nigdy on nie chybił o dwieście czterdzieści kroków, a tak ci puszczał strzałę na dwieście ośmdziesiąt, a nawet i na dwieście dziewięćdziesiąt, że

na ten widok skakało ci serce z radości. Ile dziś mędel owiec?

Milczek. To zależy: mędel dobrych owiec może dziś wartać dziesięć funtów.

Płytek. A stary Dubelt umarł?

(Wchodzi Bardolf z jednym żołnierzem).

Milczek. Zbliża się dwóch ludzi, sir John Falstaff, jak myślę.

Bardolf. Dzień dobry, uczciwi panowie; raczcie mi powiedzieć, który z was jest sędzia Milczek?

Milczek. Ja jestem Robert Milczek, panie, biedny szlachcic w tym powiecie, a jeden z królewskich sędziów pokoju. Czego żądasz ode mnie?

Bardolf. Kapitan mój, panie, poleca się twojej przyjaźni, kapitan mój sir John Falstaff: szlachcic urodziwy i najwaleczniejszy przywódca.

Płytek. Wdzięczny mu jestem za pozdrowienie; znałem go dzielnym fechmistrzem. Jakże zdrowie dobrego rycerza? Czy wolno mi zapytać o zdrowie dostojnej jego małżonki?

Bardolf. Przebacz mi, panie, ale żołnierz lepiej akomodowany, gdy nie ma żony.

Płytek. Dobra odpowiedź, na uczciwość, panie; muszę przyznać, doskonała odpowiedź. Lepiej akomodowany! doskonale! tak jest, doskonale! Dobre frazesy są niewątpliwie i były zawsze rzeczą arcychwalebną. Akomodowany! Źródłosłów *accommodo;* bardzo dobrze; wyborny frazes!

Bardolf. Z przeproszeniem, panie, słyszałem ten wyraz. Nazywasz go frazesem? Na to światło dzienne, nie znam frazesu, ale gotów jestem utrzymywać ostrzem mojej szabli, że to wyraz żołnierski i niepospolitej powagi. Akomodowany, to jest, gdy jest człowiek — będąc — a zatem — można przypuścić, że jest akomodowany, co bardzo dobrą jest rzeczą.

(Wchodzi Falstaff).

Płytek. Bardzo sprawiedliwa uwaga. Ale patrz, dobry sir John się zbliża. Daj mi twoją dobrą rękę, daj mi twojej dostojności dobrą rękę. Daję słowo, doskonale wyglądasz i doskonale nosisz twoje lata. Witaj nam, dobry sir Johnie!

Falstaff. Rad jestem, że cię przy dobrem zdrowiu znajduję, dobry panie Robercie Płytku. Pan Pewna-Karta, jak myślę?

Płytek. Nie, sir Johnie, to kuzyn mój Milczek, a mój kolega w magistraturze.

Falstaff. Dobry panie Milczku, rzecz bardzo właściwa, że jesteś stróżem pokoju.

Milczek. Miłe mi przybycie waszej dostojności.

Falstaff. Ha! co za upał! Panowie, czyście mi znaleźli jakie pół tuzina ludzi dobrych do służby?

Płytek. Ani wątpliwości, żeśmy znaleźli. Czy raczy pan usiąść?

Falstaff. Pokażcie mi ich, proszę.

Płytek. Gdzie lista? gdzie lista? gdzie lista? Zobaczmy, zobaczmy, zobaczmy. To właśnie, to właśnie, to właśnie, tak jest, na uczciwość, panie. Ralf Butwiak; niech się każdy prezentuje na zawołanie, niech się prezentuje, niech się prezentuje. Zobaczmy; gdzie Butwiak?

Butwiak. Jestem, panie, na rozkazy.

Płytek. Co myślisz, sir Johnie? Chwat doskonale zbudowany, młody, silny, z uczciwej familii.

Falstaff. Imię twoje Butwiak?

Butwiak. Tak jest, panie, jeżeli łaska.

Falstaff. To wielki czas, by cię użyć.

Płytek. Ha! ha! ha! przewybornie, na uczciwość! Zbutwiałych rzeczy trzeba co prędzej używać. Nadzwyczaj doskonale! dobrze powiedziane, sir Johnie, dobrze powiedziane.

Falstaff *(do Płytka).* Naszpilkuj go.

Butwiak. Dość ja już byłem kłuty poprzednio, moglibyście zostawić mnie w pokoju. Stara moja matka oszaleje, nim znajdzie kogo, coby się zajął jej gospodarstwem i ciężką robotą. Nie potrzebujecie mnie szpilkować; są tu inni zdolniejsi ode mnie do służby.

Falstaff. Stul gębę, Butwiaku, musisz pójść ze mną; czas, by cię zużyć.

Butwiak. Zużyć!

Płytek. Cicho, pachołku, cicho! Ustąp na bok. Czy wiesz ty, gdzie jesteś? — A teraz, do następującego, sir Johnie. Zobaczmy. Szymon Cień.

Falstaff. O, daj mi go tu, bym w nim usiadł. Chłodny to być musi żołnierz.

Płytek. Gdzie Cień?

Cień. Jestem, panie.

Falstaff. Cieniu, czyim jesteś synem?
Cień. Mojej matki synem, panie.
Falstaff. Twojej matki synem? Wielkie prawdopodobieństwo; a twojego ojca cieniem. Tak to syn samicy jest cieniem samca; często się to zdarza, nie wątpię, bo nie jest ojca substancyą.
Płytek. Jak ci się podoba, sir Johnie?
Falstaff. Cień przyda się na lato, naszpilkuj go, bo niemało trzeba nam cieni do skompletowania naszej kontroli.
Płytek. Tomasz Brodawka.
Falstaff. Gdzie on?
Brodawka. Jestem, panie.
Falstaff. Nazywasz się Brodawka?
Brodawka. Tak, panie.
Falstaff. To bardzo obszarpana z ciebie Brodawka.
Płytek. Czy mam go naszpilkować, sir Johnie?
Falstaff. Byłaby to zbyteczna praca. Wszystko, co posiada, jest na jego grzbiecie zbudowane, a cała jego budowa stoi na dwóch szpilkach; nie szpilkuj go więcej.
Płytek. Ha! ha! ha! znasz się na rzeczach, znasz się na rzeczach, sir Johnie; przyjmij moje komplementy. — Franciszek Słabiak.
Słabiak. Jestem, panie.
Falstaff. Jakie twoje rzemiosło, Słabiaku?
Słabiak. Damski krawiec, panie.
Płytek. Czy mam go naszpilkować?
Falstaff. Możesz; ale gdyby męskim był krawcem, toby cię on naszpilkował. Bodajeś tyle dziur zrobił w nieprzyjacielskich szeregach, ile ich zrobiłeś w damskich spódnicach!
Słabiak. Zrobię, co mogę, panie; nie możesz żądać więcej.
Falstaff. Dobrze mówisz, dobry damski krawcze! dobrze mówisz, waleczny Słabiaku! Będziesz odważny, jak wściekła gołębica, albo jak mysz najwielkomyślniejsza. Naszpilkuj mi dobrze damskiego krawca, panie Płytku, głęboko, panie Płytku.
Słabiak. Pragnąłbym, żeby Brodawka pomaszerował z nami, panie.
Falstaff. A jabym pragnął, żebyś męskim był krawcem, żebyś go połatał i zrobił zdolnym do marszu. Nie mogę robić prostym żołnierzem tego, który tylu tysięcy jest przywódcą. Przestań na tem, najzapalczywszy Słabiaku.

Słabiak. Cóż mam robić, panie.
Falstaff. Wdzięczny ci za to jestem, przewielebny Słabiaku. — Do następującego.
Płytek. Piotr Cielak z Pastewnika.
Falstaff. Zobaczmy, zobaczmy tego Cielaka.
Cielak. Jestem, panie.
Falstaff. Na uczciwość, urodziwy pachołek. Kolnij mi tego Cielaka, aż ryknie.
Cielak. O, dobry mój panie kapitanie...
Falstaff. Co, już ryczysz, nim cię kolnięto?
Cielak. O! panie, schorzałym jestem człowiekiem.
Falstaff. Cóż to masz za chorobę?
Cielak. Przeklęty katar, panie, kaszel, panie, którego dostałem, dzwoniąc w królewskiej służbie w dzień koronacyi.
Falstaff. To dobrze, pójdziesz na wojnę w szlafroku; wyleczymy cię z twojego kataru. Już ja dołożę starania, żeby twoi krewni dla ciebie dzwonili. Czy to już wszystko?
Płytek. Przywołaliśmy dwóch więcej nad oznaczoną liczbę, bo nam polecono, panie, czterech ci dostawić. Nie zostaje mi teraz, panie, jak prosić cię, żebyś przyjął u mnie obiadek.
Falstaff. Nie; wychylę tylko z tobą szklenicę, ale nie mogę zostać na obiad. Cieszę się, żem cię zobaczył przy dobrem zdrowiu, panie Płytku.
Płytek. O! sir Johnie, czy sobie przypominasz noc, którą spędziliśmy razem w wiatraku na Polu świętego Jerzego?
Falstaff. Nie mówmy o tem więcej, dobry panie Płytku, nie mówmy o tem więcej.
Płytek. Ha! wesoła noc to była! A czy Joasia Praconocniczanka jeszcze żyje?
Falstaff. Żyje, panie Płytku!
Płytek. Nigdy znieść mnie nie mogła.
Falstaff. Nigdy, nigdy; powtarzała ciągle, że nie może znieść pana Płytka.
Płytek. Na mszę świętą, wiedziałem, jak ją przyprowadzić do wściekłości. Pyszna była to dziewka onego czasu. A jak się teraz trzyma?
Falstaff. Postarzała, postarzała, panie Płytku.
Płytek. Naturalnie, musiała postarzeć; trudno, żeby nie postarzała; ani wątpliwości, postarzała. Toć ona miała

Robina Pracownika ze starym Pracownikiem jeszcze, nim wszedłem do szkoły świętego Klemensa.

Milczek. A to już pięćdziesiąt i pięć lat temu.

Płytek. Ha, kuzynie Milczku, gdybyś ty widział, co ja z tym rycerzem widziałem! Hę, sir Johnie, co ty na to?

Falstaff. Słyszeliśmy nieraz północne dzwony, panie Płytku.

Płytek. Oj, że słyszeliśmy, to słyszeliśmy, na uczciwość, sir Johnie, słyszeliśmy. Hasłem naszem było: »Dalej chłopcy!« Ale czas już na obiad, idźmy, czas już na obiad, idźmy, czas już na obiad. Oj, co my za czasy widzieli! idźmy, idźmy!

(Wychodzą: Falstaff, Płytek i Milczek).

Cielak. Dobry panie kapralu Bardolfie, bądź mi przyjacielem; przyjmij te cztery Henryki dziesięcioszylingowe w francuskich talarach. Żeby powiedzieć prawdę, tak mi się chce wisieć jak maszerować; choć co do mnie samego, panie, wszystko mi to jedno, ale raczej dlatego, że nie mam ochoty, i, co do mnie samego, wołałbym zostać z przyjaciołmi; inaczem bowiem, panie, co do mnie samego, byłoby mi to wszystko jedno.

Bardolf. To dobrze; odejdź na stronę.

Butwiak. A, dobry panie kapralu, kapitanie, przez wzgląd na moją starą matkę, bądź mi przyjacielem. Niema nikogo, coby chciał bądźcobądź dla niej zrobić; jeśli ja ją opuszczę, a ona już stara i nie potrafi sama dać sobie rady. Dam ci, panie, czterdzieści szylingów.

Bardolf. To dobrze; odejdź na stronę.

Słabiak. Wszystko mi to jedno; raz tylko człowiek może umrzeć. Jesteśmy Bogu śmierć dłużni; nie postoi we mnie myśl podła; jeśli to moje przeznaczenie, niechże się spełni, a jeśli nie, to i tak dobrze. Niema człowieka, co byłby za dobry służyć swojemu królowi. Jakbądź obrócą się rzeczy, kto tego roku umrze, ma pokwitowanie na rok przyszły.

Bardolf. Dobrze powiedziałeś; zuch z ciebie.

Słabiak. Nie, nie postoi we mnie myśl podła.

(Wchodzą: Falstaff i sędziowie).

Falstaff. Więc dobrze, panie sędzio, którychże czterech mam zabrać?

Płytek. Masz ich do wyboru, kapitanie.

Bardolf. Jedno słowo, panie. Dostałem trzy funty, żeby uwolnić Butwiaka i Cielaka.

Falstaff. I owszem, bardzo dobrze.

Płytek. Czekam, sir Johnie. Których wybierasz?

Falstaff. Wybieraj za mnie, panie sędzio.

Płytek. A więc wybieram. Butwiak, Cielak, Słabiak i Cień.

Falstaff. Butwiak i Cielak. — Co do ciebie, Butwiaku, zostań w domu, póki ci służbowe lata nie miną; a co do ciebie znowu, Cielaku, póki ci nie przyjdą, i nie chcę ani jednego, ani drugiego.

Płytek. Sir Johnie, sir Johnie, nie krzywdź sam siebie; to najurodziwsi ludzie, a pragnąłbym dać ci najlepszych.

Falstaff. Chcesz mnie uczyć, panie Płytku, jak wybierać rekruta? Alboż ja dbam o członki, o siłę, o wzrost, o dobrą tuszę rekruta? Daj mi ducha, panie Płytku. Spojrzyj mi na Brodawkę; patrz, jakiego obszarpańca ma minę, a jednak on mi będzie nabijał i strzelał z regularnością młotka pobielacza rondlów; będzie ci szedł z góry na dół i z dołu na górę prędzej, niż wiadro piwowara. A co mi powiesz o tym zuchu w profilu, Cieniu? Daj mi takiego rekruta; nie posłuży on za cel wrogowi; nieprzyjaciel mógłby równie łatwo celować do ostrza scyzoryka. A co do rejterady, z jaką chyżością ten Słabiak, damski krawiec, będzie ci zmiatał! O, daj mi tylko takich niepozornych rekrutów, a kwituję ci z dryblasów. Daj mi karabin w ręce Brodawki, Bardolfie.

Bardolf. Trzymaj, Brodawko. Ton, tuj! tak, tak, tak.

Falstaff. No, rób mi twoim karabinem. Tak — bardzo dobrze; dalej — bardzo dobrze; nadzwyczaj dobrze. O, dostarczaj mi zawsze małych, chudych, starych, pomarszczonych, łysych strzelców. Doskonale, Brodawko; tęgi z ciebie wiarus; masz, daję ci dziesięć groszy gratyfikacyi.

Płytek. Nie, nie jest on mistrzem w swojem rzemiośle, nie robi on bronią jak należy. Pamiętam ja, jak na błoniu Mile-end — Byłem podówczas w Clement's Inn i grałem rolę sir Dagoneta w pantomimie króla Artiura — znalazł się maluśki, sprytny pachołek, który ci robił bronią tak: to ci się kręcił, to ci się wiercił, to się do ciebie podsuwał, to do ciebie przyskakiwał, to: »ra, ta, ra« krzyknął, to: »cap« zawołał, to ci znowu odskoczył; to ci znowu przyskoczył; nie, nie zobaczę już nigdy podobnego chwata.

Falstaff. Zrobię ja ci z tych pachołków dobrych żołnierzy, panie Płytku. Żegnam cię, panie Milczku, nie potrze-

buję z wami długich ceremonii. Bądźcie zdrowi, mości panowie; dziękuję wam; muszą tej nocy jeszcze jaki tuzin mil maszerować. Bardolfie, daj tym żołnierzom mundury.

Płytek. Sir Johnie, niech ci Pan Bóg błogosławi, da sprawom twoim pomyślny obrót, a wróci nam pokój! Za powrotem racz dom mój odwiedzić; odnowimy starą znajomość; może z tobą na dwór się wybiorę.

Falstaff. Chciałbym, żebyś chciał, panie Płytku.

Płytek. No, to już dobrze; powiedziałem, co myślałem. Bądź zdrów! *(Wychodzą: Płytek i Milczek).*

Falstaff. Bądźcie mi zdrowi, uprzejmi panowie. Bardolfie, w drogę! Poprowadź mi tych rekrutów. *(Wychodzą: Bardolf, rekruci i inni).* Za powrotem podskubię ja tych panów sędziów; poznałem już do dna sędziego Płytka. Panie, panie, jak my starzy jesteśmy pochopni do grzechu kłamstwa! Toż ten wychudły sędzia plótł mi ciągle o figlach swojej młodości, o swoich bohaterskich czynach przy ulicy Turnbull [1]), a każde trzecie słowo było kłamstwem akuratniej słuchaczowi płaconem, niż haracz Turkowi. Przypominam ja go sobie w Clement's Inn jak człowieka wyrzezanego po obiedzie z okrawków sera; nagi wyglądał rychtyk jak widlasta rzodkiewka, z głową fantastycznie nożem snycerowaną; tak był wynędzniały, że człowiek ze słabym wzrokiem dopatrzyć się go nie mógł; czysty widomy bożek głodu; a zawsze trzymał tylną straż mody, i śpiewał zamorusanym kucharkom piosneczki, których się nauczył od świstających furmanów, przysięgając, że to były jego własne fantazye lub nokturny. A teraz ten pałasik grzechu [2]) został rycerzem i mówi tak poufale o Janie z Gandawy, jakby był jego ślubnym bratem, choć jestem gotów przysiądz, że go raz tylko widział w szrankach, gdzie dostał od niego w łeb pałaszem za to, że się wcisnął między marszałkowskich ludzi. Byłem tego świadkiem i powiedziałem Janowi z Gandawy, że bije swoje własne imię [3]), bo można było wsadzić całego, z wszystkimi przyborami, w węgorzową skórę, a futerał

[1]) Ulica kobiet złego życia.
[2]) W starych kościelnych dramatach Grzech miał zawsze w ręku drewniany pałasik.
[3]) John of Gaunt, Jan z Gandawy. Gaunt znaczy także wyschły, chudy. Igraszka słów niepodobna do wytłómaczenia.

oboju mógłby mu służyć za pałac i zamek. No, no, patrzcie, i ten człowiek ma teraz łany i trzody! Bardzo to dobrze; odnowię z nim znajomość za powrotem, a źleby było, gdybym nie potrafił zrobić sobie z niego dwóch filozoficznych kamieni. Jeśli młody kleń jest nętą na starego szczupaka, nie widzę powodów, dla którychbym nie mógł, wedle praw natury, chapnąć tego jegomościa. Niech się tylko nadarzy sposobność, a zobaczymy koniec. *(Wychodzi).*

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Las w Yorkshire.

(Wchodzą: Arcybiskup Yorku, Mowbray, Hastings i inni)

Arcybiskup. Jak las ten zowią?
Hastings. Gualtryjską puszczą.
Arcybiskup. Stańmy tu chwilę; roześlijmy zwiady
Powziąć języka, jaka wrogów liczba.
Hastings. Już rozesłane.
Arcybiskup. To dobrze. Więc teraz,
Bracia, koledzy w wielkiem przedsięwzięciu,
Muszę wam donieść, żem w tej właśnie chwili
Odebrał listy od Northumberlanda;
Treść ich, jakkolwiek nie miłą, powtórzę:
Chciałby się z nami połączyć, na czele
Hufców, godności jego odpowiednich;
Ale ich dotąd ściągnąć nie był w stanie;
By dać czas dojrzeć rosnącej fortunie,
Sam się do Szkocyi postanowił schronić,
Błagając Boga w gorącej modlitwie,
By przedsięwzięciom naszym błogosławił,
Groźnego wroga pomógł nam zwyciężyć.
Mowbray. Tak więc nadzieje na nim gruntowane
W dym marny poszły.
(Wchodzi posłaniec).
Hastings. A co nam przynosisz?
Posłaniec. Na zachód boru, nie dalej jak mila,
W bojowym szyku ciągnie nieprzyjaciel.

Wnosząc z przestrzeni, którą zalegają,
Dochodzą liczbą trzydziestu tysięcy.
Mowbray. Właśnie tak samo my ich liczyliśmy.
Idźmy więc czoło stawić im na polu.
(Wchodzi Westmoreland).
Arcybiskup. Co to za rycerz przybywa tu zbrojny?
Mowbray. Jak mi się zdaje, to lord Westmoreland.
Westmoreland. Od mego wodza, księcia Lancasteru,
Przynoszę panom życzliwe pokłony.
Arcybiskup. Mów bez obawy, lordzie Westmoreland,
Jaki jest powód twojego poselstwa?
Westmoreland. Treść więc słów moich, posłuszny roz-
[kazom,
Do waszej głównie zwracam łaskawości.
Gdyby się bunt ten, w godnej siebie formie,
Składał jedynie z band podłych, odartych,
Za przewodników miał młódź krwią zbroczoną,
A za żołnierzy dzieci i żebraków;
Gdyby, powtarzam, przeklęte powstanie
W swoim rodzimym zjawiło się kształcie,
Ty, przewielebny ojcze, i ta szlachta
Płaszczem waszego jasnego honoru
Nie przyszlibyście tyłu jego słonić.
Arcybiskupie, wszak twoja stolica
Na podwalinach pokoju się wznosi;
Twą brodę pokój srebrnym dotknął palcem;
Twoja nauka śród pokoju rosła;
Odzież twa biała godłem niewinności,
Gołębiem, duchem świętym jest pokoju;
Czemuż tak grzesznie tłómaczysz nam dzisiaj
Słowa pokoju, tak wdzięczne ludowi,
Na język wojny burzliwy i twardy?
Książki na miecze, atrament w krew zmieniasz,
Pióra na lance, a twój boski język
Na głośną surmę, na trąbę wojenną?
Arcybiskup. Dlaczego? pytasz; w krótkości odpowiem.
Wszyscyśmy chorzy; przeszłe zbytki nasze
Gorącem febry krew naszą spaliły;
Tej nam krwi dzisiaj trzeba trochę puścić.
Król Ryszard umarł tą tknięty chorobą.
Ale szlachetny lordzie Westmoreland,
Nie jak lekarza w tem kole mnie widzisz,
Bo nie przybyłem tu jak wróg pokoju

Śród zbrojnych tłumów wojennej drużyny;
Chcę raczej wojny chwilowym przestrachem
Leczyć umysły zbytkiem szczęścia chore,
Przeczyścić zamuł, który już zaczyna
Najżywotniejsze zatykać nam żyły.
Lecz chcę się jeszcze wytłómaczyć jaśniej:
Na sprawiedliwej przeważyłem szali
Złe, które bronią sprawić możem naszą,
A to złe, które cierpimy od dawna,
I krzywdy nasze od naszych przewinień
Znalazłem cięższe; pilnie rozważałem,
W którą się stronę potok czasu leje,
I ciche rzucić musiałem ustronie,
Gwałtownym prądem wypadków porwany;
Krzywd naszych długi regestr mam gotowy,
W stosownej porze objawię go światu;
Od dawna chciałem królowi go wręczyć,
Lecz posłuchania, mimo próśb, mi nie dał.
Gdy, pokrzywdzeni, chcieliśmy się skarżyć,
Właśnie najwięksi nasi krzywdziciele
Drzwi nam do jego zamknęli komnaty.
Niebezpieczeństwo dni dopiero zbiegłych —
Których pamiątka stoi zapisana
Krwią na tej ziemi — i liczne przykłady
Co dotąd z każdą mnożą się minutą,
Tę nieprzystojną włożyły mi zbroję,
Nie żebym łamał pokoju gałązkę,
Lecz żebym pokój ustalił prawdziwy,
Pokój z imienia i w rzeczywistości.
Westmoreland. Kiedyż twe skargi były odepchnięte?
Kiedy ci krzywdę król jaką wyrządził?
Który pan z jego obraził cię woli?
Byś pieczęć bożą miał prawo przyłożyć
Do krwawej księgi kłamliwego buntu,
Mordercze ostrze rozruchów poświęcić?
Arcybiskup. Brat mój, milordzie, i rzeczpospolita.
Na bracie moim spełnione morderstwo
Jest osobistem mojem pokrzywdzeniem.
Westmoreland. Naprawy takiej nie było potrzeba,
Lub, jeśli było, to nie jest rzecz twoja.
Mowbray. Czemu nie jego po części, jak naszą,
Co czujem jeszcze rany dni ubiegłych,

Co cierpim dzisiaj, gdy żelazna ręka
Niesprawiedliwie honor nasz uciska?
Westmoreland. Zważ tylko, lordzie, konieczności czasu,
A sam mi przyznasz, że te krzywdy wasze
Nie króla, ale czasu były sprawą.
Co się zaś twojej dotyczy osoby,
Nie myślę, żeby król lub czas obecny
Dali ci jedną chociażby piędź ziemi,
Na której mógłbyś gruntować twe skargi.
Czy przywrócony nie byłeś do wszystkich
Zamków i włości, które książę Norfolk,
Świętej pamięci ojciec twój, zostawił?
Mowbray. Cóż na honorze ojciec mój utracił,
A coby we mnie odkwitnąć znów miało?
Król, co go kochał, przez wzgląd na stan kraju,
Był koniecznością wygnać go zmuszony,
I właśnie kiedy już on i Bolingbroke
Dosiedli koni, stanęli w strzemionach,
Gdy rżąc, z ostrogi szydziły rumaki,
Z kopią u toku, spuszczoną przyłbicą,
Z okiem przez szpary stalowe błyszczącem,
Gdy śród trąb grzmotu zetrzeć się już mieli,
Wtedy to, wtedy, gdy nic Bolingbroka
Od kopii ojca nie mogło ratować,
Król swoją rzucił buławę, niestety!
I życie swoje z buławą poronił,
Nietylko swoje, lecz życie tych wszystkich,
Co później sądów albo miecza sprawą
Padli ofiarą zemsty Bolingbroka.
Westmoreland. Lordzie Mowbrayu, sam nie wiesz, co mó-
[wisz:
Hrabia Hereford miał podówczas sławę
Pierwszego w Anglii odwagą rycerza;
Nikt nie wie, komu losby się uśmiechnął.
Lecz choćby w boju ojciec twój zwyciężył,
Nigdyby żywy nie uszedł z Coventry,
Bo tam kraj cały głosem jednomyślnym
Swoją ku niemu objawił nienawiść;
Tam ludu modły, oznaki miłości
Do Hereforda zwróciły się wszystkie;
Lud mu podówczas wszystek błogosławił,
Czcił go i kochał goręcej, niż króla.
Lecz to zboczeniem od moich jest zleceń.

Książę, a wódz mój przysyła mnie do was
Skarg waszych słuchać, a razem oświadczyć,
Że książę gotów dać wam posłuchanie,
A jeśli uzna żądań waszych słuszność,
Da wam bezzwłoczne zadośćuczynienie,
Aby usunąć wszystko, coby mogło
Myśl nieprzyjaźni w duszach wam zostawić.
Mowbray. Do tej ofiary myśmy go zmusili:
To polityczna rachuba, nie miłość.
Westmoreland. Lordzie Mowbrayu, takie tłómaczenie
Znakiem jest zbytniej zarozumiałości:
Łaska, nie trwoga natchnęła książęcia.
Widzisz tę armię? Honorem ci ręczę,
Że jedna ufność wszystkich tam zagrzewa,
Wszelką myśl trwogi od wszystkich odgania;
W szeregach naszych wielkich imion więcej,
Wprawniejsza ręka szablą u nas włada;
Zbroja nie gorsza, sprawa nasza lepsza;
Więc rozum każe przypuszczać, że serca
Równie są dzielne; nie chciej przeto mówić,
Że ta ofiara skutkiem jest przymusu.
Mowbray. Bądźcobądź, żadnych nie radzę traktowań.
Westmoreland. To znakiem wstydu ciężkiej waszej winy:
Gnijąca rana nie znosi dotknięcia.
Hastings. A czy Jan książę ma pełnomocnictwo
Z całą ojcowskiej władzy rozciągłością,
Aby, po naszej skargi wysłuchaniu,
Przyjął stanowcze warunki ugody?
Westmoreland. Sam jego tytuł wątpić o tem broni;
Twe lekkomyślne dziwi mnie pytanie.
Arcybiskup. Zabierz więc pismo to, Westmorelandzie;
Wszystkich krzywd naszych znajdzie w niem spis, książę,
A jeśli każda naprawę otrzyma,
Jeżeli wszyscy, tu lub gdziebądźindziej
W tej dobrej sprawie skonfederowani,
Dostaną pardon stanowczy i pełny;
Z pewną rękojmią, że żądania nasze
Bez żadnej zwłoki wejdą w wykonanie,
Wrócim do wiernej znowu uległości
I broń złożymy znów w pokoju ręce.
Westmoreland. Do mego wodza poniosę to pismo.
Raczcie mnie spotkać przed frontem dwóch armii,
Tam, co daj Boże, zgodą skończym wszystko,

Albo, na miejscu, stanowczy sąd sprawy
Mieczom zwierzymy.
Arcybiskup. Więc niechaj tak będzie.
(Wychodzi Westmoreland).
Mowbray. Coś mi tu szepce, że żadne warunki
Ugody naszej trwałe być nie mogą.
Hastings. O, bądź spokojny! Jeśli pokój zawrzem
Na absolutnych, szerokich podstawach,
A pismem naszem ściśle określonych,
Pokój jak skała będzie niezachwiany.
Mowbray. Tak, ale sądy takie o nas będą,
Że lada pozór błędny i fałszywy,
Że lada powód dziecinny i płochy
Obudzi w królu sprawy tej pamiątki;
I chociaż nasza wierność niezachwiana
Naszej miłości będzie męczennikiem,
Będziem tak silnym wiatrem przewiewani,
Że zboże nasze z plewami poleci,
Ziarno się dobre złemu równe wyda.
Arcybiskup. Nie, nie, milordzie, bo zważ tylko dobrze.
Król jest znudzony tem ciągłem sarkaniem;
Wie, że wątpliwość jedną śmiercią skończyć,
Jest to w następcach dwie ożywić większe.
Wszystko więc zmazać chce na swej tablicy,
By ślad nie został, zdolny w nim obudzić
Niemiłą pamięć strat jego minionych.
Wie, że tej ziemi nie może wyplewić
Ze wszystkich chwastów obecnych podejrzeń,
Bo z przyjaciołmi tak są powikłani
Nieprzyjaciele, że, wroga chcąc wyrwać,
Wstrząsnąć i zachwiać musi przyjaciela.
Tak więc ta ziemia jest jakby zła żona,
Którą uderzyć mąż chce zagniewany,
Gdy rękę podniósł, ona, zamiast tarczy,
Niemowlę jego podniosła przed sobą
I zatrzymała cios sobie grożący
W już podniesionem do czynu ramieniu.
Hastings. Król oprócz tego wszystkie zużył rózgi
W surowej chłoście pierwszych winowajców;
Zbywa mu teraz na kary narzędziach;
Gniew jego dzisiaj, jak lew bez pazurów,
Może pogrozić, lecz nie może schwycić.

Arcybiskup. To prawda, prawda, więc, lordzie marszałku,
Bądź bez obawy; jeśli się pogodzim,
Pokój nasz będzie jak złamany członek,
Który, zrośnięty, wzmocnił się złamaniem.
Mowbray. Bodaj tak było! Lecz powraca, widzę,
Lord Westmoreland.
(Wchodzi Westmoreland).
Westmoreland. Książę się przybliża;
Czy to z nim chcecie spotkać się, panowie,
Od obu armii na równą odległość?
Mowbray. Arcybiskupie, idźmy, w imię Boże!
Arcybiskup. W imieniu naszem, śpiesz pozdrowić księcia;
Prowadź nas teraz, lordzie Westmoreland.
(Wychodzą).

SCENA II.

Inna część puszczy.

(Wchodzą: z jednej strony Mowbray, Arcybiskup, Hastings i inni, z drugiej książę Jan Lancaster, Westmoreland, oficerowie i służba).

Ks. Jan. Miłe spotkanie, kuzynie Mowbrayu;
Arcybiskupie, dzień dobry ci życzę,
I tobie, lordzie Hastings, i wam wszystkim.
Lordzie Yorku, lepiej ci przystało,
Gdy trzoda twoja, dzwonem przywołana,
Stanęła wiankiem, słuchając w pokorze,
Gdyś jej z ambony święty tekst tłómaczył,
Niż teraz, kiedy, żelazem odziany,
Twym bębnem męstwa powstańcom dodajesz,
Słowa na miecze, życie na śmierć zmieniasz.
Człowiek, co w króla swego sercu osiadł,
Co w łaski jego dojrzewa promieniach,
Byle chciał łaski monarszej nadużyć,
Ilu klęsk strasznych stałby się przyczyną,
Okryty cieniem królewskiej wielkości!
Lordzie biskupie, tyś jest tym człowiekiem.
Kto z nas nie słyszał, jak do bożej księgi
Imię twe było wpisane głęboko?
Byłeś nam mowcą w bożym parlamencie,
Samego nieba żyjącym tłómaczem,

I pośrednikiem między nieba łaską
A duszą naszą ułomności pełną.
Gdzież jest dziś człowiek, coby mógł zaprzeczyć,
Żeś twej kapłańskiej nadużył powagi,
Skoro ufności, skoro łaski nieba,
Jak swego króla nazwiska zły dworak,
Do niecnych czynów podniety użyłeś?
Udaną w bożej służbie gorliwością
Buntujesz ojca mojego poddanych,
Który jest bożym tutaj namiestnikiem;
Ściągnąłeś zbrojne tłumy, aby grzesznie
Zakłócić pokój boży i królewski.
Arcybiskup. Nie po tom przyszedł, aby ojca twego
Zakłócić pokój, milordzie Lancaster.
Jakem już twemu oświadczył posłowi,
Zamieszki czasu i jedno uczucie
W jedną potworną zlepiły nas masę,
Aby się spólnie od zguby ratować.
Krzywd naszych regestr przesłałem ci, książę;
Dwór go z milczeniem pogardy odrzucił;
To hydrę wojny spłodziło okrutną;
Lecz można jeszcze do snu zaczarować
Groźne jej oczy zadośćuczynieniem
Żądaniom słusznym i najsprawiedliwszym.
Z szaleństwa nasza wierność wyleczona
Do stóp królewskich z pokorą znów padnie.
Mowbray. Inaczej będziem fortuny próbować
Do ostatniego.
Hastings. Jeśli my polężem,
Mamy następców pomścić nas gotowych,
A i następcom następców nie braknie;
Tak więc bez końca wojna będzie wrzała,
Z jednych na drugich przechodząc dziedzictwem,
Jak długo w Anglii będą pokolenia.
Ks. Jan. Zbyt jesteś płytki, zbyt płytki, Hastingsie,
Abyś przyszłości bezdnie mógł sondować.
Westmoreland. Raczy Łaskawość wasza odpowiedzieć,
Co o ich skargach i żądaniach myśli?
Ks. Jan. Wszystkie przyjmuję, zgadzam się na wszystko;
A na krwi mojej honor tu przysięgam,
Króla zamiary źle były pojęte.
Z jego sług pewno który lub ministrów
Myśl jego zwichnął i władzy nadużył;

Lecz wszystkie krzywdy będą naprawione,
Wszystkie, na honor. Jeśli wam się zdaje,
Wasze zaciągi do swych hrabstw odprawcie,
Tak jak my nasze. Ściśnijmy się teraz,
Na znak przyjaźni wychylmy tu puhar,
By każdy żołnierz ponieść mógł do domu
Pewne świadectwo zgody przywróconej.
Arcybiskup. O krzywd naprawie mam słowo książęce.
Ks. Jan. Dałem ci słowo i słowa dotrzymam.
A teraz, zdrowie waszej Łaskawości!
Hastings *(do oficera).* Idź, kapitanie, armii naszej powiedz,
Że pokój stanął, spłać jej żołd i rozpuść.
Wiem, że z radością nowinę tę przyjmie.
(Wychodzi oficer).
Arcybiskup. W twe zdrowie piję, lordzie Westmoreland.
Westmoreland. Dzięki, biskupie. Gdybyś jeszcze wiedział,
Com trudów podjął, by ten pokój skleić,
Tem chętniej jeszcze puharbyś ten spełnił.
Lecz mej miłości później złożę dowód.
Arcybiskup. Nie wątpię wcale.
Westmoreland. Bardzo mnie to cieszy.
W twe zdrowie, miły kuzynie Mowbrayu.
Mowbray. W dobrą mi porę, lordzie, zdrowia życzysz,
Bo jakaś nagła niemoc na mnie spadła.
Arcybiskup. Człowiek wesoły zawsze przed nieszczęściem,
Lecz smutek zawsze poprzedza pomyślność.
Westmoreland. Więc ciesz się dzisiaj, dobry mój kuzynie,
Twój nagły smutek zdaje się, że woła:
Jutro na ciebie wieść czeka wesoła.
Arcybiskup. Nigdy nie było lżej mi na mem sercu.
Mowbray. Tem gorzej, jeśli własna twa maksyma
Szczerą jest prawdą.
(Krzyki za sceną).
Ks. Jan. Słyszycie te krzyki?
Z taką radością armia wita pokój.
Mowbray. Krzykbym ten wolał słyszeć po zwycięstwie.
Arcybiskup. Pokój ma w sobie naturę podboju:
Choć żadna strona straty nie poniosła,
Z jednakim obie wychodzą tryumfem.
Ks. Jan. Idź teraz, lordzie, rozpuść nasze hufce.
(Wychodzi Westmoreland).
Jeśli raczycie pozwolić, panowie,
Niech wasze pułki przed nami przeciągną,

Byśmy na własne sądzić mogli oczy,
Z jakim żołnierzem mieliśmy się mierzyć.
Arcybiskup. Lordzie Hastingsie, idź, niech nasze hufce
Przeciągną tędy, zanim się rozproszą.
(Wychodzi Hastings).
Ks. Jan. Myślę, że noc tę przepędzimy razem.
(Wchodzi Westmoreland).
Czemu me wojsko stoi nieruchome?
Westmoreland. Dowódcy, twoim posłuszni rozkazom,
Nie chcą ustąpić, póki nie usłyszą
Nowych rozkazów z ust twoich książęcych.
Ks. Jan. Znają powinność dobrego żołnierza.
(Wchodzi Hastings).
Hastings. Już się rozbiegły wszystkie pułki nasze,
Jak wyjarzmione byki młode pędzą
Na wschód i zachód, północ i południe,
Lub jak puszczone ze szkół pacholęta
Do domu śpieszą albo do igraszki.
Westmoreland. Dobrą przyniosłeś wieść nam, lordzie Hastings,
Za to, jak zdrajcę, w areszt cię tu biorę,
I ciebie, lordzie biskupie, i ciebie,
Lordzie Mowbrayu, jako zdrajców stanu.
Mowbray. Jestże w tym kroku uczciwość i honor?
Westmoreland. A byłyż w spiskach waszych i zebraniach?
Arcybiskup. Chceszże pogwałcić daną mi przysięgę?
Ks. Jan. Nie dałem żadnej; a jeśli przyrzekłem
Naprawić krzywdy, skarg waszych przyczynę,
Dotrzymam słowa z chrześcijańską wiarą.
Co do was, zdrajcy, dam wam pokosztować
Nagrody, czynom waszym przynależnej.
Pułki zebrane w nierozumu chwili
Wyście z szaleństwem równem rozpuścili.
Gońcie rozsypki; wielkie to zwycięstwo
Bóg nam w swej łasce dał, nie nasze męstwo.
Niechaj z nich każdy głowę na pniu złoży,
Dla zdrajców bowiem niema innych łoży.
(Wychodzą).

SCENA III.

Inna część puszczy. — Alarm. — Cząstkowe utarczki.

(Wchodzą ze stron przeciwnych: Falstaff i Colvile).

Falstaff. Jak się nazywasz, panie? twoja godność? z których okolic, proszę?

Colvile. Jestem rycerz, panie, nazywam się Colvile z Podola.

Falstaff. Bardzo dobrze; nazywasz się Colvile, rycerstwo twoją godnością, a twoja ojczyzna Podole; Colvile będzie zawsze twoje nazwisko, zdrajca twoją godnością, a twoja ojcowizna dość głęboką, żebyś zawsze mógł być Colvilem z Podola.

Colvile. Czy ty nie jesteś, panie, sir John Falstaff?

Falstaff. Jestem tak jak on dobry, kimkolwiekbądź jestem. Czy się poddajesz, panie, lub czy mam się z tobą zapocić? Jeśli się zapocę, każda kropla mojego potu będzie jedną łzą twoich przyjaciół, śmierć twoją opłakujących. Rozbudź więc trwogę i drżenie, a zdaj się na moją łaskę.

Colvile. Myślę, że jesteś sir John Falstaff, i w tej myśli poddaję się.

Falstaff. Mam ja całą szkołę języków w tym moim brzuchu, a niema między nimi jednego, któryby inne wymawiał słowo, jak moje nazwisko. Gdybym tylko miał brzuch skromniejszych rozmiarów, nie byłoby ruchawszego ode mnie zucha w Europie; ale mój brzuch, mój brzuch, mój brzuch, to moja zguba. — Zbliża się nasz generał.
(Wchodzą: ks. Jan Lancaster, Westmoreland i inni).

Ks. Jan. Przygasł już pożar; wstrzymajmy pogonie;
Westmorelandzie, każ cofnąć się hufcom.
(Wychodzi Westmoreland).
Gdzież to bywałeś przez ten czas, Falstaffie?
Jawisz się, kiedy wszystko już skończone.
Wszystkie te figle, prędzej albo później,
Swoim ciężarem złamią szubienicę.

Falstaff. Byłoby mi smutno, milordzie, gdyby się stało inaczej, bo zawsze widziałem, że fukania i bury jedyną były nagrodą męstwa. Czy mnie bierzesz, milordzie, za jaskółkę, strzałę albo kulę? Alboż ja mam w tych mo-

ich biednych, starych członkach szybkość myśli? Pędziłem tu z ostatnim calem możności, zajeździłem jakie ośmdziesiąt pocztowych koni po drodze, i tu, cały jeszcze zabłocony, w mojem czystem i niepokalanem męstwie, zabrałem do niewoli sir Johna Colvila z Podola, najwścieklejszego rycerza i najdzielniejszego nieprzyjaciela; ale na co mu się to wszystko przydało? Spojrzał na mnie i poddał się, mogę też sprawiedliwie powiedzieć z orlonosym Rzymianinem: przyszedłem, spojrzałem, zwyciężyłem.

Ks. Jan. Dzięki raczej jego uprzejmości, niż twojej zasłudze.

Falstaff. Nie wiem, ale wiem, że go trzymam i że ci go oddaję, milordzie, prosząc, abyś raczył to wciągnąć do księgi, obejmującej resztę świetnych dnia tego wypadków; w przeciwnym razie, przysięgam, każę osobną wydrukować balladę, z moim własnym portretem na nagłówku i z Colvilem całującym moje nogi. Jeśli, zmuszając mnie do tego kroku, nie będziecie wszyscy wyglądali przy mnie jak trojak pozłacany, a ja na czystym sławy firmamencie nie będę was ćmił blaskiem, jak księżyc w pełni ćmi iskierki błyszczące na niebie, które się przy nim wydają niby główki od szpilek, to już niema i co wierzyć szlacheckiemu słowu. Oddaj mi więc sprawiedliwość, niech zasługa leci w górę.

Ks. Jan. Twoja jest do tego za ciężka.

Falstaff. To niech przynajmniej świeci.

Ks. Jan. Do tego jest za gęsta.

Falstaff. Niechże sobie co chce robi, milordzie, byleby mi to wyszło na dobre; nazwij to, jak ci się podoba.

Ks. Jan. Twe imię Colvile?

Colvile. Tak jest, mości książę.

Ks. Jan. Sławny buntownik jest z ciebie, Colvilu.

Falstaff. Sławny wiernością wziął go też w niewolę.

Colvile. Jestem, milordzie, jak lepsi ode mnie,
Pod których wodzą na ten plac przyszedłem,
A gdyby mojej rady usłuchali,
Zwycięstwo drożej zapłaciłbyś, książę.

Falstaff. Nie wiem, za jaką cenę się przedali, ale ty, jak dobry poczciwiec, dałeś się bezpłatnie, za co ci pięknie dziękuję. *(Wchodzi Westmoreland).*

Ks. Jan. Czyś pogoń wstrzymał? odwołałeś hufce?

Westmoreland. Armia się cofa i rzeź zatrzymana.

Ks. Jan. Zdrajców z Colvilem poślij do Yorku,
Gdzie zasłużona czeka na nich kara.
Niech Blunt pod pewną prowadzi ich strażą.
(Wychodzi Colvile pod strażą).
My na dwór śpiesznie pociągniem, panowie.
Mówią, że ojciec mój król ciężko zapadł.
Z dobrą nowiną pośpiesz, mój kuzynie,
Która go może w niemocy pokrzepi.
Zwycięska armia pośpieszy za tobą.

Falstaff. Błagam cię, książę, pozwól mi wracać na Gloucestershire; a gdy na dwór przybędziesz, racz być moim orędownikiem w twoim przychylnym raporcie.

Ks. Jan. Bądź zdrów, Falstaffie, w mojej łaskawości
Dam ci świadectwo lepsze niż zasługi.
(Wychodzą wszyscy prócz Falstaffa).

Falstaff. Pragnąłbym tylko, żebyś miał trochę dowcipu; byłoby to lepsze od twojego książęstwa. Na uczciwość, ten młody, zimnokrwisty dzieciuch nie ma do mnie nabożeństwa; nikt go nie może rozśmieszyć; ale nic w tem dziwnego, toć on nie pije wina. Nigdy jeszcze tak wstrzemięźliwe dzieci na nic dobrego nie wyrosły, bo cienkusz krew im studzi, a rybne potrawy dają im pewien rodzaj męskiej bladaczki; to też jak się ożenią, płodzą same dziewki. W ogólności są głupowaci i tchórze, coby i niejednego z nas spotkało, gdyby nie zagrzewające napoje. Dobre wino kseres ma w sobie dwie cnoty: idzie mi do mózgu i wysusza mi tam wszystkie głupie, ciężkie i surowe otaczające go wapory; daje mu pojętność, bystrość i spryt; napełnia go żywymi, ognistymi, rozkosznymi kształtami, a te, powierzone głosowi, to jest językowi, który je na świat wyprowadza, stają się przedziwnymi konceptami. Drugą cnotą twojego dobrego kseresu jest krwi rozgrzewanie. Krew, wprzód zimna i stężała, sączyła się z wątroby biała i blada, znak niewątpliwy małoduszności i tchórzostwa, ale kseres ją grzeje i z gwałtownością potoku prowadzi z wnętrza do ostatnich kończyn ciała. Ona to iluminuje oblicze, które, jak morska latarnia, wszystkim innym częściom tego małego królestwa — człowieka — daje znak do broni, i natychmiast wszyscy żywotni towarzysze, wszystkie wewnętrzne drobne duchy ściągają do swojego kapitana, serca, a on, wielki i dumny taką drużyną, waży się na wszystko: a cała ta odwaga

idzie z kseresu. Tak więc wszelka umiejętność żołnierska jest niczem bez wina; wino dopiero do czynu ją budzi. Umiejętność jest tylko bryłą złota przez dyabła strzeżoną, aż ją wino na światło dobędzie i z korzyścią użyje. Stąd to idzie, że książę Henryk jest waleczny, bo zimną krew, którą naturalnie odziedziczył po ojcu, jak chudą, jałową, niepłodną ziemię ugnoił i naprawił doskonałym nawozem — dobrym napitkiem i szczodrem polewaniem żyznego kseresu; zrobił się też pełnym ognia i waleczności. Gdybym miał tysiąc synów, dałbym każdemu za pierwszy fundament nauki: unikaj cienkuszu, a poświęć się kseresowi. *(Wchodzi Bardolf).* Co tam nowego, Bardolfie?

Bardolf. Wojsko zwinięte rozeszło się.

Falstaff. Więc niechże sobie idzie. Ja wracam na Gloucestershire, a po drodze odwiedzę pana Roberta Płytka, kawalera. Już go między palcami ugniotłem, niedługo zacznę nim pieczętować. Idźmy.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Westminster. Sala w pałacu.

(Wchodzą: król Henryk, Clarence, książę Humphrey, Warwick i inni).

Król Henryk. Jeśli szczęśliwie Bóg nam da zakończyć
Spór, co krwią bratnią drzwi nasze farbuje,
Na plac godniejszy młódź naszą powiedziem,
I będziem walczyć szablą poświęconą.
Już w pogotowiu flota jest i wojsko,
Już są wybrani nasi namiestnicy.
Po naszej myśli wszystko się szykuje;
Nam tylko trochę więcej siłby trzeba.
Czekamy, póki roty buntownicze
Pod jarzmo prawa karków swych nie ugną.

Warwick. A nie wątpimy, że jedno i drugie
Przyjdzie niebawem.

Król Henryk. Synu mój, Gloucesterze,
Gdzie książę, brat twój?

Ks. Humphrey. Jak sądzę, mój królu,
Poluje w Windsor.

Król Henryk. Kto mu towarzyszy?

Ks. Humphrey. Nie wiem.

Król Henryk. Czy jego brat, książę Klarencyi,
Poszedł z nim także?

Ks. Humphrey. Nie, książę jest tutaj.

Clarence. Pan mój i ojciec co chce mi rozkazać?

Król Henryk. Nic, tylko dobre chęci me objawić.
Jak się to stało, Tomaszu z Klarencyi,
Że z księciem, bratem twoim, nie polujesz?
Na przyjaźń jego jesteś obojętny,
A on cię kocha; w jego trzymasz sercu
Najpierwsze miejsce z wszystkich twoich braci.
Synu mój, drogą miłość tę pielęgnuj.
Gdy w grobie usnę, jak dobry pośrednik,
Pomiędzy braćmi a jego wielkością
Szlachetne będziesz oddać mógł usługi.
Obojętnością nie tęp tej miłości,
Nie trać kosztownych łaski jego skarbów
Zimnem przyjęciem braterskiej ofiary,
Bo on łaskawy dla tych, co mu chętni,
Ma łzę na litość, a dłoń jego szczodra,
Jak dzienne światło śród letniej pogody.
Lecz rozgniewany, twardy jest jak krzemień,
Chmurny jak zima, a nagły jak mrozy
W pierwszych dniach wiosny rosę ścinające.
Charakter jego pilnie musisz badać:
Grom wady jego, lecz z poszanowaniem,
Do wesołości gdy krew jego skłonna;
Ale gdy chmurny, puść mu wolne cugle,
Aż, jak wieloryb na lądzie, namiętność
Wyczerpie siły własnem szamotaniem.
Słuchaj tej rady, Tomaszu, a będziesz
Tarczą przyjaciół i złotą obręczą
Społem wiążącą wszystkich twoich braci,
A wtedy wspólne waszej krwi naczynie,
Choć próbowane trucizną podszeptów,
(Czas ją w swym biegu wsączy nieodzownie)
Wytrzyma próbę, chociażby trucizna
Była gwałtowną, jak proch albo tojad.

Clarence. Będę mu wiernie i gorliwie służył.

Król Henryk. Czemu z nim w Windsor nie jesteś, To-
[maszu?

Clarence. Bo on w Londynie dzisiaj obiaduje.

Król Henryk. A z kim? czy nie wiesz?
Clarence. Wiem, królu, z Poinsem,
I zwykłą swoich przyjaciół drużyną.
Król Henryk. Najwięcej chwastów na gruncie najlepszym:
I on, młodości mojej obraz żywy,
Zarosły nimi, dlatego ma boleść
Sięga za śmierci konieczną godzinę;
Krwawemi łzami serce moje płacze,
Gdy w myśli widzę czasy obłąkania
I dni zgnilizny, co na was czekają,
Skoro ja w przodków moich usnę grobie.
Kiedy swawola jego straci cugle,
Jedynym radcą będzie krew gorąca;
Kiedy się możność spotka z marnotrawstwem,
Jakże potężnem skrzydłem jego żądze
W nieuniknioną przepaść go poniosą!
Warwick. Twój sąd, mój królu, nazbyt jest surowy.
Książę studyuje tylko swych przyjaciół,
Jak obcy język; kto go chce posiadać,
Musi przeczytać i musi spamiętać
Najwszeteczniejsze nawet jego słowa;
Lecz raz nabyte, tylko na to służą,
By ich unikać, by ich nienawidzić.
Tak książę Henryk, gdy czasy dojrzeją,
Swoich przyjaciół, jak wszeteczne słowa
Z wzgardą odepchnie, a pamięć ich będzie
Żyjącą miarą, aby drugich mierzyć,
I złe minione w korzyść się obróci.
Król Henryk. Rzadko się zdarza, by pszczoła swe dzieci
Składała w ścierwie. — Kto to? Westmoreland?
(Wchodzi Westmoreland).
Westmoreland. Zdrowie królowi i pomyślność nowa
Do pomyślności, której jestem posłem!
Książę Jan, syn twój, dłonie twe całuje;
Mowbray i Hastings i Scroop arcybiskup
Praw twoich całą uczuli surowość.
Bunt jednej szabli dobytej dziś nie ma,
Oliwną gałąź wszędzie pokój szczepi.
Jak te korzyści książę Jan otrzymał,
Wasza królewska mość w tem piśmie znajdzie,
Obejmującem szczegółowy raport.
Król Henryk. Westmorelandzie, wiosny jesteś ptakiem,
Który po zimie w wieczne tropy leci

I dzień pogodny swym zwiastuje śpiewem.
Lecz patrzcie, nowe przybywają wieści.
(Wchodzi Harcourt).
Harcourt. Boże, bądź króla tarczą przeciw wrogom!
A jeśli który powstać się odważy,
Niechaj upadnie jak ci, których klęskę
Przychodzę donieść. Hrabię Northumberland
I lorda Bardolph z wojskiem ich potężnem
Szeryf Yorku pobił i rozproszył.
List ten szczegóły dokładniej opisze.
Król Henryk. Czemuż wieść dobra niemoc mi sprowadza?
Toż nam fortuna nigdy nie pokaże
Rąk obu pełnych? Zawszeż piękne słowa
W swych najczarniejszych pisać ma literach?
Lub da apetyt, a nie da pokarmu —
Zwykły los biednych, a na ciele zdrowych —
Lub da obfitość, zabierze apetyt —
Jak bogaczowi użyć niezdolnemu
Swoich dostatków. Zamiast się radować,
Ćmi mi się w oczach, w głowie mi się mąci.
Boże! ratujcie! ach, jakże mi słabo! *(Mdleje).*
Ks. Humphrey. Bądź dobrej myśli, królu!
Clarence. O mój ojcze!
Westmoreland. Zbierz siły, królu, otwórz twe źrenice.
Warwick. Tylko cierpliwość; wszak wiecie, panowie,
Że to zwyczajny króla jest paroksyzm.
Odstąpcie tylko, dajcie mu odetchnąć
Wolnem powietrzem, a do zmysłów wróci.
Clarence. Nie, strapień takich długo nie wytrzyma;
Myśl wciąż nękana trosk tylu nawałem
Zużyła mury, w których miała mieszkać;
Przez ich szczeliny życie już wygląda
I wnet uleci.
Ks. Humphrey. Trwogą mnie napełnia
Lud, który widzi dzieci bez rodzica,
Płody potworne; pory swą naturę
Zmieniły, jakby rok przeskoczył w biegu
Kilka miesięcy, które spotkał śpiące.
Clarence. Trzy miała rzeka przypływy, żadnego
Jednak odpływu, a jak mówią starzy,
Te zbiegłych czasów żyjące kroniki —
Cud się podobny zdarzył nieco wprzódy,
Nim dziad nasz Edward wpadł w niemoc i umarł

Warwick. Cicho! do zmysłów król znowu przychodzi.
Ks. Humphrey. Podobno atak będzie to ostatni.
Król Henryk. Do innej sali ponieście mnie, proszę.
(Niosą króla w głąb sali i kładą go na łoże).
Lekko, ostrożnie. Nakażcie milczenie;
Chyba, że jaka przyjacielska ręka
Znużoną duszę muzyką pokrzepi.
Warwick. Do drugiej izby wprowadźcie muzykę.
Król Henryk. Na tem wezgłowiu złóżcie mą koronę.
Clarence. Zmienił się bardzo; oczy mu zapadły.
Warwick. O, ciszej! ciszej!
(Wchodzi książę Henryk).
Ks. Henryk. Gdzie książę Klarencyi?
Clarence. Tu jestem, bracie, w ciężkiem utrapieniu.
Ks. Henryk. Co? deszcz w pałacu, gdy sucho na dworze?
Jak zdrowie króla?
Ks. Humphrey. Źle bardzo.
Ks. Henryk. Czy słyszał
Dobre nowiny?
Ks. Humphrey. Właśnie gdy ich słuchał,
Wzięła go niemoc.
Ks. Henryk. Gdy na radość chory,
Wróci do zdrowia, nie biorąc lekarstwa.
Warwick. Drogi mój książę, przez Boga, mów ciszej,
Zasypia bowiem król nasz, a twój ojciec.
Clarence. Do drugiej izby oddalmy się wszyscy.
Warwick. Czy chcesz iść z nami, miłościwy książę?
Ks. Henryk. Nie, tu usiądę, będę nad nim czuwał.
(Wychodzą wszyscy, prócz księcia Henryka).
Co na wezgłowiu korona ta znaczy,
Ta towarzyszka łoża kłopotliwa?
O, złota trosko! jasne zamieszanie!
Co trzymasz wrota snu na ścież otwarte
Tylu bezsennym nocom! Śpisz w niej, królu,
Lecz nie tak słodko i pół mniej głęboko,
Niż ten, co głowę chustą związał prostą,
I noc, na twardem łożu, chrapie całą.
O, majestacie! temu, co cię nosi,
Jesteś jak zbroja kosztowna w upale,
Która go piecze, dając bezpieczeństwo. —
U bram oddechu jego puch zawisnął,
A nie drga przecie; ha, gdyby oddychał,
Musiałby wiotki puszek się kołysać.

Królu mój! ojcze! O, sen to głęboki,
Sen, co rozdzielił z tą złotą obręczą
Tylu już królów, twoich poprzedników.
Moim dla ciebie długiem są łzy moje
I ciężka boleść, a dług ten natura,
Miłość i moja synowska powinność,
Drogi mój ojcze, spłacą ci obficie.
Twoim znów dla mnie długiem ta korona,
Co bezpośrednio spada na mnie teraz
Jak na dziedzica krwi twojej i tronu.
Więc tu ją kładę.
(Kładzie koronę na swoją głowę).
Bóg strzedz jej tu będzie;
W jedno olbrzymie ramię niech świat cały
Zleje swe siły, wydrzeć mi nie zdoła
Tego znamienia dziedzicznej godności.
Zostawię dzieciom, coś ty mnie zostawił.
(Wychodzi).
Król Henryk. O, Warwick! Gloucester! Clarence!
(Wchodzą: Warwick i inni).
Clarence. Czy król woła?
Warwick. Czego chcesz, królu? jak się teraz czujesz?
Król Henryk. Czemu samego tu zostawiliście?
Clarence. Przy tobie, panie, książę brat mój został,
Bo on nad tobą czuwać sam się podjął.
Król Henryk. Kto? książę Walii? Gdzie on? niech się zbliży;
Lecz go tu niema.
Warwick. Widzę drzwi otwarte,
On tędy wyszedł.
Ks. Humphrey. Przynajmniej w komnacie,
W której byliśmy, nikt z nas go nie widział.
Król Henryk. Gdzie jest korona? kto wziął ją z wezgłowia?
Warwick. Zostawiliśmy ją wychodząc, panie.
Król Henryk. Książę ją zabrał. Idźcie go przywołać;
Czy tak mu śpieszno, że sen za śmierć bierze?
Lordzie Warwicku, przyprowadź go do mnie.
(Wychodzi Warwick).
Jego czyn do mej przydany niemocy
Wnet ze mną skończy. Patrzcie, czem jesteście,
Synowie moi; patrzcie, moje dzieci,
Jak jest natura pochopną do buntu,
Kiedy ją złota podpali pokusa.
Więc to dlatego szaleni ojcowie

Sen rozmyślaniem, mózg dręczyli troską,
A zbytkiem pracy wątlili swe ciało!
Więc to dlatego gromadzili stosy
Grzesznym przemysłem grzesznego metalu!
Więc to dlatego z taką gorliwością
Ćwiczyli synów w rycerskiem rzemiośle!
Ze wszystkich kwiatów nieśliśmy jak pszczoła
Kosztowne soki, nieśliśmy do ula
W ustach miód wonny, wosk na naszych nogach,
By śmierć w zapłatę pracy mieć, jak pszczoła!
Jak gorzki napój usta rodzicielskie
Za wszystkie trudy w chwili zgonu wilży!
(Wchodzi Warwick).
Gdzie syn, co nie mógł tyle nawet czekać,
Aż śmierć, przyjaciel jego, mnie dobije?
Warwick. W sąsiedniej izbie znalazłem książęcia;
Jego oblicze potok łez zalewał
Z takim wyrazem głębokiej boleści,
Że okrucieństwo, co krew tylko pije,
Na jego widok swójby nóż obmyło
W czystym łez zdroju. Sam książę przybywa.
Król Henryk. Ale dlaczego uniósł stąd koronę?
(Wchodzi książę Henryk).
To on. Henryku, przybliż się tu do mnie,
A wy odejdźcie; zostawcie nas samych.
(Wychodzą: Clarence, książę Humphrey, panowie i inni).
Ks. Henryk. Jeszcze cię słyszeć straciłem nadzieję.
Król Henryk. Chęć była matką myśli twych, Henryku.
Żywot mój nazbyt długim ci się zdaje.
Pustego po mnie tronu tak już łakniesz,
Że pragniesz w moją godność się ustroić,
Wprzód, niźli twoja dojrzeje godzina?
Płochy młodziku! wzdychasz do wielkości,
Która cię swoim ciężarem zagniecie.
Poczekaj chwilę; obłok mej wielkości
Tak słaby wietrzyk w górze podtrzymuje,
Że spadnie wkrótce; dzień mój już ciemnieje.
To mi ukradłeś, co za godzin kilka
Byłoby twojem, tylko że bez grzechu.
W dniu mojej śmierci pieczęć przyłożyłeś
Do mych przypuszczeń. Całe twoje życie
Było dowodem, że mnie nie kochałeś;
Chciałeś, bym tego był pewny, konając.

Tysiąc chowałeś sztyletów w twej myśli,
Któreś zaostrzył na kamiennem sercu,
By przeszyć nimi kwadrans mój ostatni.
Co? więc mi nawet kwadransa żałujesz?
Więc idź, Henryku, idź sam mój grób kopać.
Każ dzwonom światu wesoło rozgłosić,
Żeś królem został — nie, że ja umarłem;
Niech łzy, co trumnę moją miały rosić,
Będą balsamem twego namaszczenia;
W proch zapomnienia rzuć mnie co najrychlej,
Daj to robakom, co ci dało życie;
Znoś prawa moje, kasuj me urzędy,
Bo przyszły czasy szydzenia z porządku.
Już Henryk piąty ukoronowany;
Wstań więc, szaleństwo! precz, królów powago!
I ty doradców mądrych precz drużyno!
Niech się zbiegają z wszystkich świata krańców
Próżniactwa małpy do angielskiej ziemi!
Czas wam, sąsiedzi, zbyć się swych szumowin;
Jeżeli macie jeszcze jakich łotrów,
Co klną, hulają, piją i tańcują,
Kradną, mordują i najstarszych zbrodni
W najnowszy sposób umią się dopuszczać,
Cieszcie się, wkrótce przestaną was dręczyć;
Ich grzech potrójny Anglia w dwój ozłoci;
Anglia ma dla nich urząd, honor, władzę,
Bo Henryk piąty z paszczy rozpustników
Zerwał kaganiec, pies wściekły swe zęby
Będzie bezpiecznie kąpał w krwi niewinnej.
Biedne królestwo moje! dziś dręczone
Domowej wojny bolesną chorobą,
Gdy rząd mój nie mógł twych przytłumić buntów,
Co zrobisz, kiedy bunt twym będzie rządem?
Ach, znowu głuchą zostaniesz pustynią,
Siedzibą wilków, twych dawnych mieszkańców!
Ks. Henryk *(klęka).* O, przebacz, królu! Gdyby mi łzy moje
Słów w ustach gorzką nie zalały falą,
Twojebym krwawe zatrzymał wyrzuty,
Nim twą głęboką objawiłeś boleść,
Nim cię prąd żalu tak daleko poniósł.
Odbierz koronę; a niechaj Ten raczy,
Co nieśmiertelną w niebie ma koronę,
Długo na twojej zostawić ją skroni!

Jeśli dla innych kocham ją powodów,
Jak, że jest godłem twojego honoru,
Niech nigdy z ziemi tej więcej nie wstanę,
Na której klęczę w pokornej postawie,
Wewnętrznych uczuć wiedziony natchnieniem!
Niebo mi świadkiem, że kiedym się zbliżył,
Kiedym królewskie usta bez tchu znalazł,
Śmiertelne zimno serce mi zalało.
Jeżeli kłamię, niech zginę w obłędzie,
Nim dnia doczekam, w którym niewątpliwie
Będę mógł dowieść niewiernemu światu,
O jak szlachetnej rozmyślałem zmianie!
Patrząc na ciebie, myśląc, że umarłeś —
Na myśl tę, królu, sam prawie umarły —
Jakby korona mogła mnie rozumieć,
Tak ją gromiłem w uczuć mych goryczy:
»Do twej obręczy troski przywiązane
Mojego ojca wyczerpały ciało;
Choć więc ukutaś z najlepszego złota,
Jesteś najgorsza; pośledniejszej próby
Lepsze od ciebie, jeśli w płyn zmienione
Ocala życie, gdy ty, choć najczystsza,
Choć pełna sławy, honoru, czci pełna,
Wygryzłaś siły twego nosiciela«.
Mówiąc to, królu, na skroń ją wcisnąłem,
Jakgdybym z moim mierzyć się chciał wrogiem,
Co w moich oczach ojca mego zabił:
Walka to godna wiernego dziedzica.
Lecz jeśli moją krew zatruła radość,
Jeżeli pycha myśli me wydęła,
Jeśli duch jaki próżności lub buntu
Z pochopną żądzą chwycić mnie ją skłonił,
Niech Bóg jej nigdy na skroń mą nie włoży,
Jak najnędzniejszy niech będę poddany
Na sam jej widok trwożnie klękający!

Król Henryk. Synu mój, niebo wziąć cię ją natchnęło,
Byś miłość ojca tem większą pozyskał
Tak mądrą czynu twojego obroną.
Zbliż się, Henryku, usiądź przy mem łożu,
I słuchaj rady, jak myślę, ostatniej,
Którą z ust moich będziesz mógł usłyszeć.
Niebo wie, synu, jakiemi ścieżkami,
Jak krętą drogą dobiegłem nakoniec

Do tej korony; a ja sam wiem dobrze,
Ilem trosk podjął, aby ją zachować.
Spokojniej teraz na twą spadnie głowę,
Bezpieczniej, z lepszem świata poważaniem,
Bo wszystko błoto grzesznego nabytku
Zapadnie w ziemię razem z mojem ciałem.
Na skroni mojej błyszczała jak znamię
Wydarte gwałtem buntowniczej dłoni;
Z moich spółczesnych niejeden mógł łatwo
Zrobić mi wyrzut, że mi do niej pomógł;
Stąd ciągłe spiski i krwawe rozterki
Zakłócające zwodniczą spokojność.
Śród niebezpieczeństw przytłumiłem bunty;
Me panowanie było tylko sceną
Ciągłych jednego przemian widowiska.
Dziś, z moją śmiercią, wszystko się przemieni.
Co we mnie było wątpliwym nabytkiem,
Schodzi na ciebie sprawiedliwszą drogą:
Włożysz na głowę dziedziczną koronę.
Lecz choć na tronie ode mnie pewniejszy,
Chwiejesz się jeszcze, bo świeże są żale.
Mym przyjaciołom, których ci zostawiam,
Niedawnom wyrwał zęby i pazury.
Na tron wzniesiony groźną ich pomocą,
Spaść z niego mogłem potęgi ich dziełem;
Dla mej obrony, musiałem zgnieść jednych,
A drugich chciałem wieść do Ziemi Świętej,
By długi pokój myśli im nie poddał
Zbyt ściśle władzy mej podstawy badać.
I ty, Henryku, w sąsiedzkich rozterkach
Wynajdź zajęcie dla burzliwych myśli;
Wojenna praca na dalekich brzegach
Wszystkie pamiątki dni minionych zatrze.
Chciałbym ci więcej mówić, lecz pierś słabnie,
I na mych ustach konają mi słowa.
Com grzesznie zyskał, niech mi Bóg przebaczy,
Tobie w pokoju niech zachować raczy!

Ks. Henryk. Coś wziął, utrzymał, zostawił mi, panie,
Z prawa jest mojem i mojem zostanie,
I choć się na mnie świat cały sprzysięże,
Prawem mem silny świat cały zwyciężę.

(Wchodzą: książę Jan z Lancastru, Warwick, panowie i inni).

Król Henryk. Patrz, patrz, przybywa syn mój, Jan z Lan-
[castru.
Ks. Jan. Zdrowie i pokój i szczęście królowi!
Król Henryk. Szczęście i pokój przynosisz mi, synu,
Lecz od nagiego, uschłego pnia tego
Młodzieńczem skrzydłem zdrowie uleciało.
Ziemskie me prace kończą się już dzisiaj.
Gdzie jest lord Warwick?
Ks. Henryk. Zbliż się, lordzie Warwick.
Król Henryk. Czy izba, w której omdlałem raz pierwszy,
Ma jaką nazwę?
Warwick. Zwie się Jeruzalem.
Król Henryk. Chwała bądź Bogu! Tam właśnie me życie
Skończyć się miało. Długie temu lata,
Jak mi prorocze oznajmiono słowa,
Że w Jeruzalem dokonam żywota,
Myślałem błędnie, że to w Ziemi Świętej.
Więc do tej izby prowadźcie mnie, dzieci,
Z tej Jeruzalem niech mój duch uleci.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Gloucestershire. Izba w domu Płytka.

(Wchodzą: Płytek, Falstaff, Bardolf i paź).

Płytek. Niech mnie kaczki zdepczą, jeśli pozwolę ci dziś stąd odjechać. Hola! Davy!

Falstaff. Musisz mnie wyekskuzować, panie Robercie Płytku.

Płytek. Nie myślę cię wyekskuzować; wcale cię nie wyekskuzuję; nie przyjmę żadnej ekskuzy; żadna tu ekskuza nie pomoże; wcale cię nie wyekskuzuję. Hola, Davy! do kroćset beczek! *(Wchodzi Davy).*

Davy. Jestem, panie.

Płytek. Davy, Davy, Davy; zobaczmy, Davy, a, tak jest, wiem teraz. Gdzie kucharz Wilhelm? Zawołaj go tu do mnie. Sir John, nie myślę wcale cię wyekskuzować.

Davy. Bo to widzicie, panie, tego pozwu ani podobna wręczyć. A teraz, panie, czy mamy zasiać pszenicę na Wysokiem Polu?

Płytek. Ani wątpliwości, Davy, kosmatkę. A co do kucharza Wilhelma, czy nie mamy w domu młodych gołąbków?

Davy. Mamy, panie. Oto rachunek kowala za podkowy i lemiesze.

Płytek. Przejrzyj i zapłać. — Nie, nie, sir Johnie, nie przyjmuję żadnych ekskuz.

Davy. A teraz, panie, wiadro na gwałt krzyczy o nową obręcz. Czy macie, panie, myśl wytrącić z zasług Wilhelma za worek, który stracił onegdaj na jarmarku w Hinckley?

Płytek. Zapłaci mi za niego. Otóż, Davy, musimy mieć kilka gołąbków, parę kur krótkonogich, barani udziec i jakich tam kilka smacznych łakoci w dodatku. Powiedz to kucharzowi Wilhelmowi.

Davy. Czy wojak ten, panie, na całą noc u nas zostanie?

Płytek. Tak jest, Davy; chcę go utraktować. Przyjaciel na dworze znaczy więcej, niż trojak w kieszeni. Przyjmij uczciwie jego ludzi, Davy, bo to wszystko hultaje, co umieją kąsać.

Davy. Ale pewno nie lepiej, panie, niż są kąsani, bo wszyscy strasznie brudną mają bieliznę.

Płytek. Niezły koncept, Davy. A teraz zrób, co powiedziałem.

Davy. Proszę was, panie, raczcie poprzeć sprawę Wilhelma Visor z Klemensen Perkes z Góry.

Płytek. Odebrałem już niejedną skargę, Davy, na tego Visora; Visor ten wierutny to hultaj, jak wiem z pewnością.

Davy. Nie przeczę, wielmożny panie, że to hultaj, ale nie daj Boże, wielmożny panie, aby hultaj nie znalazł poparcia na prośbę przyjaciela. Uczciwy człowiek, wielmożny panie, może mówić sam za sobą, czego nie może hultaj. Służyłem wam wiernie, wielmożny panie, przez te ostatnie lat ośm, a jeśli nie potrafię, raz lub dwa razy na kwartał, uratować hultaja od napaści uczciwego człowieka, nie wielki mój kredyt u wielmożnego pana. Hultaj jest moim uczciwym przyjacielem, wielmożny panie; proszę więc was, poprzyjcie jego sprawę.

Płytek. Dobrze, dobrze; bądź spokojny, nic mu się złego nie stanie. A zaraz zajmij się wykonaniem moich rozkazów. *(Wychodzi Davy).* Gdzie jesteś, sir Johnie? Tylko żwawo; ściągnij buty. Daj mi rękę, mości Bardolfie.

Bardolf. Rad widzę dostojnego pana.

Płytek. Dziękuję ci z całego serca, mój dobry mości Bardolfie. *(Do pazia).* Witajże nam i ty, olbrzymie. Idźmy, sir Johnie. *(Wychodzi).*

Falstaff. Idę za tobą, dobry mój panie Robercie Płytku. Bardolfie, dojrzyj koni. *(Wychodzą: Bardolf i paź).* Gdyby mnie na kawałki rozpiłowano, starczyłbym na cztery tuziny takich brodatych pątniczych kijów jak pan Płytek. Rzecz to cudowna śledzić duchowy stosunek jego i jego ludzi. Oni, na jego wzór się kształtując, prowadzą się jak głupie podsędki, a on, obcując z nimi ciągle, zrobił się podsędkiem lokajem. Dusze ich tak się pożeniły skutkiem wspólnego pożycia, że kupią się zgodnie jak sznur dzikich gęsi. Gdybym miał jaką prośbę do pana Płytka, pochlebiałbym jego ludziom, utrzymując, że są poufalcami swojego pana; a gdybym czego potrzebował od jego ludzi, głaskałbym pana Płytka, oświadczając, że niktby lepiej nie potrafił rozkazywać swojej drużynie. Rzecz niewątpliwa, że jak mądrem prowadzeniem się, tak i głupiem postępowaniem można się zarazić jak chorobą. Wypompuję z tego Płytka dość materyi, aby utrzymać księcia Henryka w ciągłym śmiechu przez porę sześciu mód, co znaczy cztery kadencye, a będzie się śmiał bez feryi. Ha, co to za skutek robi kłamstwo poparte małą przysięgą i żart przy poważnej minie na człowieku, który nigdy nie miał łamania w łopatce! Zobaczycie, że będzie się śmiał, aż twarz jego będzie wyglądała jak płaszcz zmoczony, a źle zwinięty.

Płytek *(za sceną).* Sir Johnie!

Falstaff. Idę, panie Płytku, idę, panie Płytku.
(Wychodzi).

SCENA II.

Westminster. Sala w pałacu.

(Wchodzą: Warwick i lord Wielki Sędzia).

Warwick. Gdzie śpieszysz, Sędzio?
W. Sędzia. Jakże króla zdrowie?
Warwick. Nadzwyczaj dobrze; wszystkie skończył troski.
W. Sędzia. Nie umarł, myślę.
Warwick. Spłacił dług naturze;
Dla nas, nie żyje.
W. Sędzia. Z całej pragnę duszy,
Aby odchodząc i mnie zabrał z sobą.
Wierne me służby za jego żywota
Po jego śmierci trosk mi będą źródłem.
Warwick. To prawda; nowy król niezbyt cię kocha.
W. Sędzia. Wiem o tem dobrze, zbroję się też w męstwo
Na ciosy, które czas trzyma w odwodzie,
Które nie mogą objawić się szpetniej,
Niż się kształtują w mojej wyobraźni.
(Wchodzą: książę Jan, książę Humphrey, Clarence, Westmoreland i inni).
Warwick. Zbliża się smutne Henryka potomstwo.
Gdyby żyjący Henryk miał przymioty
Z trzech dostojników najmniej cnotliwego!
Ilu szlachetnych zostałoby mężów,
Co nikczemnikom muszą dziś ustąpić!
W. Sędzia. O Boże, wszystko, wszystko się przewróci.
Ks. Jan. Dzień dobry! Witaj, kuzynie Warwicku!
Ks. Humphrey i Clarence. Witaj, kuzynie!
Ks. Jan. Tak się spotykamy,
Jak ludzie, którzy zapomnieli mówić.
Warwick. Nie zapomnieli, tylko treść rozmowy
Zbyt smutna, aby długo ją traktować.
Ks. Jan. Pokój z tym, który smutek ten nam sprawił.
W. Sędzia. I z nami, byśmy nie byli smutniejsi!
Ks. Humphrey. Prawda, straciłeś, lordzie, przyjaciela!
Mógłbym też przysiądz, że na twem obliczu
Nie pożyczana maluje się boleść,
Lecz z serca idzie.
Ks. Jan. Choć nikt nie jest pewny,
Jakie mu nowy król da powitanie,

Ty najmniej możesz nadzieją się łudzić.
Smutno mi, chciałbym, by inaczej było.
Clarence. Musisz Falstaffa uprzejmie traktować,
Płynąć pod wodę twego charakteru.
W. Sędzia. Zrobiłem, książę, co mi honor kazał,
Co sprawiedliwość radziła bezstronna,
Nie myślę dzisiaj podlącem ustępstwem
O przebaczenie i o łaskę żebrać.
Gdy mi niewinność i prawda nie starczą,
Do pana mego umarłego pójdę,
By mu powiedzieć, kto mnie za nim wysłał.
Warwick. Król się przybliża.
(Wchodzi król Henryk V).
W. Sędzia. Niech Bóg miłosierny
Waszą królewską mość zachować raczy!
Król. Nowy ten tytuł z całym swoim blaskiem
Dla mych jest ramion cięższy, niż myślicie.
Z waszym się smutkiem, bracia, trwoga miesza;
Dwór to angielski przecie, nie turecki,
Po Amuracie nie nowy Amurat,
Lecz po Henryku Henryk następuje.
Bądźcie jednakże smutni, dobrzy bracia;
Ten smutek waszym przystoi obliczom:
Tak w nim królewska przebija się godność,
Że go jak modę wprowadzę na długo,
Bo go sam w mojem sercu będę nosił.
Bądźcie więc smutni, ale, bracia moi,
Niech to nam wszystkim będzie wspólny ciężar,
Bo Boga biorę na świadka, że dla was
Jak byłem bratem, tak i ojcem będę;
Zapłacę waszą miłość troskliwością.
Płaczcie Henryka, i ja będę płakał,
Lecz Henryk żyje, który wam przemieni
Łzę waszą każdą na szczęścia godzinę.
Książęta. Mniej się spodziewać nie mogliśmy, królu.
Król. Wszyscy tak dziwnie na mnie spoglądacie;
(Do W. Sędziego).
A ty najbardziej; jesteś przekonany,
Że cię nie lubię.
W. Sędzia. Jestem przekonany,
Że sprawiedliwą król mierząc mnie miarą,
Nie znajdzie żadnych nienawiści przyczyn.
Król. Żadnych? Czy może książę z mą przyszłością

Zapomnieć krzywdy, którąś mu wyrządził?
Następca tronu Anglii domniemany
Słowami lżony, w więzieniu zamknięty!
Czy rzecz to mała? możnaż taką krzywdę
Letejską obmyć wodą i zapomnieć?
W. Sędzia. Królu, zastępcą twego ojca byłem,
Byłem obrazem jego majestatu.
Gdym prawa jego wymierzał ludowi,
Czuwał nad dobrem rzeczypospolitej,
Książę, na godność moją niepamiętny,
Na sprawiedliwość i na praw majestat,
Na obraz króla, który mnie uświęcał,
Na krześle mojem uderzyć mnie śmiałeś;
Jam też bez trwogi powagi mej użył,
I do więzienia posłał winowajcę,
Co we mnie króla a nie mnie obraził.
Jeślim źle zrobił, królu mój, więc pozwól,
Dziś, gdy koronę włożyłeś na skronie,
By syn twój prawom twoim się urągał,
Z twych trybunałów wygnał sprawiedliwość,
Bieg prawa przerwał i miecz ten przytępił,
Który pokoju publicznego broni,
I bezpieczeństwa osoby twej strzeże;
Lecz niedość, pozwól, by twój obraz krzywdził
I szydził z ciebie w twym przestawicielu.
Postaw się myślą w takiem położeniu;
Bądź ojcem, królu, przypuść, że to syn twój,
Słuchaj, jak twoją godność profanuje,
Z groźnej powagi twoich praw się śmieje,
I patrz, jak tobą własny syn twój gardzi,
Potem myśl, w twojej żem stanął obronie,
Żem twą powagą syna milczeć zmusił,
Dopiero z zimną potęp mnie rozwagą.
Jako król, powiedz, czegom się dopuścił,
Coby godności mojej nie przystało,
Krzywdziło pana mojego majestat?
Król. Masz słuszność, sędzio, wszystkoś dobrze zważył,
Więc i na przyszłość miecz i wagę trzymaj.
Daj Bóg, byś, rosnąc w godnościach, doczekał,
Aby cię syn mój w chwili zapomnienia
Jak ja obraził i jak ja usłuchał,
Abym ojcowskie powtórzyć mógł słowa:
Szczęście to moje, że znalazłem męża,

Co na mym synu sprawiedliwość pełni,
Lecz i nie mniejsze szczęście, że mam syna,
Który potrafił wielkość swoją ugiąć
Przed nieugiętym majestatem prawa.
Na mej osobie położyłeś areszt,
Za to ja w twoje składam teraz dłonie
Miecz nieskalany, któryś przywykł nosić;
A jak go śmiało, jak go sprawiedliwie,
Jak go bezstronnie przeciw mnie użyłeś,
Tak i na przyszłość używaj go, sędzio.
Masz moją rękę — ojcem dla mnie będziesz,
Mój głos objawi, co szepniesz mi w ucho;
Z pokorą moje uchylę zamiary
Przed twą mądrością i twem doświadczeniem.
A wy, książęta, wierzajcie mi, proszę:
Szaleństwo moje ojciec wziął do grobu,
W jegom mogile przeszłość mą zagrzebał;
Z jego myślami smutny dzisiaj żyję,
By wszystkie świata oszukać rachuby,
By kłamstwo wszystkim zarzucić proroctwom,
Przemazać wyrok, który mnie potępił
Mylnych pozorów zwiedziony obłędem.
Prąd krwi mej dotąd z dziką płynął siłą
Śród pustych szaleństw; lecz dziś się odwraca,
Z nieskończonością morskich fal się miesza,
I z ich spokojnym płynie majestatem.
Już zwołaliśmy wysoki parlament,
Wybierzem teraz członków naszej Rady,
By kraj nasz stanął na równi z państwami,
Najlepszym rządem błogosławionemi,
By pokój, wojna, lub oboje razem
Równie nam były znane i zażyłe;
(Do W. Sędziego).
W czem liczę głównie na pomoc twą, ojcze.
Po uroczystem święcie koronacyi,
Jak powiedziałem, zbierzem nasze Stany,
A jeśli modłów mych niebo wysłucha,
Nikt w mych dzielnicach nie rzeknie w rozpaczy:
Żywot Henryka niech Bóg skrócić raczy!
(Wychodzą).

SCENA III.

Gloucestershire. Ogród domu Płytka.

(Wchodzą: Falstaff, Płytek, Milczek, Bardolf, Paź i Davy).

Płytek. Tak, tak, musisz zobaczyć mój sad, a tam w altanie zjemy przeszłoroczną renetę mojego własnego szczepienia z talerzem kminku *et caetera.* Dalej, kuzynie Milczku, a potem do łóżka.

Falstaff. Trzeba przyznać, że macie tu piękne i bogate mieszkanie.

Płytek. Ladajakie, ladajakie, ladajakie; wszystko żebraki, wszystko żebraki, sir Johnie; tylko prawda, że zdrowe powietrze. Służ nam, Davy; służ nam, Davy. Dobrze powiedziałeś, Davy.

Falstaff. Ten Davy wielce jest wam użyteczny; jest waszym sługą i parobkiem.

Płytek. Dobry pachołek, dobry pachołek, bardzo dobry pachołek, sir Johnie. Na mszę świętą, za wiele piłem kseresu przy wieczerzy. Dobry pachołek. Siadaj teraz, siadaj teraz. Dalej, kuzynie.

Milczek. Bo to widzisz, panie, będziemy teraz, jak to powiadają *(śpiewa):*

To popijać, to zajadać,
Dzięki Bogu za to składać;
Tanie mięso, drogie dziewki,
Gdy hulaki krążą wkoło,
My śpiewajmy znów wesoło,
A na końcu każdej śpiewki:
Hoc! hoc!

Falstaff. To mi się nazywa wesołe serce. Dobry panie Milczku, wychylę za to kielich za twoje zdrowie.

Płytek. Daj panu Bardolfowi wina, Davy.

Davy. Kochany panie, siadaj. *(Sadza Bardolfa i pazia przy drugim stole).* Wrócę do was za chwilę. Najukochańszy panie, siadaj. Mości paziu, dobry mości paziu, siadaj. Daj ci Boże zdrowie! Co wam braknie na jadle, zastąpimy napitkiem. Musicie nam tylko wybaczyć, bo serce to wszystko. *(Wychodzi).*

Płytek. Ciesz się, mości Bardolfie, i ty, mały mój żołnierzyku, ciesz się!

Milczek *(śpiewa).* Ciesz się, choć cię żona fuka,

To zwyczajna kobiet sztuka;
Bo gdzie dobrzy przyjaciele,
Tam hulanka i wesele,
Hoc! hoc!

Falstaff. Nie myślałem, żeby pan Milczek tak był krotofilny.

Milczek. Kto, ja? Nie pierwszyzna mi to się weselić.

(Wchodzi Davy).

Davy. Przynoszę wam talerz winiówek. *(Stawia talerz przed Bardolfem).*

Płytek. Davy.

Davy. Wielmożny panie? Wrócę do was za chwilę. Wina, panie?

Milczek *(śpiewa).* Przynieś wina, napełnij szklanki,
Wznoszę zdrowie mej kochanki,
Bo kto pije,
Długo żyje,
Hoc! hoc!

Falstaff. Nie ja temu zaprzeczę, mości Milczku.

Milczek. Jeśli mamy hulać, zbliża się noc rozkoszna.

Falstaff. Twoje zdrowie i długie życie, mości Milczku!

Milczek *(śpiewa).* Puhar w zdrowie twe wychylę,
Choć głęboki i na milę.

Płytek. Uczciwy Bardolfie, witaj! Jeśli ci czego braknie, a nie wołasz, tem gorzej dla ciebie. *(Do pazia).* Witaj i ty, mały łotrzyku, witaj, na uczciwość, witaj! Piję zdrowie pana Bardolfa i wszystkich kawalerów londyńskich.

Davy. Spodziewam się, że zobaczę Londyn choć raz przed śmiercią.

Bardolf. A jeśli się tam spotkamy, Davy...

Płytek. Wysuszycie razem parę butelek; hę, czy nie prawda, mości Bardolfie?

Bardolf. Prawda, panie, tylko raczej parę butli.

Płytek. Dziękuję ci. Przylepi się do ciebie hultaj, możesz mi wierzyć, a dotrzyma ci placu, bo nie od parady ma głowę.

Bardolf. A i ja też, panie, przylepię się do niego.

Płytek. A to mi królewskie słowa. Nie żałujcie sobie niczego, cieszcie się! *(Słychać stukanie).* Zobacz, co się tam dzieje, kto stuka? *(Wychodzi Davy).*

Falstaff *(do Milczka, który wychyla szklankę).* Uiściłeś się teraz z długu.

Milczek *(śpiewa).* Pij i dług mi zapłać twój,
Na rycerza mnie pasuj,
Samingo.
Czy to nie tak?

Falstaff. Tak, co do joty.

Milczek. Czy tak? To przyznaj, że i stary może się jeszcze na co przydać! *(Wchodzi Davy).*

Davy. Wielmożny panie, niejaki Pistolet przybywa od dworu z nowinami.

Falstaff. Od dworu? Niech wejdzie. *(Wchodzi Pistol).* Co tam nowego, Pistolecie?

Pistol. Bóg z tobą, sir Johnie!

Falstaff. Co za wiatr cię tu przywiał, Pistolecie?

Pistol. Nie zły wiatr, co nikomu nic dobrego nie przywiewa. Słodki rycerzu, jesteś teraz jednym z największych mężów tego królestwa.

Milczek. Na Najświętszą Pannę, ani wątpię; pierwsze jednak miejsce trzyma Puff z Barson.

Pistol. Puff?
Puff w twoje zęby, podły bisurmanie!
Sir Johnie, jestem Pistol, twój przyjaciel;
Na łeb na szyję pędziłem do ciebie,
Przynoszę wieści, radość i wesele,
I złote czasy i szczęsne nowiny.

Falstaff. Proszę cię tylko, powiedz mi je, jak człowiek z tego świata.

Pistol. Kpię z tego świata i podłych światowców. Ja mówię o Afryce i złotej radości.

Falstaff. Więc mów, rycerzu podły Asyryjski,
Niech Kofetua król wie całą prawdę.

Milczek *(śpiewa).* Robin Hood i John i Scarlet...

Pistol. Kondel stajenny muzom odpowiada?
Chcecie więc szydzić z moich dobrych nowin?
Na Furyi łonie złóż więc skroń, Pistolu.

Płytek. Dobry szlachcicu, nie mogę sobie wytłómaczyć twoich manier.

Pistol. Więc płacz.

Płytek. Z przeproszeniem, mości panie. Jeśli, mości panie, przychodzisz z nowinami od dworu, mojem zdaniem, dwie tylko masz drogi: albo je powiedzieć, albo je zamilczeć. I mnie też powierzył król jegomość pewną godność.

Pistol. Jaki król, chłystku? Mów lub giń.

Płytek. Król Henryk.
Pistol. Król Henryk czwarty czy król Henryk piąty?
Płytek. Król Henryk czwarty.
Pistol. Błazeństwo twa godność.
Jagniątko twoje, sir Johnie, dziś królem,
Henrykiem piątym; a mówię ci prawdę;
Jeśli łże Pistol, to mu pokaż figę
Jak hiszpańskiemu pyszałce.
Falstaff. Co mówisz?
Stary król umarł?
Pistol. Umarł jak ćwiek we drzwiach;
A możesz wierzyć wszystkiemu, co mówię.

Falstaff. Ruszaj, Bardolfie, okulbacz mi konia. — Mości Robercie Płytku, wybieraj, jaki chcesz urząd w królestwie; masz go. — Pistolu, włożę na ciebie podwójny ładunek godności.

Bardolf. O, dniu radosny! Nie dałbym mojej fortuny za rycerstwo.

Pistol. A co? czy dobre przynoszę nowiny?

Fastaff. Odprowadźcie pana Milczka do łóżka. — Mości Płytku, milordzie Płytku, bądź, czem być zapragniesz, jestem klucznikiem fortuny. Włóż buty; będziemy całą noc cwałowali. O, słodki Pistolu! Ruszaj, Bardolfie. *(Wychodzi Bardolf).* No, Pistolu, opowiadaj mi wszystko szczegółowo, a tymczasem rozmyślaj, coby mi wyszło na dobre. Buty! buty! mości Płytku. Jestem pewny, że młodemu królowi tęskno za mną. Weźmiemy w rekwizycyę czyjebądź konie; angielskie prawa są na me rozkazy. Szczęśliwy, kto był moim przyjacielem, a biada ci, milordzie Wielki Sędzio!

Pistol. Niech podłe sępy płuca mu wyjedzą! —
Gdzie życie, którem dotąd pędził, pytasz?
Gdzie? Tu. Witajcie, błogie dni wesela! *(Wychodzą).*

SCENA IV.

Ulica w Londynie.

(Wchodzą policyanci, wlokąc panią Żwawińską i Dorotę Drzej-Prześcieradło).

Gospodyni. Nie, łotrze wierutny; chętniebym umarła, gdybym cię mogła widzieć na szubienicy; wywichnąłeś mi ramię.

Pierwszy policyant. Konstable pod straż mi ją oddali, a że pokosztuje rózeg, to ja jej za to ręczę. Niedawno temu zamordowano jednego czy dwóch ludzi z jej powodu.

Dorota. Łżesz, złodzieju; łżesz, złodzieju. A to co mi znowu? Słuchaj, ty przeklęty szelmo z flakowatą twarzą, jeśli poronię dziecko, które teraz noszę, lepiejby było dla ciebie twoją własną matkę uderzyć, ty papierowolicy łajdaku.

Gospodyni. Ach, gdyby sir John powrócił! Zrobiłby on z tego krwawą sprawę dla kogoś. Chciałabym, żeby owoc jej żywota nie doszedł.

Pierwszy policyant. Jeśli nie dojdzie, to będziesz znowu miała dwanaście poduszek, gdy teraz masz ich tylko jedenaście. Ale w drogę ze mną, bo umarł człowiek, któregoście zbiły przy pomocy Pistola.

Dorota. Słuchaj, ty chudeuszu w trybularzu, wyrobię ja ci za to uczciwą chłostę, ty niebiesko-mundurny łajdaku, ty brudny, wygłodniały ceklarzu; jeśli ty nie dostaniesz chłosty, to ja się wyrzeknę krótkich spódniczek.

Pierwszy policyant. Dobrze, dobrze, błędna rycerko, bardzo dobrze.

Gospodyni. Ha, żeby też prawo tak górowało nad gwałtem! Niechże i tak będzie! Toć utrapienie płodzi radość.

Dorota. Idźmy, łajdaku, idźmy; prowadź mnie do sędziego.

Gospodyni. Tak jest, prowadź, ty wygłodniały ogarze!

Dorota. Ty widmo, ty kościotrupie!

Gospodyni. Ty szkielecie, ty!

Dorota. Prowadź, ty chudeuszu, prowadź, ty łajdaku!

Pierwszy policyant. Dobrze, dobrze.

(Wychodzą).

SCENA V.

Plac publiczny w blizkości opactwa Westminsterskiego.

(Wchodzi dwóch masztalerzy, zaścielając plac sitowiem).

Pierwszy masztalerz. Więcej mat! więcej mat!

Drugi masztalerz. Już po dwakroć ozwały się trąby.

Pierwszy masztalerz. Będzie druga, nim wyjdą z koronacyi. Śpiesz się. *(Wychodzą).*

(Wchodzą: Falstaff, Płytek, Pistol, Bardolf i paź).

Falstaff. Stań tu przy mnie, mości Robercie Płytku. Wyrobię ci łaskę u króla. Mrugnę na niego, gdy będzie przechodził, a uważaj tylko, jakie znajdę u niego przyjęcie.

Pistol. Błogosław Boże twoim płucom, dobry rycerzu!

Falstaff. Zbliż się, Pistolecie, stań za mną. *(Do Płytka).* Ach, gdybym miał czas obstalować nowe liberye! Chętniebym poświęcił na nie tysiąc funtów, którem u ciebie pożyczył. Ale mniejsza o to! Ta biedna powierzchowność lepszy zrobi skutek: będzie to nowy świadek gorliwości, z jaką śpieszyłem, aby go ujrzeć.

Płytek. To prawda.

Falstaff. Pokaże to całą głębokość moich uczuć.

Płytek. To prawda.

Falstaff. Mojego poświęcenia.

Płytek. To prawda, to prawda, to prawda.

Falstaff. To ogłosi, żem pędził dniem i nocą; że nie myślałem, że nie pamiętałem, że nie miałem cierpliwości zmienić ubrania.

Płytek. To rzecz niewątpliwa.

Falstaff. Lecz stanąłem zabłocony podróżą, zapocony żądzą widzenia go; nie myślałem o niczem innem; puściłem w zapomnienie wszystkie inne sprawy, jakby nie było na świecie nic innego do roboty, tylko zobaczyć go.

Pistol. To *semper idem,* bo *absque hoc nihil est:* to zupełna doskonałość.

Płytek. Zupełna, ani wątpliwości.

Pistol. Ogień w szlachetną wątrobę twą rzucę,
Rycerzu, wściekłym cię zrobię;
Twoja Dorotka, myśli twych Helena,
W podłem więzieniu, zaraźliwej turmie,
Gdzie brudna ręka nikczemnego chama
Wtrąciła ją.
Wywołaj zemstę z jaskiń hebanowych,
Rozbudź Alekto i czarne jej węże,
Bo Dorotka twoja w ciupie.
Co Pistol mówi, wszystko święta prawda.

Falstaff. Wyzwolę ją.

(Krzyki za sceną, odzywają się trąby).

Pistol. Ryknęło morze, grzmią trąby miedziane.

(Wchodzi: Król i jego orszak, w nim W. Sędzia).

Falstaff. Niech cię Bóg zachowa, królu Henrysiu! Królewski mój Henrysiu!

Pistol. Niech niebo cię strzeże i utrzymuje, najdostojniejsza latorośli chwały!

Falstaff. Niech cię Bóg zachowa, słodkie moje chłopię!

Król Henryk. Sędzio mój, przemów do tego pustaka.

W. Sędzia. Czyś rozum stracił? Wiesz, do kogo mówisz?

Falstaff. Do ciebie mówię, mój królu Jowiszu!
Moje serduszko!

Król Henryk. Ja nie znam cię, starcze.
Weź się do modlitw; jakże źle przystają
Do białych włosów żarty i błazeństwa!
Długo o takim marzyłem człowieku,
Starym, bezczestnym, rozpustą wydętym;
Lecz rozbudzony mem gardzę marzeniem.
Myśl odtąd więcej o twojem zbawieniu,
Mniej o twem ciele; wyrzecz się obżarstwa,
Pomnij, że grób się przed tobą otwiera
Trzykroć przestrzeńszy, niż dla innych ludzi.
Nie odpowiadaj mi błazna słowami;
Nie myśl, że jestem, czem niedawno byłem,
Bo Bóg wie o tem, a świat się przekona,
Żem się na zawsze przeszłości mej wyrzekł,
Jak się wyrzekam dawnych towarzyszy.
Kiedy usłyszysz, że jestem, jak byłem,
Powrócisz do mnie i będziesz, jak byłeś,
Rozpusty mojej stróżem, karmicielem;
Lecz dziś, pod karą śmierci cię wyganiam,
Jak już wygnałem resztę zwodzicieli
Od mej osoby na dziesięć mil drogi.
Potrzeby twoje dostatnio opatrzę,
By cię do złego nie popchnęła nędza.
Skoro się dowiem, żeś obyczaj zmienił,
Wedle sił twoich i twojej zasługi,
Dam ci posadę. Polecam ci, Sędzio,
Ścisłe rozkazów moich wykonanie.
A teraz, idźmy. *(Wychodzą: Król i orszak).*

Falstaff. Mości Płytku, winienem ci tysiąc funtów.

Płytek. Winieneś, sir Johnie, a pragnąłbym zabrać je z sobą.

Falstaff. To rzecz niemożebna, mości Płytku; ale nie kłopocz sobie o to głowy. Wezwie mnie on do siebie prywatnie; bo to widzisz, wszystkie te pozory potrzebne są dla świata. Nie bój się o awans, będę jeszcze człowiekiem, który zrobi cię wielkim.

Płytek. Nie mogę się tylko domyślić, w jaki sposób;

chyba, że dasz mi twój kaftan i wypchasz mnie słomą. Proszę cię, dobry sir Johnie, daj mi przynajmniej pięćset z mojego tysiąca.

Falstaff. Panie Płytku, przekonam cię, że jestem słowny. Wszystko, co słyszałeś, jest tylko płaszczykiem.

Płytek. Płaszczykiem, w którym, jak się zdaje, pochowają cię, sir Johnie.

Falstaff. Bądź tylko spokojny, a teraz, chodź ze mną na obiad. Idźmy, poruczniku Pistol; idźmy, Bardolfie. Przyśle po mnie, byle się zmierzchło.

(Wchodzą: książę Jan, Wielki Sędzia, oficerowie i t. d.).

W. Sędzia. Sir Johna Falstaff prowadźcie do wieży,
A razem wszystkich jego towarzyszy.

Falstaff. Milordzie sędzio...

W. Sędzia. Nie mam teraz czasu;
Wkrótce dostaniesz u mnie posłuchanie;
Wiedźcie ich teraz.

Pistol. *Si fortuna me tormenta, spero me contenta.*

(Wychodzą: Falstaff, Płytek, Pistol, Bardolf, paź i oficerowie).

Ks. Jan. Wielce pochwalam mądry króla rozkaz.
Myślą jest jego, dawnym towarzyszom
Dać opatrzenie dobre i uczciwe,
Lecz ich od swojej oddalić osoby,
Aż ich obyczaj jawny dowód złoży,
Że wrócił do nich statek i rozwaga.

W. Sędzia. Takie są właśnie królewskie zamiary.

Ks. Jan. Czy już monarcha zwołał swój parlament?

W. Sędzia. Zwołał, mój książę.

Ks. Jan. Chętnie pójdę w zakład,
Że nim rok minie, nasz ogień i miecze
Z ojczystej ziemi poniesiem do Francyi.
To mi do ucha ptaszek mały śpiewał,
A na tę piosnkę Henryk się nie gniewał.
Idźmy, milordzie. *(Wychodzą).*

EPILOG

(mówiony przez tancerza).

Naprzód moja obawa, następnie mój ukłon, a w końcu moja przemowa. Moją obawą jest wasze nieukontentowanie; mój ukłon moją powinnością, a moją przemową prośba o przebaczenie. Jeśli się spodziewacie teraz dobrej oracyi, zginąłem; bo co mam powiedzieć, jest mojego własnego utworu, a co mi powiedzieć wypadnie, lękam się, będzie moją zgubą. Czas jednak przystąpić do rzeczy i próbować fortuny. Wiedzcie zatem, a wiecie już dobrze, wystąpiłem tu niedawno na końcu nie miłej wam sztuki, prosząc o cierpliwość na teraz, a przyrzekając lepszą na później. Zamiarem moim było, wyznaję, uiścić się z mojej obietnicy dzisiejszą sztuką; jeśli więc i ona, jak zła spekulacya, nic mi nie przyniesie, zbankrutowałem, a wy, kochani wierzyciele, stracicie wszystko. Przyrzekłem wam stawić się przed wami, przybywam i zdaję się na waszą łaskę, a idąc za przykładem wielkiej liczby dłużników, obiecuję wam na przyszłość złote góry.

Jeśli nie potrafię językiem wyżebrać u was pokwitowania, czy każecie mi nóg spróbować? Alebym lekką zapłacił wam monetą, kwitując was tańcem. Gdy jednak uczciwe sumienie nakazuje użyć wszelkich możebnych środków zadosyćuczynienia, i ja zrobię, co mogę. Wszystkie przytomne tu panie już mi przebaczyły; jeśli mi nie przebaczą panowie, to panowie będą w niezgodzie z paniami, czego nie widziano dotąd w podobnem zgromadzeniu.

Pozwólcie mi jedno jeszcze dodać słowo. Jeśli nie jesteście jeszcze przesyceni tłustem mięsem, nasz pokorny autor zamierza dalej prowadzić tę sztukę z sir Johnem, a zabawić was piękną Katarzyną, księżniczką francuską. Tam, o ile mi wiadomo, umrze Falstaff na potnicę, jeśli go jeszcze surowe wasze uprzedzenie nie zabiło; bo Oldcastle umarł męczennikiem, a to nie tego rodzaju jest człowiek. Język mój już zmęczony, a gdy i nogi się zmęczą, powiem wam dobranoc! Tymczasem klękam przed wami, żeby się modlić — za królowę.



TŁÓMACZENIE J. KASPROWICZA.

Dramat, najściślej połączony treścią z »Henrykiem IV«, był prawdopodobnie jednym z pierwszych, granych w roku 1599 w nowym teatrze *Globe,* »tem O drewnianem«, jak go nazywa prolog. Nie wspomina o dziele w roku 1598 Meres, choć wymienia »Henryka IV«; w samym dramacie, w chórze przed piątym aktem wyraźna jest aluzya do irlandzkiej kampanii hrabiego Essex w r. 1599; w r. 1600 pojawia się pierwsze wydanie *in quarto.* Druk ten, tak samo jak podobne do niego dwa dalsze za życia poety (1602, 1608), w porównaniu z tekstem w pośmiertnym zbiorze *in folio,* ukazuje nam utwór w formie srodze pokaleczonej: z 3500 wierszy jest tylko 1800; całej liczby scen brakuje zupełnie, między innemi wszystkich chórów i epilogu. Choć więc może to wydanie odtwarza jakieś odmienne od ostatecznego stadyum dzieła, czyni to tak niedokładnie, że do studyów nad genezą dramatu pewnej podstawy dać nie może.

Oprócz »Henryka IV« z treścią dramatu najbliżej się łączy farsa »Wesołe kobiety windsorskie«: prawdopodobnie, jak rozumuje Creizenach, powstała ona przed »Henrykiem V«, bo poważne słowa Anglika Gowera w dramacie (V, 1) o szydzeniu z tradycyi narodowych są jakby uroczystą rehabilitacyą po ośmieszeniu Walijczyków przez postać proboszcza Evansa w komedyi.

»Henryk V«, to kronika dramatyczna wyprawy wojennej do Francyi i chlubnego zwycięstwa pod Azincourt, urozmaicona scenami obozowemi; obejmuje wypadki lat 1414—1420; luki, jakie zapowiada prolog, wypełniają chóry, zapożyczone ze stylu dramatów renesansowych w rodzaju Seneki. Jedność dramatyczną rzeczy nadaje temat wielkiego zwycięstwa jako usprawiedliwienia monarszej godności dawnego kompaniona Falstaffowego. Wartość dramatu za

tem koncentruje się w osobie króla, która tutaj, podobnie jak w »Ryszardzie II« albo »Ryszardzie III« przerasta całe otoczenie. Różnica tylko w tem, że król Henryk już nie interesuje poety, jak królewicz w »Henryku IV«, jako problem rozwoju osobistości, ani jak Ryszard II lub Ryszard III, jako gotowa i skończona indywidualność, lecz jako wcielenie najlepszych sił narodu, jako typowo angielski ideał człowieka czynu.

Źródła dramatu są te same, z których Shakespeare zaczerpnął treść »Henryka IV«, a więc kronika Holinsheda i stary anonimowy dramat prozą *The Famous Victories of King Henry the Fift;* ten ostatni tu intensywniej jest wyzyskany, niż tam; sceny, odpowiadające końcowej »Henryka IV« i początkowej »Henryka V«, bezpośrednio po sobie w nim następują.

Jak często w dramatach królewskich, ekspozycya ma charakter epiczny, sprawozdawczy. Zarówno poparcie projektu wyprawy do Francyi przez duchowieństwo, jak rozprawę o tytuły Henryka do korony francuskiej znalazł Shakespeare u Holinsheda: szczególnie wielka scena tronowa jest przykładem ściślejszej niż kiedykolwiek wierności poety wobec kronikarskiego źródła: długa i nudna oracya arcybiskupa o genealogii dynastyi i prawie salickiem jest poprostu ujęciem w wiersze, z małemi potrzebnemi na to zmianami, odpowiedniego ustępu w kronice. Tak samo drugi główny fakt sceny — drwiącą przesyłkę piłek tennisowych od Delfina — znalazł Shakespeare u Holinsheda. I to i tamto ma miejsce także w starym dramacie *Famous Victories,* ale traktowane tam jest dość krótko; zaś shakespearowska scena właśnie w rozpędzie, jaki bierze przez długą parafrazę prawniczych wywodów biskupa, celuje obfitością oratorską, może nawet nadmierną: nie tylko, że w rozmowę biskupów wpleciony jest prawdziwie piękny ustęp, charakteryzujący cudowną przemianę moralną młodego króla, ale — co osobliwsze — prymas w długim opisie prawi o życiu pszczół jako wzorze dobrze zorganizowanego państwa: ten moralizujący wywód okazał się jako parafraza ustępu z powieści Jana Lyly *Euphues,* którą z dziełem Shakespeara łączy nastrój szczerze patryotyczny, której popularność jednak wtedy, po dwudziestu latach rozpowszechnienia w czytającej Anglii, nie była już całkiem świeżą.

Ta sama, widoczna skłonność do jak najpełniejszych

oratorskich akcentów objawia się w traktowaniu epizodu spisku przeciwko królowi w drugim akcie: Shakespeare samemu królowi każe demaskować sprzysiężonych, by sobie stworzyć sposobność do długiej jego deklamatorskiej apostrofy. I w dalszym ciągu król wysokie swe zalety monarsze często wyraża w niezwykle długich przemówieniach: pod murami Harfleur (III, 1, 3), wobec herolda francuskiego (III, 6; IV, 3), nocą w obozie (IV, 1), w poranek bitwy (IV, 3); nawet po zwycięstwie on sam wylicza znakomitsze ofiary bitwy (IV, 8). Tak samo jak ojciec w bezsennej nocy dumał o troskach swego panowania (»Henryk IV«, cz. II, akt III, sc. I), tak i syn w nocy przed bitwą (IV, 1), chodząc po obozie, w długim monologu wspomina z żalem o krzywdzie Ryszarda II i prosi Boga, by tej winy ojca teraz, w rozstrzygającej walce z wrogiem Anglii, mścić na nim nie zechciał. Tego monologu, ważniejszego dla ciągłości całego cyklu niż dla samego dramatu »Henryk V«, niema w starym tekście *in quarto.* Tak samo brak tam kilku innych dłuższych przemówień króla: może być, że je opuszczano na scenie. Nie brakuje atoli w *quarto* przemówień przed samą bitwą, — może dlatego, że te, jako wypowiadające stan wszystkich serc angielskich, są organiczną częścią dramatu. W treści są one własnością samego poety: z długiej mowy przed bitwą u Holinsheda bierze zaledwie ten i ów drobny szczegół; odmienna także jest mowa w dramacie *Famous Victories:* zawiera głównie dyspozycye do bitwy.

Obok tych oratorskich popisów drugim głównym środkiem charakterystyki bohatera jest kontrast: w »Henryku IV« przeciwstawił mu poeta dzielnego i szlachetnego Henryka Percy; tutaj typowemu Anglikowi typowego Francuza — Delfina, błyszczącego gallicką werwą, blagą i odwagą. Kontrast, zaznaczony zaraz na początku przez ironiczny podarunek, wyraźniej się uwydatnia przez wymianę wyzwań na dworze francuskim (II, 4). Umyślnie tutaj dla uzmysłowienia tego zamiaru dramatycznego poeta króla francuskiego i jego syna wprowadza na scenę: u Holinsheda wyzwanie zawarte jest w liście Henryka do Karola VI; do roli Delfina pewne drobne dane znajdują się w starym dramacie *Famous Victories.* W kilku dalszych scenach (III, 5, 7; IV, 2, 5) potem jeszcze przeprowadzona jest ta charakterystyka młodych Francuzów; podając w pośmiewisko ich fanfaronadę, poeta jednak umie

oddać sprawiedliwość narodowym ich zdolnościom towarzyskim: turniej na przysłowia między konnetablem a księciem orleańskim (III, 7) istotnie błyszczy dowcipem. Do przechwałek francuskich było nieco materyału w *Famous Victories:* tak jak tam prości żołnierze naprzód grają w kości o jeńców angielskich i ich stroje, tak u Shakespeara magnaci francuscy zakładają się o liczbę Anglików, jaką który z nich weźmie do niewoli. Sceny tej, raczej ornamentalnej niż dramatycznie potrzebnej, niema w tekście *in quarto* »Henryka V«; może być, że opuszczano ją w teatrze. Jest jakby lekką auto-ironią poety, że sam król angielski, mówiąc do wysłańca strony przeciwnej (III, 6) chwyta siebie na »chełpliwych słowach«, które mu przyniósł »wiatr francuski«.

Jak w »Henryku IV«, poważne sceny akcyi politycznej przeplatane są rodzajowemi ze sfery Falstaffa (II, 1, 3). Pistol, popisując się obficiej niż dotąd swą karykaturalną retoryką, zapowiada się jako ważna figura w dramacie: istotnie on w komicznej funkcyi żołnierza samochwała przeznaczony jest zająć miejsce Falstaffa; z niego sposobem plautyńskiego parazyta drwić sobie będzie mały paź tamtego (III, 2); bo oto dowiadujemy się o śmierci grubego rycerza (II, 1, 3). »Król zabił mu serce«, odtrącając go od siebie, i cierpienie opromienia rzewnością i poezyą opis ostatnich jego chwil, mimo bezdusznej głupoty sprawozdawczyni[1]). Umieszczenie tego epizodu w tem właśnie miejscu oznacza jakby ostatnie stadyum gotowości króla Henryka na bohatera narodowego: wesoła przeszłość do reszty umarła. Dodatkowo jeszcze w III akcie (sc. 6) dowiadujemy się o powieszeniu Bardolfa już podczas wojny z rozkazu króla za kradzież monstrancyi: zużytkował tu Shakespeare szczegół z Holinsheda. W starym dramacie *Famous Victories* przygotowania do wyprawy wojennej urozmaica kilka błazeńskich intermezzów, przedstawiających zbieranie rekrutów na prowincyi w daleko mniej zabawny sposób, aniżeli ten motyw wyzyskał sam poeta w drugiej części »Henryka IV« (III, 2).

---

[1]) Samym jej słowom zresztą dodał wdzięku poetyckiego jeden z pierwszych wydawców Shakespeara w XVIII wieku, Theobald, zmieniając niedorzeczne słowa starego tekstu *a table of green fields* na przyjęty odtąd, fascynujący zwrot *'a babbled of green fields* (»majaczył o zielonych polach«).

W scenach pod oblężonem Harfleur z początkiem III aktu rozpoczyna się stałe przeciwstawianie poetycznych i heroicznych — realistycznym i humorystycznym epizodom z życia żołnierskiego; urok tego kontrastu wypełnia całą resztę dramatu. Obie strony umie jednoczyć w sobie król, tu okazując, jak skorzystał z wesołej młodości. Śmieszność z bohaterstwem łączy w swej osobie dzielny Walijczyk Fluellen, bawiący publiczność i obcą wymową i słabością do teoretycznych wywodów o umiejętnościach wojennych. Postać ta, magicznem życiem napełniona przez poetę, natchnęła w XIX wieku Waltera Scotta, który te same śmiesznostki i te same sympatyczne przymioty połączył w równie klasycznej szkockiej figurze barona Bradwardine w powieści *Waverley*. Zaś rozmowa Walijczyka z Irlandczykiem i Szkotem (III, 2) — jednocząca przedstawicieli wszystkich trzech nie-angielskich żywiołów królestwa[1]) — silnie oczywiście przemawia do uczuć dzisiejszych unionistów angielskich: stała się wzorem dla Kiplinga, u którego kilkakrotnie w pierwszych nowelach, a potem w osobnej książce *(Soldiers Three)* występuje typowa trójka żołnierzy brytyjskich — Irlandczyk, Szkot i dziecko londyńskie – także mówiących każdy swoim dyalektem.

Dziwaczna wymowa ludzi z prowincyi lub obcych widocznie była zawsze pożądanem źródłem zabawy dla publiczności teatru shakespearowskiego: służy jej poeta tym efektem komicznym — w naszych oczach prymitywnym — nie tylko tutaj, ale i w komedyi »Wesołe kobiety windsorskie«. Równie serdecznie, jak z angielszczyzny Walijczyka, śmiano się zapewne z epizodycznej lekcyi języka angielskiego na dworze francuskim (III, 4) pisanej zresztą wcale poprawną francuszczyzną.

Niekorzystne dla Anglików warunki, pod którymi ma się rozpocząć bój, kilkakrotnie poeta uwydatnia: najpierw słyszymy o nich z ust samego króla w rozmowie z heroldem francuskim (III, 6): ta scena po części dosłownie kopiowana jest z Holinsheda; — potem o stanie rzeczy w przeciwległych obozach opowiada nam chór przed IV aktem: ten opis porównywano z opisem obozów germańskiego i rzymskiego przed bitwą teutoburską w »Anna-

---

[1]) Tekst *in folio* nawet zamiast nazwisk przed słowami ich ról poprostu pisze *Scot. Welch. Irish.*

lach« Tacyta, które właśnie w roku 1598 wyszły w tłómaczeniu angielskiem; — naocznie wreszcie przekonywamy się o stosunkach w obozie angielskim, gdy król *incognito* bada usposobienie swych żołnierzy. O humorystyczne urozmaicenie zarówno tych scen jak bitwy samej starają się naprzemian Fluellen i Pistol. Dziarski Walijczyk z woli króla ważną odgrywa rolę w rozstrzygnięciu wymyślonej przez poetę zwady niepoznanego króla z prostym żołnierzem (IV, 8); Fluellen także w zabawny sposób wyraża radosną dumę z Henryka, urodzonego w Wales (IV, 7); on wreszcie wymierza komiczną karę Pistolowi, co wzgardził czosnkiem, godłem Walijczyków (V, 1). Pistol, jak od początku, jest surogatem Falstaffa: jak tamten (»Henryk IV«, cz. II; akt IV, sc. 3), bierze jeńca w bitwie (IV, 4), w scenie dłuższej, niż tamta, i okraszonej dodatkowo tak pospolitym w »Henryku V« komizmem nieporozumień językowych. Przez ostateczne upokorzenie i opuszczenie Pistola, którego śmierć żony-karczmarki pozbawiła materyalnej ostoi, analogia między nim a Falstaffem staje się zupełna. Z wszystkich komicznych intermezzów tylko scena wzięcia do niewoli Francuza odpowiada błazeńskiemu epizodowi w dramacie *Famous Victories;* ale i tu komizm jest odmienny treścią, bo w starym dramacie polega na sytuacyi określonej polskiem przysłowiem: »Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma«. Poważne wypadki bitwy — jak rzeź ciurów obozowych (IV, 7) w zamian za wyrznięcie jeńców przez Anglików — przedstawia Shakespeare wiernie według Holinsheda; z kroniki też pochodzi niemal dosłownie — jak wszystkie oficyalne enuncyacye w dramacie — wykaz znakomitych poległych, odczytany z końcem aktu.

Jak w każdym kronikarskim dramacie, robimy w jednem określonem miejscu decydujący skok chronologiczny: chór przed piątym aktem przenosi nas do czasu w dwa lata po bitwie pod Azincourt, gdy Henryk ponownie się wyprawił do Francyi; zupełnie dalej pominięta jest cała ta druga kampania, tak że w głównej scenie aktu końcowego, układach o pokój, stajemy w roku 1420. Epicznie-deklamatorski charakter dramatu, tak silnie się uwydatniający w długich przemowach króla, tutaj znowu się objawia w dłuższym wymownym opisie spustoszeń, jakie wojna wyrządziła we Francyi (V, 2); opis ten wygłasza książę Burgundyi, który — zgodnie z kroniką — występuje jako pośrednik między mocarstwami. Bardzo dramatycznie za to ujął poeta wypadki polityczne w kulminacyjnej scenie piątego aktu, gdzie przez osobiste starania króla angielskiego o względy księżniczki francuskiej uosobił zabiegi o pokój między krajami [1]). Skorzystał tu Shakespeare ze wzmianki Holinsheda o poprzedniej konferencyi w Meulan, na której Henryk zapłonął afektem do obecnej tam królewny Katarzyny. Sama scena jego żołnierskich zalotów jest jednym z najbardziej uroczych dyalogów miłosnych u Shakespeara, i dziwić się można, jak krytyk o niepospolitej intuicyi Swinburna mógł być z niej niezadowolony z powodu mało królewskiego zachowania bohatera, zarzucać Shakespearowi brak taktu i zbytnią podatność wobec wymagań publiczności. Wszakże tutaj może najlepiej się objawia zmysł poety dla psychologii narodu, przyoblekający ideał męskości anglosaskiej w realistyczne kształty: Henryk mało gdzie jest tak doskonałym Anglikiem, jak właśnie tutaj, gdy nie obiecuje umierać z miłości; lub gdy deklaruje się przyjacielem Francyi, którą tak kocha, że chciałby ją całą posiąść; lub gdy wreszcie wzywa św. Dyonizego, patrona Francyi, do pomocy w walce z językiem francuskim: z tą trudnością i dzisiejszy Anglik, rzadko kiedy dobrze władający obcym językiem, szczerze współczuje. Że dalej Henryk od początku jest tak zupełnie pewny swego, jak Petruchio w »Poskromieniu złośnicy«, (II, 2) i cały dyalog właściwie traktuje jako igraszkę, to znowu w oczach Anglika naturalne i sympatyczne: bo łatwo się naocznie przekonać, jak w Anglii i dziś jeszcze mężczyzna w sprawach miłosnych stanowczo jest panem stworzenia. W tym też jednym szczególe, znamiennej pewności siebie u Henryka od samego początku, jest podobieństwo między sceną zalotów u Shakespeara a w starym dramacie *Famous Victories;* reszta, a nadewszystko znakomicie wyzyskany pomysł łamanego dyalogu w obu językach, jest własnością Shakespeara.

* * *

[1]) Inaczej co prawda to wypełnienie całego aktu amorami zamiast układów dyplomatycznych tłómaczyć sobie muszą krytycy, niezdolni do podzielania patryotycznego zachwytu Anglików nad absolutną doskonałością »Henryka V«: im się ten epizod przedstawia jako objaw znudzenia poety tematami historycznymi; kończąc dziewiąty swój dramat z historyi politycznej, poeta odczuwa pragnienie powrotu od spraw państwowych do dramatycznego przedstawienia uczuć osobistych.

W »Henryku V« Shakespeare, jak pięknie powiedziano, »głosami surmy bojowej żegna się z historyą angielską«. Pokoleniu, które nadewszystko wielbiło czyn i nad inne ziemskie potęgi ceniło władzę monarszą nad ludźmi, ukazał jego ideał w stroju wielkiego bohatera narodowego: wyśpiewawszy więc najwyższy w oczach ludzi ówczesnych temat dziejowy, stał u szczytu ambicyi jako autor dramatów z historyi narodu; jedyny dramat królewski, jaki jeszcze potem stworzył, »Henryk VIII«, nie jego może był pomysłem i nie jest jednolitą kompozycyą.

Jednolitość właśnie jest główną cechą »Henryka V«: jest to portret literacki, złożony głównie z długich deklamacyi bohatera, które nam ukazują jego doskonałość królewską z coraz innej strony; wszystkie figury wokoło króla, to, jak w »Ryszardzie III«, głównie jego narzędzia i środki jego charakterystyki; jej służy cały dwór francuski, a w znacznej mierze także mozaika żołnierskich scen rodzajowych.

O stosunku całej Anglii renesansowej do wcielonego w dramacie ideału wątpliwości być nie może; stosunek osobisty poety, jak zawsze, jest zagadkowy. Najwidoczniej szczerze i serdecznie wielbi bohatera; ale czy dlatego, że w nim daje pewien obraz własnego zwycięstwa przez praktyczny zmysł i wyrobienie woli nad młodocianą fantazyą i impulsywnością, nad brakiem hartu i dyscypliny moralnej, wreszcie nad ekonomicznemi trudnościami pierwszych lat londyńskich? — Czy też może dlatego właśnie Shakespeare uwielbia Henryka V, że sam pozostał tym sensytywnym, niepewnym siebie człowiekiem, jakiego ukazują Sonety, że jako taki z zazdrosną tęsknotą patrzył na ideał męskiej stanowczości, miary i świadomości celu? Po »Henryku V« powstał »Hamlet«, a zgoda z sobą i z rzeczywistością ostatecznie osiągniętą się wydaje u Shakespeara dopiero w typie Prospera. W różnych czasach i warunkach życia był pono poeta kolejno i Henrykiem i Hamletem i Prosperem: zaduma i uczuciowość, pokonana przez męską energię, mogła później wrócić nową falą, a filozoficzna rezygnacya potem zakończyć rozwój.

Obok obrazu idealnego króla, treścią »Henryka V« jest ideał imperyalistyczny, państwowy patryotyzm angielski. Ta struna, chwilowo i urywkowo wibrująca w »Ryszardzie II« (II, 1) i w »Królu Janie« (II, 1), tu drga silnie i bez przerwy. Potężniejszy ona oddźwięk budzi w sercu dzisiejszego człowieka, niż renesansowe uwielbienie dla absolutnego władcy; wiek XIX nastroił świat cały konstytucyjnie i nacyonalistycznie. W szczególności zaś powszechny dziś w narodzie angielskim zapał do trwalszego zjednoczenia wszystkich dzielnic światowego imperyum brytyjskiego niezwykłą temu dramatowi nadawać musi żywotność i szczególne znaczenie. Wytworzeniu podniosłego nastroju patryotycznego świadomie i wybornie służą staroświeckie, na sposób przed-shakespearowskich dramatów, chóry między aktami: w nich Shakespeare otwiera szeroki horyzont historyczny, rozmyślnie tu rezygnując ze zwykłej swej dramatycznej metody koncentrowania wielkich akcyi polityczno-państwowych w słowach i czynach poszczególnych osób. Może zresztą być, że ta rezygnacya z techniki dramatycznej potrosze jest i objawem znużenia dramatami historycznymi; byle zakończyć rozpoczęty cykl, Shakespeare ułatwia sobie tym sposobem zadanie rozmieszczenia bogatej akcyi po pięciu aktach »Henryka V«, licząc — i słusznie licząc — co do efektu dramatycznego na silny apel do uczuć patryotycznych publiczności angielskiej, u której entuzyazm narodowy przy słuchaniu i ocenie tego dramatu z pewnością zawsze przeważać będzie nad zmysłem teatralnym.

OSOBY:

Król Henryk V.
Książę Gloster, } bracia królewscy.
Książę Bedford, }
Książę Ekseter, stryj królewski.
Książę York, kuzyn królewski.
Hrabia Salisbury.
Hrabia Westmoreland.
Hrabia Warwik.
Arcybiskup Kanterbury.
Biskup Ely.
Hrabia Kembrydż, } spiskowcy przeciw królowi.
Lord Skrup, }
Sir Tomasz Grey, }
Sir Tomasz Erpingham, } oficerowie w armii króla Henryka.
Gower, }
Fluellen, }
Makmorris, }
Jamy, }
Bates, } żołnierze tej armii.
Court, }
Wiliams, }
Nym, } dawniej słudzy Falstaffa, dziś żołnierze armii króla Henryka.
Bardolf, }
Pistol, }
Chłopiec na ich posługach.
Herold.
Chorus.
Karol VI, król francuski.
Ludwik, Delfin.
Książę Burgundzki.
Książę Orleański.
Książę Burboński.
Konetabl Francyi.
Rambures, } panowie francuscy.
Grandpré, }
Komendant Harfleur'u.
Mentjoy, herold francuski.
Posłowie do króla Anglii.
Izabela, królowa Francyi.
Katarzyna, córka Karola i Izabeli.
Alicya, dama królewny Katarzyny.
Żwawska, żona Pistola, oberżystka.

Panowie, panie, oficerowie, żołnierze francuscy i angielscy, posłowie i świta.

Rzecz dzieje się z początku w Anglii, potem bez przerwy we Francyi.

KRÓL HENRYK V.

PROLOG.

Muzy ognistej trzeba, by się wzbiła
Ku najjaśniejszym niebiosom natchnienia!
Państwa na teatr, książąt na aktorów,
Królów na widzów przewspaniałej sceny!
Wówczas, sam w sobie, wojowniczy Henryk
Stanąłby w Marsa postaci: naonczas
Warowałyby mu u pięt skulone,
Niby psy jakie, głód, miecz i pożoga.
Wybaczcie zatem, wy wszyscy dostojni,
Że się duch płytki i poziomy ważył
Na rusztowanie wprowadzić niegodne
Przedmiot tak wielki! Obejmie-ż ten kurnik
Olbrzymie łany Francyi? Czyż możemy
W tem »O« drewnianem zmieścić choćby hełmy,
Co pod Azincourt siały przestrach wokół?
Wybaczcie zatem! Jeśli krzywy znaczek
Może na małym świstku znaczyć milion,
To i nam, zeru w tym wielkim rachunku,
Na wyobraźnię swą pozwólcie działać!
Wystawcie sobie, że w tem tu okolu
Zamknięte teraz dwie wielkie monarchie,
Których zuchwale podniesione czoła
Dzieli ocean wązki, niebezpieczny.
Uzupełnijcie braki swoją myślą,
Jednego człeka na tysiąc rozdzielcie
I urojone wytwórzcie zastępy.
Gdy wspomnim konie, ujrzyjcie je w duchu

Ziemię kopiące dumnemi kopyty.
Albowiem tylko myśli wasze mogą
Ubierać królów i z miejsca na miejsca
Lotem przenosić i czas przeskakiwać
I wydarzenia długich lat do jednej
Wtłaczać klepsydry. By był skutek taki,
Ja, chór, dopowiem tej historyi braki,
Zaś jako prolog, rzucam prośby słowo:
Bądźcie cierpliwi, nie sądźcie surowo.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Londyn. Przedpokój w pałacu królewskim.

(Wchodzi arcybiskup Kanterbury i biskup Ely).

Kanterbury. Chcą znów, milordzie, bil ten przeprowadzić,
Co w jedenastym roku panowania
Zmarłego króla o mało nie przepadł,
Lecz który w czasów burzliwych zamieszce
Przez inne kwestye znów zepchnięty został.
Ely. Jak mu się teraz, milordzie, oprzemy?
Kanterbury. Trzeba pomyśleć, bo jeżeli przejdzie,
Naszych majątków utracim połowę;
Wszak chcą nam wydrzeć wszystkie te doczesne
Dobra, zapisem przez ludzi pobożnych
Dane kościołom: taki jest rachunek —
Tyle, co trzeba dla honoru króla,
Piętnastu hrabiów utrzymać, rycerzy
Tysiąc i pięćset, sześć tysięcy dwustu
Wybranych giermków, przytem dla łazarzów,
Dla dusz schorzałych wsparcie, dla podeszłych
W leciech, dla ludzi zwątlonego ciała,
I sto szpitali, dobrze opatrzonych,
A oprócz tego tysiąc funtów rocznie
Do skarbca króla: tak bil nakazuje.
Ely. To haust głęboki.
Kanterbury. Z haustem puhar połkną.
Ely. Lecz jak zaradzić?
Kanterbury. Król nasz miłościw i pełen jest względu.

Ely. Wierny przyjaciel świętego Kościoła.
Kanterbury. Młodości jego bieg inaczej wróżył.
Lecz gdy dech tylko uszedł z ciała ojca,
To i w nim zaraz, jakby uśmiercona
Zamarła dzikość; tak! w tej samej chwili
Przyszła rozwaga, niby anioł Boży,
Aby zeń wygnać grzesznego Adama,
A ciało jego zmienić w raj, co w sobie
Duchy niebiańskie mieści i ukrywa.
Nikt się tak prędko przecież nie przerobił,
Nigdy poprawy nie zjawił się potok,
Coby zmył błędy równie rwącą falą,
Zatwardziałości nigdy jeszcze hydra
Swojej siedziby nie straciła prędzej,
Niż — jednem słowem — u króla.
Ely. Szczęśliwa
Dla nas ta zmiana.
Kanterbury. Gdy o teologii
Zacznie rozprawiać, podziwiasz, słuchając,
I życzysz sobie, by król był prałatem;
A kiedy sądzi o sprawach publicznych,
Myślisz, że tego jedynie się uczył;
A gdy o wojnie mówi, wówczas, zda się,
Straszliwe bitwy przemienia w muzykę;
Zawróć ku jakiej kwestyi politycznej,
A on ci węzeł rozwiąże gordyjski,
Jak swą podwiązkę: tak, że kiedy mówi,
Zamilka powiew, ten lubieżnik pusty,
A niemy podziw siada w uszach wszystkich,
Aby kraść jego zdania miodopłynne;
Jedynie sztuka życia i praktyka
Takiej teoryi mogły być mistrzynią.
Dziwić się trzeba, gdzie on to pozbierał,
Gdy jego skłonność była ku pustocie,
A towarzystwo surowe i płytkie,
Nieokrzesane; gdy mu na hulankach
I na zabawach czczych płynęły chwile;
Gdy żarliwości nikt w nim nie zobaczył,
Ni aby stronił, by się odosabniał
Od pospolitej rzeszy i od zgiełku.
Ely. Poziomka rośnie między pokrzywami;
Zdrowa jagoda dojrzewa najlepiej
W sąsiedztwie lichszych gatunków owocu:

Tak też i książę skrywał rozmyślanie
Pod swej dzikości powłoką, jak letnia
Trawa, pędząca najlepiej śród nocy,
A która w siłę rośnie niewidzialnie.
Kanterbury. Tak, widać, było, bo cudów dziś niema,
Trzeba więc przyznać istnienie sposobów,
Jakimi coś się dziać może.
Ely. Atoli
Cóż czynić, panie, by ten bil złagodzić,
Który chcą gminy przeprzeć? Król Jegomość
Czy się nań zgadza, czy nie?
Kanterbury. Obojętnym
Król się wydaje, lub się raczej chyli
Ku nam, niż miałby sprzyjać wnioskodawcom;
Ofiarowałem się bowiem królowi
W związku z zwołaniem naszego synodu
Oraz ze względu na obecne sprawy,
Które szeroko przed nim roztoczyłem,
A które tyczą się Francyi — dać sumę
Większą, niżeli kler wystawił razem
Któremukolwiek z jego poprzedników.
Ely. Jakżeż ofertę zdawał się przyjmować?
Kanterbury. Jego Królewska Mość zgodził się na nią,
Tylko nie było czasu, by wysłuchał
(A Jego Miłość skłonną była k' temu)
Bliższych szczegółów, a także jasnego
Wytłómaczenia praw do księstw niektórych
I w ogólności do korony Francyi,
Przeszłych nań jeszcze z praszczura Edwarda.
Ely. Jakaż przeszkoda wykład ten przerwała?
Kanterbury. Poseł francuski prosił tejże chwili
O audyencyę; zda mi się, że właśnie
Czas posłuchania: czy nie czwarta teraz?
Ely. Tak.
Kanterbury. Idźmy zatem poznać treść poselstwa,
Które z łatwością umiałbym odgadnąć,
Nim jeszcze Francuz choć słówko wypowie.
Ely. Śpieszę za wami; i jam rad usłyszeć.
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Sala tronowa w pałacu królewskim.

(Wchodzą król Henryk, Gloster, Bedford, Ekseter, Warwik, Westmoreland i świta).

Król Henryk. Gdzież jest dostojny pan mój Kanterbury?
Ekseter. Niema go tutaj.
Król Henryk. Poślijcie poń, stryju.
Westmoreland. Czyliż przywołać tu posła, mój władco?
Król Henryk. Później, kuzynie; nim go wysłuchamy,
Trzeba roztrząsnąć sprawy, co nam myśli
Gniotą, a które tyczą nas i Francyi.
(Wchodzi Kanterbury).
Kanterbury. Bóg z aniołami niech ma tron Wasz święty
W swojej opiece, a Wy długo bądźcie
Jego ozdobą.
Król Henryk. Dziękuję. A teraz,
Uczony panie, rzecz prowadźcie dalej;
Według sumienia wskażcie i słuszności,
Czy nas salickie prawo, istniejące
W Francyi, pozbawia tych naszych uroszczeń,
Lub nie; a Boże chroń, byście swój wywód
Mieli fałszować, nakręcać, naginać,
Chytrze obciążać świadomość swej duszy
Podrobionemi prawy, co w swej barwie
Wewnętrznej z prawdą zgodzić się nie mogą.
Bo wie to Pan Bóg, ilu to, dziś zdrowych,
Krew swą wyleje, aby to potwierdzić,
K'czemu Wielebność Wasza dziś nas wezwie.
Baczcie, jak własną ręczycie osobą,
Jak rozbudzacie drzemiący miecz wojny!
O, w imię Boga zaklinamy: baczcie!
Bo nigdy w sporze nie były ze sobą
Dwa takie państwa, by się krew nie lała,
A jej niewinne krople, w ból zmienione
I ciężką skargę, zwracają się wszystkie
Przeciwko zbrodniom, co miecz wyostrzyły,
Tyle spustoszeń sprawiający w krótkiej
Tej doczesności. Pod takiem zaklęciem
Mówcie, a my was słuchać tu będziemy
I wierzyć w sercu, że to, co mówicie,

Tak oczyszczone zostało w sumieniu,
Jak grzech, obmyty świętym chrztem.
Kanterbury. A więc słuchajcie — władco! wy panowie,
Co macie życie, wierność, służby swoje
Poświęcać temu tronowi: — Jedyną
Prawu do Francyi zaporą jest tylko
To, co wywodzić chcą od Faramunda:
In terram Salicam mulieres ne succedant —
Ziem salickich nie dziedziczy niewiasta:
Francuzi mylnie tłómaczą, że Francyą
Ziemie salickie, a Faramund twórcą
Prawa, niewiasty wykluczającego,
Lecz zgodnie z prawdą właśnie ich pisarze
Twierdzą, że w Niemczech kraj salicki leży —
Między rzekami Salą oraz Elbą.
Tam Karol Wielki, podbiwszy Saksonów,
Zostawił część swych Franków i osiedlił,
A ci przez wzgardę dla niewiast germańskich
Za ich bezecne obyczaje życia,
Stworzyli prawo, by dzierżaw salickich
Nie mogła żadna dziedziczyć podwika.
Ten kraj salicki, leżący pomiędzy
Salą a Elbą, zwą dziś w Niemczech Miśnią.
Jasno stąd widać, że prawo salickie
Ustanowione było nie dla Francyi
I że salickich dzierżaw nie posiadał
Francuz, dopiero w czterysta dwadzieścia
Jeden od zejścia króla Faramunda,
Co był wrzekomym twórcą tego prawa,
A który zasię w roku odkupienia
Zmarł czterechsetnym dwudziestym i szóstym,
A Karol Wielki ujarzmił Saksonów
I swoich Franków z tamtej strony Sali
Osiedlił w roku osiemsetnym piątym.
Ich autorowie mówią oprócz tego,
Jako król Pepin, który Childeryka
Złożył był z tronu, poparł uroszczenia
I prawa swoje do korony Francyi
Tem, że wywodził ród swój od Blithildy,
Króla Klotara córki. Hugo Kapet,
Kiedy koronę wydarł Karolowi
Lotaryńskiemu, który był jedynym
Męskim dziedzicem, pochodzącym w prostej

Linii ze szczepu Karola Wielkiego —
Chcąc uroszczeniom nadać pozór prawdy
(W rzeczywistości czczym i nieprawdziwym),
Głosił się również dziedzicem Lingary,
Córki Karlmana, który był cesarza
Ludwika synem, Ludwik zaś był synem
Karla Wielkiego. I Ludwik dziesiąty,
Przywłaszczyciela Kapeta jedyny
Dziedzic, spokoju nie znalazł w sumieniu,
Francyi dźwigając koronę, dopóki
Nie wykazano, że prababka jego,
Piękna królowa Izabela, prosto
Od Irmengardy ród swój wywodziła,
Córki powyżej wspomnianego księcia
Lotaryńskiego Karola: z koroną
Francyi znów owo złączyło małżeństwo
Linię Karola Wielkiego; stąd jasno,
Jak letnie słońce, wynika, że tytuł
Króla Pepina, pretensye Kapeta,
Uspokojenie Ludwika na prawach
I na tytułach kobiet są oparte;
Królowie Francyi do dziś dnia tak czynią;
Choć na salickiem chcą się oprzeć prawie,
By Wysokości Waszej uroszczenia,
Idące z niewiast, usunąć, i w sieci
Wolą się raczej wikłać, niż odsłonić
Ułomność praw swych, które sobie, królu,
Na Was i Waszych przywłaszczyli przodkach.

Król Henryk. A więc sumiennie praw dochodzić mogę?

Kanterbury. Grzech na mą głowę spadnie, groźny władco!
Wszakżeż w Liczb księdze tak jest napisano:
Jeśli syn umrze, wówczas niech dziedzictwo
Przejdzie na córkę. Miłościwy panie,
Brońcie swojego! rozwińcie swój krwawy
Sztandar! na wielkie spojrzyjcie praszczury.
Idźcie do grobu dziada, groźny władco,
Co Wam przekazał pretensye: przyzwijcie
Jego i stryja Waszego Edwarda
Waleczne duchy, czarnego książęcia,
Który tragedyę grał na ziemi Franków,
Bijąc na głowę wszystkie Francyi moce,
A jego ojciec potężny na wzgórzu
Stał uśmiechnięty, patrząc, jak się kąpał

Lew jego młody w krwi francuskiej szlachty.
O cni Anglicy! coście sił połową
Znieść potrafili całą pychę Francyi,
Podczas gdy druga połowa bezczynnie,
Śmiejąc się, stała, zimna na bój wrzący!

Ely. Zbudźcie wspomnienie tych walecznych zmarłych,
Wznówcie ich czyny potężnem ramieniem:
Wy ich dziedzicem! Wy dziś tron ich macie.
Krew ta i męstwo, co ich porywały,
W Waszych dziś żyłach! Mój trzykroć waleczny
Władca już dojrzał w maju swej młodości
Do wielkich czynów i wielkich zamysłów.

Ekseter. Królowie bracia, monarchowie ziemi,
Czekają na to, abyście powstali,
Jak lwy krwi Waszej, poprzednicy wasi.

Westmoreland. Wiedzą, że Wasza Miłość ma przyczynę,
Środki i siły, a ma je; król Anglii
Żaden bogatszej szlachty ni wierniejszych
Nie miał poddanych, których serca, w Anglii
Pozostawiwszy swe ciała, obozem
Już się na Francyi rozłożyły polach.

Kanterbury. Niechaj ich ciała, o mój drogi władco,
Krwią, mieczem, ogniem wywalczą Wam prawa;
By temu pomódz, my, księżego stanu,
Waszej Miłości taką złożym sumę,
Jakiej żadnemu z Waszych poprzedników
Nie dało nigdy naraz duchowieństwo.

Król Henryk. Trza się nie tylko uzbroić na Francyę,
Lecz się obliczyć także ze siłami
Przeciwko Szkotom, dla których z korzyścią
Będzie zapuścić zagony.

Kanterbury. Ci, co na kresach, miłościwy władco,
To mur dość silny, aby naszą wyspę
Przed grabieżczymi obronić sąsiady.

Król Henryk. Nie mam na myśli tylko band zbójeckich,
Lecz się obawiam sił właściwych Szkota,
Który nam zawsze groźnym był sąsiadem;
Albowiem czytać możecie, że dziad mój
Nigdy do Francyi nie pociągnął z wojskiem,
Aby nie wtargnął Szkot w bezbronne państwo,
Tak jak się fala przez wyłom przeciska
Swoją rozlaną kipiąca potęgą,
Aby w perzynę nie obracał łanów,

Oblężeniami nie owijał grodów,
Tak, że obrony pozbawiona Anglia
Drżała ze strachu przed takiem sąsiedztwem.
Kanterbury. Więcej tam było trwogi, niźli szkody,
Bo oto świadczy o niej taki przykład:
Gdy jej rycerstwo ruszyło do Francyi,
Ona, po szlachcie swej płacząca wdowa,
Nie tylko sama siebie obroniła,
Lecz króla Szkotów, jak zbłąkane zwierzę
Tak go ująwszy, do Francyi posłała,
By królewskimi jeńcami powiększyć
Chwałę Edwarda i kroniki Wasze
Wzbogacić sławą, jak grzązkie dno morskie
Pełne jest statków rozbitych i skarbów.
Westmoreland. Lecz jest prawdziwe i stare przysłowie:
»Walczyć z Francyą, czcza robota,
Jeśli nie zaczniesz od Szkota«.
Orzeł angielski gdy na łup poleci,
Wnet się do gniazda otwartego skrada
Szkocka łasica, ssie królewskie jaja
I, jako mysz ta, kiedy niema kota,
Marnuje więcej, niźli spożyć może.
Ekseter. Z tego wynika, by kot w domu został.
Lecz ostateczna jest to już konieczność,
Wszak mamy zamki, by ukryć, co trzeba,
I piękne łapki na małych złodziei.
Gdy zbrojne ramię walczy poza domem,
Tu się poradna głowa już obroni:
Albowiem rządy, jakkolwiek wysokie,
Na coraz niższe rozdzielone członki,
Wciąż podtrzymują harmonię i w finał
Pełny i czysty zlewają się razem —
Tak, jak w muzyce.
Kanterbury. Prawda; stąd też niebo
Dzieli stan ludzki na różne zawody
I w nieprzestanny ruch dążenia wprawia,
A tego ruchu kresem oraz celem
Jest posłuszeństwo. Tak czynią i pszczoły,
Owe stworzenia, co prawem natury
Uczą nas w państwo ludzkie ład wprowadzać
Bo króla mają oraz urzędników:
Z tych jedne rządzą, niby władze, w domu,
Drugie, by kupcy, handlują za domem.

Inne, by wojsko, zbrojne w swoje żądła,
Szukają łupu w aksamitnych pączkach.
A potem zdobycz w radosnym pochodzie
Przynoszą w namiot swojego cesarza:
Ten się przygląda, skrzętny w majestacie,
Jak wznoszą złote sklepienia mularze,
Jak gniotą miody poważni mieszczanie,
Jak się tragarze cisną z swym ładunkiem
U wązkiej bramy; jak sędzia z surowym
Wzrokiem i brzękiem złowróżbnym oddaje
Poziewające, zleniwiałe trutnie
Pobladłym katom. Z tego wniosek taki,
Że mnogość rzeczy, w jedną się harmonię
Zestrzelających, różnie działać może,
Jak mnogie strzały drogi mkną różnemi,
W cel godząc jeden.
Różne są drogi do jednego miasta,
Różne strumienie w jednem giną morzu,
W środku kompasu różne się skupiają
Linie: tak samo i tysiąc czynności,
Raz w ruch puszczonych, dobrze i bez błędu
Przeprowadzonych, u jednej się mety
Zawsze spotyka... Więc, panie, do Francyi!
Na cztery części podzielcie swą Anglię,
Do Francyi weźcie z sobą jedną czwartą,
A cała Galia wnet zadrży przed Wami.
Jeśli my w domu z trzema sił częściami
Od drzwi swych własnych psa nie odpędzimy,
Niech nas rozszarpie, niech straci nasz naród
Swej polityki, swego męstwa sławę.
Król Henryk. Przyzwijcie do mnie posłów od Delfina.
(Wychodzi jeden ze świty; król siada na tronie).
Rzecz rozstrzygnięta; przy pomocy Boga
I was, szlachetne ścięgna naszej siły,
Francya naszą; ugniem ją przed sobą
Lub roztrzaskamy na cząstki. Na tronie
Rozległej władzy nad Francyą zasiądziem
I nad księstwami niemal królewskiemi,
Albo też kości spoczną bez pogrzebu
W urnie niegodnej, bez pomnika nad nią;
Pełnemi usty dzieje sławić będą
Nasz czyn odważny, lub też bez języka

Będzie w swych ustach, jak niemy turecki,
Grób nasz, i nawet bez napisu — w wosku!...
(Wchodzą posłowie Francyi).
Jesteśmy oto gotowi wysłuchać
Życzeń kuzyna Delfina, bo słyszym,
Że to od niego wieści, nie od króla.

Poseł. Wasza Królewska Mość pozwolić raczy,
Bym mógł swobodnie wywiązać się z zleceń:
Lub może mamy zwierzyć okolicznie
Myśli Delfina i poselstwo nasze?

Król Henryk. My nie tyranem, ale królem chrześcijan.
Namiętność nasza tak podległa łasce,
Jak w kaźniach naszych zbrodniarze swym więzom,
Swobodnie zatem, bez żadnych ogródek,
Wyjawcie chęci Delfina.

Poseł. Więc krótko:
Wasza Wysokość posłała do Francyi
Z uroszczeniami co do księstw niektórych
Na prawie przodka, Edwarda Trzeciego.
Delfin, a pan nasz, w odpowiedzi na to,
Mówi, że zbytnio pachniecie młodością;
Każe Was przestrzedz, że u nas we Francyi
Tańcami zdobyć nie można niczego
I że o księstwach niema Wam co marzyć.
Stąd, do Waszego stosownie umysłu,
Śle Wam tę beczkę skarbów, w zamian za to
Prosi, by od Was nic już o tych księstwach
Nigdy nie słyszał... Tak powiedział Delfin.

Król Henryk. Jakież to skarby, stryju?

Ekseter. Piłki, władco.

Król Henryk. Bardzo nam miłe te żarty Delfina.
Za podarunek i za trud wasz dzięki.
Gdy do tych piłek przyrządzim rakiety,
Zagramy w Francyi, przy Bożej pomocy,
Tak, że koronę swego ojca stawi.
Takiego wyzwał do gry przeciwnika —
Powiedzcie mu to, że od jego piłek
Zadrżą wsze grody Francyi! Pojmujemy,
Że nam wytyka dziksze dni, lecz nie chce
Ważyć korzyści, co nam z nich wynikły.
Nie ceniliśmy nigdy zbyt wysoko
Tego biednego tronu Anglii, stąd też,
Zdala od niego, byliśmy oddani

Barbarzyńskiemu rozpasaniu: wszakże
Ludziom za domem zawsze najweselej.
Ale powiedzcie Delfinowi: królem
Będę prawdziwym, rozwinę wielkości
Żagle, zasiadłszy na mym Francyi tronie.
Zrzucałem z siebie dotąd swój majestat,
Aby harować jak zwykły wyrobnik,
Ale tam w gloryi takiej się podniosę,
Że aż oślepię wszystkie oczy Francyi —
Tak! patrząc na nas, sam Delfin oślepnie.
Krotochwilnemu powiedzcie też księciu,
Że piłki w kule jego żart przemienił
I że nań spadnie pomsta tych spustoszeń,
Co razem z niemi polecą: tysiącom
Wdów wydrwią mężów drogich jego drwinki,
Matkom zaś wydrwią dzieci, a zaś Francyi
Przedrwią jej grody. Nadejdzie godzina,
Że niezrodzeni dziś jeszcze Delfina
Przeklną żarciki... Lecz wszystko u Boga,
Doń ja się zwracam i w Jego też imię
Królewiczowi powiedzcie, że przyjdę,
Aby się pomścić, jak umiem, i w sprawie
Wyciągnąć świętej uprawnione ramię.
Idźcie w spokoju, a powiedzcie księciu,
Że w płytki dowcip zmienią się te drwiny,
Gdy w nich łez więcej, niż śmiechu przyczyny...
Dać im bezpieczny konwój... Bądźcie zdrowi.
(Posłowie wychodzą).

Ekseter. Poselstwo bardzo wesołe.

Król Henryk. Ten, kto je przysłał, sczerwieni się nieco.
(Schodzi z tronu).
Nie traćmy chwili szczęśliwej, panowie,
Dla tej wyprawy tak wielce dogodnej.
Nie mamy w myśli niczego, prócz Francyi —
Z wyjątkiem Boga, który jest przed wszystkiem.
A więc do wojny zbierajmy swe siły.
Rozważmy wszystko, coby naszym skrzydłom
Mogło piór dodać w tym rozważnym locie:
Zamierzam bowiem, idąc razem z Bogiem,
Skarcić Delfina przed ojcowskim progiem.
Niechże więc każdy swój umysł wytęży,
A piękna sprawa od razu zwycięży.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

PROLOG.

Młodzież angielska teraz wszystka w ogniu;
Do szaf schowano jedwabne uciechy.
Dziś czas płatnerzy, dziś tylko honoru
Myśl władnie w piersi każdego człowieka:
Łąki sprzedają, aby kupić konia,
Za chrześcijańskich królów mkną zwierciadłem
Skrzydlatą stopą Anglii Merkurowie.
Wyczekiwanie dziś w powietrzu siadło,
Z mieczem, od szpicu po rękojeść pełnym
Cesarskich koron, mitr, koron szlacheckich —
Króla Henryka oraz jego świty
Przyobiecane nagrody. Francuzi,
Wiedząc o groźnych tych przygotowaniach,
Trzęsą się z trwogi, zbladłą polityką
Pragnąc odwrócić Anglików zamiary.
Anglio, wewnętrznej swej wielkości wzorze,
Niby potężne serce w nikłem ciele,
Cóż za honoru zew mogłabyś spełnić,
Gdybyś ty dzieci nie miała wyrodnych!
Lecz patrz na fałsz ten! Francya tu znalazła
Gniazda łon pustych, które zdradzieckiemi
Wypełnia grzywny: trzech zepsutych mężów —
Jeden z nich Ryszard hrabia Kembrydż, drugi
Lord Skrup z Masham'u Henryk, a zaś trzeci
Northumberlandzki rycerz, Tomasz Grey,
Za Francyi złoto (o, to raczej błoto!)
Uknuło spisek wraz z wylękłą Francyą.
Z ich rąk to królów wszystkich wzór ma umrzeć
(Jeśli dotrzyma słowa zdrada z piekłem),
Zanim do Francyi odpłynie, w Southampton.
Przedłużcie swoją cierpliwość, oddaleń
Nadmiar zamknijcie w obrębie tej sztuki.
Zdrajcy gotowi, złoto wypłacone,
Król rzucił Londyn; scena do Southampton
Już przeniesiona, dostojni widzowie!
Tutaj nasz teatr, tutaj usiąść raczcie:
Ztąd wam do Francyi towarzyszyć będziem
I wrócim znowu, a chcąc wam zapewnić

Wygodny przejazd, zaklniem wązkie morze.
Zrobim, co można, by od gry tej wątku
Nie zepsuło się nic w waszym żołądku.
Lecz do Southampton scena się przeprawi
Dopiero wówczas, gdy się król tu zjawi.
(Wychodzi).

SCENA I.

Londyn. Dzielnica Istczyp.

(Wchodzi Nym i Bardolf).

Bardolf. Jak się macie, kapralu Nymie!

Nym. Dzień dobry, poruczniku Bardolfie.

Bardolf. Cóż tam, w przyjaźni z chorążym Pistolem?

Nym. Co do mnie, to nie dbam o nią, niewiele mówię, ale jak przyjdzie pora, to tu dopiero będzie śmiechu; ale niech się wszystko robi, jak się da. Na pałasze pójść się nie odważę, ale przymrużę oko i nadstawię swojego rożna: nie bardzo on pokaźny, ale cóż to komu szkodzi. Można na nim upiec sera a i zimno też wytrzyma, jak szabla każdego innego, i w tem właśnie cały jest humor.

Bardolf. Zapłacę śniadanie, ażeby z was zrobić przyjaciół, a potem pociągniemy wszyscy trzej, jak zaprzysiężeni bracia, do Francyi; cóż, zgoda, mój zacny kapralu Nymie?

Nym. Dalibóg; będę tak długo żył, dopóki się da, to pewna; a jak się nie da dłużej, to jużcić zrobię, jak się da. To moje ostatnie słowo i basta.

Bardolf. To pewna, mój kapralu, że się ożenił z Helką Żwawską, a i to pewna, że wyrządził wam krzywdę, boście z nią byli już po słowie.

Nym. Nie mogę powiedzieć; wszystko powinno iść, jak się da; może się zdarzyć, że ludzie sobie śpią i mają w tym czasie swoje grdyki przy sobie, a są tacy, którzy mówią, że noże mają ostrza. Wszystko tak się dzieje, jak się da. Chociaż cierpliwość zjeżdżoną jest szkapą, to przecież jeszcze się jakoś wlecze. Jakiś koniec być musi. I owszem, nie mogę tego powiedzieć.
(Wchodzi Pistol i oberżystka).

Bardolf. Idzie chorąży Pistol i jego żona; cierpliwości, mój dobry kapralu. I cóż tam nowego, mości gościnny Pistolu?

Pistol. Gościnnym zwiesz mnie, ty kleszczu?
Na tę prawicę, to tytuł nie dla mnie;
A lokatorów trzymać też nie będzie
I moja Helka.

Oberżystka. Nie, na uczciwość, nie będzie już dłużej. Bo nie można trzymać i stołować jakiegoś tuzina lub mędla zacnoszek, żyjących uczciwie z igły, aby zaraz nie pomyślano, że prowadzimy po prostu burdel. *(Nym wyciąga szpadę).* O Najświętsza Panienko! Po co to zaraz wyciągać! Będziemy mieli natychmiast rozmyślne cudzołóstwo i mężobójstwo! Dobry poruczniku Bardolfie, dobry kapralu — dajcie spokój.

Nym. Fe!

Pistol. Fe tobie, psie irlandzki! ty cienkouchy kundlu irlandzki!

Oberżystka. Dobry kapralu Nymie! Pokaż swoje męstwo i schowaj tę szablę.

Nym *(do Pistola).* Pójdziesz ty sobie... *(Do oberżystki).* Chciałbym być z tobą solus.

(Chowa szablę do pochwy).

Pistol. Co? psie nad psami, *solus?* Nędzna żmijo!
W cudacką twarz ci rzucam twoje *solus,*
W zęby ci rzucam to *solus* i w gardziel,
W obrzydłe płuca, tak! w ten twój żołądek;
Albo, co gorsza, w tę paskudną gębę!
Ja ci to *solus* wpakuję w twe flaki;
Mogę to mówić, a kurek Pistola
Już odwiedziony, zaraz ogień będzie.

Nym. Nie jestem żadnym Barbasonem; nie potraficie mnie zakląć, jestem w takim humorze, żeby was wygrzmocić jak się należy; chcecie na mnie bryzgać, Pistolu, to ja was nieco podrapię moim rozumem, jak to po sprawiedliwości uczynić się da; a jak wam się zechce uciekać, to połechtam was nieco po kiszkach, jak to po sprawiedliwości uczynić się da. I to jest cały humor wszystkiego.

Pistol. Nędzny chełpiszu, potępieńcze dziki!
Grób twój już zieje i śmierć już się zbliża,
Więc wydaj tchnienie ostatnie.

(Pistol i Nym wyciągają szpady).

Bardolf. Słuchajcie, słuchajcie, co wam powiem: temu, kto pierwszy cios zada, wpakuję szpadę po rękojeść, jakem żołnierz. *(Wyciąga szpadę).*

Pistol. Wielkiej to mocy zaklęcie! gniew przeszedł.
Dajże mi pięść twą, daj tę przednią łapę,
Twoja waleczność ogromna!

Nym. Po sprawiedliwości poderżnę ci gardło prędzej czy później, jak się da. I to jest cały humor wszystkiego.

Pistol. *Coupe de gorge,* mówisz? Wyzywam cię znowu,
Ty psie kreteński. Chcesz mi uwieść żonę?
Nie! idź do szpitala.
I z łaźni hańby wybierz sobie smoka
Zarażonego z plemienia Kressydy —
Dorką Drzejpłachtą zwie się: to twa żona!
Ja mam i chcę mieć ową *quondam* Żwawską
Jako jedyną ją; *pauca* i kwita.

(Wchodzi chłopak).

Chłopak. Panie gościnny Pistol, musicie iść do mojego pana — i wy, pani gościnna; bardzo jest chory i chciałby się położyć. — Dobry Bardolfie, wścib nos pomiędzy jego prześcieradła i zastąp ogrzewalnik, bo jemu naprawdę bardzo jest źle.

Bardolf. Precz, ty łajdaku!

Oberżystka. Daję słowo, lada dzień będą wrony miały pudyng z niego; król mu serce zabił. — Dobry mężusiu, chodź natychmiast do domu.

(Wychodzą pani Żwawska i chłopak).

Bardolf. Chodźcie; mam was pogodzić. Obaj musicie iść do Francyi. Cóż do dyabła, czy po to mamy noże, aby jeden drugiemu gardła podrzynał?

Pistol. Niech fala wzbiera, czart za żerem wyje.

Nym. Wypłacicież wy mi te osiem szylingów, które wygrałem od was w zakład?

Pistol. Tylko nikczemne płacą chłystki.

Nym. Ale ja żądam tego: to cały humor w tem wszystkiem.

Pistol. Niechaj rozstrzyga męstwo; dobądź szpady!

Bardolf. Na ten miecz! kto pierwszy uderzy, tego zabiję! na miecz ten, zabiję go na miejscu.

Pistol. Miecz to przysięga, przysięgę trza chować!

Bardolf. Kapralu Nymie, chcecie być przyjaciółmi, to bądźcie przyjaciółmi, a jeżeli nie, to będziecie także moimi wrogami. Proszę was, schowajcie szpady.

Nym. Będę miał te osiem szylingów, które wygrałem od was w zakład?

Pistol. Nobla dostaniesz, wypłacę natychmiast;
Nawet w dodatku dam ci i likieru:
Niech nas zjednoczy przyjaźń i braterstwo;
Ja żyć przez Nyma, Nym przeze mnie będzie,
Czy dobry projekt? Będę markietanem,
Profit w obozie wciąż mi rosnąć będzie.
Podaj mi rękę.

Nym. Dostanę swojego nobla?

Pistol. Wypłaconego w gotówce.

Nym. Dobrze... To cały humor w tem wszystkiem.

(Wraca oberżystka).

Oberżystka. Jeżeli was rodziły kobiety, to chodźcie co prędzej do sir Dżona. Ach! to biedne serce! Tak go wytrzęsła *quotidiana tertiana ograszka,* że aż litość bierze patrzeć na niego. Moi najmilsi, chodźcie do niego.

Nym. Król wylał na rycerza swój cały zły humor, i stąd to wszystko poszło.

Pistol. Słusznieś powiedział, Nymie;
Serce złamane w nim i naprawione.

Nym. Król jest dobrym królem, ale tak być musi, jak się da; i on ma swoje humory i wybryki.

Pistol. Chodźmy żałować rycerza,
Bo my, jagnięta, żyć pragniemy dalej.

(Wychodzą).

SCENA II.

Southampton. Sala radna.

(Wchodzą Ekseter, Bedford i Westmoreland).

Bedford. Jak może zdrajcom ufać Jego Miłość!

Ekseter. Niebawem wszystkich aresztować każe.

Westmoreland. Jak oni gładcy, jak oni układni,
Jakgdyby wierność siedziała w ich piersiach,
W koronie stałej, szczerej lojalności.

Bedford. Król się dowiedział o ich planach drogą
Przejęcia listu, o czem nie marzyli.

Ekseter. Nie! żeby człowiek, co z nim razem sypiał,
Którego łaską przesycił królewską,
Mógł tak za cudze zaprzedać pieniądze
Zdradzie i śmierci życie swego władcy!

(Odgłos trąb. Wchodzą król Henryk, Skrup, Kembrydż, Grey, lordowie i świta).

Król Henryk. Wiatry ucichły, więc dalej na pokład.
Dobry mój lordzie Masham, lordzie Kembrydż,
I ty, szlachetny rycerzu — poradźcie:
Jak wam się zdaje — czyż te siły nasze
Drogę przez Francyę wykarczują sobie,
Aby dokonać dzieła, dla którego
Myśmy je w armię połączyli razem.

Skrup. Tak, jeśli każdy spełni, co potrzeba.

Król Henryk. O tem nie wątpij: mamy przekonanie,
Że stąd żadnego nie bierzemy serca,
Coby nie żyło w pięknej zgodzie z naszem,
I że żadnego tu nie zostawiamy,
Coby zwycięstwa nie pragnęło dla nas.

Kembrydż. Nie było władcy, coby większą wzbudzał
Miłość i bojaźń, niźli Wasz majestat.
Niema poddanych, coby z niepokojem
I troską w cieniu Twych rządów siedzieli.

Grey. Nawet Waszego ojca dawne wrogi,
Żółć umaczawszy w miodzie, dziś wam służą
Sercem z wierności gliny i zapału.

Król Henryk. Mamy więc powód wielki być wdzięcznymi;
Prędzej zapomni dłoń ta swojej służby,
Niż wypłacenia się za wsze zasługi,
Do ich waloru stosownie i wagi.

Skrup. Stalowe ścięgna wytęży powinność,
A trud nadzieją będzie się orzeźwiał,
Waszej Miłości służąc bez przestanku.

Król Henryk. I my tak sądzim. Stryju Ekseterze,
Wypuść człowieka, zamkniętego wczoraj
Za obelżywe przeciw nam wyrazy,
To zbytek wina popchnął go do tego.
Rozważyliśmy to i wybaczamy.

Skrup. Wielce łaskawie, lecz zbyt dufająco:
Każcie go, władco, ukarać, by przykład
Tej łagodności win nie spłodził nowych.

Król Henryk. O nie! pozwólcie być nam miłosiernym.

Kembrydż. Będzie nim Wasza Wysokość, choć karząc.

Grey. Wielki to będzie dowód miłosierdzia,
Darować życie, wprzód go ukarawszy.

Król Henryk. Ach! wasza miłość i troskliwość o mnie
To ciężkie prośby przeciw nędzarzowi!
Jeśli na winę, z opilstwa idącą,
Ócz nie mam zmrużyć, to jakżeż szeroko
Mam je otworzyć, jeśli główna zbrodnia,
Żuta, połknięta i strawiona dobrze,
Stanie przed nami... Wypuśćcie człowieka,
Chociaż Skrup, Kembrydż i Grey w swojej trosce,
W swej o me życie pieczołowitości,
Chcą jego kary. Teraz do spraw Francyi:
Komuż to oddać mam pełnomocnictwo?
Kembrydż. Jedno mnie, książę.
Wasza Wysokość kazała mi prosić.
Skrup. I mnie, mój władco.
Grey. I mnie, królewski mój panie.
Król Henryk. Ryszardzie hrabio Kembrydż, oto Wasze,
Tutaj są Wasze, lordzie Skrup z Mashamu,
A tu zaś Wasze, mój panie rycerzu,
Northumberlandzki Greyu. Przeczytajcie!
Znam Waszą wartość. Lordzie Westmorlandzie
I Ekseterze, mój stryju: tej nocy
Już odpływamy. Cóż to jest, panowie?
Cóż w tych papierach, żeście tak od razu
Stracili kolor! Patrzcie, co za zmiana!
Zbledli jak papier. Coście przeczytali?
Co was tak w tchórzów zmienia i wygania
Krew z waszej twarzy?
Kembrydż. Wyznaję mą winę.
Przed miłosierdziem Waszem się uginam.
Skrup. O które wszyscy błagamy.
Król Henryk. To miłosierdzie, co jeszcze przed chwilą
Żyło nam w piersi, zgniotły wasze rady.
O miłosierdzie chociażby dla wstydu
Nie powinniście już wołać, bo wasze
Słowa na wasze rzucają się piersi,
Jak psy, co swego poszarpały pana.
Spojrzcie, książęta i zacni lordowie,
Na te potwory angielskie! To Kembrydż! —
Wiecie, jak chętną była nasza miłość,
By go obsypać wszystkiem, co mu tylko
Mogło przysporzyć honoru. I on to
Za kilka nędznych grzywien uknuł spisek,
Sprzysiągł się razem z szachrajstwami Francyi,

By zamordować nas w Hampton. Z nim razem
I ten tu rycerz, nie mniej zobowiązan
Naszą dobrocią, niż Kembrydż, jest w spisku.
Ach! cóż powiedzieć, lordzie Skrup, o tobie,
Niewdzięczne, srogie, nieludzkie stworzenie!
Ty, coś miał klucze mych wszystkich zamiarów,
Coś moją duszę znał do dna samego,
Co byłbyś umiał przekować mnie w złoto,
Gdybyś był zyski pragnął ciągnąć ze mnie!
Czyż to być może, aby obcy pieniądz
Wykrzesał z ciebie choć iskierkę złości,
Iżby mnie sparzyć w palec? To tak dziwne,
Że, choć odbija prawda tak jaskrawo,
Jako na białem czarne, moje oko
Jeszcze jej dostrzedz nie może. Morderstwo
I zdrada zawsze trzymały się razem,
Jak dwóch szatanów w jarzmie, pod przysięgą
Ku naturalnym zmierzających celom
W sposób tak prosty, że podziw nad niemi
Nawet okrzyku nie wyda. Tyś za to
Sprawił, wbrew wszelkim rachubom, że śladem
Zdrady i mordu pośpiesza zdumienie.
Ale kimkolwiek był ten szatan chytry,
Co cię opętał z taką przewrotnością,
On sobie w piekle zdobył głos pierwszeństwa.
Bo inni czarci, poddający zdradę,
Z gałganków klecą szatę potępienia,
Łatają szychem, od zwodniczych blasków
Cnót pożyczonym. Ten zaś, który ciebie
Uwikłał w sieci i popchnął do zbrodni,
Nie dał ci innej przyczyny do zdrady,
Prócz tej, by w zdrajcy ubrać cię nazwisko.
Gdyby ten demon, co cię tak odurzył,
Lwim swoim krokiem świat przeszedłszy cały,
Do straszliwego wrócił znów Tartaru,
Do legionów rzekłby: żadnej duszy-m
Tak wnet nie zdobył, jak tego Anglika.
O! jak zawiścią swoją obryzgałeś
Słodycz ufności!... Ten się wiernym zdaje?
I ty nim byłeś! Poważnym, uczonym?
I ty nim byłeś! Ten z dobrego rodu?
I ty nim byłeś! Ten się zda pobożnym?
I ty nim byłeś! Ten mierny w jedzeniu,

Wolny od szału w radości i gniewie,
Stałego ducha, krwią nieoszołomion,
Przybran, przystrojon odzieżą skromności,
Ócz nie biorący za świadków bez ucha,
Nie ufający nikomu bez próby?
Takim i tyś się chytrze wydać umiał!
Dziś twój upadek zostawił tu plamę,
Co najzacniejszym, najzdolniejszym ludziom
Wyciśnie piętno podejrzenia. Płakać
Będę nad tobą, bo twój bunt zda mi się
Drugim upadkiem człowieka. Ich zbrodnia
Jawna: przed prawem niech odpowiadają,
A ich knowania niech im Bóg przebaczy!

Ekseter. Aresztuję cię za zdradę stanu,
Ryszardzie hrabio Kembrydż z nazwiska.
Aresztuję cię za zdradę stanu, Henryku
Lordzie Skrup z Masham z nazwiska.
Aresztuję cię za zdradę stanu, rycerzu
Northumberlandzki, Tomaszu Grey z nazwiska.

Skrup. Bóg sprawiedliwy odkrył nasze spiski,
I, niż śmierć moja, więcej zbrodnia boli:
Wasza Wysokość niech mi ją przebaczy,
Jakkolwiek za nią ciałem swem zapłacę.

Kembrydż. Co do mnie — pieniądz Francyi mnie nie [uwiódł,
Jakkolwiek dla mnie posłużył za bodziec,
Ażebym śpieszniej wykonał swój zamiar,
Lecz Bogu dzięki, że go ubieżono;
Cieszyć się z tego będę w mem nieszczęściu,
Prosząc, by Bóg mi przebaczył wraz z Wami.

Grey. Nigdy z odkrycia niebezpiecznej zdrady
Wierny poddany bardziej się nie cieszył,
Jak ja się cieszę nad sobą, że w czas mnie
Od wypełnienia zbrodni powstrzymano.
Nie ciału memu przebacz, lecz mej winie.

Król Henryk. Bóg niech przebaczy! Słuchajcie wyroku:
Przeciw waszemu knuliście królowi
Z naszym wyraźnym wrogiem, ze skrzyń jego
Wzięliście złoto, zadatek mej śmierci.
Na mord chcieliście sprzedać swego władcę,
Książąt i panów jego dać w niewolę,
Poddanych jego na łup i pogardę,
Na spustoszenie całe jego państwo.

Dla swej osoby nie pragniemy pomsty,
Lecz bezpieczeństwo naszego królestwa,
Które rozwalić usiłowaliście,
Tak nam jest drogie, że was w ręce prawa
Wydać musimy. Idźcie więc, wy biedni,
Nędzni grzesznicy, na śmierć! Cierpliwości
Niech wam udzieli Bóg, abyście mogli
Przenieść jej gorycz, niech wam skruchę wleje
Za wasze zbrodnie. — Wywiedźcie ich z sali!
(Spiskowcy wychodzą pod strażą).
Teraz, panowie, do Francyi! Wyprawa
Jednaką sławę wam i nam przyniesie.
Wojna ta będzie szczęśliwą, nie wątpim:
Gdy Bóg w swej łasce wywiódł tak na światło
Tę groźną zdradę, czyhającą na nas,
Aby w zarodzie zgnieść nasze zamiary,
Nie wątpim wcale, że na naszej drodze
Niema już grudy. Więc naprzód, ziomkowie!
Poruczmy siły swoje rękom Boga
I do wyprawy zbierzmy się natychmiast.
Dalej! na okręt! Tron Francyi zasiędę,
Albo i królem Anglii nie będę.

SCENA III.

Londyn. Dom oberżystki w dzielnicy Istczyp.

(Wchodzą Pistol, oberżystka, Nym, Bardolf i chłopak).

Oberżystka. Proszę cię, mój słodziutki mężusiu, pozwól mi się odprowadzić do Staines.

Pistol. Nie, bo me serce męskie dziś boleje!
Krzep się, Bardolfie! Nym! zbudź swą chełpliwość!
I ty, chłopaku, nastrzęp swą odwagę!
Falstaff nie żyje, więc nam boleć trzeba!

Bardolf. Chciałbym być z nim razem, gdziekolwiek się obraca, w niebie czy w piekle!

Oberżystka. Nie, z pewnością, on nie jest w piekle; on jest na łonie Artura. Taki miał piękny koniec, tak uszedł stąd, jak dziecko co dopiero ochrzczone; opuścił nas akurat pomiędzy dwunastą a pierwszą, właśnie gdy morze zaczynało opadać; gdym go tak widziała zwijającego prześcieradło naokoło siebie, bawiącego

się kwiatami i uśmiechającego się do kończyn swych palców, wiedziałam od razu, że już się od nas zabiera; bo nos jego zaostrzył się jak pióro, a on majaczył o zielonych łąkach. »Jakżeż ci, sir Dżonie?« — mówię.— »Człowieku! nabierz otuchy!« Więc on zawołał: »Boże! Boże! Boże!« trzy albo cztery razy; pocieszałam go, powiedziałam mu, aby nie myślał o Bogu; miałam nadzieję, że nie było mu jeszcze potrzeba trapić się podobnemi myślami. Więc on mnie poprosił, ażeby mu więcej kołder położyć na nogi; włożyłam rękę do łóżka, pomacałam je, a one były zimne jak kamień, potem pomacałam kolana, i tak coraz wyżej, coraz wyżej, i wszystko było zimne jak kamień.

Nym. Powiadają, że krzyczał coś o winie.

Oberżystka. A jakże, krzyczał.

Bardolf. I o kobietach.

Oberżystka. Co to, to nie.

Chłopak. Tak jest, krzyczał; powiedział, że to wcielone dyabły.

Oberżystka. Nie mógł nigdy znieść cielistego koloru; to kolor, którego nie lubił.

Chłopak. Powiedział jednego razu, że jeżeli go dyabeł porwie, to z powodu kobiet.

Oberżystka. W niejaki sposób to i on miał do czynienia z kobietami, to prawda; ale wtenczas był reumatyczny i gadał o wszetecznicy babilońskiej.

Chłopak. Nie przypominacie sobie, jak pewnego razu zobaczył pchłę na nosie Bardolfa? powiedział wtedy, że to czarna dusza, w piekle gorejąca.

Bardolf. Dobrze! wypaliło się już drzewo, które podsycało ten ogień. I to są wszystkie te bogactwa, którem zdobył w jego służbie.

Nym. Czy ruszamy już w drogę? Król już zapewne z Southampton odpłynął.

Pistol. A więc ruszajmy! Ma luba! daj gęby!
Nieruchomości strzeż i ruchomości;
Kieruj się sensem; »pij a płać!« tak mawiaj,
Nie wierz nikomu;
Plewą przysięgi, a opłatkiem wiara;
»Łapaj« to pies jest najlepszy, mój skarbie!
Niech więc *caveto* twym doradcą będzie!
Idź! swe kryształy rozjaśń! my do Francyi,

O towarzysze! jak końskie pijawki
Ssać krew, chłopacy! ssać krew! ssać uczciwie!

Chłopak. Ale to, mówią, pożywienie niezdrowe.

Pistol. Ust się jej lubych dotknijcie i w drogę!
(Całuje ją).

Bardolf. Bądźże zdrowa, gosposiu!

Nym. Nie mogę całować! to cały humor w tem wszystkiem. Ale — adju!

Pistol. Gospodarz, dobrze pilnuj się — ja-ć każę!

Oberżystka. Bądźcie zdrowi! adju!
(Wychodzą).

SCENA IV.

Francya. Sala w pałacu króla Francyi.

(Wchodzi król Francyi ze świtą; Delfin, książę Burgundzki, konetabl i inni).

Król Francyi. Anglik więc ciągnie na nas z całą siłą;
Toż nadewszystko jedyną mą troską,
Aby mu czoło po królewsku stawić.
Stąd też, książęta Berry i Bretanii
I Orleanu i Brabantu, śpieszcie —
I wy, Delfinie — śpieszcie jak najprędzej
Wojenne nasze zaopatrzyć grody
W mężne załogi i środki obronne:
Albowiem Anglia bije k'nam tak wściekle,
Jak owa fala, prądem wirów ssana:
Dlatego trzeba zachować ostrożność,
Jak uczy trwoga, którą ongi spłodził
Przykład na naszych zostawiony polach
Przez tych nieszczęsnych, niewczesnych Anglików.

Delfin. Dostojny ojcze! Słuszna, by się zbroić
Przeciwko wrogom, nie powinno bowiem
Królestwo nazbyć ociężeć pokojem,
(Choćby nie było tu mowy o wojnie
I o widocznej zaczepce): wciąż trzeba
Twierdze, zaciągi, oraz pogotowia
Umacniać, zbierać, mieć na zawołanie,
Jakgdyby wojna czekała u progu.
Dlatego, mówię, dobrze, że pójdziemy
Obejrzeć chore, słabe części Francyi:

Tylko bez trwogi najmniejszych pozorów —
Idźmy, jakbyśmy słyszeli, że Anglia
Pośpieszy w Świątki na taniec murzyński.
Dziś ona bowiem tak pusto rządzona,
Tak fantastycznie trzyma dziś jej berło
Szalony wietrznik, roztrzepany młodzik,
Że trwoga za nią nie idzie.

Konetabl. O cicho,
Książę Delfinie! nazbyt się mylicie
W osobie króla. Spytajcie się posłów,
Z jaką godnością wysłuchał ich mowy,
Jakich szlachetnych ma wokół doradców,
Jak w odpowiedzi skromny, a zarazem
Jakże straszliwy w swojej stanowczości —
Ujrzycie wtedy, że jego pustota
Była zewnętrzną postacią Brutusa,
Mądrość w błazeński płaszcz otulającą,
Jak gnojem kryje ogrodnik korzonki,
By wprzód puściły delikatne kiełki.

Delfin. O nie! tak nie jest, panie Konetablu,
Ale przypuśćmy — szkodzić to nie może:
W razach obrony zawsze lepiej wrogów
Mieć za silniejszych, niźli się wydają,
Aby obrony miara pełną była,
Która, zbyt skąpo przycięta, gotowa
Zepsuć płaszcz cały, jak sknera, na sukna
Oszczędzający kawałku.

Król Francyi. Uwierzmy
W króla Henryka siłę i dlatego
Trza przeciw niemu silnie się uzbroić.
Ród jego naszem już się karmił ciałem;
I on z krwawego pochodzi plemienia,
Co nas ścigało śród pól naszych własnych,
A spadkiem tego zbyt pamiętna hańba,
Gdy bój fatalny stoczono pod Kresy,
Gdy wszystkie nasze książęta wpadali
W ręce czarnego imienia Edwarda,
Czarnego księcia Walii: jego górny
Ojciec, na górze stojący, owiany
Powietrzem, w blasków słonecznych koronie,
Patrzał tymczasem na swój bohaterski
Płód; uśmiechnięty spoglądał na niego,
Jak on tam dzieła natury kaleczył,

Jak tam rozbijał kształty, lat dwadzieścia
Przez Pana Boga lepione i ojców
Swoich francuskich. Zwycięskiego szczepu
Jest to latorośl; więc się też lękajmy
Jego przeznaczeń i wrodzonej mocy.
(Wchodzi posłaniec).

Posłaniec. Posłowie króla Anglików, Henryka,
Waszą Królewską Mość o przystęp proszą.

Król Francyi. Dam im w tej chwili posłuchanie... Niechaj
Wejdą...
(Posłaniec i niektórzy panowie wychodzą).
Patrzajcie, łowy idą raźno.

Delfin. Stań i staw czoło! Psy bowiem tchórzliwe
Grają najgłośniej, widząc, że zwierzyna
Zmyka daleko przed nimi. Mój królu,
Anglików krótko odprawić, niech widzą,
Jakiej monarchii Wy jesteście głową.
Mniejszym jest grzechem, panie, miłość własna,
Niż zaniedbanie własne.
(Wchodzą panowie z Ekseterem i jego świtą).

Król Francyi. Od naszego
Brata Henryka Anglii?

Ekseter. Tak, od niego.
Waszą Królewską Mość pozdrawia oto
I w imię Boga Wszechmocnego wzywa,
Abyście zdjęli, byście precz rzucili
Tę pożyczoną glorye, darem niebios
Oraz natury i narodów prawem
Jemu i jego dziedzicom od dawna
Już przynależną — to znaczy, koronę,
A także wszystkie, rozliczne honory,
Związane z Francyi koroną. By donieść,
Że uroszczenia jego nie wykrętne
Ani kłamliwe, że nie wyciągnięte
Z robaczych dziurek dni dawno umarłych,
Ni wygrzebane z pyłu zapomnienia,
Śle wam ten wielce pamiętny rodowód,
(Podaje mu papier).
Każdą gałązką przekonywający.
Chciejcie się przyjrzeć tej genealogii,
A gdy ujrzycie, że on się wywodzi
Od sławnych przodków swych najsławniejszego,
Jakim był Edward Trzeci, tak korony

Zrzec się wam każe i państwa, prawemu,
Przyrodzonemu wziętych dziedzicowi.
Król Francyi. Lub co nastąpi?
Ekseter. Co? krwawy przymus. Choćbyście koronę
Skryli w swem sercu, on ją stamtąd wydrze.
Dlatego straszną zjawi się tu burzą,
Śród gromów, ziemi trzęsienia, jak Jowisz,
(Aby przymusić, gdy wezwanie płonne),
Na miłość Boga raz jeszcze Was wezwie,
Byście oddali koronę, dla biednych
Dusz mieli litość, po które już głodna
Rozwiera wojna swą paszczę straszliwą:
Na Waszą głowę zwali i łzy wdowie
I jęki sierot, strumień krwi poległych
I łkania dziewic — po mężach, po ojcach,
Po narzeczonych, których spór ten połknie.
To-ć jest żądanie jego, ta-ż jest prośba,
To-ć me poselstwo — chyba, że jest Delfin
Obecny tutaj, mam bowiem osobne
Dlań pozdrowienie.
Król Francyi. Co do nas, rozważym
Wszystko dokładnie i jutro będziecie
Mogli odpowiedź ponieść bratu Anglii.
Delfin. Co do Delfina — ja za niego stoję;
Cóż wy dlań macie od Anglii.
Ekseter. Pogardy,
Urągowiska, obelg — byle tylko
Wielkiemu panu, który je przysyła,
Były przystojne — mieni Was być godnym.
Tak mówi król mój: jeżeli Wysokość
Waszego ojca spełnieniem tych wszystkich
Żądań gorzkiego nie osłodzi żartu,
Który Królewskiej Mości przysłaliście,
Do takich on Was wezwie obrachunków,
Że wszystkie Francyi sklepienia i groty
Szydzić z Was będą i te drwinki Wasze
W echu dział jego przeciw Wam odwrócą.
Delfin. Jeśli przyjazną ojciec da odpowiedź,
To nie z mą wolą; albowiem niczego
Nie pragnę bardziej, jak zatargu z Anglią:
Stąd też, na pustą jego młodość bacząc,
Paryskie piłki w prezencie-m mu posłał.
Ekseter. Za to paryskim Luwrem piekło wstrząśnie,

Choćby Europy najpierwszym był dworem;
Ja zaś Wam ręczę: znajdziecie różnicę
(Jak to my, jego poddani, z niemałym
Zobaczyliśmy podziwem) pomiędzy
Owych lat jego młodych obietnicą,
A dniem dzisiejszym, którym tak mistrzowsko
Kierować umie; on dziś czas swój waży
Do ostatniego ziarnka, o czem Wasze
Rzekną Wam klęski, gdy on w Francyi stanie.
Król Francyi. Jutro poznacie dokładnie mój zamiar.
Ekseter. Puśćcie nas prędko, aby o tę zwłokę
Król nasz sam tutaj nie przyszedł się pytać:
Bo jego stopa już jest na tej ziemi.
Król Francyi. Co tchu Was puścim — z słusznymi wa-
[runki,
Bo czemże noc jest: tchem i małą chwilką,
Gdy o odpowiedź idzie takiej wagi.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

PROLOG.

Na wyobraźni skrzydłach niechaj leci
Ta nasza scena z niemniejszą szybkością
Od lotu myśli. Przypuśćcie, że króla
Już na hamptońskim widzieliście brzegu,
Jak w majestacie swym na okręt siadał,
I jego flotę, jedwabną banderą
Młode oblicze Teba wachlującą.
W swej rozigranej wyobraźni spojrzcie
Teraz na majtków, pnących się po linach,
Słuchajcie świstu gwizdawki, porządek
Wprowadzającej między pomieszane
Dźwięki; patrzajcie na te żagle lniane,
Jak je pełzliwy, niewidzialny wietrzyk
Wiedzie ze sobą, jak brózdami morza
Ciągną okręty, urągając falom.
Wystawcie sobie, żeście u wybrzeży
I że widzicie miasto, roztańczone
Na falujących bałwanach, albowiem

Tem się królewska wydawała flota,
Bieg swój ku Harfleur znacząc. Za nią! za nią!
Myśl swą przykujcie do steru okrętu,
Opuśćcie Anglię, jak północ milczącą,
Pod straż oddaną starców, dzieci, niewiast,
Z siłą uwiędłą albo nierozwitą;
Bo gdzież jest człowiek z kiełkującym ledwie
Włosem na brodzie, któryby nie poszedł
Wraz z tą wybraną drużyną do Francyi?
Skupcie swe myśli! patrzcie: oblężenie!
Spojrzcie! już działa na swoich lawetach
Ku Harfleur paszczą zwrócone nieszczęsną.
Przypuśćcie — poseł już z Francyi powrócił
Z wieścią, że córkę swoją, Katarzynę,
Król Henrykowi daje, a we wianie
Jakieś maleńkie, mizerne księstewka;
Że nieprzyjęta ofiara, a puszkarz
Lont już przykłada do armat dyabelskich,
(Alarm i huk dział).
Co wszystko walą. O bądźcie łaskawi —
Czego na scenie brak, niech myśl naprawi.

SCENA I.

Francya. Pod murami Harfleuru.

(Marsz. Wchodzą król Henryk, Ekseter, Bedford, Gloster, żołnierze z drabinami wojennemi).

Król Henryk. Raz do wyłomu jeszcze, przyjaciele,
Lub go zatkajcie trupami Anglików!
W pokoju nic tak miecza nie ozdabia,
Jak owa skromność cicha i pokora,
Lecz gdy wam w uszach zabrzmi surma wojny,
Wówczas tygrysy naśladować trzeba!
Wyprężcie żyły, wszystką krew przyzwijcie,
Zeszpećcie gniewem swą piękną naturę,
Źrenicom groźne nadajcie spojrzenie,
Niech wyzierają z strzelnic waszej głowy,
Jak śpiże armat. Niech je brew przysłoni
Tak przeraźliwie, jak grań poszarpana,
Wysterczająca nad swój trzon podmyty,
Który ocean, dziki, niezmierzony,

Smaga swą falą: zaciśnijcie zęby,
Nozdrza szeroko otwórzcie, wstrzymajcie
Oddech, a siły do ostatnich granic
Wytężcie! Naprzód! Naprzód, szlachto Anglii!
Krwią się żywiąca wojowniczych ojców,
Ojców, co, niby tłumy Aleksandrów,
Walcząc w tych ziemiach od świtu do nocy,
Miecze do pochwy z braku wroga kładli.
Czci własnych matek nie hańbcie! Dowiedźcie,
Że was spłodzili ci, których swoimi
Zwiecie ojcami! Ludziom krwi podlejszej
Stańcie się wzorem, uczcie ich wojować!
A wy, żołnierze, których kości były
Lepione w Anglii, pokażcie nam dzisiaj
Siłę jej karmi! sprawcie, bym mógł przysiądz,
Że wyście godni waszego plemienia,
O czem nie wątpię — bo niema tu człeka,
Coby szlachetnych nie miał żarów w oczach.
Każdy z was stoi niby chart na smyczy,
Gotów do gonu! Hej! już zwierz ruszony!
Pędźcie, gdzie męstwo was ciągnie! wołajcie:
Bóg za Henrykiem! Anglia! święty Jerzy!
(Wychodzą. Zamęt i wrzawa. Huk dział).

SCENA II.

Tamże.

(Wojsko przechodzi; na scenie zjawiają się Nym, Bardolf, Pistol i chłopiec).

Bardolf. Naprzód! naprzód! naprzód! naprzód! do wyłomu! do wyłomu!

Nym. Proszę cię, kapralu, poczekaj! Tam pukanina zbyt gorąca; a co się tyczy mnie, to mam tylko jedno życie, a nie więcej; w tem wszystkiem są zbyt piekące żarty, i to jest cała piosenka.

Pistol. Piosnka ma racyę, tam się żarty sypią;
Cios cios odbija; giną boże sługi:
Weź tarcz i miecz,
Łan krwawy siecz,
A wieczną uzyskasz sławę!

Chłopak. Wolałbym sobie teraz siedzieć w jakiejś piwiarni w Londynie! Całą swoją sławę oddałbym za kufel i za bezpieczeństwo.

Pistol. A ja:

Gdyby się na co mój zamiar zdał,
I jabym folgę swej chętce dał
I jabym pomknął tam!

Chłopak. Mniej uczciwie, lecz prawdziwie
Jak ptak, co śpiewa w lesie.

(Wchodzi Fluellen).

Fluellen. Na krew Pana Boga! do wyłomu, łajdoki! nie pódziecie wy już roz do wyłomu?!

(Pędzi ich naprzód).

Pistol. Dla ludzi z gliny, litości, o książę!
Miarkuj swą wściekłość, miarkuj męską wściekłość,
Miarkuj ją, wielki książę!
Bez tej wściekłości! łagodnie, mój kurczaczku!

Nym. Humory tu dobre... Ale ten wasz honor gotów was złych nabawić humorów.

(Wychodzą Nym, Pistol i Bardolf, za nimi Fluellen).

Chłopak. Młody jestem, alem się poznał na tych trzech chwalbiszach. Jestem na posługach wszystkich trzech, ale wszyscy trzej, gdyby mnie służyć chcieli, nie stanowiliby jeszcze człowieka dla mnie; bo, co prawda, trzech takich błaznów razem nie złożyłoby człowieka. Taki Bardolf białą ma wątrobę, a czerwoną gębę; sierdzisto on z powodu tego wygląda, ale bić się nie umie. Taki Pistol morderczy ma język, ale potulną szablę, tnie on wskutek tego słowami, ale broni daje spokój. Co się zaś tyczy Nyma, to słyszał on, że ludzie, którzy mało mówią, najlepszymi są ludźmi, i dlatego wstydzi się odmawiać pacierz, aby nie sądzono o nim, że tchórz; ale z niewielu jego złemi słowy niewiele idzie dobrych uczynków w parze; nie rozbił on bowiem głowy nikomu, chyba sobie samemu i to o słupiec — po pijanemu. Kradną, co tylko się da i to nazywają — kupnem. Bardolf skradł pudło od lutni, nosił je ze sobą dwanaście godzin i potem sprzedał za trzy grosze. Nym i Bardolf, to przysięgli bracia w wędzeniu; w Calais ukradli do spółki łopatę do węgli; poznałem ja zaraz po tem bohaterstwie, że powinni węgle rozwozić. Chcą oni, żebym i ja się tak spoufalił z kieszeniami ludzi, jak ich rękawiczki lub chusteczki do nosa; sprzeciwiałoby to się mojej męskości, ażebym z cudzej kieszeni miał coś wyciągać i potem chować do swojej; byłoby to oczywiście chowaniem cudzej krzywdy. Muszę ich opuścić i poszukać sobie lepszej służby; ich łotrostwa nie strawi słaby mój żołądek i dlatego muszę je odrzucić. *(Wychodzi).*

(Fluellen powraca, za nim idzie Gower).

Gower. Kapitanie Fluellen, musicie natychmiast pójść do podkopów; książę Gloster chce mówić z Wami.

Fluellen. Do podkopów! powidzcie księciu, że to nie jest dobrze chodzić do podkopów, bo, uwożojcie ino, podkopy wcale nie są według reguły sztuki wojenny; ich głębokość nie wystorczo; bo, uwożocie, nieprzyjociel (możecie to powiedzieć księciu, uwożocie) podkopał się śtyry łokcie przeciwpodkopamy; na Jezusa, jo myśle, że wszystko wysadzi w powietrze, jeżeli nie będzie lepszy dyrekcyi.

Gower. Księciem Glosterem, który stoi na czele oblężenia, dyryguje pewien Irlandczyk, waleczny naprawdę szlachcic.

Fluellen. Kapiton Makmorys, czy nie?

Gower. Tak jest.

Fluellen. Na Jezusa, to osieł, jakigo drugigo nima na świecie; powtórze mu to w żywe oczy; nie zno on się lepi na sztuce wojenny, uwożocie, na sztuce rzymski, od małego szczenięcio.

(Zdaleka zbliża się Makmorris i Jamy).

Gower. Idzie ku nam, a z nim razem szkocki kapitan, kapitan Dżemy.

Fluellen. Kapitan Dżemy jest zadziwiająco waleczny szlachcic, to z pewnościom; obrotny jest i obeznany z starożytnemy wojnamy, a zwłoszcza według moi szczególny wiadomości w ich derekcyjach; na Jezusa, potrafi on, jak żoden inny żołnirz na świecie, bronić swoich argumentów niby co do starożytny sztuki wojenny u Rzymian.

Jamy. Dzień dobry, kapitanie Fluellen.

Fluellen. Dobry wieczór Waszy Dostojności, kapitanie Dżemy.

Gower. Cóż nowego, kapitanie Makmorris? Opuściliście podkopy? czy pionierzy odstąpili od roboty?

Makmorris. Dy na Chrysztusza! źle się ształo; odsztąpili od roboty, szurma dała znak do odwrotu. Przysięgam

na moją prawicę i na duszę mojego ojca, źle się ształo, że odstąpili od roboty: byłbym był miaszto wyszadził w powietrze — tak mnie żbaw Chryszte, ale w jednej godzinie; o źle się ształo, źle się ształo! na moją prawicę, źle się ształo!

Fluellen. Kapitanie Makmorys, prosze wos bardzo, abyście pozwolili, uwożocie, na małom dysputacyjke z Wamy, częściom względem i co się tyczy dyscypliny wojenny, dyscypliny rzymski, drogom argumentacyi, uwożocie, i przyjacielskigo porozumienio, częściom względem zadosyćuczynienio mojemu sądowi, a częściom dla zadosyćuczynienio, uwożocie, mojemu umysłowi, co się tyczy derekcyi dyscypliny wojenny: tako jest sprawa.

Jamy. To będzie bardzo dobrze, dobrzy moi obaj kapitanowie, i ja sobie takze pozwolę, jezeli będzie sposobność po temu; ucynię to.

Makmorris. Tu niema czaszu do dyszkuszyi, zbaw mnie tak, Chryszte, dzień jest gorączy — i pora i wojna i król i książęta; tu niema czaszu na dyszkuszye. Tam oblegają miaszto, a szurma woła nasz do wyłomu; a my gadamy a — na Chrysztusza! nic nie robimy; to wsztyd dla nasz wszystkich; tak mi Panie Boże dopomóż! wsztyd jest siedzieć cicho; to wsztyd, na moją prawiczę! Karki tam ścinać i robić, a tu się nicz nie robi, dy zbaw mnie tak Chryszte!

Jamy. Na msą świętą! nim te ocy w sen zapadną, dokonam ucciwej słuzby, połozę się w ziemi; tak! albo umrzeć pójdę; wypłacę się jak najwaleczniej, zapewniam was, ze to ucynię, i to jest wsystko, co mam do powiedzenia. W istocie, chętnie byłbym posłuchał dyskusyi pomiędzy wami dwoma.

Fluellen. Kapitanie Makmorys! jo myśle, uwożocie, z przeproszeniem, że niewielu jest w waszym norodzie...

Makmorris. W moim narodzie? Czóż to jest mój naród? łajdak? bękart? łotr? szubrawiec? Czo jest mój naród? Kto tu mówi o moim narodzie?

Fluellen. Uwożocie, żeli Wy, kapitanie Makmorys, przypodkiem inaczy zapatrujecie się na rzecz, aniżeli jo myślołem, to będę musioł wierzyć, że nie jesteście dlo mnie z takom uprzejmościom, jakom by Wom rozum nakazywoł względem mnie, uwożocie, będącego takim samym człowiekiem, jak i Wy, zarówno co się tyczy dyscypliny wojenny, jako tyż pochodzenio mojigo rodu i innych poszczególności.

Makmorris. Nie wiem tego, żebyście mieli być tak szamo dobrym człowiekiem, jak i ja: tak mnie żbaw Chryszte, że Wam głowę utnę.

Gower. Panowie! nie rozumiecie się wzajem.

Jamy. O! to paskudna omyłka!

(Słychać trąbkę parlamentarską).

Gower. Miasto daje znak, że chce parlamentować.

Fluellen. Kapitanie Makmorys; żeli się zdarzy lepszo sposobność, uwożocie, to bede mioł śmiałość powiedzieć Wom, że na dyscyplinie wojenny lepi się znom od Wos, i na tem koniec.

(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. U bram Harfleuru.

(Komendant i kilku obywateli na murach; pod nimi wojska angielskie. Wchodzą król Henryk i jego świta).

Król Henryk. I cóż komendant miasta postanowił?
Jest to ostatnie już układów słowo:
Na naszą łaskę zdajcie się najlepszą,
Lub do najgorszych wyzwijcie nas czynów,
Jak ludzie, dumni z swych gruzów. Albowiem —
Tak, jakem żołnierz (a imię to, mniemam,
Najbardziej dziś mi przystoi) — jeżeli
Rozpocznę znowu ostrzeliwać miasto,
Wpółzburzonego Harfleur nie odstąpię,
Ale je całe w zwaliskach pogrzebię,
Bramice łaski swojej zamknę wszystkie;
Zażarty żołnierz — surowego serca —
Niech ma swobodę zakrwawionej ręki,
Niech sobie hula z sumieniem, szerokiem
Jak toń piekielna, niech kosi, jak trawę,
Świeże dziewice i dzieci kwitnące.
Cóż mnie obchodzi, że bezbożna wojna,
Zdobna w płomienie, jak szatanów książę,
Pójdzie, zbroczona, niszczyć i plądrować?
Co mnie obchodzi, jeśli z waszej winy
Czyste dziewice wasze wpadną w ręce

Rozgorzałego, niezłomnego gwałtu?
Jakiż to cugiel okiełza rozpustę
Na spadzistościach jej dzikiego pędu?
Również bezsilne są nasze rozkazy
Rozjuszonemu rabunkiem żołnierstwu,
Jak nakaz dany Lewiatanowi,
By na ląd wyszedł. Więc, mężowie z Harfleur,
Miejcie nad miastem litość i nad ludem,
Póki mój żołnierz pod moim rozkazem,
Póki łagodny, świeży wiatr mej łaski
Rozpędza wstrętne, zaraźliwe chmury
Straszliwych mordów, rabunku, łotrostwa,
Lub też za chwilę ujrzycie, jak ślepy,
Skrwawiony żołnierz brudną będzie ręką
Waszych krzyczących córek plamił włosy,
Za siwe brody ciągnął waszych ojców,
Święte ich głowy rozbijał o mury,
Nagie dziecięta natykał na dzidy,
Gdy matki rozdzierającymi jęki
Przeszywać będą obłoki, jak ongi
Niewiasty Żydów za czasów morderczej
Gonitwy katów Heroda! Cóż na to?
Chcecie się zgodzić i klęskę ominąć,
Czy też w daremnym swym oporze zginąć?

Komendant. Oczekiwania nasze dziś się kończą.
Delfin, proszony przez nas o posiłki,
Odrzekł, że nie ma jeszcze sił gotowych,
By przyjść z odsieczą. Więc też, groźny królu,
Miasta i życie oddajem Twej łasce.
Wejdź w nasze bramy, rozporządzaj nami,
Bo nie zdołamy opierać się dłużej.

Król Henryk. Otwórzcie bramy! Stryju Ekseterze!
Idź, obsadź Harfleur; zostaw tam załogę,
Obwaruj miasto przeciwko Francuzom,
A bądź litościw dla wszystkich. My, stryju,
Że idzie zima i że wojsko nasze
Trapią choroby, powrócim do Calais;
Dziś przez noc w Harfleur w gościnie u ciebie,
A jutro w drogę, skoro świt na niebie.

(Odgłos trąb. Król i świta wkraczają do miasta).

SCENA IV.

Komnata w zamku królewskim w Rouen.

(Wchodzi Katarzyna i Alicya).

Katarzyna. Byłaś w Anglii, Alicyo, i dobrze znasz język angielski.

Alicya. Nieco, łaskawa pani.

Katarzyna. Proszę cię, poucz mnie; muszę się koniecznie nauczyć po angielsku. Jak się nazywa ręka po angielsku?

Alicya. Ręka? Nazywa się *de hand.*

Katarzyna. *De hand.* A palce?

Alicya. Palce? Naprawdę! zapomniałam; ale sobie przypomnę. Palce? zdaje mi się, że się nazywają *de fingres;* tak, *de fingres.*

Katarzyna. Ręka *de hand,* palce *de fingres;* zdaje mi się, że jestem pojętną uczennicą. Nauczyłam się dwóch wyrazów angielskich bardzo prędko. A jak się nazywają paznokcie?

Alicya. Paznokcie? Paznokcie nazywają się *de nails.*

Katarzyna. *De nails.* Słuchaj, powiedz mi, czy dobrze mówię: *de hand, de fingres, de nails.*

Alicya. Dobrze, łaskawa pani; to bardzo dobra angielszczyzna.

Katarzyna. Powiedz mi »ramię« po angielsku.

Alicya. *De arm,* łaskawa pani.

Katarzyna. A łokieć?

Alicya. *De elbow.*

Katarzyna. *De elbow.* Powtórzę sobie wszystkie wyrazy, których mnie co dopiero wyuczyłaś.

Alicya. Zdaje mi się, łaskawa pani, że to bardzo trudno.

Katarzyna. Przepraszam cię, Alicyo; słuchaj: *de hand, de fingres, de nails, de arm, de bilbow.*

Alicya. *De elbow,* łaskawa pani.

Katarzyna. O mój Boże! zapomniałam; *de elbow.* A jak się nazywa szyja?

Alicya. *De nick,* łaskawa pani.

Katarzyna. *De nick;* a broda?

Alicya. *De chin.*

Katarzyna. *De sin.*

Alicya. Tak, na honor! wymawiasz pani wyrazy tak poprawnie, jak rodowici Anglicy.

Katarzyna. Nie wątpię, że się z pomocą Bożą nauczę, ale potrzeba trochę czasu.
Alicya. A czy łaskawa pani nie zapomniała tego, czego ją nauczyłam dotychczas?
Katarzyna. Nie; powtórzę ci natychmiast. *De hand, de fingres, de mails.*
Alicya. *De nails,* łaskawa pani.
Katarzyna. *De nails, de arme, de ilbow.*
Alicya. Z przeproszeniem, łaskawa pani: *de elbow.*
Katarzyna. Tak przecie powiedziałam: *de elbow, de nick, de sin;* jak się nazywają nogi i suknia?
Alicya. *De foot,* łaskawa pani, i *de coun.*
Katarzyna. *De foot et de coun?* O mój Boże, a też to wyrazy o brzmieniu brzydkiem, zepsutem, nieokrzesanem i bezwstydnem; wyrazy, których damy z towarzystwa nie powinny nigdy używać; nie użyłabym tych wyrazów przed panami francuskimi za nic w świecie. Pomimo to człowiek potrzebuje *de foot* i *de coun.* Jeszcze raz wyrecytuję swą lekcyę: *de hand, de fingres, de nails, de arm, de elbow, de nick, de sin, de foot et de coun.*
Alicya. Wybornie, łaskawa pani.
Katarzyna. Dosyć na jeden raz; chodźmy teraz na obiad.

SCENA V.

Inna komnata w pałacu.

(Wchodzą król Francyi, Delfin, książę Burboński, konetabl Francyi i inni).

Król Francyi. Że rzekę Sommę przeszedł, to jest pe-
[wnem.
Konetabl. Jeśli z nim zaraz walczyć nie będziemy,
To żyć przestańmy w Francyi, rzućmy wszystko,
Winnice nasze dajmy barbarzyńcom.
Delfin. *O Dieu vivant!* że tych kilka płonek,
Rozpusty ojców naszych marny pomiot,
Zrazy, wszczepione w zdziczałe odziemki,
Tak wystrzeliły naraz ku obłokom
Nad szczepicieli swych głowy?
Książę Burboński. Tak! Normanowie! bękarty Normanów!
Mort de ma vie! Jeżeli tak bez walki
Mają się wdzierać, sprzedam moje księstwo,

A kupię brudną, błotną folwarczynę
Na tej zębatej wyspie Albionu.
Konetabl. *Dieu de battailes!* Skąd w nich tyle żaru!
Klimat ich mglisty, surowy i ciężki!
Jakby na kpiny, słońce mdło tam patrzy,
Swą ponurością zabija ich płody!
Czyż gotowana ich woda, jęczmienny
Wywar, dla szkapin zjeżdżonych napitek,
Na męstwo tak im zimną krew przewarza,
A nasza, żywa, rozpalana winem,
Zimną się zdaje? Na cześć naszej ziemi,
Nie chciejmy wisieć u strzech naszych domów
Jak sople lodu, gdy zimniejszy naród
Poci się młodzi walecznej kroplami
Na naszych polach bogatych, ubogich
Jedynie tylko w swoich własnych panów.
Delfin. Na honor!
Wszak już z nas szydzą nasze damy, wręcz nam
Mówiąc, że wszystek w nas już ogień wystygł
I że swe ciała oddadzą na rozkosz
Angielskiej młodzi, ażeby bękarty
Wojowniczymi znów zaludnić Francyę.
Książę Burboński. Do szkoły tańców angielskiej iść każą,
By się w lawoltach i kurantach ćwiczyć,
Mówiąc, że cnota nasza w piętach leży
I że prędkimi jesteśmy w drapaku.
Król Francyi. Gdzie herold Montjoy? Niech co rychlej
[śpieszy
Anglika ostrem pozdrowić wezwaniem.
Dalej! książęta! uzbrójcie się w honor,
Od waszych mieczy ostrzejszy, i w pole;
Szarl'u De-la-bret, Francyi Konetablu!
Książęta Burbon, Berry, Orleanie,
Alanson, Baru, Brabantu, Burgundyi,
Vaudemont, Ramburez, Chatillon Jakóbie,
Beaumont, Grandpré, Roussi i Fauconbergu,
Charolois, Bouciqualt, Lestrale, Foir;
Książęta, kniazie, baroni, rycerze!
Pomni lenn wielkich, zmyjcie z siebie plamy
Tej wielkiej hańby! Wstrzymajcie Henryka
Anglii, co kraj nasz zamiata Harfleuru
Krwią zbarwionymi proporczyki swymi!
Na jego wojska rzućcie się z potęgą

Roztopionego śniegu, do doliny
Spadającego, kiedy na jej nędzne,
Lenne dzierżawy Alpy swą wilgotną
Bryzgają pianą! Wszak sił macie dosyć,
Idźcie i króla na wozie więziennym,
Jako naszego jeńca, przyprowadźcie
Tutaj do Rouen!

Konetabl. Tak mąż wielki mówi!
Żal mi, że liczba jego tak znikoma,
A żołnierz chory, wygłodzony w marszach;
Gdy wojsko nasze ujrzy — jestem pewny —
Kałużą strachu wnet w nim serce spłynie,
I on, miast czynów, zechce dać nam okup.

Król Francyi. Więc, Konetablu, niech się Montjoy śpieszy,
Niech powie Anglii, że go posyłamy,
By się dowiedzieć, jaki chce dać okup.
Delfinie, w Rouen zostaniecie z nami.

Delfin. O nie! nie! Waszą Mość Królewską błagam.

Król Francyi. Bądźcie cierpliwym! zostaniecie z nami!
Naprzód, książęta! Niechaj nikt nie zwleka!
Król niecierpliwie klęski Anglii czeka.

(Wychodzą).

SCENA VI.

Obóz angielski w Pikardyi.

(Wchodzą Gower i Fluellen).

Gower. Cóż tam nowego, kapitanie Fluellen? wracacie od mostu?

Fluellen. Zapewniom Wos, że przy moście służba idzie znakomicie.

Gower. Książę Ekseter bezpieczny?

Fluellen. Książę Ekseter tak jest wspaniałomyślny jak Agamemnon; jest to człowiek, którego jo kochom i szanuje z duszy i ze serca i z życio i z obowiązku i ze wszystkich moich sił; jest on — Panu Bogu dzięki i chwała — nietknięty wcale na świecie, ino walecznie broni mostu i z doskonałom dyscyplinom. Jest tam także przy moście chorąży — myśle sobie nojsumienni — tak waleczny, jak som Marek Antoniusz; a jest to człowiek nie mający żodnygo poszanowanio

na świecie, ale jo go widziołem, jak spełnioł walecznie służbę.

Gower. Jak on się tam nazywa?

Fluellen. Nazywo się — chorąży Pistol.

Gower. Nie znam go.

(Wchodzi Pistol).

Fluellen. Nie znocie go? Idzie tu do nos.

Pistol. Wyświadcz mi łaskę, proszę-ć, kapitanie;
Książę Ekseter wielce cię miłuje.

Fluellen. Tak — chwolić Boga; przeciem sobie tyż zasłużył na trochę miłowanio z rąk jego.

Pistol. Bardolf, waleczny i sierdzisty żołnierz,
Rączy i mężny, wskutek srogich losów,
Obrotnem kołem kapryśnej fortuny,
Ślepej bogini,
Na wirującym wciąż głazie stojącej.

Fluellen. Za pozwoleniem, chorąży Pistol. Malujom fortune ślepom, z przepaskom na oczach, ażeby wom pokozać, że fortuna jest ślepom; malujom także z kołem, ażeby wom pokozać, jaki z tego wyniko moroł, że ciągle się obroco, i jest niestałom, zmiennościom i niepewnościom; a noga ji, uwożocie, położono jest na kulistym kaminiu, który sie toczy i toczy i toczy; ażeby prowdę powiedzieć, to od poetów wyszło znakomite opisanie fortuny; fortuna, uwożocie, to znakomity moroł.

Pistol. Ale fortuna jest wrogiem Bardolfa:
Ukradł monstrancyę i ma wisieć za to,
Przeklęta śmierć!
Psu szubienica niech grozi, nie ludziom!
Konopny stryczek niech im grdyk nie ciśnie!
Ale Ekseter wydał wyrok śmierci
Za jakąś lichą monstrancyę.
Więc idź do księcia, on słów twych wysłucha,
Nie daj przecinać Bardolfa żywotnej
Nici postronkiem za pensa i hańbą;
Za jego życiem przemów, ja-ć zapłacę.

Fluellen. Chorąży Pistol, poniekąd rozumie, co mocie na myśli.

Pistol. Więc ciesz się z tego.

Fluellen. Zapewniom, chorąży! to wcale nie jest tako sprawa, żeby się z ni cieszyć; bo, uwożocie, gdyby on był moim bratem, to jo som prosiłbym księcia, aby postąpił z nim według swojigo upodobanio i wyko-

noł na nim egzekucyjom; bo na dyscypline uwożać trzeba.

Pistol. Giń, bądź przeklęty! figę za twą przyjaźń!

Fluellen. Dobrze.

Pistol. Hiszpańską figę.

(Pistol wychodzi).

Fluellen. Bardzo dobrze.

Gower. To konterfekt wierutnego łotra. Teraz go sobie przypominam: to rajfur, to rzezimieszek.

Fluellen. Zapewniom Wos, że powiedzioł przy moście takie waleczne słowa, jakie zaledwie w dzień uroczysty słyszeć możno. Ale to jest bardzo dobrze; co powiedzioł, to dobrze, zaręczom Wom, iżeli się sposobność nadarzy...

Gower. To oszust, to błazen, to łotr; od czasu do czasu włóczy się po wojnach dlatego jedynie, ażeby do Londynu wrócić niby jako żołnierz. Taki łajdak to Wam będzie wyliczał nazwiska wszystkich dowódców; nauczy on się Wam też na pamięć, gdzie jaką pełniono służbę: przy tym a tym szańcu, przy tym a tym wyłomie, przy tym a tym konwoju; kto waleczną wyszedł ręką, kogo zastrzelono, kto się zhańbił, jakie warunki stawiał nieprzyjaciel; a wszystko to wypowie Wam mową żołnierską, nastrzępioną wynalezionemi przez siebie przeklinaniami. A co może broda, strzyżona po jeneralsku, co może śród patrzących w kufle i piwem zalanych czupryn szorstki kubrak polowy, to aż dziwno pomyśleć. Ale powinniście nauczyć się rozpoznawać tych hańbicieli wieku, bo inaczej to mogą was przedziwnie wyprowadzić w pole.

Fluellen. Jo Wom coś powiem, kapitanie Gowerze; rozumie już, że on nie jest takim człowiekiem, za jakiego rodby uchodzić przed światem; żeli znojde dziure w jego kubraku, to mu powiem, co o nim myśle.

(Słychać bęben).

Słyszycie, król nadchodzi; musze z nim pogodać co do mostu.

(Wchodzi król Henryk, Gloster i wojsko).

Fluellen. Niech Waszom Królewskom Mość Pon Bóg błogosławi.

Król Henryk. I cóż tam słychać, Fluellen? idziesz od mostu?

Fluellen. Tak! Za pozwoleniem Waszy Królewski Mości. Książę Ekseter bardzo walecznie trzymoł sie na moście; Francuzy uciekli, uwożocie: wydarzenia były tam bardzo mściwe i waleczne. Przysięgom, nieprzyjociel mioł już most przez siebie zajęty; ale zmusili go do odwrotu, a książę Ekseter stoł się panem mostu; moge powiedzieć Waszy Królewski Mości: książę Ekseter to dzielny jest mąż.

Król Henryk. Co za ludzi straciliście, Fluellen?

Fluellen. Straty nieprzyjociela były bardzo wielkie, bardzo znacznie wielkie; prawdziwie, co do mnie, to myśle, że książe nie stracił żodnygo człowieka, prócz jednygo, na którym niejako spełniono egzekucyom za okradzenie kościoła, niejaki Bardolf, żeli Wasza Królewska Mość go zno: twarz jego, to same pęcherzyki, narośle, krosty i ogniste płomienie; wargi jego dmuchajom mu prosto w nos, a ten jest niby żarzący węgiel, czasem niebieski a czasem czerwony; ale na nosie jego spełniony już wyrok i przestoł już gorzeć.

Król Henryk. Pragniemy wszystkich takich zbrodniarzy wyplenić. Wydaliśmy też wyraźny rozkaz, ażeby na naszych marszach po kraju niczego gwałtem nie wymagano, niczego nie zabierano bez opłaty; aby nie znieważono żadnego Francuza, ani zelżywemi nie skrzywdzono słowy. Jeżeli bowiem łagodność i okrucieństwo o królestwo kości rzucają, to najłagodniejszy gracz najpewniej wygrywa.

(Słychać odgłos trąb. Wchodzi Montjoy).

Montjoy. Poznajecie mnie po stroju?

Król Henryk. Owszem, poznaję. Cóż mam od ciebie usłyszeć?

Montjoy. Wolę mojego pana.

Król Henryk. A więc ją wyraź.

Montjoy. Tak mówi król mój: Powiedz Henrykowi Angielskiemu, że, choć wydawaliśmy się umarłymi, myśmy trochę spali; powściągliwość lepszym jest żołnierzem od porywczości. Powiedz mu, żeśmy go mogli skarcić pod Harfleur, aleśmy nie uważali za właściwe zgnieść krzywdę, nim całkowicie dojrzeje: teraz my wypowiadamy swe hasło, a słowo nasze wszechwładne! Anglia niech żałuje swojego szaleństwa, niech uzna swą słabość a podziwia naszą cierpliwość. Każ mu więc, niech okup rozważy, który powinien być w stosunku do strat, jakieśmy ponieśli, do poddanych, których utraci-

liśmy, do zniewag, które wycierpieliśmy. Gdyby na wszystko odpowiadać na wagę, maluczkość jego ugięłaby się pod ciężarem. Na straty nasze skarb jego za ubogi; na przelaną krew naszą zaciąg jego kraju za nieliczny, a za doznane zniewagi byłaby jego własna osoba, klęcząca u stóp naszych, słabem tylko i niegodnem zadosyćuczynieniem. Do tego dodaj — wyzwanie; a w końcu powiedz mu, że zdradził swych towarzyszy, bo ich potępienie już zawyrokowane. Tyle król i pan mój; tyle mojego poselstwa.

Król Henryk. Jak się nazywasz? urząd twój mi znany.

Montjoy. Montjoy.

Król Henryk. Dobrześ wypełnił zlecenie. Powracaj,
Powiedz królowi, że nie chcę go szukać,
Lecz że wolałbym pociągnąć do Calais
Bez żadnych przeszkód; bo, chcąc mówić prawdę,
(Jakkolwiek źle jest wyznawać przed wrogiem,
Co chytrze wszystko wykorzystać może),
Że chorobami lud mój wycieńczony,
Liczba zmalała, a to, co posiadam,
Prawie tak złe jest, jak tyluż Francuzów,
Bo przy ich zdrowiu — mówię ci, heroldzie,
Po trzech Francuzów mogłoby spokojnie
Na dwóch angielskich maszerować nogach.
Przebacz mi, Boże, chełpliwość; to wasze
Tak mnie powietrze tym grzechem owiało,
Czego żałuję. Powiedz swemu panu
Że jestem tutaj, a moim okupem
Ten mój ułomny, mało warty kadłub.
Ma armia słabą i schorzałą strażą;
Lecz razem z Bogiem — powiedz mu — przyjdziemy,
Choć cała Francya zagrodzi nam drogę
I taki drugi sąsiad. Masz za trudy!
Idź, powiedz panu, niech się sam namyśli:
Da wolne przejście — dobrze! chce przeszkodzić —
To zabarwimy waszą krwią czerwoną
Tę waszą glebę żółtawą. A zatem
Żegnaj, Montjoy'u. Suma odpowiedzi
Naszej jest taka: Tak, jak tu jesteśmy,
Nie będziem szukać potrzeby, lecz również,
Tak, jak jesteśmy, unikać nie będziem.
Powiedz to panu swojemu.

Montjoy. Tak mu doniosę... Dank Twej Wysokości.
(Wychodzi).

Gloster. Myślę, że teraz nie uderzą na nas.

Król Henryk. Nie w ich, lecz w ręku Boga zostajemy.
Naprzód, do mostu! bo już noc nadchodzi.
Na tamtym brzegu rozłożymy obóz;
A o poranku każ iść dalej w drogę.

SCENA VII.

Obóz francuski pod Azincourt.

(Wchodzi konetabl Francyi, Rambures, książę Orleański, Delfin i inni).

Konetabl. Ba! najlepszą mam zbroję w świecie. Chciałbym, żeby nareszcie był dzień.

Książę Orleański. Wyśmienitą posiadacie zbroję, ale oddajcie także sprawiedliwość mojemu koniowi.

Konetabl. Najlepszy to koń w Europie.

Książę Orleański. Nigdyż ten ranek nie zawita?

Delfin. Mości książę Orleański i godny mości panie Konetablu, mówicie o koniach i zbroi.

Książę Orleański. Posiadacie jedno i drugie w takim gatunku, jak rzadko który królewicz na świecie.

Delfin. Cóż to za długa noc? Konia mego nie mieniałbym na żadnego, co tylko na czterech stąpa nogach. Ha! ha! Skacze tak od ziemi, jakgdyby był wypchany włosami; *le cheval volant,* pegaz, *qui a les narines de feu.* Gdy na nim jadę, to lecę, to jestem jak sokół i kłusuję po powietrzu; ziemia dzwoni pod jego dotknięciem, ostatni róg jego kopyta dźwięczniejszy jest od piszczałki Hermesa.

Książę Orleański. Maść ma gałki muszkatowej.

Delfin. A ogień imbiru. Dla Perseusza to zwierzę; cały z powietrza i ognia, a ciężkie żywioły ziemi i wody nigdy się w nim nie objawiają, chyba w cierpliwej spokojności, gdy go jeździec dosiada; koń to całą gębą; wszystko inne to — szkapy.

Konetabl. W istocie, panie, jest to koń najdoskonalszy i najwyśmienitszy.

Delfin. To książę biegunów; jego rżenie jest jako rozkaz monarchy, a postać jego hołd nakazuje.

Książę Orleański. Dość tego, kuzynie.
Delfin. O, nie ma ten człowiek dowcipu, który od chwili wzlotu skowronka aż do zamknięcia jagniątka nie umie zmieniać się w pochwałach na cześć mojego bieguna; jest to temat tak rozlewny, jak morze; piasek na wymowne przemienia języki, o! koń mój dostarczy wszystkim przedmiotu; jest to przedmiot, godny, by o nim suzeren mówił i aby cały świat (znany nam i nie znany) zawiesił wszystkie swoje zatrudnienia i go podziwiał. Napisałem pewnego razu sonet na jego cześć, rozpoczynający się od słów: »O cudzie przyrody«.
Książę Orleański. Słyszałem taki sam początek sonetu, napisanego na cześć kochanki.
Delfin. W takim razie naśladował ktoś sonet, napisany przeze mnie na cześć mojego bieguna; mój koń jest moją kochanką.
Książę Orleański. Kochanka Wasza dobrze niesie.
Delfin. Przynajmniej mnie, a to jest skończoną pochwałą i doskonałością dobrej i osobliwej kochanki.
Konetabl. *Ma foy!* Zdaje mi się, że pewnego razu kochanka Wasza porządnie Wam natrzęsła grzbietu.
Delfin. I Wasza uczyniła może to samo.
Konetabl. Moja nie była okiełzaną.
Delfin. O! więc była może starą i łagodnego usposobienia, a wyście jechali na niej, jak chłop irlandzki, bez francuskich szarawarów a tylko w gatkach.
Konetabl. Znacie się, widzę, na ujeżdżaniu.
Delfin. Posłuchajcie mojego napomnienia: kto tak jeździ, a nie jeździ ostrożnie, wpada w paskudne błoto; wolę mieć konia mego za kochankę.
Konetabl. Życzyłbym sobie, aby i moja kochanka była szkapą.
Delfin. Powiadam ci, Konetablu, moja kochanka nosi własne swoje włosy.
Konetabl. Mógłbym pochlubić się tem samem, gdybym maciorę miał za kochankę.
Delfin. *Le chien est retourné à son propre bornissement et la truie lavée au bourbier;* używacie czegobądź.
Konetabl. Nie używam jednak konia jako kochanki, ani też przysłowia, które nie należy do rzeczy.
Rambures. Panie Konetablu, zbroja, którą widziałem u Was tej nocy — czy to słońce czy gwiazdy na niej?
Konetabl. Gwiazdy, panie.

Delfin. Mam nadzieję, że niektóre z nich padną rano.
Konetabl. A jeszcze ich na mojem niebie nie zabraknie.
Delfin. Być może, bo macie ich do zbytku; byłby większy honor ująć ich trochę.
Konetabl. Tak samo jak pochwał, których koń wasz dźwiga za wiele. Kłusowałby tak samo, gdybyście kilka tych przechwałek zsadzili.
Delfin. Gdybym ja to umiał obładować go wszystkiemi należnemi mu pochwałami. Nigdyż dzień nie będzie? Milę jutro kłusuję, a droga moja brukowaną będzie twarzami Anglików.
Konetabl. Ja tego nie powiem, bo się boję, aby się za mną na drodze nie pokrzywiano; ale i ja chciałbym, ażeby już nareszcie było rano, abym mógł Anglików pogłaskać po uszach.
Delfin. Któż się odważy zagrać ze mną o dwudziestu jeńców angielskich?
Konetabl. Sam pokazać musicie odwagę, zanim ich zdobędziecie.
Delfin. Północ; pójdę wziąć zbroję na siebie.
(Wychodzi).
Książę Orleański. Delfin nie może się doczekać rana.
Rambures. Nie może się doczekać zjedzenia Anglików.
Konetabl. Myślę też, że zje wszystkich, których ubije.
Książę Orleański. Na białą rękę mej damy, waleczny to książę.
Konetabl. Przysięgnijcie raczej na jej nogę, aby mogła zadeptać przysięgę.
Książę Orleański. Po prostu mówiąc, to najczynniejszy pan we Francyi.
Konetabl. Jeśli czynnością jest zaczynanie; on ciągle zaczyna.
Książę Orleański. Nikomu nic złego nie uczynił, o ile słyszałem.
Konetabl. I jutro nikomu nic złego nie uczyni; dobrą tę sławę zachowa zawsze.
Książę Orleański. Wiem, że waleczny.
Konetabl. Powiedział mi to ktoś, który go lepiej zna, niż Wy.
Książę Orleański. Któż to taki?
Konetabl. Naturalnie, on sam to powiedział, dodając do tego, że mało się troszczy o to, czy kto o tem wie, lub nie.

Książę Orleański. Nie potrzebuje się troszczyć; nie skryta to w nim cnota.

Konetabl. A przecież tak jest; nikt jej u niego nie widział, prócz jego lokaja: zakapturzone to męstwo; gdy je odsłonisz, ulatuje.

Książę Orleański. Złe oko wszędzie złe widzi.

Konetabl. Przysłowie biję przysłowiem: kto kogo miłuje, wad jego nie czuje.

Książę Orleański. A ja na to powiadam: I dyabłu oddaj co dyabelskiego,

Konetabl. Dobrze powiedziane; przyjaciel Wasz stoi tu za dyabła; ażeby jednak trafić w sedno, powiadam: figa dyabłu.

Książę Orleański. Mocniejszy jesteście w przysłowiach ode mnie — nic dziwnego: głupi prędko strzela.

Konetabl. Przenieśliście.

Książę Orleański. Nie pierwszy to raz poszedł ktoś górą nad Wami. *(Wchodzi posłaniec).*

Posłaniec. Wysoki Konetablu, Anglicy rozłożyli się obozem o tysiąc pięćset kroków od Waszego namiotu.

Konetabl. Któż odmierzył teren?

Posłaniec. Grandpré!

Konetabl. Pan to waleczny i doświadczony. — Oby nareszcie był dzień. Ach! biedny Henryku Angielski! On z pewnością nie tęskni tak do poranku, jak my!

Książę Orleański. Co to za biedny tuman ten król angielski, żeby z swymi głupimi towarzyszami tak wbrew wszelkiemu rozsądkowi zaplątać się w matnię!

Konetabl. Gdyby Anglicy posiadali choć krztę rozumu, toby powinni uciec.

Książę Orleański. Tego im właśnie brak; gdyby ich głowy uzbrojone były w jaki taki rozum, nie nosiliby nigdy tak ciężkich przyłbic.

Rambures. Ta wyspa angielska waleczne płodzi kreatury; ich brytany niezrównaną posiadają odwagę.

Książę Orleański. Głupie kundle! na oślep lecą w paszczę rosyjskiego niedźwiedzia, dają sobie miażdżyć czaszki, jak zgniłe jabłka. Moglibyście tak samo powiedzieć, że waleczną jest i pchła, która się waży śniadać na wardze lwa.

Konetabl. Słusznie, słusznie; ludzie ci sympatyzują z brytanami co do siły i brutalności ataku, pozostawiwszy swój dowcip przy kobietach; dajcie im olbrzymią porcyę wołowiny, żelaza i stali, a będą żarli jak wilki a bili się jak dyabły.

Książę Orleański. Tak! ale wołowina Anglikom okrutnie już wyszła.

Konetabl. W takim razie zobaczymy jutro, że mają tylko apetyt na jedzenie, ale nie do boju. Ale czas przywdziać zbroję — czy nie? chodźmy.

Książę Orleański. Godzina druga; nim dziesiąta będzie,
Każdy angielskich stu jeńców posiędzie.
(Wychodzą).

AKT CZWARTY.

PROLOG.

Teraz wystawcie sobie taką chwilę,
Gdzie szept pełzliwy i mrok przenikliwy
Wypełnia świata olbrzymie sklepiska.
Pomiędzy jednym obozem a drugim
Swar wojsk obydwóch tak cicho rozbrzmiewa,
Że straże jednych snadź pochwycić mogą
Hasła, szeptane przez patrole drugich:
Tu i tam ognie; przy ich blaskach słabych
Wróg swego wroga ciemne widzi twarze.
Rumaki grożą rumakom: ich rżenie
Wnika do nocy ogłuszałych uszu,
A od namiotów płynie szczęk, straszliwy
Znak przygotowań: to płatnerze kują
Skrzętnymi młoty, naprawiając zbroje.
Po wsi koguty pieją, dzwon wydzwania
Trzecią godzinę ospałego ranka.
Dumni swą liczbą, ufający w duszy
I pewni siebie, chełpliwi Francuzi
Już naprzód w kości grają o Anglików,
Złorzecząc nocy, że się opieszale
Kulawą nogą wlecze, jak obmierzła,
Obrzydła jędza. Skazańcy angielscy,
Biedni, cierpliwie siedzą przy ogniskach,
Niby ofiary, rozważając w wnętrzu
Niebezpieczeństwo poranku. Ich miny
Smutne, ich lica zapadłe, opończe,

Podarte w bitwach, nadają im w blaskach
Księżyca pozór jakichś widm okropnych.
O, jeśli teraz ktokolwiek chce patrzeć
Na wojsk przegranych królewskiego wodza,
Jak od namiotu kroczy do namiotu,
Od jednej straży do drugiej, ten niechaj
Wykrzyknie: Chwała i cześć jego głowie!
Wyszedł i wszystkie swe hufce odwiedza,
Z skromnym uśmiechem życzy im »dzień dobry«,
Zwie ich ziomkami, przyjaciółmi, braćmi,
Na jego twarzy królewskiej ni śladu,
Jaka straszliwa otacza go armia;
Ani też źdźbełka barwy nie poświęci
Osłabiającej, nieprzespanej nocy:
Patrzy wesoło, oczekując ciosu
Z krasą na licach, z słodkim majestatem,
Że każdy biedak, wymęczony, zbladły,
Z ócz jego siłę czerpie, gdy nań spojrzy.
Bogate dary, niby słońce, zlewa
Przyjazny jego wzrok na wszystkich wkoło,
Topiąc lód strachu. Wy wielcy i mali,
Patrzcie — choć ręka kreśli go niegodna —
Na słaby obraz Henryka śród nocy:
Na pole walki trzeba przenieść scenę,
A tam — darujcie, jeżeli czterema
Albo pięcioma lichymi florety,
Źle złożonymi w śmiesznym pojedynku,
Zniesławim imię Azincourt... A teraz,
Uprzytomniwszy sobie prawdę, skory
Niech zdąża umysł w ślad, gdzie jej pozory.

SCENA I.

Obóz angielski pod Azincourt.

(Król Henryk, Bedford i Gloster).

Król Henryk. Niebezpieczeństwo wielkie, tak, Glosterze!
A więc tem większe musi być i męstwo.
Dzień dobry, bracie Bedfordzie! — W najgorszych
Rzeczach jest jakiś olej dobroczynny,
Trzeba go tylko umieć z nich wycisnąć:
Wcześnie nas uczą wstawać źli sąsiedzi,

Co gospodarstwu i zdrowiu na dobre
Zawsze wychodzi — zewnętrznem sumieniem
Są oni dla nas i kaznodziejami,
Którzy nam prawią, abyśmy się dobrze
Przygotowali na niepłonny koniec.
Tak! nawet z chwastów miód możemy zbierać,
Moralność czerpać z samych nawet dyabłów.

(Wchodzi Erpingham).

Stary Tomaszu Erpingham, dzień dobry!
Miękka poduszka dla twej siwej głowy
Byłaby lepszą, niż darnie francuskie.

Erpingham. O nie, mój książę, to posłanie milsze;
Powiedzieć mogę, że, jak król, tak leżę.

Król Henryk. Bardzo to dobrze, że przykład nas uczy
Kochać obecne cierpienia: w ten sposób
Duch ma swą ulgę, a gdy duch pokrzepion,
Powstają także — rzecz to niewątpliwa —
Wszystkie organa, przedtem obumarłe,
Z głuchej mogiły i, zbywszy się dawnej
Skóry, na nowo młodzieńczem tchną życiem.
Panie Tomaszu! pożycz mi swojego
Płaszcza!...

(Do Glostera i Bedforda).

Polećcie, obaj bracia drodzy,
Osobę moją książętom w obozie;
Powiedzcie wszystkim dzień dobry i zaraz
Każcie im przybyć do mego namiotu.

Gloster. Spełnimy, władco!

(Gloster i Bedford wychodzą).

Erpingham. Mam towarzyszyć Waszej Łaskawości?

Król Henryk. Nie, mój szlachetny rycerzu; idź razem
Z moimi braćmi do panów angielskich;
Ja i me łono musimy ze sobą
Chwilę poradzić, więc mi towarzystwo
Inne zbyteczne.

Erpingham. Szlachetny Henryku,
Niechaj ci Pan Bóg błogosławi.

(Wychodzi).

Król Henryk. Stare,
Poczciwe serce! otuchę mi wlewasz!

(Wchodzi Pistol).

Pistol. *Qui va là?*

Król Henryk. Swój.

Pistol. Wyjaśnij-że mi: jesteś oficerem
Czy też pachołkiem — marnym, zwykłym, z gminu?
Król Henryk. Jestem szlachcicem, dowódcą kompanii.
Pistol. A pikę nosisz potężną?
Król Henryk. Tak, noszę.
Wy kim jesteście?
Pistol. Szlachcicem, tak samo
Dobrym, jak cesarz.
Król Henryk. Więc lepszym od króla?
Pistol. Dzielny to junak, król nasz, złote serce,
Chłopiec do życia i latorośl sławy,
Dobrego rodu i pięść ma niezgorszą;
Całuję jego zabłocone buty
I całem sercem kocham kochanego
Zucha. A twoje jakie jest nazwisko?
Król Henryk. Henryk Le Roy.
Pistol. Kornwalijskie imię,
Czy może jesteś z plemienia Kornwala?
Król Henryk. Nie! ja Walijczyk.
Pistol. A znasz Fluellena?
Król Henryk. Znam.
Pistol. To mu powiedz, że na święty Dawid
O łeb mu zetrę jego czosnek.
Król Henryk. Radzę Wam łagodnie: nie nosić sztyletu u czapki, bo gotów Wam go potrzaskać o Waszą łepetę.
Pistol. Jesteś może jego przyjacielem?
Król Henryk. I krewnym w dodatku.
Pistol. W takim razie to figa i tobie.
Król Henryk. Dziękuję. Szczęść Wam Boże.
Pistol. Z nazwiska wołają mnie Pistol.
Król Henryk. Odpowiada ono najzupełniej waszej zapalczywości.
(Z dwóch przeciwnych stron wchodzą Fluellen i Gower).
Gower. Kapitanie Fluellen.
Fluellen. No Jezusa Chrystusa! Mówcie troche ciszy. Jest to rzeczom na całkim świecie nojdziwniejszom, żeli kto depce prowdziwe a prastare przywileje i prawa wojny; żeli sobie zadocie trudu i zbodocie wojny Pompejusza Wielkigo, to zoboczycie, upewniom Wos, że w obozie Pompejusza nie było żodnygo tere fere ani żodnygo gadu gadu; zoboczycie — zapewniom Wos, że i ceremonie wojny i ostrożności ji, i formy i trzeźwość w ni, i skromność w ni były całkowicie inne.

Gower. A nieprzyjaciel nasz jaki głośny! słychać go co noc.
Fluellen. Żeli nieprzyjociel jest osieł i błazen i wypaplany wietrznik, to, myślicie, że i nom się godzi, uwożocie, być osłem, błaznem i wypaplanym wietrznikiem? Odpowiedzcie mi — tak na sumienie?
Gower. Będę mówił ciszej.
Fluellen. Proszę i zaklinom Wos, abyście się tego trzymali. *(Gower i Fluellen wychodzą).*
Król Henryk. Choć to potrochu wychodzi już z mody,
Ma ten Walijczyk męstwo i ostrożność.
(Wchodzą Bates, Kurt i Wiliams).
Kurt. Bracie Janie Bates, czy to nie ranek tam bieleje?
Bates. Zdaje mi się; ale nie mamy zbyt wiele powodu życzyć sobie, ażeby dzień nastał.
Wiliams. Widzimy tam początek dnia, ale zdaje mi się, że nie zobaczymy już nigdy jego końca. Kto tam?
Król Henryk. Swój.
Wiliams. A pod jakim kapitanem służycie?
Król Henryk. Pod Tomaszem Erpinghamem.
Wiliams. Dzielny stary dowódca i zacne panisko. Proszę was, cóż on myśli o naszem położeniu?
Król Henryk. To, co sobie myślą rozbitki, osadzeni na piasku, czekający, aż ich najbliższa spłucze fala.
Bates. A nie wypowiedział swojej myśli królowi?
Król Henryk. Nie i nie powinien tego uczynić. Bo — jeżeli mam to już powiedzieć — król według mego zdania tak samo jest tylko człowiekiem, jak i ja; fiołek pachnie mu tak samo, jak i mnie; żywioły tak samo mu się objawiają, jak i mnie; wszystkie jego zmysły mają ludzkie tylko właściwości; odłożywszy na bok swoją pompę, będzie wyglądał tylko jak człowiek; a choć uczucia i pożądania jego wzbijają się górniej od naszych, to, jeżeli opadają, opadają na takich samych, jak i nasze, skrzydłach. Dlatego też, jeżeli widzi przyczynę obawy, obawa jego będzie — bez wątpienia — taki sam miała charakter, co i nasza. Ale jednak, w istocie, żaden człowiek nie powinien owładać nim choćby tylko pozorem obawy, ażeby on, zdradzając ją, nie odbierał odwagi wojsku swojemu.
Bates. Niech sobie pokazuje tyle pozorów odwagi, ile mu się podoba; sądzę jednak, że, choć noc ta zimna, wolałby siedzieć po szyję w Tamizie, i jabym pragnął, ażeby sobie tam siedział, a ja z nim, niech tam będzie

niebezpieczeństwo, jakie chce, byleby tylko stąd się wynieść.

Król Henryk. Na uczciwość, będę mówił o królu tak, jak mi każe sumienie: mam to przekonanie, że nie życzy on sobie być nigdzie indziej, jak tylko tu, gdzie jest.

Bates. W takim razie wolałbym, ażeby tu sobie siedział sam; byłby tedy pewny swego okupu i życie niejednego biedaka byłoby uratowane.

Król Henryk. Odważam się powiedzieć, że nie życzycie mu tak źle, abyście mieli pragnąć, iżby tu zostawić go samego: mówicie tak jedynie, ażeby wybadać zapatrywania innych: co do mnie, to zdaje mi się, że nigdzie nie umierałbym z takiem zadowoleniem, jak w towarzystwie króla: sprawa jego słuszna a spór honorowy.

Wiliams. Jest to coś więcej, aniżeli my o tem wiemy.

Bates. Tak, raczej więcej, aniżeli nam się o to pytać wolno; my bowiem wiemy już dosyć, wiedząc, że jesteśmy poddanymi króla; jeśli jego sprawa jest złą, to posłuszeństwo nasze względem króla zmywa z nas wszelką sprawę tej winy.

Wiliams. Ale jeśli sprawa nie jest dobrą, to sam król ciężki będzie musiał zdawać rachunek; gdy te wszystkie nogi, ręce i głowy, poobcinane w bitwie, złączą się dnia sądnego i wołać poczną: na takiem a takiem umarliśmy miejscu, jedni klnąc, drudzy wołając o cyrulika, ci biadając z powodu żon, które pozostawili w nędzy, tamci z powodu niezapłaconych długów, inni z powodu dzieci, które tak nagle porzucić musieli! Boję się, że mało jest ludzi kończących dobrze, jeżeli giną na wojnie;. bo jakże im myśleć o zbawieniu, jeżeli krew tylko mają na uwadze? Jeżeli więc ci ludzie nie kończą dobrze, to dla króla gorzką to będzie sprawą, że ich do tego doprowadził, bo nie chcieć słuchać króla, sprzeciwiałoby się wszelkim zasadom poddaństwa.

Król Henryk. A więc, jeżeli syn, którego ojciec wysłał w sprawach handlowych, zginie w grzesznym stanie na morzu, to według waszej reguły trzeba występność jego policzyć na karb ojca, który go wysłał; albo jeżeli sługa, który na rozkaz pana swojego ma przewieźć jakąś sumę pieniędzy, napadnięty zostanie przez zbójców i skończy, mając na sobie niejeden grzech nieodpuszczony, to interes pana nazwiecie przyczyną jego potępienia. Nie! tak nie jest; król nie odpowiada za poszczególny koniec swoich żołnierzy; ojciec nie odpowiada za syna ani pan za swego sługę, nie wymagają oni bowiem ich śmierci, a tylko wymagają ich służby. Zresztą niema króla na świecie, który, choćby jego sprawa była nie wiem jak nieskalaną, mógłby ją załatwić, jeśliby przyszło do rozstrzygania jej mieczem, z pomocą nieskalanych żołnierzy. — Jedni są może obciążeni zbrodnią z rozmysłem i rozwagą dokonanego morderstwa; drudzy złamaną pieczęcią krzywoprzysięstwa uwiedli dziewczę, inni znów uczynili sobie warownię z wojny, rozszarpawszy przedtem słodką pierś pokoju rabunkiem i grabieżą. Jeżeli więc ci ludzie, unicestwiwszy prawo, naturalnej uszli karze, to choć wymknęli się ludziom, nie mają przecież skrzydeł, aby umknąć przed Bogiem; wojna jest jego pomstą na nich, tak że za złamanie praw króla mają teraz karę swoją w zatargu króla; tam, gdzie bali się śmierci, uszli ze życiem, a giną tam, gdzie spodziewali się uratować. Jeżeli więc umrą nieprzygotowani, to król nie ponosi w tem winy, tak jak nie ponosił przedtem winy za bezbożność, za którą są teraz nawiedzeni. Każdego poddanego służba do króla należy, ale każdego poddanego dusza jest tylko jego własnością. Dlatego każdy żołnierz na wojnie powinien, jak każdy człowiek na łożu choroby, zmyć każdy pyłek z sumienia swego: dla umierającego w ten sposób śmierć będzie zyskiem; jeżeli zaś umrze, to czas, w którym takie uzyskał przygotowanie, stracony był na jego szczęście. Ten zaś, kto uszedł cały, może sobie pomyśleć bez grzechu, że Bóg, któremu tak otwartą złożył ofiarę z siebie, pozwolił mu przeżyć ten dzień, aby widział Jego wielkość i nauczył innych, jak się przygotować mają.

Wiliams. Zapewne, jeżeli kto źle umiera, wówczas złe to spada na jego własną głowę, król nie odpowiada za niego.

Bates. Nie żądam wcale, ażeby odpowiadał za mnie, pomimo to jestem gotów walecznie bić się za niego.

Król Henryk. Słyszałem króla na własne uszy, jak mówił, że nie chce, aby ktokolwiek go okupywał.

Wiliams. Tak, powiedział to dlatego, aby nam dodać męstwa; ale jeżeli nam pościnają karki, to on będzie okupiony, lecz my nie będziemy mędrszymi.

Król Henryk. Jeżeli tego dożyję, to nigdy nie uwierzę jego słowu.

Wiliams. A jużci! to mu dopiero dokuczycie! Niezadowolenie biednego poszczególnego człowieka, wymierzone przeciwko monarsze, to jak niebezpieczny strzał ze starej rusznicy! To to samo, jakbyście chcieli słońce w lód przemienić, wachlując je pawiem piórem. Nie chcecie już nigdy wierzyć jego słowu! Idźcie sobie, to głupie gadanie.

Król Henryk. Odpowiadacie mi zbyt bez ogródki, mógłbym się na was pogniewać, gdyby był czas po temu.

Wiliams. Załatwimy spór, jeżeli zostaniecie przy życiu.

Król Henryk. Przyjmuję.

Wiliams. A po czem cię poznam?

Król Henryk. Daj mi jaki zakład, przyczepię go sobie do czapki; jeżeli odważysz się go poznać, wówczas spór nasz załatwimy.

Wiliams. Masz rękawicę, daj mi jedną z twoich.

Król Henryk. Oto jest.

Wiliams. I ja będę ją nosił u czapki; jeżeli po dniu jutrzejszym przyjdziesz do mnie i powiesz: to moja rękawica, wówczas — na tę rękę — dam ci po uszach.

Król Henryk. Jeżeli dożyję tego, że ją zobaczę, z pewnością zażądam jej zwrotu.

Wiliams. Tak ci się tego będzie chciało, jak wisieć.

Król Henryk. Owszem, upomnę się, choćbym miał cię widzieć w towarzystwie króla.

Wiliams. Dotrzymaj słowa; bądź zdrów.

Bates. Bądźcie przyjaciółmi, wy błazny angielskie, bądźcie przyjaciółmi! mamy dosyć obrachunków z Francuzami, byleście tylko liczyć umieli.

Król Henryk. W istocie, Francuzi mogą postawić dwadzieścia koron francuskich przeciw jednej, że nas pobiją, ponieważ dźwigają je na własnych plecach. Ale dla Anglików nie będzie to zdradą, poobrywać Francuzom korony; jutro król tam będzie obrzynaczem.

(Żołnierze wychodzą).

Wszystko na króla... Złóżmy nasze życie,
Dusze i długi, żony, dzieci, grzechy —
Wszystko na króla!... nam to wszystko dźwigać!
Twarde zadanie! Bliźni brat wielkości
Lada jakiego błazna tchom podległy,
Tylko swe własne czującego troski!

Jakich rozkoszy musi król się zrzekać,
By człek prywatny miał radość!
Cóż król posiada, na czem-by zbywało
Ludziom prywatnym, prócz pompy, prócz tylko
Ogólnej pompy? Ty, czem jesteś, pompo?
Jakiem ty jesteś bóstwem, jeśli więcej
Znosisz trosk ludzkich, niż twoi czciciele?
Jakież twe renty, jakież twe dochody?
O pokaż-że mi, pompo, twoją wartość!
Czem uwielbiania twojego istota!
Jest-żeś czem więcej, prócz stopniem i formą,
Budzącą w innych trwogę i pokorę?
Choć wzbudzasz trwogę, mniej jesteś szczęśliwą,
Niż ci w swej trwodze.
Cóż nieraz pijesz w miejsce hołdów słodkich,
Prócz jadu pochlebstw? O wielka wielkości!
Zaniemóż tylko, niech cię pompa leczy!
Mniemasz, że żar twój febryczny ustąpi
Przed tytułami, przed pustem pochlebstwem?
Przed pokłonami i czołobitnością?
Czy rozkazując kolanom żebraków,
Możesz ich zdrowiu również rozkazywać?
O śnie ty dumny, co tak chytrze igrasz
Z spoczynkiem króla? Ja, król, znam cię dobrze,
Wiem, że ni balsam ni berło ni jabłko,
Miecz ni buława, cesarska korona
Ni płaszcz, dzierzgany złotem i perłami,
Ani rozdęte przed królem tytuły,
Ni tron, ni fala przepychu, bijąca
O brzegi świata wysokie — to wszystko,
Na majestatu upowite łożu,
Nie śpi tak słodko, jak marny niewolnik,
Co z pełnem ciałem, a z próżnym umysłem,
Nędznym napchany chlebem, do snu idzie:
On nie zna strasznej nocy, córy piekła,
Ale, od świtu do zachodu w jarzmie,
Pod okiem Feba się poci, a w nocy
Sypia w Elizyum; w dniu następnym, znowu
Wstawszy o świcie, pomaga zakładać
Hyperyonowi rumaki, w ten sposób
Rok w rok swą pracę przeciągając płodną
Aż do mogiły: tak, prócz jednej pompy,
Biedak, dni swoje spędzający w trudzie,

A noce we śnie, prześciga monarchę.
Niewolnik, członek pokoju swej ziemi,
Korzysta z niego, lecz w swym mózgu grubym
Mało wie o tem, jak król czuwać musi,
Aby utrzymać ten pokój, którego
Błogie godziny niosą zysk wieśniakom.

(Wchodzi Erpingham).

Erpingham. Panie, twa szlachta, zaniepokojona
Twojem odejściem, szuka cię w obozie.

Król Henryk. Dobrze, mój stary rycerzu, zbierz wszystkich
Przed mym namiotem, będę tam przed tobą.

Erpingham. Wykonam, panie.

(Wychodzi).

Król Henryk. O ty wojen Boże!
Zahartuj serca mych żołnierzy! odbierz
Wszelką im bojaźń, weź im zmysł rachunku,
Gdyby ich chciała nieprzyjaciół liczba
Przeważająca pozbawić odwagi.
O nie dziś, Panie! o nie dziś, pamiętaj
Na winę ojca mojego, gdy wkładał
Na skroń koronę. Jam zwłoki Ryszarda
Oddał na nowo ziemi, łez wylawszy
Więcej, niż krople krwi tej, którą z niego
Gwałt był wycisnął! Pięciuset ubogich
Na wyżywieniu mam co rok: dwa razy
Na dzień ich ręce wznoszą się powiędłe
Ku Twym niebiosom, abyś krew przebaczył!
Dwie zbudowałem kaplice, gdzie cicho
Pieśń uroczystą za duszę Ryszarda
Nucą pobożni kapłani. I więcej
Jeszcze uczynię, chociaż bez wartości
To, co uczynić ja mogę, albowiem
Z tem wszystkiem złączyć winienem mą skruchę,
By Cię przebłagać.

(Wchodzi Gloster).

Gloster. Mój książę!

Król Henryk. Głos-li to brata mojego, Glostera?
Wiem, czego żądasz; chodźmy; król nie zwleka:
Dzień, przyjaciele, wszystko na mnie czeka.

SCENA II.

Obóz francuski.

(Wchodzą Delfin, książę Orleański, Rambures i inni).

Książę Orleański. Słońce nam zbroje złoci — a więc naprzód!

Delfin. *Montez à cheval!* — koń mój! *valet! lacquay!* ha!

Książę Orleański. O duszo waleczna!

Delfin. *Via! les eaux et la terre.*

Książę Orleański. *Rien puis? l'air et le feu.*

Delfin. *Ciel!* Kuzynie orleański!

(Wchodzi konetabl).

I cóż, mój panie Konetablu?

Konetabl. Słyszycie rżenie niecierpliwych koni?

Delfin. Dosiądźcie koni, natnijcie im skóry;
Anglikom w oczy niechaj krew ich tryska,
Niech im przygasi zbytek ich odwagi!
Ha!

Rambures. Mają-ż płakać krwią naszych bachmatów?
Jakże ujrzymy łzy ich naturalne?

(Wchodzi posłaniec).

Posłaniec. Anglicy w siodłach, panowie Francuzy!

Konetabl. Na koń, książęta! Wraz dosiądźcie koni!
Patrzcie — ta nędzna, wygłodzona zgraja!
Dusze z nich wyrwie ten wasz blask cudowny
I pozostawi im tylko łupinę.
Dla naszych dłoni niema tam co robić,
Niema krwi dosyć w ich wyschniętych żyłach,
By splamić wszystkie nagie kordelasy,
Które wyciągną z pochw francuskie ruchy,
By znów je chować dla braku zdobyczy.
Chuchnijmy tylko, a wszystkich od razu
Powali para naszej waleczności.
Sprawa ta, moi panowie, ubita,
Że nasze ciury i to zbędne chłopstwo,
Co się wałęsa wokół naszych hufców,
Zupełnie starczą, aby raz na zawsze
Wymieść nam z pola tę nędzną hałastrę
My na to patrzeć moglibyśmy tylko
Ze stóp tej góry, jak na widowisko:
Ale nasz honor każe co innego.
Co mówić więcej? Małe, maluteńkie

Zróbmy źdźiebełko, a wszystko zrobione!
Niech róg wesołą pobudkę zadzwoni,
Niechaj da hasło, by dosiadać koni,
Ledwie się zjawim, tak się pole strwoży,
Że cała Anglia z strachu się położy.
(Wchodzi Grandpré).
Grandpré. Czemu zwlekacie, francuscy panowie?
Tam: te wyspiarskie ścierwa, o swe kości
Rozpaczające, szpecą nasze pole.
W gałgankach wiszą ich zdarte sztandary,
Wiatr nasz szyderczo trzęsie ich szmatami.
Mars, niby bankrut, w tej zgrai żebraczej
Coś smutnie patrzy z pod rdzawej przyłbicy:
Jeźdźcy na koniach sterczą, jak lichtarze,
Za zatkniętemi świecami. Ich szkapska
Łby pozwieszały, drżąc na całej skórze,
Ropa ich ciecze z obumarłych ślepi;
Munsztuki, trawą oblepione zżutą,
Z pobladłych pysków wiszą nieruchome;
Górą nad nimi krążą ich oprawcy,
Kruki, nie mogąc doczekać się chwili.
Słów żaden opis znaleźć tu nie może,
By wyobrazić życie tych szeregów,
Nieżywych w życiu, tak jak je widzimy.
Konetabl. Zmówili pacierz i czekają śmierci.
Delfin. Może im posłać strawy, sukni nowych,
Nieco obroczku dla poszczących koni,
A potem bić się z nimi?
Konetabl. Tylko na straż mą czekam. Dalej! w pole!
Wezmę proporczyk jakiego trębacza,
By go w pośpiechu użyć. Dalej! Dalej!
Słońce wysoko! dzień się na nas wali.
(Wychodzą).

SCENA III.

Obóz angielski.

(Wchodzi wojsko angielskie. Gloster, Bedford, Ekseter, Salisbury i Westmoreland).

Gloster. Gdzie król?
Bedford. Król nasz pojechał na przegląd swych hufców.
Westmoreland. Mają żołnierza sześćdziesiąt tysięcy.

Ekseter. Pięć na jednego, a wszystko to świeże.
Salisbury. Boże! walcz z nami! przemoc to straszliwa!
Żegnam, panowie! Idę na swe miejsce.
Jeśli się mamy spotkać aż tam w niebie,
To się żegnajmy wesoło — Bedfordzie!
Drogi Glosterze! i ty, Ekseterze,
I ty, krewniaku — wszyscy wy żegnajcie!
Bedford. Cny Salisbury! niech ci szczęście służy!
Ekseter. Żegnaj, mój lordzie, bij się dziś walecznie:
Ale cię krzywdzę, wspominając o tem,
Boś ty ulepion ze szczerego męstwa.
(Salisbury wychodzi).
Bedford. Pełen jest męstwa, jako i dobroci —
W jednem i drugiem prawdziwym książęciem.
Westmoreland. Obyśmy mieli choć dziesięć tysięcy
(Wchodzi król Henryk).
Tych, którzy w Anglii dziś bezczynnie siedzą.
Król Henryk. Któż tego pragnie? kuzyn nasz Westmorland?
Nie, mój kuzynie! Jeśli umrzeć mamy,
To jest nas dosyć na stratę ojczyzny;
A gdy żyć mamy, to im mniejsza liczba,
Tem większy będzie też udział w honorze.
Nikogo więcej, proszę was, nikogo.
Nie jestem żądny złota, na Jowisza!
Nie dbam też o to, kto mym kosztem żyje.
I żalu nie mam, że ktoś płaszcz mój nosi;
Ku takim rzeczom nie pcha mnie pragnienie;
Lecz jeśli grzechem gonić za honorem,
To najgrzeszniejszą mam na świecie duszę.
Nie żądaj z Anglii żadnego już człeka:
Mówię-ć — na Boga! za wszystkie nadzieje,
Jakie posiadam, nie chciałbym tej cząstki
Honoru stracić, jaką by nam ukraść
Mógł jeden żołnierz więcej!... Ani człeka!
Raczej w mem wojsku ogłoś, Westmorlandzie,
Że kto do walki tej odwagi nie ma,
Może pójść sobie; doręczyć mu paszport
I dać mu grzywien do kiesy na drogę:
Nie chcemy razem umierać z takimi,
Którzy nie mają męstwa umrzeć z nami.
Dziś mamy święto świętego Kryspina;
Kto dziś przeżyje i wróci do domu,
Podskoczy w górę na dnia tego wzmiankę,

Wstrząśnie się cały na imię Kryspina:
Kto, dziś przeżywszy, do lat późnych dojdzie,
Co rok przyjaciół w wigilię ugości,
Powie: świętego jutro dzień Kryspina,
Podwinie rękaw i blizny pokaże,
Mówiąc: dostałem je na święty Kryspin!
Z wiekiem człek traci pamięć, on jednakże,
Choćby o wszystkiem zapomniał, to jedno
Będzie wspominał — i to z dodatkami —
Jakie to w dniu tym spełniał wielkie czyny!
Na ustach jego będą wtedy nasze
Wszystkie nazwiska, jak powszednie słowa —
Król Henryk, Bedford, Ekseter i Warwik,
Talbot i Gloster oraz Salisbury —
Brzmiały przy pełnych, pieniących się czaszach.
Wieść tę poczciwy człek przekaże dzieciom,
I Kryspin Kryspian nigdy nie przeminie,
Od dzisiejszego dnia do końca świata,
Ażeby w dniu tym nas nie wspominano,
Nas, małą garstkę, szczęsną garstkę braci!
Bo kto dziś ze mną swoją krew przeleje,
Będzie mym bratem; choćby był najniższym,
To dzień dzisiejszy stan jego uszlachci:
A szlachta w Anglii, co teraz śpi sobie,
Przeklinać będzie, że nie była z nami,
I lekceważyć ród swój, gdy kto wspomni,
Że w dniu świętego Kryspina tu walczył.
(Wchodzi Salisbury).

Salisbury. Królu i panie! miej się w pogotowiu:
Francuzi wszyscy już stoją w szeregu
I wnet uderzą na nas z całą siłą.

Król Henryk. Gotowe wszystko, gdy dusze gotowe.

Westmoreland. Niech zginie, czyja słabnie teraz dusza.

Król Henryk. Chyba już z Anglii nie pragniesz pomocy?

Westmoreland. Obyśmy, książę, mogli obaj razem
Stoczyć tę bitwę bez innej pomocy!

Król Henryk. O, pięć tysięcy odciągnąłeś na raz,
Milsze to dla mnie, niż ściągnąć jednego.
Swe stanowiska znacie; Pan Bóg z wami!
(Odgłos trąb. Wchodzi Montjoy).

Montjoy. Królu Henryku! raz jeszcze chcę słyszeć,
Czy chcesz o okup ugodzić się z nami,
Nim cię doścignie niewątpliwa zguba,

Bo wszak już stoisz nad brzegiem przepaści,
Która cię połknie. Prócz tego, Konetabl
Prosi cię z wielkiej litości, ażebyś
Napomniał swoich do skruchy; niech sobie
Te biedne dusze odejdą w spokoju
Z tych pól, gdzie nędzne ich ciała pognniją.

Król Henryk. Któż cię posyła znów?

Montjoy. Konetabl Francyi.

Król Henryk. Zanieś mu, proszę, mą pierwszą odpowiedź!
Wprzód niech zdobędzie me kości, a potem
Niech je sprzedaje. Pocóż, mocny Boże!
Tak z biednych ludzi szydzić. Ongi człowiek,
Co chciał sprzedawać skórę lwa, gdy jeszcze
Zwierzę to żyło, od lwa tego zginął.
Niejeden z naszych znajdzie — bez wątpienia —
Grób w swojej ziemi, ale mam nadzieję,
Że będzie na nim żyło, ryte w śpiżu,
Świadectwo czynów, które dziś spełnimy.
Ci zaś, co w Francyi złożą swoje kości,
Padłszy, jak męże, uzyskają sławę,
Choć pogrzebani w waszem gnojowisku.
Albowiem słońce pozdrawiać ich będzie,
I wyziewami cześć ich k'niebu ciągnąć,
Pozostawiwszy to, co w nich ziemskiego,
By zatruwało wasz klimat i dżumę
Po łanach Francyi siało swym odorem.
Patrz, jaki nadmiar męstwa u Anglików:
Chociaż pomarli, drugą jak strzał działa,
Rozpoczynają spustoszenia kolej,
W swej śmiertelności mordując zawrocie.
Konetablowi zanieś dumne słowo:
Na dzień roboczy jesteśmy rycerstwem,
Nasze galony i złoto zwalane
Śród słotnych marszów, w uciążliwem polu,
I ani piórka niema w naszem wojsku,
(Najlepszy dowód, że nie ulecimy);
Na szmaty podarł czas nasze kubraczki,
Lecz nasze serca w świątecznym porządku;
A moi biedni mówią mi żołnierze,
Że, nim noc przyjdzie, w świeżych będą szatach,
Lub pościągają francuskim żołdakom
Przez łeb ich nowe, świecące opończe,

Porozpędzawszy ich ze służby. Skoro
Wszystko to spełnią (mam w Bogu nadzieję,
Że to się stanie), to sobie i okup
Rychło uciułam. Oszczędź sobie trudu,
Mój ty heroldzie! Nie przychodź już więcej
Do mnie po okup, mój heroldzie miły;
Niczego więcej nie dam im, przysięgam,
Prócz moich kości, a i te zostawię
Wówczas dopiero, gdy mało z nich będą
Mieli pociechy: idź i tę odpowiedź
Konetablowi swemu daj ode mnie.

Montjoy. Spełnię to, królu Henryku, i żegnam.
Już ty herolda więcej nie usłyszysz.

Król Henryk. Myślę, że jeszcze tu po okup wrócisz.

(Wchodzi książę York).

York. Panie, na klęczkach błagam cię, byś dał mi
Nad przednią strażą dowództwo.

Król Henryk. Weź je, mój Yorku! — Hej! żołnierze w pole!
Ty, Boże, kieruj dniem tak, jak masz wolę. *(Wychodzą).*

SCENA IV.

Pole bitwy.

(Zamęt i wrzawa. Ataki. Wchodzą żołnierze francuscy; Pistol i chłopiec).

Pistol. Poddaj się, psiaku!

Żołnierz francuski. *Je pense que vous êtes le gentilhomme de bonne qualité!*

Pistol. Kaletą mnie nazywasz? Wytłómacz mi: jesteś szlachcicem? Jak się nazywasz? gadaj!

Żołnierz francuski. *O Seigneur Dieu!*

Pistol. O sinjor Diu pewnie jest szlachcicem;
O sinjor Diu! zważaj na me słowa:
O sinjor Diu! zginiesz od mej szpadki,
Chyba, że dasz mi, o sinjor, porządny
Okup.

Żołnierz francuski. *O prenez misericorde! ayez pitié de moy.*

Pistol. Moy nie wystarczy, chcę czterdzieści moyów,
Albo ci okup wyciągnę z gardzieli
Wraz z krwi czerwonej kroplami.

Żołnierz francuski. *Est-il impossible d'eschapper la force de ton bras.*

Pistol. Forsę skąd brać, psie jeden?
Pytasz się, capie lubieżny, skąd forsę
Mam brać?

Żołnierz francuski. *O pardonnez moy.*

Pistol. Parę ton moyów chcesz mi dać, powiadasz?
Spytaj-że go się, chłopcze, po francusku,
Jak się nazywa.

Chłopiec. *Escoutez: comment êtes vous appellé?*

Żołnierz francuski. *Monsieur le Fer.*

Chłopiec. Powiada, że się nazywa pan Fer.

Pistol. Pan Fer? Ja go tu zaraz wyferuję i wysforuję. — Powiedz mu to po francusku.

Chłopiec. Nie wiem, jak się po francusku nazywa wyferować i wysforować.

Pistol. Niech się gotuje, poderznę mu gardło.

Żołnierz francuski. *Que dit-il, monsieur?*

Chłopiec. *Il me commande de vous dire que vous faites vous prest; car ce soldat icy est disposé toute à cette heure de couper vostre gorge.*

Pistol. *Ouy, couper gorge, par ma foy, pesant.*
Chyba że okup zapłacisz niezgorszy —
Jak nie, to miecz ten na miazgę cię zetrze.

Żołnierz francuski. *O, je vous supplies pour l'amour de Dieu, me pardonner! Je suis gentilhomme de bonne maison: gardez ma vie, et je vous donneray deux cents escus.*

Pistol. Cóż to za słowa?

Chłopiec. Prosi was, żebyście mu darowali życie, jest szlachcicem z dobrego domu, a jako okup chce Wam dać dwieście grzywien.

Pistol. Powiedz, że gniew mój ustępuje zwolna
I że chcę przyjąć od niego te grzywny.

Żołnierz francuski. *Petit monsieur, que dit-il?*

Chłopiec. *Encore, qu'il est contre son jurement de pardonner aucun prisonnier; néanmoins, pour les escus que vous l'avez promis, il est content de vous donner la liberté, le franchsisement.*

Żołnierz francuski. *Sur mes genoux ie vous donne mille remerciements; et je m'estime heureux que je suis tombe entre les mains d'un chevalier, je pense, le plus brave, valiant, et très distingué, seigneur d'Angleterre.*

Pistol. Wytłómacz mi to, chłopcze.
Chłopiec. Składa Wam na kolanach tysiączne dzięki i czuje się bardzo szczęśliwym, że wpadł w ręce — tak mu się zdaje — najwaleczniejszego, najznamienitszego, najdostojniejszego rycerza Anglii.
Pistol. O, ssąc krew jego, będę miłosierny!
Chodź-że, psie, za mną.
Chłopiec. *Suivez vous le grand capitaine.*
(Żołnierz francuski wychodzi).
Nigdym jeszcze nie słyszał, ażeby tak pełny głos wychodził z tak pustego serca: ale prawdziwe to przysłowie: »Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje«. Bardolf i Nym mieli dziesięć razy więcej odwagi, niż ten ryczący dyabeł z starej komedyi, któremu kto chciał obcinał paznokcie drewnianym pałaszem, a pomimo to powieszono ich obu; to samo spotkałoby i jego, gdyby cośkolwiek ukraść się odważył. Pozostać muszę razem z ciurami i bagażami obozowymi; dobrym bylibyśmy dla Francuza łupem, gdyby o tem wiedział, że jedyną strażą są tutaj dzieciaki.
(Wychodzi).

SCENA V.

Inna część pola bitwy.

(Zamęt i wrzawa. Wchodzą: Delfin, książęta Orleański i Burboński, konetabl, Rambures i inni).

Konetabl. *O diable!*
Książę Orleański. *O seigneur! le jour est perdu! tout est perdu!*
Delfin. *Mort de ma vie!* Stracone wszystko! wszystko!
Wyrzut i hańba wieczysta usiadły
Na naszych kitach. *O méchante fortune!*
(Krótki zamęt i wrzawa).
Nie uciekajcie!
Konetabl. Złamane szeregi!
Delfin. O wieczny wstydzie! zabijmy się sami!
O tych nędzarzy kości rzucaliśmy?!
Książę Orleański. Od tego króla chcieliśmy okupu?!
Książę Burboński. O wieczna hańbo! hańbo nieskończona!
Gińmy na miejscu! wróćmy na plac boju!

A kto nie pójdzie teraz za Burbonem,
Niech sobie wraca, niechaj z czapką w ręku,
Jak nędzny rajfur, strzeże drzwi komory,
Gdzie od psa mego mniej szlachetny sługus
Zbezczeszcza jego najpiękniejszą córkę.
Konetabl. Nieład nas zgubił, niech nas nieład zbawi!
Idźmy gromadą oddać swoje życie
W ręce Anglików, albo kończmy z chwałą!
Książę Orleański. Dosyć nas jeszcze pozostało w polu,
By w naszym tłumie zadusić Anglików —
Byleby tylko ład przywrócić można.
Książę Burboński. Do dyabła z ładem! W tłum! Skróćmy
[to życie,
Gdy sobie hańby długiej nie życzycie! *(Wychodzą).*

SCENA VI.

Inna część pola.

Zamęt i wrzawa. Wchodzi król Henryk z wojskiem, Ekseter i inni).

Król Henryk. Dobrze, po trzykroć waleczni ziomkowie!
Lecz to nie wszystko! wróg jeszcze na placu!
Ekseter. York się poleca Twej Królewskiej Mości.
Król Henryk. Stryju, on żyje? Trzykroć w tej godzinie
Padał — widziałem — i trzykroć znów wstawał,
Ażeby walczyć, bryła krwi od hełmu
Aż po ostrogi.
Ekseter. I w tej to krasie leży ten waleczny
Żołnierz i pole użyźnia; przy jego
Skrwawionym boku leży też szlachetny
Suffolk, towarzysz jego ran czcigodnych.
Pierwszy padł Suffolk, York zaś porąbany
Zbliżył się k' niemu, gdy ten leżał we krwi
Cały zatopion, schwycił go za brodę
I jął całować blizny, krwią ociekłe
Na jego twarzy, i głośno zawołał:
»Czekaj, kuzynie Suffolku! ma dusza
Popłynie razem z twoją ku niebiosom;
Na moją duszę, czekaj piękna duszo,
Ulecim razem, tak jak tu nas razem
Trzymało nasze rycerstwo na polu

Zacnie zdobytej, zasłużonej chwały«.
Na to jam nadszedł, jąłem go pocieszać:
On się uśmiechnął i wziął mnie za rękę
I rzekł z uśmiechem słabym: »Drogi lordzie!
Poleć mą służbę mojemu królowi«.
Potem, odwrócon, na szyję Suffolka
Założył ramię zranione i w usta
Wraz pocałował — i tak to, ze śmiercią
Zawarłszy śluby, krwią przypieczętował
Testament zacnie skończonej miłości.
Ten jego piękny, szlachetny obyczaj
Wycisnął ze mnie te łzy; pragnąłem
Zdrój ten powstrzymać, lecz nie było we mnie
Męża na tyle, za to matka moja
Weszła mi cała do oczu i wnet mnie
Łzom tym oddała.

Król Henryk. Nie mogę cię ganić,
Słysząc to bowiem, muszę mgłę w mych oczach
Gwałtem wstrzymywać, by łzą nie spłynęła.
(Alarm).
Ale cóż znaczy — słuchaj! — alarm nowy?
Widać Francuzi wzmocnili swe hufce.
Niech każdy żołnierz zabije swych jeńców.
Idź, podaj dalej to hasło.
(Wychodzą).

SCENA VII.

Inna część pola.

(Zamęt i wrzawa. Wchodzą Fluellen i Gower).

Fluellen. Zabijać dzieci i ciury, to jest nojwyraźni przeciw wszelkim prawom wojny; to jest skończone, wierutne łotrostwo, uwożosz, jakigo drugigo nima na świecie. Na Wasze sumienie — czy tak nie jest?

Gower. Tak jest, prawda; nie pozostawili przy życiu ani jednego chłopaka; i rzeź tę urządzili ci nędzni tchórze, którzy uciekli z pola bitwy: oprócz tego popalili i pozabijali wszystko, co tylko było w namiocie królewskim; dlatego też bardzo słusznie król uczynił, każąc, aby każdy żołnierz poderznął jeńcom gardła. O, to rycerski król.

Fluellen. Tak! Urodził si w Montmouth, kapitanie Gowerze. Jak to sie ino nazywo to miasto, w którem sie urodził Aleksander Szyroki?

Gower. Aleksander Wielki.

Fluellen. Cóż to, prosze jo Wos, czy szyroki nie jest to samo co wielki? Szyroki, abo wielki, abo potężny, abo ogromny, abo wielkoduszny — to wszystko wyjdzie no jedno, to ino tyle, że sie troche zmienio wyrażenie.

Gower. Zdaje mi si, że Aleksander Wielki urodził si w Macedonii; ojciec jego nazywał si Filip Macedoński — przynajmniej tak si uczyłem.

Fluellen. I mnie si zdaje, że Macedoniom nazywo sie to miejsce, gdzie sie urodził Aleksander. Mówie Wom, kapitanie, że jak spojrzycie na mapy świata, to porównywając Macedonie z Monmouth, przekonacie sie — jo Wom to zaręczom — że położenia ich, uwożocie, są do siebie podobne. W Macedonii jest rzyka, a także rzyka znajduje sie oprócz tego w Montmouth; nazywo si Wye — ta rzyka w Montmouth; ale wyleciało my z głowy, jakie jest nazwisko ty drugi rzyki; ale to wychodzi no jedno: jak te moje palce som mojemy palcamy, tak rzeki są jednakowe i w obu są łososie. Żeli sobi dobrze rozwożycie żywot Aleksandra, to życie Henryka z Montmoutha godzi sie z tamtym w zupełności; bo są figury we wszystkiem: Aleksander — wi to Bóg i wy także wicie — w swoich wściekłościach, w swoich zapalczywościach, w swoich szaleństwach, w swoich gniewach, w swoich humorach, w swoich nieukontentowaniach i w swoich oburzeniach, a że był nieco podchmielony, także wskutek piwa, widzicie, i w swoich złościach zabił nojlepszygo przyjaciela swygo, Klitusa.

Gower. Pod tym względem nasz król nie był nigdy takim, jak tamten: nie zabił ani jednego swego przyjaciela.

Fluellen. To wcale nie jest dobrze — zwożcie to sobie — wydzirać komuś historye z gęby, zanim została skończonom i dokonanom. Mówie ino pod figurom i w porównaniach: Jak Aleksander zabił przyjociela swygo, Klitusa, będąc przy swojem piwie i przy swoich kuflach, tak samo tyż i Henryk Montmouth, będąc przy zdrowym rozumie i przy dobrych zmysłach, wypędził tego tłustygo rycyrza z wielkim brzuchem: był on pełen żar-

tów i konceptów, hultajstw i szyderstw: zapómniołem, jak się nazywoł.

Gower. Sir Dżon Falstaff.

Fluellen. A jakże, moge Wom powiedzieć, że w Montmouth rodzom się walni ludzie.

Gower. Idzie Król Jegomość.

(Alarm. Wchodzi król Henryk z częścią sił angielskich; Warwik, Gloster, Ekseter i inni).

Król Henryk. Odkąd przyszedłem do Francyi, nie byłem
Zły, aż w tej chwili. Weź trąbę, heroldzie,
Popędź ku jeźdźcom hen! na tym pagórku!
Jeśli chcą walczyć z nami, niech się spuszczą,
Lub też ustąpią, bo rażą me oczy.
Jeśli nie zechcą, my do nich przybędziem,
A wnet polecą z szybkością kamyków,
Ciśniętych z starej, asyryjskiej procy.
Gardło prócz tego wszyscy dadzą jeńcy;
Nie przebaczymy nikomu z zabranych:
Idź i natychmiast powtórz im te słowa.

(Wchodzi Montjoy).

Ekseter. Idzie tu herold Francuzów, mój władco.

Gloster. Pokorniej patrzy mu z oczu, niż przedtem.

Król Henryk. I cóż, heroldzie? Czyli nie pamiętasz,
Że te me kości chciałem dać na okup?
Żądasz okupu?

Montjoy. O nie, wielki królu!
Po litościwe-m przyszedł pozwolenie,
Abyśmy mogli przejść przez łan ten krwawy,
Poległych naszych zebrać i pochować,
Oddzielić szlachtę od prostego ludu;
Niejeden bowiem z naszych książąt (biada!)
Mięknie, zatopion we krwi najemników,
(A motłoch pławi swoje gminne kości
We krwi książęcej); ich ranne bachmaty
Brną w krwi do pęcin i w szalonym gniewie
Walą w swych jeźdźców zbrojnemi kopyty,
Po raz ich wtóry mordując. O pozwól,
Potężny królu, przepatrzeć w spokoju
Pobojowisko oraz rozporządzić
Ciałami naszych poległych.

Król Henryk. Prawdziwie,
Nie wiem, heroldzie, czy ten dzień jest naszym,

Albowiem wiele jeszcze waszej jazdy
Tłumi się w polu.

Montjoy. Dzień do was należy!

Król Henryk. Dzięki więc Bogu, a nie naszej sile!
Jak się nazywa gród ten zaraz obok?

Montjoy. Azincourt zwie się.

Król Henryk. W dniu Kryspiana Kryspina stoczoną
Walkę zwać będziem bitwą pod Azincourt.

Fluellen. Wasz praszczur sławny pamięci — za pozwoleniem Waszy Królewski Mości — i wasz dziod stryjeczny, Edward czorny, książę Walii, jakem to czytoł w kronikach, stoczyli tu we Francyi bardzo walnom bitwe.

Król Henryk. Tak jest, Fluellen.

Fluellen. Prowde mówi Waszo Królewsko Mość; żeli to Waszy Królewski Mości jest w pamięci, to Walijczycy dzielnie sie sprawili w pewnym ogrodzie, gdzie czosnek rós i czosnek przypieli do swoich montmoutskich czopek, Wasza Królewsko Mość wi, że od ty godziny jest to honorowy znak służby; spodziewom sie, że to nie będzie dla Waszy Królewski Mości urazom nosić czosnek w dzień świętygo Dawida.

Król Henryk. Noszę go jako godło honorowe:
Walijczyk jestem, wiesz o tem, mój ziomku.

Fluellen. Wszystko woda z Wye nie umiałaby z ciała Waszy Królewski Mości wypłukać krwi walijski, mogę to Wom powiedzieć: niech jom Bóg błogosławi i zachowo, dopóki sie będzie podobało Jego łasce i Jego majestatowi również!

Król Henryk. Dziękuję, dobry mój ziomku.

Fluellen. Na Jezusa! Jestem ziomkiem Waszy Królewski Mości; nie troszcze sie wcale, czy kto o tem wi; wyznom to wobec całego świata, nie potrzebuje sie tego Waszy Królewski Mości wstydzić; cześć i sława Bogu, dopóki Wasza Królewska Mość uczciwym jest człowiekiem.

Król Henryk. Na zawsze takim niech mnie Bóg zachowa.
(Wskazując na Montjoya).
Niech odprowadzą nasi go heroldzi.
Przynieście liczbę dokładną poległych
Po obu stronach. *(Montjoy i inni wychodzą).*
(Wskazując na Wiliamsa).
Przywiedźcie go do mnie.

Ekseter. Żołnierzu! masz się przybliżyć do króla.

Król Henryk. Po co u czapki nosisz rękawicę?

Wiliams. Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, to zakład jednego człowieka, z którym miałem się bić, jeżeli jeszcze jest przy życiu.

Król Henryk. Czy to Anglik?

Wiliams. Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, to łotr, co się ostatniej nocy jędorzył ze mną, a któremu, jeżeli jeszcze żyje i ma odwagę zażądać zwrotu swej rękawicy, poprzysięgłem dać po uszach, lub też, jeżeli zobaczę moją rękawicę u jego czapki (a przysięgał mi na swoje żołnierstwo, że nosić ją będzie, jeżeli zostanie żyw), porządnie mu ją oderwę.

Król Henryk. Jak myślicie, kapitanie Fluellen? godzi się, ażeby żołnierz dotrzymał przysięgi?

Fluellen. Byłby łajdokiem i nikczemnikiem, za pozwoleniem Waszy Królewski Mości — mówie to sumiennie.

Król Henryk. A gdyby tak się zdarzyło, że jego przeciwnikiem będzie szlachcic wysokiego stanu, nie mogący dawać zadosyćuczynienia ludziom na takim, jak on, stopniu?

Fluellen. Choćby był tak dobrym szlachcicem, jok dyobeł, jok Lucyper i som Belzebub, to, uwożo Waszo Miłościwość, musi koniecznie dotrzymać swojigo przyrzeczenio i swoji przysięgi; żeli złamie swe słowo, to uwożocie, będzie mioł reputacyom wierutnygo łotra głupigo Maćka, jaki kiedykolwiek swojemy czornemy podeszwoma chodził po ty ziemi, na sumienie Wom mówi, uwożocie.

Król Henryk. A więc dotrzymaj, wiarusie, przysięgi, jeżeli spotkasz owego człowieka.

Wiliams. Dotrzymam, jako-m żyw, mój władco.

Król Henryk. Pod kim służysz?

Wiliams. Pod kapitanem Gowerem, mój władco.

Fluellen. Gower jest dobrym kapitanem, a i dobrom mo nauke i literature wojennom.

Król Henryk. Przywołaj go do mnie, żołnierzu.

Wiliams. Idę to spełnić, władco.

(Wychodzi).

Król Henryk. Masz, Fluellenie, noś za mnie ten znak honorowy — przypnij go sobie do czapki; gdy Alanson i ja leżeliśmy razem powaleni, zdarłem mu tę rękawicę z hełmu; ten, kto się o nią upomni, pokaże się przyjacielem Alansona, a wrogiem naszej osoby i jeżeli takiego napotkasz człowieka, to pochwyć go, jeżeli mnie kochasz.

Fluellen. Wasza Miłościwość czyni mi taki honór, jakigo tylko życzyć sobi mogom serca jego poddanych. Chciołbym jo zoboczyć takigo człowieka, chodzącygo na dwóch nogach, któryby sie czuł obrażonym na widok ty rękawicy: to wszystko; chciołbym jo takigo widzić.

Król Henryk. Znasz Gowera?

Fluellen. Za pozwoleniem Waszem — to mój dobry przyjocil.

Król Henryk. Proszę cię, poszukaj go i przyprowadź do mego namiotu.

Fluellen. Przyprowadze. *(Wychodzi).*

Król Henryk. Lordzie Warwiku i bracie Glosterze,
Za Fluellenem pośpieszcie w te tropy;
Ta rękawica, którą mu wręczyłem
Jako znak łaski, gotowa mu jeszcze
Przynieść policzek: to własność żołnierza,
Według układu jam ją winien nosić...
Idź za nim, dobry kuzynie Warwiku!
Jeśli go żołnierz obije (a sądzę
Z nieokrzesanych jego obyczajów,
Że swego słowa dotrzyma), wyniknąć
Może z tej sprawy jaka nieprzyjemność;
Znam Fluellena, wiem, że jest waleczny,
Jak proch zapalny, gdy mu kto zajedzie,
I do odpłaty za obelgę prędki.
Dojrzyj, by sobie nie zrobili krzywdy.
A ty idź ze mną, stryju Ekseterze.

SCENA VIII.

Przed namiotem króla Henryka.

(Wchodzi Gower i Wiliams).

Wiliams. Zaręczam, że chcą was pasować na rycerza, kapitanie. *(Wchodzi Fluellen).*

Fluellen. Tako jest wola i upodobanie Boże, kapitanie. Błogom Wos, abyście natychmiost przyszli do króla; przypodkiem czeka Wos może więcy dobrygo, aniżeli sie śniło Waszy nauce.

Wiliams. Mości panie, wiecie, czyja to rękawica?

Fluellen. Czy wiem, czyja to rękawica? Wiem tyle, że rękawica jest rękawicom.
Wiliams. Tę ja znam i upominam się o nią. *(Uderza go).*
Fluellen. Na krew Pańskom! Wierutny zdrajca, jakigo nima na całym świecie, czy to we Francyi, czy w Anglii.
Gower. Cóż to ma znaczyć, ty łotrze?
Wiliams. Myślicie, że zostanę krzywoprzysięzcą?
Fluellen. Ustąpcie na stronę, kapitanie Gowerze! Jo ty zdradzie odpłace kijem, zaręczom.
Wiliams. Nie jestem zdrajcą.
Fluellen. Aż sie dusisz, tak łżesz! Wzywom Wos w imieniu Króla Jegomości: pochwyćcie go, to przyjocil księcia Alansona. *(Wchodzą Warwik i Gloster).*
Warwik. Cóż to takiego? Cóż się tutaj dzieje?
Fluellen. Milordzie Warwiku! Tutej (chwała i cześć Panu Bogu za to) wyszła na jow najzaraźliwsza zdrada, uwożocie, jaki moglibyści sobie tylko życzyć w dzień letni. Jest i Król Jegomość.

(Wchodzi król Henryk i Ekseter).

Król Henryk. Cóż to takiego? Cóż się tutaj dzieje?
Fluellen. Mój władco! oto jest łotr i zdrajca, który, uwożo Wasza Miłościwość, porwoł rękawice, którą Wasza Królewsko mość zdjęła z hełmu księcia Alanson.
Wiliams. Mój władco! to była moja rękawica! tu oto jest druga od pary; a ten, któremu dałem ją na zamian, obiecał nosić ją przy swojej czapce, a ja mu obiecałem, że go obiję, jeżeli to uczyni; spotkałem człowieka z moją rękawicą u czapki i dotrzymałem słowa.
Fluellen. Wasza Królewsko Mość słyszy teroz (z przeproszeniem Waszy Królewski Mości), co to za wierutny, łotrowski, szubrawy, wszawy łajdok? Spodziwom sie, że Wasza Królewsko Mość będzie dla mnie świadectwem, dowodem i poręczeniem, że to była rękawica Alansona, którą Wasza Królewsko Mość mnie dała — na Wasze sumienie!
Król Henryk. Daj mi tę rękawicę, żołnierzu: widzisz, to jest druga od pary. Mnie to, wierzaj mi, obiecałeś obić; mnie to obdarzyłeś słowami obelżywemi.
Fluellen. Żeli to po myśli Waszy Królewski Mości, to niech zapłaci szyjom, chyba że już nima żodnygo wzajemnygo prawa na świecie.
Król Henryk. W jaki sposób dasz mi zadosyćuczynienie?

Wiliams. Wszystkie obelgi, mój władco, płyną ze serca; z mojego nie wypłynęło nic takiego, coby Waszą Królewską Mość obrazić mogło.
Król Henryk. Nas tu przecież zelżyłeś.
Wiliams. Wasza Królewska Mość nie przyszła do mnie w swej własnej osobie: zjawiliście się jako zwyczajny człowiek, poświadczyć to może noc, Wasz ubiór i Wasze proste zachowanie; a że w tej postaci mieszkała Wasza Wysokość, to, proszę Was, przypiszcie to swej własnej winie, nie mojej; bo gdybyście byli tem, za co Was wziąłem, to nie byłoby żadnej obrazy; dlatego proszę Waszej Wysokości o przebaczenie.
Król Henryk. Napełń grzywnami, stryju Ekseterze,
Tę rękawicę i daj temu chłopcu;
Weź ją, wiarusie, jako znak honoru,
Noś ją u czapki, aż się sam u ciebie
Upomnę o nią; dajcie mu te grzywny.
Wy pojednajcie się z nim, kapitanie.
Fluellen. Na ten dzień i na to światło, ten hultaj mo dosyć odwagi w swym brzuchu. — Patrzejcie, daję Wom tutaj dwanoście pensów i proszę Wos, ażebyście służyli Bogu i unikali burd i bójek i kłótni i niezgody, a zaręczom Wom, że to będzie tem lepi dlo Wos.
Wiliams. Wcale mi się Waszych pieniędzy nie chce.
Fluellen. Ale to przecie z dobry chęci; moge Wom powiedzieć, że sie Wom przydo na naprawienie butów; idźcie sobie, poco mocie być tak wstydliwy? Wasze buty wcale nie są tak dobre: to dobry szyling, zaręczom, zresztom moge go wyminić.

(Wchodzi herold angielski).

Król Henryk. I cóż, heroldzie, zliczono poległych?
Herold. Oto jest liczba zabitych Francuzów.

(Wręcza mu papier).

Król Henryk. Ilu jest jeńców wysokiego rodu?
Ekseter. Królewski kuzyn, Karol Orleański,
Książę Burboński Jan i lord Bouciqualt,
I innych hrabiów, baronów, rycerzy
Tysiąc pięciuset, nie licząc pospólstwa.
Król Henryk. Dziesięć tysięcy zginęło Francuzów —
Mówi mi kartka — a w tej liczbie książąt
Oraz szlachetnych dowódców chorągwi
Stu i dwudziestu sześciu, do tej liczby
Trzeba nam dodać giermków i rycerzy

I szlachty osiem tysięcy czterystu;
Z tych pasowanych było na rycerzy
Dopiero wczoraj pięciuset: a zatem
W liczbie straconych dziesięciu tysięcy
Jest tylko tysiąc sześćset jurgieltników;
Reszta książęta, baroni, hrabiowie,
Rycerze, giermki i szlachta rodowa.
Oto imiona poległych magnatów:
Karol De-la-bret, konetabl francuski,
Jakób Chatillon, francuski admirał;
Dowódca hufu łuczników, Rambures,
Wielki mistrz Francyi, dzielny Guischard Dauphin;
Jan Alansoński książę i Antoni
Książę Brabancki, brat księcia Burgundyi,
I Edward książę Baru; z mężnych hrabiów:
Grandpré i Roussi, Fauconberg i Foix,
Beaumont i Marle, Vaudemont i Lestrale —
Co za królewska drużyna umarłych!
A jakaż liczba poległych Anglików?
(Herold pokazuje inny papier).
Edward Yorku książę, hrabia Suffolk,
Sir Ryszard Ketley i Dawid Gam, giermek:
Więcej nikogo; z innego zaś ludu
Dwudziestu pięciu. Tyś był z nami, Boże!
Twemu ramieniu, a nie nam przypisać
Trzeba to wszystko! Któż kiedy to widział,
By nie fortelem, lecz w otwartem polu
I w równej bitwie były takie wielkie
Straty po jednej, a zaś takie małe
Po drugiej stronie? Przyjm to, wielki Boże!
Twoje to dzieło jedynie!
Ekseter. Cud istny!
Król Henryk. Chodźcie! do sioła pociągniem w procesyi:
A śmierć ogłosić między naszem wojskiem,
Gdyby kto miał się chełpić, lub cześć, Bogu
Tylko należną, chciał przywłaszczać sobie.
Fluellen. Czy to może nie wolno, z przeproszeniem Waszy
Królewski Mości, powiedzić, ilu jest zabitych?
Król Henryk. Tak, kapitanie, ale z tem przyznaniem,
Że Pan Bóg walczył za nas.
Fluellen. Tak! na sumienie! walnie nom pomogoł.
Król Henryk. Wszelakie święte spełnijmy obrzędy,
Idźmy *Non nobis* śpiewać i *Te Deum*,

Po chrześcijańsku pochować poległych;
Potem do Calais i Anglii wybrzeży,
Co nie witała szczęśliwszych rycerzy.

AKT PIĄTY.

PROLOG.

Pozwólcie, proszę, ażebym z pomocą
Przyszedł tym wszystkim, co dziejów nie znają.
Ci zaś, co dzieje czytali, niech raczą
Mnie uniewinnić co do liczb i czasu
I spraw przebiegu, które w swem prawdziwem
A wielkiem życiu dokładnie podane
Być tu nie mogą. Teraz powiedziemy
Króla do Calais: tutaj niech zostanie,
Stąd, gdy go tu już widziano, przez morze
Na waszych myśli skrzydłach go ponieście.
Brzegi angielskie — patrzcie! — wał otacza
Mężczyzn i kobiet i dzieci, co swymi
Zgłuszają krzyki i oklaski morza
Głębokie szumy. A ono królowi
Toruje drogę, jak marszałek dworu;
Tutaj mu dajcie wylądować, potem
Niech uroczyście śpieszy do Londynu.
Myśl tak jest szybką, że go wyobrazić
Możecie sobie w tej chwili na Blakhiz:
Jego lordowie pragną, by pozwolił
Miecz swój pokrzywion i hełm swój pogięty
Przez miasto ponieść przed sobą: on, wolny
Od samochwalczej dumy i próżności,
Nie chce się zgodzić i Bogu swe wszystkie
Składa trofea i zwycięstw oznaki.
Teraz popatrzcie w swych myśli kuźnicy,
Jak Londyn swoje wylewa mieszkańce!
Burmistrz z swą bracią w najpyszniejszych strojach,
Jak w starożytnym Rzymie senatory,
U pięty mając plebejczyków tłuszczę,
Idą Cezara zwycięskiego witać:
Aby przytoczyć małą, ale miłą
Prawdopodobność — gdyby cesarzowej

Naszej dowódca (co przecież być może)
Powracał teraz z Irlandyi, na mieczu
Zatkniętą niosąc rebelię, naprzeciw
Ilużby wyszło mieszkańców spokojnej
Stolicy naszej? o, wielu ich więcej
I z wielu więcej powodów szło dzisiaj
Witać naszego Henryka. A teraz
Dajcie mu miejsce w Londynie (bo właśnie
Pozwala na to władcy angielskiemu
Głośny płacz Francyi, jako też i cesarz,
Który się zbliża, przychylny Francuzom,
By spowodować pokój między nimi);
Następnie wszystkie pomińcie zdarzenia
Aż do powrotu Henryka do Francyi,
Tam bowiem dotąd powieźć go musimy;
Co między jednem stało się a drugiem,
Jam to nadmienił w swej roli, ażeby
Przypomnieć teraz, że to wszystko przeszło.
Tu trzeba skracać, więc znów oczy swemi
Śpieszcie za myślą do francuskiej ziemi.

SCENA I.

Francya. Strażnica angielska.

(Wchodzą Fluellen i Gower).

Gower. Wszystko bardzo dobrze; ale po co Wy macie dzisiaj ten swój czosnek z sobą? Przecie dzień świętego Dawida minął.

Fluellen. Każdo rzecz mo swoje przyczyny, swoje powody, swoje jak i swoje dloczego; jo Wom to powiem jako mojemu przyjocielowi, kapitanie Gowerze. Ten obmierzły szubrawiec, ten parszywy łajdok Pistol, o którym Wy razem z sobom i z całym światem bardzo dobrze wicie, że jest, uwożocie, człowiekiem bez nojmniejszy, uwożocie, zasługi, — otóż on, widzicie, przyloz do mnie i przyniós mi chleba i soli i kozoł mi jeść mój czosnek. Było to na miejscu, gdzie nie mógłem zadować się z nim w żodnom a żodnom sprzeczke; ale jo będę sobie tak śmiały, że sobie to do czopki przypne, a jak go znowu kiedy zobocze, to mu przedłoże kawałeczek z moich życzeń. *(Wchodzi Pistol).*

Gower. Macie go, idzie nadęty, jak turecki kogut.

Fluellen. Co mnie obchodzą jego nadętości i jego tureckie koguty. Jak sie mocie, chorąży Pistol — jak sie mocie, wszawy parszywcze!

Pistol. Ha! czyś ty Bedlam? Nędzny Trojańczyku,
Mam ci śmiertelną przędzę Parki rozsnuć?
Precz! bo mnie dusi odór twego czosnku.

Fluellen. Serdecznie Wos proszę, szubrawcze paskudny, abyście na moje życzenie, na moje błagania i prośby zjedli, widzicie, ten czosnek; a że Wom to, widzicie, nie smakuje, że to jakoś nie jest Wom ani do chęci, ani do apetytu, ani do strawności, więc jo-bym sobie życzył, abyście to zjedli.

Pistol. Ani nawet za Kadwalladar i jego kozice.

Fluellen. Mosz tutaj jedną z tych kozic. *(Bije go).* Raczycie Wy, parszywcze, jeść?

Pistol. Umrzesz, nędzny Trojańczyku.

Fluellen. Prowdę mówicie, parszywcze, żeli tako będzie wolo boża: ale jo sobie życzę, ażebyście tymczasem żyli i zjedli te swojom strawe; dali! tu mocie jeszcze i sos do tego. *(Bije go znowu).* Przezwaliście mnie wczoraj wyżnikiem, a jo zrobię z Wos dzisioj niżnika. Proszę Wos, bierzcie; żeli możecie sobie pokpiwać z czosnku, to możecie także i jeść czosnek.

Gower. Będzie już dosyć, kapitanie; a toć ogłuszyliście go całkowicie.

Fluellen. A jo powiadom, że musi zjeść kawałek czosnku, abo przez ştyry dni z rzędu będe mu łeb rozbijoł. — Gryźcie, jo Wos prosze; to jest dobre na Waszom świeżom rane i na Waszom pokrwawionom łepete.

Pistol. A więc mam gryźć?

Fluellen. A jakże, z pewnościom; i to bez żodnych wątpliwości, bez żodnych ceregieli i wykrętasów.

Pistol. Na ten czosnek! zemszczę się okropnie; jem i jem i przysięgam.

Fluellen. Jedzcie, jo Wos proszę; chcecie może więcy sosu do tego czosnku? za mało jest czosnku, abyście mogli na niego przysięgać.

Pistol. Daj spokój kijom, widzisz przecie, że jem.

Fluellen. Niech Wom służy, parszywcze! życze Wom z całygo serca. O nie, proszę Wos, nie rzucejcie; łupinka dobrom jest na Waszom pokrwawionom łepete. Żeli wom sie jeszcze roz zdarzy okazyo, że zoboczycie czo-

snek, to pokpiwejcie sobie, proszę Wos... to jest wszystko, co Wom mówie.

Pistol. Dobrze.

Fluellen. Tak, czosnek jeść, to dobrze. Mocież tu wej! grosz, ażebyście sobie wykurowali głowe.

Pistol. Dla mnie ten grosz?

Fluellen. Tak! z pewnościom i na doprowdy. Weźcie go sobie, a jak nie, to mom jeszcze cośkolwiek czosnku w kabzie; każe Wom spróbować.

Pistol. Przyjmuję go, jako zadatek mej zemsty.

Fluellen. Żeli Wom jestem coś winien, to Wom to zwrócę w kijach; zostaniecie handlarzem drzewa i będziecie kupowali ode mnie same kije. Niech Wos tam niebiosa prowadzom, niech Wos strzegom i niech Wom wykurujom waszom głowe.

Pistol. Niech całe piekło zbuntuje się za to.

Gower. Idźcie sobie, idźcie! Tchórzliwym podróbkiem jesteście. Chcecie pokpiwać sobie z starego zwyczaju, który ma swój początek w godnem czci zdarzeniu i który noszony bywa jako trofeum dawnej waleczności, a nie macie najmniejszej odwagi, ażeby poprzeć czynem choć jedno słóweczko swoje. Widziałem to już ze dwa albo ze trzy razy, jakeście przedrwiwali i przedrzeźniali tego człowieka. Ponieważ nie włada po angielsku właściwym akcentem, to myśleliście sobie, że nie umie także po angielsku wywijać kijami; przekonaliście się obecnie, że sprawa ma się nieco inaczej; oby was ta walijska lekcya nauczyła myśleć po angielsku! Bądźcie zdrowi. *(Odchodzi).*

Pistol. We flądrę ze mną bawi się Fortuna!
Słyszałem właśnie, że moja Helenka
Zmarła w szpitalu z francuskiej choroby,
A zatem nigdy nie ujrzę jej więcej.
Człek się starzeje, z jego kruchych kości
Cześć wyganiają kijami. Więc dobrze!
Będę rajfurem, zręcznym rzezimieszkiem,
W kraj się angielski wkradłszy, kraść tam będę,
Sińce oblepię plastrami i powiem,
Żem w galskiej wojnie pożegnał się z zdrowiem.
(Odchodzi).

SCENA II.

Troyes w Szampanii. Komnata w pałacu króla Francyi.

(Jednemi drzwiami wchodzą król Henryk, Bedford, Gloster, Ekseter, Warwik, Westmoreland i inni lordowie; drugiemi król francuski, królowa Izabela, królewna Katarzyna, panowie, damy etc., książę Burgundzki i jego świta).

Król Henryk. Pokój zebranym, bo on nas tu złączył!
Naszemu bratu Francyi, naszej siostrze
Zdrowia i szczęścia i życzeń spełnienia
Naszej prześlicznej krewnej Katarzynie.
I Was pozdrawiam, mój książę Burgundzki,
(Gałąź i członka królewskiego domu),
Coś uskutecznił to wielkie zebranie,
I was, książęta i panowie Francyi.

Król Francyi. Z radością Wasze widzimy oblicze,
Przedrogi bracie Anglio! Pozdrowienie
I Wam, książęta angielscy! witajcie!

Królowa Izabela. Oby się dzień ten piękny tak szczęśliwie
Zakończył, bracie Anglio, i wspaniały
Zbór ten, jak my się radujemy dzisiaj,
Patrząc we Wasze źrenice: w te oczy,
Co bazyliszków mordercze pociski
Siały dotychczas, zwrócone przeciwko
Francyi; dziś mamy niepłonną nadzieję,
Że jad tych oczu stracił władzę swoją,
Że dziś się w miłość zmienią nasze spory.

Król Henryk. Przyszliśmy tutaj, by zawołać »amen«.

Królowa Izabela. Książęta Anglii, witam was tu wszystkich.

Książę Burgundyi. Wam obu hołd mój jednaki i miłość,
Królowie Francyi i Anglii. Żem trudu
Nie pożałował, żem wszystek wytężył
Dowcip, by Wasze przepotężne Mości
Ściągnąć w te szranki, na królewskie rady,
Was obu dziś mi poświadcza majestat.
Ponieważ moje sprawiły zabiegi,
Że oto lice w lice, oko w oko
Dziś się witacie, w obliczu monarchów,
Niechaj mi będzie wolno się zapytać
Bez zawstydzenia, dla jakiej przeszkody
Ten biedny, nagi, ten kaleki pokój,

Krzewiciel sztuki, ojciec dobrobytu,
Sprawca radosnych porodów, nie może
W tej plennej Francyi, w tym najcudowniejszym
Ogrodzie świata, pokazać dotychczas
Wesołej twarzy? Niestety! zbyt długo
Był on wygnany z Francyi! Jej rolnictwa
Wszelakie płody leżą dziś stosami
I przez swą własną giną wybujałość.
Wino, co serca ludzkie rozwesela,
Nieokrzesane umiera; płot żywy,
Tak, jak na głowie więźnia czochry dzikie,
Pasożytnymi jeży się prętami;
Po jej ugorach kąkol i dymica,
Bo pług pordzewiał, któryby te chwasty
Mógł z korzeniami wyplenić. Jej łąki,
Zwykle pokryte zieloną miodunką,
Jasną pierwiosnką i biedrzeńcem, dzisiaj,
Nie tknięte sierpem, pozbawione pieczy,
Wybujałością zapłodnione, rodzą
Łopian i blekot, marny szczaw i oset,
Straciwszy czar swój i swą użyteczność.
A jak te nasze winnice i łąki,
Nasze ugory, nasze żywopłoty
Zdziczały, w swoich zepsowane pędach,
Tak nasze domy, my i nasze dzieci
Zapomnieliśmy, albo z braku czasu
Nie umieliśmy poznać się z nauką,
Ażeby stać się ozdobą ojczyzny.
Za to, jak dzicy, lub jakieś żołdactwo,
Które jedynie o krwi przemyśliwa,
Kląć potrafimy, marszczyć brwi, cudacznie
Grzbiet swój przystrajać — słowem, robić wszystko,
Co przyrodzeniu sprzeciwiać się może.
By znów do dawnej powrócić postaci,
Zebraliście się i moja przemowa
Prosi: powiedzcie, czemu pokój luby
Nie może wygnać tych wszystkich przykrości
I błogosławieństw zesłać nam dawniejszych?

Król Henryk. Książę Burgundzki, chcecie-li pokoju,
Który, uszedłszy, dał wyrość tym właśnie,
Przez Was dopiero przytoczonym klęskom,
To wszystkie nasze spełnijcie żądania,

Które w osnowie, a także w szczegółach,
Krótko streszczone, macie w swoich ręku.

Książę Burgundzki. Król je usłyszał, ale dotąd jeszcze
Nie odpowiedział.

Król Henryk. Od tej odpowiedzi
Zależy pokój, ku któremu przecie...

Król Francyi. Pobieżnem tylko przeglądnąłem okiem
Te artykuły: Wasza Miłościwość
Zechce wyznaczyć kilku ze swej Rady,
Byśmy na jednem jeszcze posiedzeniu
Mogli je z większą rozpatrzyć uwagą,
A zaraz damy stanowczą odpowiedź,
Czy je przyjmiemy, czy też odrzucimy.

Król Henryk. Stanie się, bracie. Stryju Ekseterze,
Bracie Klarencyo, i wy, bracie Glosking,
Huntingdon, Warwik — idźcie razem z królem;
Pełnomocnictwo wam daję: w warunkach
Możecie odjąć lub dodać, co chcecie,
Co wasza mądrość uzna dla godności
Naszej za korzyść największą; my wszystko
To przyjmujemy... Chcecie, piękna siostro,
Pozostać z nami, czy też pójść z książęty?

Królowa Izabela. Łaskawy bracie, pójdę razem z nimi.
Słowo kobiety może zda się na co,
Gdy zbyt upornych znajdą artykuły.

Król Henryk. Tylko zostawcie z nami Katarzynę,
Naszą uroczą kuzynkę, wszak ona
Jest najgłówniejszem żądaniem, najpierwszym
W szeregu naszych artykułów punktem.

Królowa Izabela. Pozwalam zostać.

(Wychodzą wszyscy, prócz króla Henryka, Katarzyny i jej damy).

Król Henryk. Piękna Katarzyno!
O najpiękniejsza! nauczcież żołnierza
Słów, co do ucha kobiety najłatwiej
Umieją wnikać i w jej sercu tkliwem
Jego miłości podjąć się obrony.

Katarzyna. Wasza Królewska Mość wyśmieje się ze mnie; nie znam angielskiego języka.

Król Henryk. O, piękna Katarzyno! gdybyście mnie kochać zechcieli z głębi Waszego francuskiego serca, z radością słuchałbym Waszego wyznania, choćby Waszym łamanym językiem angielskim. Podobam się Wam, Kasiu?

Katarzyna. *Pardonnez moy,* nie rozumiala, co jest »podobam«.

Król Henryk. Anioł podobny jest do was, Kasiu, a wy podobna jesteście do anioła.

Katarzyna. *Que dit-il, que je suis semblable à les anges?*

Alicya. *Ouy, vrayment (sauf votre grace), ainsi dit-il.*

Król Henryk. Tak powiedziałem, droga Katarzyno; potwierdzając to, rumienić się nie mam powodu.

Katarzyna. *O! les langues des hommes sont pleines des tromperies.*

Król Henryk. Co ona powiedziała, ta moja czarodziejka? że języki mężczyzn pełne są fałszu?

Alicya. *Ouy,* że janzyki mancziznów pelne jest falszu; to je ksjanżniczka.

Król Henryk. Księżniczka lepszą jest Angielką. Prawdziwie, Kasiu! moje zalecanki odpowiadają twojej umiejętności; cieszę się, że nie umiesz lepiej po angielsku, bo gdyby tak było, to wyglądałbym w twych oczach na tak prostego króla, iżbyś przypuścić musiała, żem sprzedał swoją folwarczynę, ażeby sobie kupić koronę. Nie znam w miłości żadnego mizdrzenia się, ale powiadam po prostu: kocham Was, a gdybyście chcieli mnie zmuszać, ażebym powiedział jeszcze coś więcej ponad pytanie: Czy i Wy mnie kochacie? to od razu straciłbym wątek. Odpowiedzcie; naprawdę, proszę was. Co mówicie, pani?

Katarzyna. *Sauf votre honneur,* dobsze zrozumiala.

Król Henryk. Naprawdę, Kasiu, gdybyście chcieli, ażebym pisał wiersze albo tańczył dla Was, jakżebyście mnie wówczas unieszczęśliwili: co do pierwszego, to brakuje mi słów i miary; co do drugiego, to nie mam siły w miarze, choć posiadam wcale przyzwoitą miarę w sile. Gdybym mógł pozyskać sobie łaskę wywracaniem koziołków albo wskakiwaniem na siodło w pełnej zbroi na grzbiecie, to, z przeproszeniem za samochwalstwo, wnet-bym sobie żonkę wyskakał. Albo gdybym dla zdobycia sobie kochanki miał pójść na pięści lub harcami na koniu uzyskać jej względy, to mógłbym zabrać się do tego, jak rzeźnik, i siedziałbym jak małpa i nigdybym nie spadł, ale ja nie umiem wyglądać pozieleniało, nie umiem wzdychać wymownie, nie mam tej wprawy w zaklęciach: znam się tylko na słowie bez ogródek, którego nie daję, chyba na usilne tylko żądanie, ale którego nie łamię, choćby tego żądano jak najusilniej. Jeśli kochać możesz, Kasiu, takiego pokroju człowieka, którego oblicze nie jest godne, aby je opaliło słońce, a który nigdy nie zagląda do zwierciadła z miłości ku temu, coby tam zobaczył, to niech oko twoje będzie ci kucharzem. Mówię do ciebie, jak prosty żołnierz. Jeśli mnie za to kochać możesz, to bierz mnie; jak nie, to jeśli ci powiem, że umrę, będzie to prawdą, ale nie z miłości ku tobie; a przecież kocham cię aż zanadto. Dopóki żyjesz, droga Kasiu, wybierz sobie chłopca z prostą, niefałszowaną stałością, albowiem on ci odda zawsze, co ci się należy, ponieważ nie ma w sobie daru zalecania się gdzieindziej; pamiętaj, że ci wszyscy wygadani gaszkowie, którzy na rymach wśliznąć się umieją w łaski swych dam, potrafią z nich się wykręcić rozsądkiem. Cóż? mowca jest tylko gadułą. Piękna noga osłabnie, prosty grzbiet może się pochylić, czarna broda posiwieje, kędzierzawa głowa wyłysieje, nadobne liczko pokryją zmarszczki, pełne oko zapadnie: tylko serce dobre, moja Kasiu, jest księżycem, albo raczej słońcem a nie księżycem, ponieważ jasno świeci i nigdy się nie zmienia, lecz wierne pozostaje swej drodze. Jeżeli chcesz mieć coś w tym rodzaju, to weź sobie mnie: tak, weź sobie mnie, weź sobie żołnierza; weź sobie żołnierza, weź sobie króla. I cóż ty na moje kochanie? o ma luba, odpowiedz mi, o luba, proszę cię o to.

Katarzyna. Czyż to możliwe, ażebym kochała wroga Francyi?

Król Henryk. Nie, to nie możliwe, Kasiu, abyście kochali wroga Francyi; ale kochając mnie, kochacie Francyi przyjaciela. Bo ja Francyę tak kocham, że nie wyjadę stąd, puściwszy z rąk choćby jedną jej wioskę: ja chcę ją posiadać całą, a, Kasiu, jeżeli Francya będzie moją, a ja Waszym, to Francya będzie Waszą, a Wy moją.

Katarzyna. Nie umiala powiedzieć, co jest to.

Król Henryk. Nie, Kasiu? to ja ci to powiem francuszczyzną, która, jestem przekonany, tak zawiśnie na moim języku, jak świeżo poślubiona kobietka na szyi swego męża — że ani jej strząsnąć. *Quand j'ay la possession de France, et quand vous avez la possession de moy* (pozwól, jakby to powiedzieć dalej? Święty Dyonizy, przybądź mi ku pomocy!) — *donc vostre est France et vous estes mienne.* Równie byłoby mi łatwo zdobyć

królestwo, aniżeli drugie tyle powiedzieć po francusku: po francusku do niczego cię, widać, nie nakłonię, chyba do tego, ażebyś się ze mnie śmiała.

Katarzyna. *Sauf votre honneur, le François que vous parlez, est meilleur que l'Anglois lequel je parle.*

Król Henryk. Nie! naprawdę, Kasiu, tak nie jest; ty, przemawiając moim językiem, a ja twoim, czynimy to z jednakową błędnością; przyznać trzeba, że jedno warte jest drugiego. Ale, moja Kasiu, czy rozumiesz przynajmniej tyle po angielsku: czy możesz mnie kochać?

Katarzyna. Nie mogę powiedzieć.

Król Henryk. A czyż mógłby to powiedzieć który z twoich sąsiadów, Kasiu? Zapytam ich. Ale ja wiem, że mnie kochasz. A w nocy, gdy pójdziesz do swej sypialni, będziesz się tej szlachcianki wypytywała o mnie; wiem też, Kasiu, że będziesz we mnie obniżała wszystkie te przymioty, które kochasz z całego serca, ale, moja Kasiu, szydź sobie ze mnie litościwie, zwłaszcza, że kocham cię, luba królewno, prawdziwie. Jeżeli kiedykolwiek będziesz moją, a mam zbawiającą wiarę w sobie, która mi powiada, że to się stanie, to zaborczą zdobędę cię ręką, musisz więc koniecznie walecznych rodzić żołnierzy. Cóż? nie ulepimy we dwoje — tak pomiędzy Dyonizym a świętym Jerzym, walnego chłopaka, pół-Francuza, pół-Anglika, który pociągnie do Carogrodu i Turczyna nieco za brodę potarga? Nieprawda? Cóż ty na to, moja piękna lilio?

Katarzyna. Ja nie wiem.

Król Henryk. Tak! wiedzieć o tem będzie można dopiero w przyszłości, ale Kasiu, już teraz przyrzec trzeba, że postaracie się o francuską część takiego chłopaka; co do mojej angielskiej części, to macie na to moje królewskie i kawalerskie słowo. Cóż wy na to, *la plus belle Catharine du monde, mon très chère et divine déesse?*

Katarzyna. Wasza *Majesté* ma *fausse* francuszczyzny dosyć, aby poszukać *la plus sage demoiselle,* co jest *en France.*

Król Henryk. Nie! do licha z moją fałszywą francuszczyzną. Na mój honor — prawdziwie po angielsku, kocham cię, Kasiu, nie umiem na honor ten przysiądz, że i ty mnie kochasz, ale krew moja zaczyna mi pochlebiać, że tak jest, pomimo ubogich i wcale nie ujmujących wdzięków mego lica. Przeklęta ambicyo mojego ojca! widać, cały zajęty był myślą o wojnach domowych, kiedy mnie płodził, i dlatego przyszedłem na świat z surowem obliczem, w postaci żelaznej, tak że przerażam kobiety, przychodząc do nich w zaloty. Ale naprawdę, Kasiu, im starszy będę w lata, tem lepiej będę wyglądał: w tem moja pociecha, że starość, ta zła przechowawczyni piękności, mojemu obliczu żadnej nie wyrządzi szkody. Jeżeli mnie weźmiesz, to weźmiesz mnie w najgorszym stanie; a jeśli mnie znosić będziesz, to, znosząc mnie, przekonasz się, że będę wyglądał w twych oczach coraz to lepiej; a więc powiedzcież, o najpiękniejsza Katarzyno, chcecie mnie? Pozbądźcie się tych rumieńców dziewiczych i myśli swego serca wyjawcie wzrokiem cesarzowej; weźcie mnie za rękę i powiedzcie: Henryku Angielski, jestem twoją; a skoro tylko uszczęśliwisz me ucho tem słowem dźwięcznem, wtedy i ja ci powiem głośno: Anglia jest twoją, Irlandya jest twoją, Francya jest twoją i Henryk Plantagenet jest twoim, który — jakkolwiek mówię to w jego obecności — jeżeli nie jest druhem najlepszych króli, to w każdym razie, jak się o tem przekonasz sama, najlepszym jest królem dobrych druhów. A zatem dajcie mi odpowiedź łamaną muzyką; bo głos Wasz to prawdziwa muzyka, a angielszczyzna Wasza jest łamaną: dlatego, królowo świata, Katarzyno, przełam tę niechęć do mnie łamaną angielszczyzną. Chcesz mnie?

Katarzyna. To jest, jak to się będzie podobać *au roy mon père.*

Król Henryk. To się mu bardzo spodoba, ma Kasiu, spodoba mu się, ma Kasiu.

Katarzyna. To i ja będę kontenta.

Król Henryk. A zatem całuję Was w rękę i nazywam Was — moją królową.

Katarzyna. *Laissez, mon seigneur, laissez, laissez; ma foy, je ne veux point que vous abbaissiez votre grandeur, en baisant la main d'une votre indigne serviteur: excusez moy, je vous supplie, mon très puissant seigneur.*

Król Henryk. W takim razie pocałuję Was, moja Kasiu, w usta.

Katarzyna. *Les dames et demoiselles, pour estre baisées devant leur nopces, il n'est la coûtume de France.*

Król Henryk. Moja pani tłumaczko, co ona mówi?

Alicya. Że to nie moda jest *pour les* damy francuskie — nie umiem powiedzieć, co jest *baiser en* angielsku.

Król Henryk. Całować.

Alicya. Wasza Królewska Mość *entendre* lepiej *que moy.*

Król Henryk. Chciałaś powiedzieć, że panny we Francyi nie mają obyczaju całować, zanim wyjdą za mąż?

Alicya. *Ouy, vrayment.*

Król Henryk. Wykwintne obyczaje, Kasiu, łaszą się wielkim królom. Kasiu droga, my oboje nie możemy się zamykać w ciasnych szrankach ojczystych obyczajów: my stwarzamy, Kasiu, modę, a swoboda, towarzysząca naszej godności, zatyka usta wszystkim moralistom tak, jak ja zamknę Wasze, ponieważ chciały podtrzymać wykwintny obyczaj Waszego kraju, wzbraniając się mnie pocałować — dlatego cierpliwość i uległość! *(Całuje).* Posiadacie, Kasiu, czarodziejską siłę w swych ustach; więcej jest wymowy w ich słodkiem dotknięciu, aniżeli na językach całej Rady francuskiej, prędzejby one też przekonały Henryka Angielskiego, aniżeli prośby wszystkich monarchów. Idzie wasz ojciec.

(Wchodzą król i królowa Francyi, książę Burgundzki, Bedford, Gloster, Ekseter, Westmoreland i inni francuscy i angielscy panowie).

Książę Burgundzki. Szczęść Boże Waszej Królewskiej Mości. Uczycie, kuzynie, naszą księżniczkę po angielsku?

Król Henryk. Chciałbym w nią wpoić, luby mój kuzynie, jak bardzo ją kocham, a to jest dobrą angielszczyzną.

Książę Burgundzki. A ona nie ma zdolności?

Król Henryk. Język nasz szorstki, kuzynie, a i moje usposobienie niezbyt łagodne, tak, że nie mając do usług ani głosu ani serca, któreby umiały schlebiać, nie jestem zdolen zaklęciami wywołać z niej ducha miłości, ażeby w swojej prawdziwej zjawił się postaci.

Książę Burgundzki. Przebaczcie mi otwartość mojego humoru, jeżeli Wam na to odpowiem. Jeżeli chcecie w niej zakląć, to musicie zrobić koło; jeżeli chcecie wywołać z niej ducha miłości w jego prawdziwej postaci, to musi się zjawić nagim i ślepym. Możecież ją za to ganić, że, będąc panną, oblaną purpurą dziewiczej skromności, wzbrania się w swem nagiem a widzącem »ja« zobaczyć nagiego i ślepego chłopaczka? Byłby to dla dziewicy warunek zbyt uciążliwy.

Król Henryk. Przymrużają one jednak oczy i ulegają, gdy miłość jest ślepa i wnika w nie.

Książę Burgundzki. W takim razie trzeba im przebaczyć, mój książę, jeżeli nie wiedzą, co czynią.

Król Henryk. A więc, drogi mój panie, nauczcie kuzynkę przymrużać oko.

Książę Burgundzki. Mrugnę, ażeby jej to dać do poznania, jeżeli zechcecie ją tylko nauczyć, aby myśl moją zrozumiała. Dziewczęta bowiem, dobrze przelatowane i ogrzane, są, jak muchy na św. Bartłomieja, ślepe, chociaż mają oczy; znoszą one wtedy cierpliwie dotknięcia, choć przedtem nie mogły znieść nawet widoku.

Król Henryk. Przypowieść ta pociesza mnie co do czasu i gorącego lata: złapię w końcu muchę, kuzynkę Waszą, a i ona musi być ślepą.

Książę Burgundzki. Tak, jak miłość, mój książę, zanim kochać zacznie!

Król Henryk. Taką ona jest; a niektórzy z was powinni dziękować miłości za moją ślepotę, bo dla jednej pięknej dziewki francuskiej, która mi stanęła w drodze, nie widzę niejednego francuskiego miasta.

Król Francyi. Tak, mój królu; widzicie je perspektywicznie — miasta zmienione w dziewicę; wszystkie one bowiem otoczone są dziewiczymi murami, do których wojna nigdy się nie dostała.

Król Henryk. Czy Kasia będzie moją żoną?

Król Francyi. Gdy Wam się tak podoba.

Król Henryk. Jestem zadowolony, jeżeli tylko te miasta dziewicze, o których mówicie, będą jej towarzyszami; ta dziewczyna, która życzeniom moim stała w drodze, pokaże mi drogę do mojej woli.

Król Francyi. Zgadzamy się na wszystko, co tylko jest sprawiedliwem.

Król Henryk. Czy tak, lordowie Anglii?

Westmoreland. Król się na każdy nasz artykuł zgodził
Wprzód co do córki, a potem na wszystko,
Cokolwiek myśmy jemu przedłożyli.

Ekseter. Tego tylko jeszcze nie podpisał: tam, gdzie Wasza Królewska Mość życzy sobie, aby król francuski, przy sposobności pisania do Was w jakiejkolwiek sprawie, obdarzał Waszą Wysokość takim przydomkiem po francusku: *Notre très cher fils Henry, roy d'Angleterre, héritier de France;* to samo po łacinie: *Praeclarissi-*

mus filius noster Henricus, rex Angliae et haeres Franciae.

Król Francyi. I tegom w sposób taki nie odmówił,
Bym się nie poddał, bracie, twym życzeniom.

Król Henryk. Proszę Was, gwoli naszego sojuszu,
I ten artykuł dołączyć do innych.
A teraz dajcie mi córkę.

Król Francyi. Weź ją, mój synu; a z jej krwi niech [wyjdzie
Takie potomstwo, by walczące państwa,
Francya i Anglia, których brzegi nawet
Bledną z zazdrości, jeśli szczęście sprzyja
Jednej z tych krain, skończyły swe waśnie;
Niech im ten związek chrześcijańską zgodę
I mir sąsiedzki zrodzi w pięknych łonach,
By między Francyą krwawej wojny siła
A Anglią nigdy miecza nie dobyła.

Wszyscy. Amen.

Król Henryk. Witaj mi, Kasiu! Wy bądźcie świadkami,
Że ją całuję jako mą królowę.

Królowa Izabela. Bóg, ten najlepszy wszystkich małżeństw [sprawca,
Serca i państwa w jedno wam połączy.
Jak mąż i żona jedną jest istotą,
Tak niech się wasze skojarzą królestwa,.
Bo nigdy zdrada i zazdrość złośliwa,
Co nieraz burzy świętych małżeństw łoże,
Między tych królestw związki nie wtargnęła,
By nie rozwiodła ich spójni wcielonych.
Oby się Anglia troszczyła o Francyę,
Francya o Anglii oby dbała zdrowie!
Bóg na to wszystko niechaj »amen« powie.

Wszyscy. Amen.

Król Henryk. Zatem gotujmy się do ślubu; w dniu tym
Od Was, Burgundyo, i od wszystkich innych
Parów odbiorę przysięgę, rękojmię
Tego przymierza; potem tobie, Kasiu,
Przysięgę złożę i ty mnie, by szczęście,
Wiernie chowana, wniosła w to zamęście.

(Wychodzą).

(Wchodzi Chór).

Chór. Dotąd nasz autor, pióro niedołężne
Mając i szorstkie, doprowadził dzieje,

W ciasnotę duchy wtłaczając potężne
I kawałkując ich sławy koleje.

* * *

Anglii gwiazda, acz w blaski bogata,
Świeciła krótko. Mężnie król się sprawił:
Mieczem Fortuny zdobył ogród świata,
Potem synowi w dziedzictwie zostawił.

* * *

Po nim szedł Henryk Szósty, co koronę
Anglii i Francyi jeszcze dzieckiem nosił;
On to przez rządy, nieładem zwątlone,
Utracił Francyę, a Anglię krwią zrosił;
Żeście to nieraz widzieli na scenie,
I dla tej sztuki miejcie uwzględnienie.

(Znika).

SPIS RZECZY.